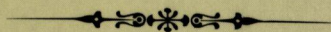




HISTORIE LUDZKIE

DEBORAH
SMITH



Ogród
Kamiennych
Kwiatów

LIBROS

Jeśli w tym sezonie masz czas na przeczytanie tylko jednej książki, niech to będzie *Ogród Kamiennych Kwiatów*. Jest to jedna z tych rzadkich, głębokich historii, które porywają już od pierwszej linijki tekstu.

Kathleen Eagle

Jest to powieść o wielkich emocjach i zadziwiającej wspaniałości. Deborah Smith jest mistrzynią czarnego humoru i czułego romansu.

Antoinette Stockenberg

Darleen Union, spadkobierczynię wielkiej fortuny, i Eliego Wade'a, geniusza matematycznego – przyjaciół z dzieciństwa – rozdzieliła tragedia w rodzinie Eliego i mroczna tajemnica w rodzinie Darleen. Każde z nich poszło swoją drogą, przez bardzo długi czas nic o sobie nie wiedząc.

Gdy po dwudziestu pięciu latach ich ścieżki znów się skrzyżują, obydwoje muszą stawić czoło wstrząsającej prawdzie, która wreszcie wychodzi na jaw.

Czy są gotowi, by ją przyjąć? I przebaczyć?

Deborah Smith, była dziennikarka i wydawca, jest cenioną amerykańską autorką bestsellerów, sprzedawanych w milionowych nakładach.

W Wydawnictwie Libros ukazała się jej książka *Sobie przeznaczeni*.

ISBN 83-7311-543-9



9 788373 115439

Cena 31,90 zł

Nr 3666



HISTORIE LUDZKIE

DEBORAH
SMITH



Ogród
Kamiennych
Kwiatów

Z angielskiego przełożyła
Zofia Uhrynowska-Hanasz

LiBROS

Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media

W roku tysiąc dziewięćset czternastym moja babka Rachel Bennett Brown zrobiła rzecz zdumiewającą.

Poszła do college'u. Miała wtedy osiemnaście lat i była biedną jak mysz kościelna najstarszą córką w dziesięcioosobowej rodzinie. Jej ojciec z trudem zarabiał na utrzymanie tak licznej gromadki najpierw jako rolnik, potem górnik, wreszcie jako robotnik na podgórzu północnej Georgii. Matka mojej babki, krzepka, wiejska kobieta, urodziła się zaraz po wojnie domowej jako córka szeregowca armii jankeskiej, który zmarł na dyzenterię, kiedy stacjonował w Georgii. Jej babka po kądzieli używała perfum, nosiła falbanki i mogła być, choć nie musiała, kobietą wątpliwej konduity.

Dla mojej babki Racheli, która wzrastała w poczuciu wybujałej dumy, jak i potrzeby zostania Kimś, takie pochodzenie stanowiło źródło inspiracji i prowokacji. Poszła więc do maleńkiego college'u w drugim końcu stanu, podróżując wozem zaprzężonym w muła i pociągiem i porzucając chłodne dzikie góry, a po drodze Atlantę, dla gorących, porośniętych sosnami równin, równie odmiennych od jej rodzinnych stron, jak pierwszy lepszy obcy kraj.

Na opłacenie studiów zarabiała, usługując do stołu w profesorskiej jadalni. Spotykała się z wiejskim chłopcem, który grał w futbol i żył z pracy na szkolnych polach bawełny. Babka uczyła się łaciny, zaawansowanej arytmetyki i czytała poezję. Nauczyła się grać w tenisa albo przynajmniej pozować do zdjęć na skraju szkolnego kortu. Zachowała się nawet fotografia, na której z zaciętą miną dźwiga raketę, ubrana w spódnicę do kostek i bluzkę

z długimi rękawami i z bufkami. Ciemne, opadające wówczas na kark włosy ma upięte w wiktoriański kok.

Wątpię, czy kiedykolwiek podbiła piłeczkę tenisową i czy w ogóle interesowała się grą. Gry były nie dla niej, dziewczyny poważnej, o rękach tak silnych jak męskie. Mogła cały dzień, bez przerwy, okopywać motyką bawełnę. I ten wizerunek własny bardzo jej odpowiadał.

Babka skończyła uczelnię z dyplomem nauczycielki i przeniosła się do Atlanty, gdzie z mniejszym lub większym sukcesem, trzymając swoje liczne rodzeństwo żelazną ręką, próbowała z nich zrobić przyzwoitych ludzi, prowadzących stateczne miejskie życie. Nie będę wymieniała żadnych imion, choć przypuszczam, że zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie nie było nikogo bez winy. Boje pomiędzy babką a jej niezależnymi siostrami przeszły do legendy naszej rodziny. Wystarczy powiedzieć, że babka nigdy nie wycofywała się z walki.

Wyszła za mąż za Jankesa, inżyniera z Indiany, i podjęła pracę w Western Union, gdzie szkoliła operatorów telegraficznych i spotykała się z Margaret Mitchell (wówczas reporterką jednej z gazet w Atlancie) i gdzie pewnego pamiętnego dnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku jedna z jej pracownic przyniosła w drżącej dłoni ściśle tajny telegram, skierowany do Waszyngtonu, a nadany z wiejskiej posiadłości prezydenta Roosevelta Warm Springs w Georgii.

Prezydent umarł.

Przez kilka godzin babka należała do wąskiej grupy osób w biurze Western Union znającej prawdę, która miała wstrząsnąć światem. Nigdy nie zapomniała ani tej chwili, ani spoczywającej wówczas na niej odpowiedzialności. Zawsze w wielkich chwilach stawała na wysokości zadania. Nosiła białe rękawiczki, pięknie wyczesane futro, robiła eleganckie zakupy w domu towarowym Richa i uczyła się malowania na porcelanie, chociaż nie zdradzała artystycznych talentów. Myszy, które malowała na talerzykach, miały kwadratowe uszy. Ale jej przesłanie było zawsze jasne: jest kobietą wielkiej dumy, której można zawierzyć bezpieczeństwo narodowe i która sama ustanawia swoje reguły. Dzięki niezłomnej determinacji potrafiła doprowadzić do rozkwitu swoją gałąź drzewa rodzinnego.

- Jesteś lepszy od wszystkich - powtarzała najpierw swojemu synowi, a potem wnukom bez odrobiny skromności czy wahania.

Nigdy nie zadowalała się niczym poniżej najlepszego i nie uciekała się do półśrodków, co było bardzo delikatnie powiedziane w stosunku do jej własnych sformułowań. Kiedy została sprowokowana, potrafiła na prywatny użytek kłać jak szewc.

Umarła w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat. Podczas jednej z naszych ostatnich rozmów powiedziałam, że ją kocham.

- Wiem - odparła.

I to było wszystko.

Książkę tę dedykuję właśnie jej, z wyrazami trudnej i skomplikowanej miłości.

Wszelkie podobieństwa pomiędzy babką a Swan Hardigree są jedynie lekko inspirowane i ogromnie przesadzone. Chociaż nie mam najmniejszych wątpliwości, że moja babka byłaby zdolna do tego, co zrobiła Swan.

I że tak samo jak ona spałaby spokojnie.

Prolog

Pewnej ciemnej wiosennej nocy stałam nad grobem mojej ciotecznej babki Klary Hardigree, którą przed dwudziestu pięciu laty pomagałam pochować, i próbowałam wykopać jej szczątki. Czułam się tak, jakbym grała główną rolę w groteskowej mydlanej operze z Południa. Scarlet O'Hara w scenie cmentarnej z *Hamleta*.

„Biedna Klaro! Znałam ją...”.

Wśród paproci, u moich stóp, syczała i migotała lampa kempingowa na propan, a ja w lesie oblanym księżycowym blaskiem starałam się jak najszybciej dokopać do kości ciotki Klary. Nade mną wznosiła się wielka marmurowa waza, a spływające po niej kaskadami marmurowe kwiaty co chwila szturchały mnie w ramiona i głowę jak twarde palce. Ogród Kamiennych Kwiatów był w takim samym stopniu częścią lasu i symbolem rodu Hardigree jak ukryty grób Klary. Wzdrygnęłam się. Góry Appalacy, odwieczne jak ziemia, patrzyły na mój wstyd, a zza głębokiej doliny, kryjącej kości i marmurową wazę, mrugały do mnie porozumiewawczo światła mojego rodzinnego miasta Burnt Stand w Karolinie Północnej.

Zawsze podejrzewaliśmy, że nie zostałaś wyciosana z najtwardszego kamienia Hardigree. Nazwisko Hardigree bowiem było symbolem twardych kobiet i twardego kamienia. Ale ja, Darl Union, wnuczka Swan Hardigree Samples i prawnuczka Esty Hardigree, okazałam się miękka.

A to wszystko z powodu mężczyzny. Spojrzałam na Eliego Wade'a, człowieka, którego zaufanie zawiodłam, tak jak dwadzieścia pięć lat wcześniej swoim milczeniem zawiodłam jego niesłusznie oskarżonego ojca. Eli obserwował mnie, nie rozumiejąc, co zamierzam mu pokazać.

Znalazłam w końcu szkielet Klary, nie głębiej niż na długość wyciągniętego ramienia, w gliniastej leśnej glebie. Kiedy oczami dziecka patrzyłam, jak moja babka kopie grób, miałam wrażenie, że jest głęboki jak przepaść. A teraz Klara przedstawiała sobą kupkę brudnych kostek, które czekały, żeby je po jednej powyciągać z ziemi. Może powinnam była wziąć ze sobą jeden z najpiękniejszych lnianych obrusów Swan, żeby je zawinąć. Taki z wyhaftowanym monogramem. My, Hardigree, lubujemy się w pięknych nakryciach.

Jedyną rzeczą, jaka mną wstrząsnęła, był naszyjnik, który wyciągnęłam z błocka. Kiedy wytarłam wisiołek i przysunęłam go do światła, błysnął brylant, oprawiony w wypolerowany kawałek mlecznobiałego marmuru Hardigree. Babcia miała dokładnie taki sam. Była to nasza rodzinna tradycja. Może nie herb, ale coś niemal równie dobrego: twardy kamień na twardym kamieniu, lekko skażony ziemią naszych ambicji.

Znów się wzdrygnęłam. Stało się. Oto miałam przed sobą obnażoną w najdrobniejszych szczegółach całą tę niesławną historię. Zrobiło mi się słabo. Trzymając zaciśnięty w dłoni naszyjnik Klary, przykucnęłam z pochyloną głową i zamknęłam oczy. Jako dziecko nie miałam zamiaru pomagać babce w tym morderstwie i zwalaniu winy na kogo innego. Jak wszystko, co nieprzewidziane - nienawiść, prawdziwa miłość, sukces i porażka - tak i to po prostu się wydarzyło.

- Twój ojciec nie zabił Klary - powiedziałam do Eliego. - Zrobiłyśmy to Swan i ja.

Eli, wstrząśnięty, spojrział najpierw na grób, a potem, powoli, na mnie. Powietrze wokół nas wypełniły niewypowiedziany smutek i złość. W tym momencie byłam przekonana, że Eli nigdy mi tego nie wybaczy i że ja również sobie tego nie wybaczę.

- Jak mogłaś mi to zrobić? - zapytał.

- Rodzina - wyszeptalam.

Dzieci tracą niewinność po troszku. Trzeba usunąć wiele warstw, żeby dostać się do naszych serc i spolerować je do nienaturalnego połysku. A potem już do końca życia zastanawiamy się, jak mogliśmy kochać tak namiętnie i marzyć tak zwyczajnie, nim życie nadało nam ostateczny szlif.

CZĘŚĆ PIERWSZA

1972

Rozdział 1

Kiedy dorosnę, zamieszkać w miejscu tak płaskim jak płwocina na marmurowym stole - przysięgał sobie Eli. Miał dziesięć lat i był brzydkim, biednym jak mysz kościelna, ale rozgarniętym i zdeterminowanym chłopakiem, który dopiero zaczynał mozolną drogę życiową. Pocił się i dyszał, pomagając swojemu ojcu Jasperowi pchać przeładowaną półciężarówkę wyjątkowo dobrze wybrukowanym, rozprażonym w słońcu górskim traktem. Wade'owie od dwóch tygodni byli w drodze: przynosili się ze swojego pagórkowatego Tennessee w rejon Smoky Mountains. Przekroczywszy granicę stanu, znaleźli się w zachodniej części Karoliny Północnej i szli teraz najwyższym południowym grzbieciem górskim. Cholerna stara bryka zdychała na każdym większym wzniesieniu.

Garnki, lampy naftowe i stary zardzewiały grill - wszystko to dzwoniło i obijało się o boki auta jak metalowe rybki nanizane na żyłkę. Niskie konary drzew usiłowały zerwać obskurne materace i krzesła ogrodowe, przywiązane na wierzchu sterty gratów. Z jednego z otwartych bocznych okien powiewała ścierka do naczyń, jakby machała do mało urodziwej Annie Gwen Wade, matki Eliego, która, zlana potem, ze stoickim spokojem brnęła skoszonym poboczem drogi, niosąc na plecach czteroletnią córeczkę, Bell.

Eli wycężył wzrok, patrząc, jak z zaciętej twarzy i potężnych ramię taty spływa pot. Ojciec jedną ręką manewrował kierownicą, jednocześnie całym ciężarem ciała napierając na otwarte drzwi samochodu. Eli się skrzywił. Pot, bieda i duma - wszystko to razem przylgnęło do rodziny Wade'ów jak pył z kamieniołomów,

w których pracował tata. Chłopak wstydził się ojca, a zarazem był mu szczerze oddany. Nagle zauważył cienką sosnę przy drodze, a na niej pięć tabliczek, przymocowanych jedna pod drugą, z ręcznie wymalowanymi napisami:

Boże, błogosław prezydentowi Nixonowi
Jezus nie zbawi hippisów
Skończcie z wojną

Trzy pierwsze napisy nie odznaczały się niczym szczególnym. Eli często widywał podobne przy drogach. Ale dwa ostatnie osłепiły go jak neon.

Burnt Stand jest zbudowane na krwi, ogniu i kurwach.
Tu rządzi córka Jezebel.

O rany!

- Zobacz, mamó - powiedział głośno, machnięciem ręki wskazując napisy.

Mamę zatkało.

- Nie patrz w tamtą stronę.

- Ale o co im chodzi?

- Nie wiem, nie patrz w tamtą stronę, i już.

Eli spuścił głowę i pchał dalej. Dokąd oni jadą? Kiedy pokonał zakręt, spojrzął przez kosmyki mokrych, ciemnych włosów, które opadły mu na czoło, i brudnym palcem przetrął tanie okulary. Miał przed sobą zdumiewający widok. Przed nimi, na tle ciemnozielonej ściany lasu, po obu stronach drogi wznosiły się dwa słupy z różowobiałego marmuru. Na obu widniały eleganckie marmurowe tabliczki ze starannie wyrytymi słowami. Eli zaniemówił. Znów jakieś napisy. Czy w Pearly Gates rządzi Jezebel?

- A te słowa warto przeczytać - powiedziała mama z nabożną czią. Eli, ze względu na tatę, odczytał głośno treść tabliczek. Tata potrafił bez okularów wypatrzeć nawet najmniejszą rysę w marmurowej płycie czy spadającą gwiazdę w Drodze Mlecznej. Tyle że nie umiał czytać.

- „Witajcie w Burnt Stand, Karolina Północna” - przeczytał Eli, z wyraźnym akcentem. - „Marmurowa Korona tych Gór”. A na drugiej tabliczce: „Siedziba Towarzystwa »Marmury Hardi-

gree«, założonego z dumą w roku 1925 przez Estę Hardigree, która zapaliła tu kaganek oświaty i postępu i nigdy nie zostawiła w spokoju żadnego kamienia".

Za dziwnymi marmurowymi monumentami widać było jodły i błękitnozielone góry. Wyszadzana rododendronami dwupasmo- wa droga prowadziła wśród wysokiego gęstego lasu, który w nie- miłosiernej sierpniowej spiekocie rzucał chłodne niebieskoczar- ne cienie. Eli z tatą wpełnęli wreszcie samochód na morderczy szczyt ostatniego wzgórza.

- O Boże! - powiedział nagle tata. Eli, mama i Bell skupili się wokół niego, w niemym zdumieniu podziwiając roztaczającą się przed nimi dziewiczą dolinę i miasto, jakiego nie widzieli nigdy w życiu.

- To miasto jest różowe - powiedział Eli.

Burnt Stand rumieniło się w słońcu, mając niewinnością.

Różowe. Całe moje życie było różowe. Różowe miasto, różo- wa marmurowa fortuna, różowa marmurowa rezydencja, różowe fantazyjne ciuszki, różowa skóra. Nazywałam się Darleen Swan- noa Union, ale równie dobrze mogłam się nazywać Różowa. Swan Hardigree Samples, moja babka i imienniczka, tak mnie szorowała i chroniła, że najprawdopodobniej byłam jedyną białą siedmiolatka w całym okręgu Hardigree, która nie miała piegów. Dziedziczka towarzystwa Marmury Hardigree i księżniczka połu- dniowych górskich marmurów. Różowa i nieszczęśliwa.

Był sam środek lata. Czułam się, jakby mi ktoś położył na no- sie ciepłą moką szmatę. Nocą żaby, świerszcze i lelki za oknami mojej ozdobnej sypialni w Marmurowym Dworze śpiewały smut- no, jakby zachodzący letni księżyc nawoływał do żałoby. Kilka ty- godni wcześniej terroryści zabili podczas olimpiady w Mona- chium kilkunastu izraelskich sportowców. Nasz miejscowy pastor baptyistów powiedział, że to zapowiedź bliskiego końca świata, co trafia mi do przekonania, ponieważ Jerozolima leży w Izraelu.

Ziemia jak gdyby piekła się na kamiennym ruszcie. Burnt Stand siedziało okrakiem na jedynej większej żyłce marmuru w całym stanie. Wypolerowany różowy marmur nadawał sądowi, biurom, bibliotece i innym budynkom śródmięscia pewien polor, elegancję w starym stylu, niemal śródziemnomorską lekkość po-

śródmieście zielonych górskich lasów. Ploty mieniły się wypolerowanym marmurem, klomby ogradzano odpadkami marmuru. Krzaki pomidorów w przydomowych warzywniakach szukały oparcia w prymitywnych marmurowych ogrodzeniach. Prawo budowlane w naszym mieście wymagało, by każdy budynek miał fundament albo przynajmniej wykończenie z naszej bezcennej skały. Od kilkudziesięciu lat przybywają do Burnt Stand turyści, by podziwiać nasz bajeczny rynek i spacerować po marmurowych chodnikach.

Nienawidziłam tych chodników. Tamtego koszmarne letniego dnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku paliły moje różowe stopy żywym ogniem nawet przez różowe sandały. Mimo to stałam pod markizą przed Marmurowym Salonem Hardigree. Tak jak sobie tego życzyła babka, ilekroć czekałam w miejscu publicznym, ramiona miałam wyprostowane, głowę uniesioną, ręce złożone na różowej słomkowej torebce, którą z reguły przyciskałam do nieskazitelnego różowego sweterka z wyhaftowaną z przodu różową różą. Łaskotliwe strumyczki potu zeszmaciły różowe wstążki, które spływały z mojego długiego francuskiego warkocza. Byłam dorodną brunetką o ciemnoniebieskich oczach, która nie chciała oglądać świata przez różowe okulary.

Obok mnie, niemal identyczna w swoim różowym swetrze i warkoczach ze wstążkami, stała moja najlepsza przyjaciółka i jedyna towarzysząca zabaw, Karen Noland. Karen uczyła się razem ze mną u prywatnego nauczyciela w Marmurowym Dworze, posiadłości mojej babki, i nie chodziła do szkoły. Nie wolno nam było bawić się z innymi dziećmi z miasta, a biegać swobodnie mogliśmy tylko po lesie należącym do dworu. Czuliśmy się samotne, ale uwielbiałyśmy się nawzajem. Obie byłyśmy sierotami wychowywanymi przez babki. Swan Hardigree Samples i Matylda Dove, asystentka babki, znały się - tak jak ich nieżyjące córki, a nasze matki, i jak my - całe życie. Między naszymi rodzinami istniała tylko jedna poważniejsza różnica.

My byliśmy biali, a oni nie. Nawet w naszym odosobnionym mieście, naznaczonym i rządonym przez moją babkę, stanowiło to jedyną różnicę.

Nie mogę powiedzieć, że Karen i jej babka Matylda były czarne. Ich skóra miała kolor miodowy, oczy orzechowy, a długie, szorstkie włosy przypominały barwę lody czekoladowe. Żadna

z nas - ani Karen, ani ja - nigdy nie widziała zdjęcia jej zmarłej matki, Katherine, i dlatego nie wiedziałyśmy, jakiego koloru była. Karen miała na nocnym stoliku tylko zdjęcie ojca, przystojnego czarnego mężczyzny w mundurze piechoty morskiej. Wiedziałam jedynie, że ona i Matylda nie są takie same jak my, ale że nie są również takie same jak czarni żyjący na farmach dokoła, krótko mówiąc, że nie są czarne jak as pik. Jedno nie ulegało dla mnie wątpliwości: kochałam je nade wszystko.

- Szkoda, że nie możemy iść na piechotę do dworu - szepnęła Karen półgębkiem, kiedy tak stałyśmy na baczność, omdlewając z gorąca. - Wyglądamy jak idiotki.

- Tylko białe śmiecie i przybłędy chodzą po ulicach jak Cyganie - wyrecytowałam. Było to ulubione powiedzenie naszych babek.

- Ugotowane różowe idiotki. - Karen nie ustępowała.

Westchnęłam. Miała rację. Tkwiłyśmy jak dwie kretyńskie marmurowe rzeźby przed Marmurowym Salonem Hardigree, gdzie bogaci mieszkańcy Południa mogli zamawiać dosłownie wszystko - od tony płyt podłogowych do ręcznie rzeźbionego cherubina. Naprzeciwko nas w cienistym miejskim parku, pośrodku centralnego placu naszego miasta, bezwstydną repliką Partenonu służyła za miejscowy punkt widokowy. Umocowana na nim tablica głosiła: „Wdzięcznemu społeczeństwu w darze - Esta Hardigree, 1931”. Grupka dzieciaków goniła się jak szalona po trawniku. Bolało mnie serce od mojej wymuszonej godności. Karen zamiauczała. Musiałyśmy przestrzegać praw ustanowionych przez nasze babki.

Kiedy tak stałyśmy, kisząc się we własnym sosie swego szczególnego statusu - jedna różowa biała dziewczynka i jedna różowa miódowa dziewczynka - za przełęczą w West Main ukazał się dziwny widok. Marmurowym chodnikiem na plac pomiędzy ogromne magnolie wtoczyła się jak gdyby bez ludzkiego udziału stara półciężarówka. Z tyłu jej skrzyni zwiisały na sznurkach garnki i patelnie. Pojazd dzwonił jak krowi dzwonek. Sterty pudeł i płóciennych toreb chwiały się przywiązane linami na wierzchu, a do przedniego zderzaka przymocowano łańcuchem obrdzewiały różowy trzykołowy rowerek.

Z chodników, parku i sklepów gapili się ludzie. Wykręciłam głowę i dostrzegłam wysokiego, przystojnego, choć dość prymi-

tywnego mężczyznę, który pchał samochód od strony kierowcy. Z tyłu szła chuda ciemnowłosa kobieta w nędznej sukience ze sztucznego tworzywa i w cienkich tenisówkach. Niosła na plecach małą dziewczynkę, która wtuliła główkę w kark matki.

I wtedy zobaczyłam chłopca.

Robił wrażenie twardziela. Ciemne włosy krótko przystryżone, jeśli nie liczyć kosmyka, który opadał na wysokie czoło. Okulary w grubej, czarnej oprawie, typowe dla ludzi starych, nadawały mu zabawny wygląd. W spłowiałych džinsach i T-shircie wydawał się długi i chudy. Z pochylonymi szczupłymi ramionami przypominał mrówkę pchającą przed sobą kamień. Młodego Jezusa, który zamiast dźwigać krzyż - pchał ciężarówkę.

Cygański chłopak - pomyślałam - chociaż nigdy do tej pory się nie zdarzyło, żeby jacykolwiek Cyganie przejeżdżali przez Burnt Stand. Ale przynajmniej ten chłopak rządził swoim światem - przemieszczał go. Mój świat był tak mocno zakotwiczony jak marmurowe cherubiny w oknie wystawowym Salonu Hardigree, a do tego zupełnie nad nim nie panowałam. Zafascynowana patrzyłam, jak ciężarówka, klekocząc, okrąża owal placu i zbliża się do mnie. Chłopak i jego świat zatrzymali się na małym pustym parkingu dokładnie przed ozdobnymi białymi drzwiami i wysokimi łukowato sklepionymi oknami Marmurowego Salonu Hardigree. Jakieś dwadzieścia kroków ode mnie i Karen. Miałyśmy miejsca w pierwszym rzędzie.

- Obcy, i do tego białe śmiecie - wyszeptła trwożnie Karen i cofnęła się, niemal przylepiona do marmurowej fasady. Zrobiła zabawnie przerażoną minę. - Dobrze ci radzę: chodź tu do mnie!

Potrząsnęłam głową. Nagle tuż przede mną zaparkował podniecający i zarazem przerażający świat zewnętrzny. Piersi chłopaka unosiły się rytmicznie. Podniósł głowę i przejechał ręką po okularach, zostawiając na nich brudne smugi. Najpierw musnął mnie tylko wzrokiem, ale po chwili przyjrzał mi się uważniej. Wiedziałam, że wyglądam jak wielki ufarbowany na różowo kurczak wielkanocny, i stanęłam w pąsach z upokorzenia. Jakby nie wierzył własnym oczom, zdjął okulary i wytarł je starannie w rąbek białej koszulki. Gapiłam się na niego, a on nie spuścił wzroku. Miał duże brązowe uduchowione oczy i bardzo długie rzęsy. Najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek w życiu widziałam. Przechylił głowę, próbując zobaczyć mnie bez okularów.

- A jednak - powiedział - jesteś różowa.
- Eli, zaczekaj tutaj z Bell - poleciła mu kobieta, stawiając małą koło chłopaka. - Musimy z tatą coś załatwić, słyszysz mnie?
- Tak, mam. - Wziął siostrzyczkę za rękę. Przyklepiła się do niego i wtuliła buzię w jego brzuch. Zrobił minę pełną rezygnacji, ale pogłaskał ją po główce. Jego matka spojrzała w moją stronę i uśmiechnęła się nieśmiało.
- Dzień dobry - powiedziała. - Ślicznie wyglądasz.
- Dzień dobry pani - odpowiedziałam skromnie. - I bardzo dziękuję. - Przez udział w niezliczonych herbatkach, kolacjach i piknikach, na które zabierała mnie babka, nauczyłam się układności. Zostałam nawet przedstawiona gubernatorowi, wiceprezydentowi i różnym marmurowym baronom, łącznie z włoskim przyjacielem Swan, który właściwie w ogóle mnie nie zauważał, poza tym, że mówił na mnie *U mio piccolo e aumentato*. Moja matka różyczko. Co po włosku znaczy różowa. - Jak się pani miewa?
- Dziękuję, całkiem dobrze.
- Idziemy, Annie. - Mężczyzna przycesał grzebieniem ciemne włosy i przetarł twarz ręcznikiem, który wyciągnął z samochodu. Ignorując mnie całkowicie, podszedł do Carla McCarla, podręcznego mojej babki. Carl McCarl przypominał starego łysego niedźwiedzia, kiedy powłócząc nogami, pucował marmurowe chodniki i zmywał fasady domów. Był w złym humorze. Babka kazała mu po skończonej robocie iść na główną drogę i pozdejmować przybite do sosny tabliczki pastora Ala.
- Dawniej pastor Al był kamieniarzem, ale w pewnym momencie zwariował i prababka Esta była zmuszona wypędzić go z miasta. Nauczał więc jedynie z ambony, którą stanowiła tamta sosna, i wszyscy go lekceważyli. Swan powtarzała, że jest biednym starym człowiekiem i miłosierdzie, jakie mu okazywała, zawsze budziło mój podziw. Carl McCarl regularnie więc chodził na drogę i zdejmował nieszczęsne tabliczki. Swan nigdy nie chciała mi wytłumaczyć ich znaczenia.
- Przepraszam bardzo. - Ojciec chłopaka zwrócił się do Carla McCarla głębokim głosem robotnika, przywodzącym na myśl pola kukurydzy, fabryki tekstylne, ciężarówkę ciągnące drogami i przydrożne knajpki o późnej porze. - Nazywam się Jasper Wade i mam się zgłosić do Toma Alberta. Powiedział, żebym go szukał w Salonie Hardigree, tu, w mieście. Dobrze trafiłem?

Nastawiłam uszu. Tom Alberts był menedżerem mojej babki do spraw wyrzucania i zatrudniania ludzi w kamieniołomie i w sklepie. Firma Marmury Hardigree zatrudniała około trzystu osób. Ponad trzecią część siły roboczej Burnt Stand.

Carl McCarl odwrócił się powoli i dłuższy czas przyglądał się Jasperowi Wade'owi. Jasper, z marsem na czole, zginał muskułarne ramiona.

- Czy coś nie tak?

- Trzeba zejść budynek od tyłu, skręcić za rogiem i tam w uliczce będą drzwi i tabliczka „Biura”. Tam zadzwonicie. A wozem się nie przejmuj. Przyślę mechanika, który go obejrzy.

Twarz Jaspera Wade'a odprężyła się w wyrazie zdumienia. Jego mina mówiła, że ich życie to tylko ciężka praca, kuchenne drzwi i zero uprzejmości ze strony innych.

- Serdecznie dziękuję - powiedziała i skinął na żonę.

Patrzyłam, jak idą rozprażonym chodnikiem i znikają za zakrętem w marmurowej uliczce. Carl McCarl też patrzył za Wade'em, dopóki nie stracił go z oczu. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby stary tak się interesował jakimś kamieniarzem czy w ogóle kimkolwiek, jeśli już o to chodzi. Drżącą ręką otarł czoło i wszedł do sklepu.

Zbagatelizowałam to jego dziwne zachowanie i znów odwróciłam się do chłopaka, myśląc, jak by go tu „przetestować”. Czasem zamiast „dzień dobry” mówiłam do ludzi „uszanowanie”. Wyczytałam to pozdrowienie w jakimś wiktoriańskim podręczniku dobrych manier i przylgnęło do mnie jak miły zapach kwiatów, stając się dobrą receptą na znalezienie drugiej samotnej duszy na świecie. A to wszystko dlatego, że Swan trzymała mnie w takiej izolacji i traktowała jak małą różową dorosłą osobę. Byłam czymś w rodzaju karykatury, kiepskiej repliki klasycznej marmurowej wazy. Fałszywym dzieckiem. Jeszcze nikt nigdy nie odpowiedział mi w ten sam sposób. Traktowano to jako niezręczny wyskok z mojej strony. Serce waliło mi jak młotem.

- Uszanowanie - zaryzykowałam. Oczekiwałam, że chłopak powie coś głupiego.

Po chwili namysłu skinął głową i odparł poważnie:

- Uszanowanie.

Był pierwszym, który mi w ogóle odpowiedział. Uśmiechnęłam się z niedowierzaniem.

- Nazywam się Darl Union. A ty?
- Eli Wade.
- Czy to jest twoja siostra?
- Aha. - Mała jeszcze mocniej wtuliła się w brata, uczeplona rączkami jego koszulki.

Przyjrzałam jej się bliżej.

- Czy ona może tak oddychać? - spytałam.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Jasne. Jest pstragiem, wyrosły jej nawet skrzela.

Byłam zachwycona dowcipną odzywką Eliego, najzabawniejszą, jaką kiedykolwiek słyszałam. Już otworzyłam usta, żeby mu to powiedzieć, kiedy kątem oka zauważyłam, że szykuje się awantura. Wśród gromady dzieciaków w parku było kilku starszych chłopców - sami biali, z wyjątkiem Leona Forresta, syna właściciela farmy tytoniowej. Leon, chudy, czarny jak noc, ponury i brudny, w starych džinsach i T-shircie, snuł się w pobliżu, czekając na ojca, który kupował coś w sklepie z nawozami i nasionami. Za każdym razem, kiedy widział Karen, zerkał na nią ukradkiem. Podkochiwał się w niej, ale ona go ignorowała.

Żołądek podjechał mi do gardła, kiedy zobaczyłam, że chłopcy wyszli z parku i zbliżają się do nas.

- Darl, Darl, chodź tu do mnie, prędko - syknęła Karen. Udałam, że nie słyszę. Eli napiął ramiona i unióśł głowę, a następnie wcisnął okulary głębiej na nos i obrzucił chłopaków groźnym spojrzeniem. W odpowiedzi posypały się szyderstwa; ktoś ostentacyjnie splunął. Synowie kamieniarzy. Twardzi jak skała.

- Co to jest, do cholery, za bryka? - powiedział jeden z nich, a inni mu zawtórowali.

- Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś tak żałosnego.

- Wy tam wszyscy mieszkacie?

Eli nie odezwał się słowem. Jakby spodziewając się najgorszego, odczepił małą od swojej koszulki, wziął ją na ręce, otworzył drzwi samochodu od strony pasażera i posadził Bell na spłowiałym winylowym siedzeniu. Mała, popłakując, obrzuciła całą scenę szybkim przerażonym spojrzeniem, po czym skuliła się tak, że nie było jej widać. Słyszałam tylko ciche pochlipywanie. Zanim Eli ponownie zwrócił się w stronę bandy, chłopcy zdążyli się nieco zbliżyć. Jeden z bardziej agresywnych zaczął gwizdać, wyciągnął rękę i szturchnął Eliego w ramię.

- Hej, ty, co jest z tą małą? Niedorozwinięta czy co?

Eli wymierzył chłopakowi cios tak błyskawiczny, że jego ręka przypominała czarnego węża atakującego mysz. Chłopak poleciał na kolegów. Nagle wszyscy zaczęli wrzeszczeć. Eli stał na rozstawionych nogach, w brudnych tenisówkach, z pięściami w górze, w bokerskiej postawie, spokojny i groźny. Okulary zaszyły mu mgłą.

- Bierzcie go! - krzyknął któryś z chłopaków i wszyscy postąpili do przodu. Pięści poszły w ruch. Jeden z ciosów przewrócił Eliego na ziemię, trafiając go w usta; reszta napastników zwała się na niego z wraskiem.

Nagle przestałam być posągiem.

Rzuciłam się na stertę ciał, waląc na oślep i orząc paznokciami, żeby jak najprędzej przedrzeć się do Eliego. Usłyszałam pisk Karen i obróciłam głowę akurat w chwili, kiedy moja przyjaciółka ruszała mi na pomoc. Jeden z chłopaków odepchnął ją, ale natychmiast jak spod ziemi wyrósł koło niego Leon Forrest, złapał napastnika za kołnierz i potrząsnął. Kiedy pozostali chłopcy spostrzegli, że w walce bierze udział silny, twardy Leon, wspierany przez dwie dziewczynki - i to nie pierwsze lepsze z brzegu - odskoczyli jak oparzeni. Eli Wade wstał chwiejnie, z nosa płynęła mu krew. Ja leżałam rozkrzyżowana na chodniku.

Cała banda gapiła się na mnie w osłupieniu, a ja widziałam, jak powoli bledną. Aplikacja w kształcie różyczki, naderwana, zwisała z mojej spódnicy, różowe wstążki we włosach sterczały we wszystkie strony, a ja, ze spódnicą zadartą niemal do pasa i odsłaniającą różowe majtki, miałam na ustach różową pianę z wściekłości. Groźnym wzrokiem spoglądałam to na nich, to na rząd widocznych na moim ramieniu zadrapań, z których sączyła się krew.

- Prze... przepraszam - bąknął jeden z chłopaków.
- Cholera... - dodał drugi.
- On jest mój - odezwał się. - Macie go zostawić w spokoju, bo powiem babce, żeby wywaliła waszych ojców z pracy. - W gorączce chwili nie stać mnie było na choćby odrobinę litości czy wielkoduszności. Pod pachą poczułam czyjaś rękę. Eli pomógł mi wstać, a następnie z galanterią zasłonił mnie, kiedy opuszczałam sukienkę. Mrużąc oczy, usiłował cokolwiek zobaczyć przez zaparowane okulary, ale pięści trzymał pewnie przed sobą.

- Spieprzajcie - syknął do chłopaków, którzy odwrócili się na pięcie i dali nogę.

Kręciło mi się w głowie; nie mogłam złapać tchu. Kiedy wreszcie przyszedłam do siebie, zobaczyłam, że Eli patrzy na mnie z wyrazem troski w oczach. Potrząsnęłam głową.

- Nie bój się. Ja tylko tak powiedziałam o tych ojcach. Wszyscy kamieniarze są nasi, Hardigree. Ale teraz ci chłopcy będą wiedzieli, że do nich należysz.

Krew sączyła mu się z nosa i Eli wytarł ją ze złością.

- Ja do nikogo nie należę. Daj mi święty spokój. - Wsiadł do samochodu, wyciągnął pochlipującą siostrę, zatrzasnął drzwi i usiadł na stopniu z małą na kolanach. - Cicho, Bell, cicho - uspokajał siostrzyczkę. - Nic nie ucierpiało, poza naszą dumą.

Karen złapała mnie za rękę i obróciła do siebie.

- Tylko spójrz na siebie! Och, Darl! Ciemne chmury nad naszymi głowami! - Jeden z jej warkoczy był w opłakanym stanie. Szorstkie, sprężyste, brązowe włosy wyłaziły z niego jak słoma z siennika.

- Wszystko w porządku, Karen? - zapytał Leon Forrest, który się kręcił w pobliżu. - Popatrz, co się stało z twoim warkoczem.

Obróciła się gwałtownie do czarnego chłopaka z farmy, jakby się bała, że pobrudzi jej znacznie jaśniejszą skórę.

- Zjeżdżaj, sio, wynocha.

- Jeśli ci nic nie jest...

- Nnnic mi nie jest - wyjąkała. - No, już cię tu nie ma. Dziękuję. Cześć.

Leon westchnął, jakby mu ten drobny dowód wdzięczności musiał wystarczyć do życia, i odszedł z głową schowaną w ramiona. Przygnębiona, patrzyłam na Eliego i jego siostrę. Wstrząsana szlochami wtuliła głowę w jego brzuch. Eli siedział ze stoickim spokojem, całkowicie mnie ignorując.

W tym momencie podjechała swoją złocistą limuzyną babka Karen, Matylda, i wysiadła w cichym szumie delikatnej materii. Matylda była imponującą kobietą. Wysoka, szczupła, nieskazitelnie elegancka w błękitnej, dobrze skrojonej sukni, miała modnie krótko ostrzyżone gęste czekoladowe włosy i cerę tak jasną, że aż lekko przyprószoną piegami. W powszechnej ocenie od Swan dzielił ją tylko nieznacznie odcień skóry.

- Co, na miłość boską...? - spytała, strzelając gniewnie orzechowymi oczami w stronę Eliego. - Kim jesteś, miody człowieku?

Eli odsunął na chwilę małą siostrzyczkę i skłonił głowę w pełnym szacunku geście, jakżeż rzadkim u białych dzieci w stosunku do kolorowych kobiet.

- Jestem Eli Wade, proszę pani.

Matylda znieruchomiała, wolno unosząc rękę do szyi.

- Wade... - powtórzyła cicho. Była wyraźnie oszołomiona, jak Carl McCarl.

- On nie zrobił nic złego - powiedziałam szybko. - To wszystko moja wina. On jest mój, Matyldo, dobrze? - Przejechałam ręką po ramieniu, maczając palce we krwi zadrapań. Widziałam coś takiego w kinie. Rytuał krwi. Zanim Eli Wade zdążył się odsunąć, umoczyłam palec w krwi ciekącej mu z nosa, a następnie naznaczyłam nią własny policzek. Nieświadoma żadnych innych sił, jakie się wokół nas kłębiły, przygotowałam się na spotkanie jego płonącego zdumieniem wzroku. - Jesteś moim kamieniem - powiedziałam.

Zdecydowałam, że jesteśmy wyciosani z jednej skały.

„Przeszłość jest wykuta w kamieniu. Nigdy nie zostawiaj żadnych kawałków, bo inni mogą je znaleźć”. Swan Hardigree Samples wypisała owe maksymy na kartce papieru, kiedy była dziewczynką, i nigdy ich nie zapomniała. To ostrzeżenie przyszło jej do głowy teraz, kiedy siedząc przy biurku swego mrocznego gabinetu w Marmurowym Dworze, trzymała w ręku pożąłkłą fotografię. Matylda przysunęła fotel do biurka i obie pochyliły swoje piękne głowy nad starą fotografią.

Zrobiono ją w połowie lat trzydziestych na jednej z uliczek Burnt Stand. Starzejąca się już wówczas matka Swan, Esta, pozowała do niej ze swobodną elegancją na tle rusztowania i kamiennych bloków kolejnego wspaniałego marmurowego domu, który właśnie wznosiła. Nazywała te domy Domami Esty. Budowała swoje własne miasto, swoją własną wersję przeszłości, wszystko inne ścierając na pył. Ciemna suknia o przedłużonym stanie obciskała jej obfite biodra, a nieco za głęboki dekolot ukazywał szyję o jasnej, delikatnej, przypominającej krepinę skórze i rowek pięknego biustu.

Dokoła niej niezdarnie pozowali do zdjęcia robotnicy, z czapkami w rękach i wyrazem poddaństwa w oczach. Za nią, na prymitywnym kamiennym piedestale, patrząc niewzruszenie w obiektyw, stała Swan we własnej osobie i w całym blasku dziewiętnastoletniej urody. Wdzięczna i powściągliwa, w długiej, obcisłej spódnicy i zapiętej pod szyją bluzce, miała wyraz powagi w oczach, w których była jednak iskierka humoru i zapowiedź ciepła. Jej młodsza siostra Klara, ubrana w szkolną bawełnianą sukienkę, leżała na boku na niskim kamiennym murku, leniwą pozą i chytrym wyrazem twarzy przypominając Kleopatę z Południa. Z dala od grupki białych ulokowała się Matylda, stanowcza i - jak Swan - pełna godności, w bluzce spiętej pod szyją ciężką kameą. Obcy brali ją za mieszkającą ze Swan kolorową przyjaciółkę albo za osobistą pokojówkę.

Z tyłu, w obramowaniu niedokończonych marmurowych ścian, górując nad wszystkimi, stał na rusztowaniu na długich rozstawionych nogach ciemnowłose biały mężczyzna. Ubrany po robociarsku, muskularnej budowy kamieniarza, miał w sobie więcej dumy niż pokory. Zgięte kciuki zahaczył o luźne kieszenie na udach. Sprawiał wrażenie, jakby w tej swobodnej pozie wieńczył czubek świata. Ich świata.

Nazywał się Anthony Wade.

- Jak wspaniale prezentował się wtedy Anthony - powiedziała Matylda. - Nie mogliśmy oderwać od niego oczu.

- Ale on widział tylko ciebie. - Swan odłożyła zdjęcie do szkatułki z marmuru i drewna. Zatrzasnęła zamek i wręczyła szkatułkę Matyldzie. - Niepotrzebnie to trzymasz.

- *To* jest jedyne jego zdjęcie, jakie mam. - Matylda zamilkła i widać było, jak nerwowo przełyka. - W każdym razie dziękuję ci, że mi pomogłaś odnaleźć jego rodzinę. - Kobiety na moment dotknęły się rękami. Swan skinęła głową, ale z dość surową miną.

- Anthony założył rodzinę w długi czas po tym, jak wyjechał z Burnt Stand - uświadomiła przyjaciółce. - Nie masz wobec nich żadnych zobowiązań.

- Mam zobowiązania wobec Anthony'ego.

- Będą kłopoty, jeśli Klara się dowie, że ich tu sprowadziłyśmy.

- Nie dowie się. Nikt - poza nami i starym Carlem - nie pa-

mięta Anthony'ego. Nikt nie skojarzy z nim nazwiska Wade. - Matylda wstała, biorąc szkatułkę. - Muszę pomóc synowi Anthony'ego i jego rodzinie, Swan. Chcę przynajmniej spróbować.

Swan ze znużeniem skinęła głową. Ulegała Matyldzie, choć sama już od dawna skończyła z sentymentami i dobrocią, przynajmniej jawną. Obie miały trudne dzieciństwo, musiały znosić dyktat ludzi ograniczonych, mężczyzn, którzy przychodzili i odchodzili, i obie miały córki, które nic nie rozumiały i umarły młodo. Bała się, że sprowadzenie Wade'ów do Burnt Stand okaże się błędem, którego będzie żałowała do końca życia.

- Przyślij Darl do domu - zwróciła się do Matyldy.

Matylda zmarszczyła czoło.

- Darl uznała Eliego za swoją osobistą własność. Będzie go broniła. Nie wiem, co z tym fantem zrobić. Szkoda, że nie widziałas ich razem. Jak dwoje małych wojowników.

Zadziwiające dziecko - pomyślała Swan. Podparła ręką podbródek i zamknęła oczy. Darl była bystra, sprytna, piękna i kochająca. Jakżeż łatwo można jej zrujnować przyszłość. Jak kamień szlachetny, wymaga stosownej obróbki. Swan nie powtórzy błędów, które popełniła wobec Julii, jej matki.

- Na razie jej pozwolę, niech sobie ma tego chłopaka. - Otworzyła oczy i spojrzała na Matyldę. - Bardzo szybko zrozumie, gdzie jest jego miejsce. I jej.

- Tak jak my wszyscy - powiedziała smutno Matylda i wyszła z pokoju.

- Wiesz, Darl, jesteś z każdym dniem coraz bardziej podobna do swojej babki - zagruchała do mnie pewnego dnia jakaś starsza kobieta, kiedy stałam przed sklepem z wodą sodową w Burnt Stand i czekałam na Swan.

- A gdzie tam, znacznie bardziej przypomina swoją cioteczną babkę Klarę - upierała się jej towarzyszka.

- Nie mów takich rzeczy, nie ściągaj przekleństwa na to dziecko!

- Ależ Klara była bardzo piękna!

- Była brzydka jak grzech.

Speszona, że zgrozą słuchołam, jak podniecone kobiety dyskutowały o moralności mojej tajemniczej ciotecznej babki, i ze zdum-

mieniem patrzyłam, jak gwałtownie milkną wraz z pojawieniem się Swan. A więc to tak: Klara była do tego stopnia zła, że kompromitowała nasze nazwisko, a na to nikt z rodu Hardigree nie mógł sobie pozwolić.

A teraz i ja się czegoś podobnego dopuściłam.

Siedziałam na ławce z drewna tekowego przed biblioteką babki i czekałam na jej wyrok. Wzdrygnęłam, się, wybijając nogami o marmurową posadzkę nierówny rytm. Swan dopiero co wypozażyła Marmurowy Dwór w klimatyzację, a mnie brakowało szumu starych pocziwych sufitowych wentylatorów i ich ciepłych podmuchów.

- Ratunku - wyszeptałam do wiszącego nad kominkiem portretu mojej zmarłej matki, Julii Samples Union. Uśmiechnęła się do mnie z bezużytecznym wdziękiem pięknej debutantki.

Wszyscy powtarzali, że była uroczą i łagodną osobą. Śniłam o niej nieraz po nocach, tak samo jak i o ojcu, młodym kamieniarzu, pracującym w firmie Hardigree. Nie znałam żadnego z moich rodziców. Byłam małym dzieckiem, kiedy zginęli w wypadku samochodowym na górskiej drodze za miastem. Ojciec prowadził za szybko. Spowodował wypadek niechcący. Jak to zwykle mężczyźni - powiedziała Swan.

Z innej ściany patrzyła na mnie moja prababka Esta. Jej portret, niemal naturalnej wielkości, powstał pod koniec lat trzydziestych, niedługo przed śmiercią prababki. Esta miała wtedy zaledwie pięćdziesiąt kilka lat i w dalszym ciągu było w niej zarówno dojrzałe piękno, jak i siła. Patrzyła na świat z lekko potępiającym uniesieniem brwi. Jasnoniebieska balowa suknia otulała jej biust, rozwijając się od talii jak kwiat. Szyję Esty ozdobił maleńki wisiorrek Hardigree - marmur z brylantem pośrodku - uczepiony naszyjnika z pereł i szafirów. Swan nosiła taki sam.

Obok portretu Esty wisiał wielki portret jej męża, a mojego pradziadka, A.A. Hardigree, mężczyzny o mrocznej urodzie i płonących oczach. To on założył kamieniołom i zbudował oryginalne Burnt Stand, po czym zginął podczas pożaru, który w latach dwudziestych zniszczył większą część miasta. Bałam się pradziadka i mogłam o nim myśleć, wyobrażając sobie jedynie, jak się smaży w ogniu. Nieopodal wisiał w marmurowej ramie portret mojego dziadka, doktora Paltrowa Samplesa, który uśmiechał się do mnie łagodnie. Pochodził z wybitnej rodziny z Ashe-

ville i umarł na serce jeszcze przed moim urodzeniem. Swan rzadko go wspominała, tak samo jak rzadko wspominała moją nieżyjącą matkę czy cioteczną babkę Klarę, która mieszkała w Chicago.

Na portret tej ostatniej nie było w naszym domu miejsca. Uważano ją za potwora, o którym się nie mówiło i który mógłby mnie pożreć, gdybym się w porę nie nauczyła być damą. Oczywiście Swan mi tego w ten sposób nie powiedziała, ale nawet jako dziecko rozumiałam, że kiedy nie wspomina się czyjeś imienia, to jest to zły znak.

Gdybym na siebie nie uważała, to i ja mogłabym stać się taka niewidzialna.

Masywne dębowe drzwi biblioteki skrzypnęły cicho. Skoczyłam, przestraszona, z rękami do tyłu, jakbym była skuta kajdanami. Ukazała się w nich Matylda.

- Możesz wejść - powiedziała łagodnie. - Wszystko w porządku. - Poklepała mnie po plecach. Matylda miała w sobie ciepło, którego brakowało Swan. Skinęłam głową i z trudem przełknęłam ślinę.

Kiedy weszłam do biblioteki, na kryształowym żyrandolu zaślniły delikatne błyski światła. Swan wstała zza biurka. Zadrzałam, mimo że moja babka nigdy nie podniosłaby na mnie ręki i bardzo rzadko podnosiła głos. Była wobec mnie niebywale opiekuńcza, stanowcza i pouczająca, ale także bardzo dumna. Chciałam sprostać jej oczekiwaniom.

- Złamałaś moje najściślejsze zakazy dotyczące naszych zachowań w miejscach publicznych - powiedziała, cyzelując słowa.

Mogłam tylko ze wstydem skinać głową.

Ubrana w jasną lnianą spódnicę, białą bluzkę i białe pantofle na niskich obcasach przemierzała pokój z wdziękiem pozbawionej bieder modelki „Vogue'a". Na szyi miała pojedynczy sznur pereł i wisiołek Hardigree, a w uszach małe kolczyki; na rękę złoty zegarek i ślubną wysadzaną brylancikami obrączkę. W wieku niewiele ponad pięćdziesięciu lat w dalszym ciągu była piękna, z czarnymi włosami do ramion, które dopiero zaczynała lekko podfarbowywać. Oczy miała jeszcze bardziej niebieskie niż ja, z pięknymi łukowatymi brwiami.

- Nigdy do tej pory nie okazałaś mi nieposłuszeństwa.

- Bardzo mi przykro.

- Przykro ci, ponieważ zostałeś złapana?
 - Tak, proszę babci. To znaczy nie, proszę babci.
- Ku mojemu zdumieniu na jej ustach zaigrał lekki uśmiech.
- Powiedz mi dokładnie, jak to było. - Usiadła za ciężkim rzeźbionym biurkiem, stukając złotym wiecznym piórem w ciemny marmurowy blat. Importowany. Dar włoskiego marmurowego barona.
 - Zawsze mi mówiłaś, że mamy obowiązki wobec naszych pracowników, więc uznałam, że powinnam spełnić swój obowiązek. Kiedy zaczęli w niego rzucać kamieniami, nie mogłam stać bezczynnie.
 - Odnoszę wrażenie, że ten chłopak, ten Eli, szuka guza. Podobno rzucił się na chłopców, zanim został na dobre sprowokowany. Co o tym sądzisz?
 - Sądzę, że jest przyzwyczajony do tego, że się z niego śmieją i że musi się bronić. Nie uderzył nikogo, dopóki nie przyczepili się do jego małej siostrzyczki.
 - Rozumiem. W twoim pojęciu Eli jest osobą szlachetną, tak?
 - Pomógł mi wstać. I zasłonił mnie sobą, żeby mnie nie przewrócili po raz drugi.
 - Jasne. Mimo to jednak nie chciałabym więcej kłopotów z tobą i z Elim Wade'em.
- Poczułam serce w gardle.
- Tak jest, proszę babci. - Swan nigdy nie wydawała rozkazów od niechcenia.
 - I nie niżaj się nigdy do poziomu tych, co stoją niżej od ciebie.
 - Tak jest, proszę babci.
 - Ale walcz o to, co twoje.
- Gapiłam się na nią w osłupieniu.
- Czy... czy to znaczy, że wszystko jest w porządku?
 - Tym razem tak. - Machnęła ręką. - A teraz już idź.
- Rzuciłam się do drzwi, jakby mi wielki kamień spadł z serca, chociaż jednocześnie skomplikowane reguły mojej babki wydały mi się bardziej zagmatwane niż kiedykolwiek dotychczas. Kiedy byłam trochę starsza, zrozumiałam, że jej wtedy zaimponowałam. Może i cisi odziedziczą ziemię, ale nie Marmury Hardigree. Zatrzymałam się przy wielkich drzwiach i odwróciłam.
- A gdzie Wade'owie będą mieszkali, proszę babci? - Zawsze zwracałam się do niej „proszę babci”.

Swan zdążyła już otworzyć szufladę i wyjąć z niej stertę teczek ze sprawami do załatwienia. Spojrzała na mnie sponad nich z pewnym zniecierpliwieniem.

- W Kamiennym Dworku. Przyda się tam dozorca.

Chciałam coś powiedzieć, ale ugryzłam się w język. Kamienny Dworek należał do nas; ściślej mówiąc, była to posiadłość położona na wielkim zalesionym obszarze, za Marmurowym Dworem, niecałe dziesięć minut spacerem od nas. A to znaczyło, że Wade'owie cieszyli się szczególnymi względami. I że Karen i ja nie będziemy już dłużej samotnie bawić się w lasach. Miałam niewiarygodne szczęście.

Urodziłam się między skałą a jeszcze twardszym miejscem. Różową skałą. Ale teraz mój mały, samotny, bezpieczny świat powiększył się o jedną fascynującą osobę.

Eliego Wade'a.

Rozdział 2

Patrzy na nas, jakbyśmy byli na sprzedaż. Ta myśl drażyła mózg Eliego, kiedy wraz z mamą, tatą i Bell stał w kolejce na wyłożonej płytkami podłodze eleganckiego pełnego antyków gabinetu Swan Hardigree Samples w Marmurach Hardigree. Swan siedziała za biurkiem, przyglądając im się badawczo. Była najpiękniejszą kobietą, jaką Eli widział w życiu, i zupełnie nie pasowała do jego wyobrażenia czyjejkolwiek babci. Za nią, jak strażnik, stała tamta piękna kolorowa kobieta, pani Dove. Pani Dove przyglądała się tacie, którego widok działał na jej oczy jak piekąca maść. Eli nic z tego nie rozumiał.

- Czy kiedykolwiek wykonywałaś pracę pokojówki? - zwróciła się do mamy Swan Samples.

Mama skwapliwie skinęła głową.

- Tak, proszę pani - odparła.

- Pani Dove - Swan wskazała gestem swoją kolorową towarzyszkę - skontaktuje się z tobą. Ona zarządza moją posiadłością.

Mama skłoniła głowę najpierw w jej stronę, a potem w stronę pani Dove.

- Dziękuję pani. - Pani Dove w odpowiedzi również skłoniła głowę.

- Jak ma na imię wasza mała? - zapytała Swan tatę. Bell wzdrygnęła się w jego ramionach. Jej chude nóżki wystawały spod sukienki domowej roboty. Wtuliła buzię w jego szyję, a tata opiekuńczym gestem przykrył dłonią tył jej główki.

- Annette Bell, proszę pani. Jest bardzo nieśmiała. Trudno ją namówić, żeby powiedziała chociaż słowo. Doktor twierdzi, że taka się już urodziła.

- Wrodzone słabości należy przewycięzać siłą woli i dyscypliną, panie Wade.

Tata schował głowę w ramiona. Nie umiał czytać mimo wielkiej siły woli. I właśnie ze względu na ludzi w rodzaju Swan strzegł swego wstydliwego sekretu tak starannie i takie z tego powodu przeżywał katusze. Wiedząc o tej słabości ojca i patrząc na niego teraz, Eli dosłownie płonął ze współczucia i wstydu.

- Tak, proszę pani, bardzo nad nią pracujemy - powiedział tata na koniec.

Swan przeniosła z kolei wzrok na Eliego. Próbował zrobić pokerową twarz, ale bez trudu go przejrziała.

- Dlaczego patrzysz na mnie z takim marsem na czole, młody człowieku? - zapytała.

Eli poczuł na sobie zatroskane spojrzenia mamy i taty. Myśl szybko i przestań się zdradzać. Wysiętek, by przybrać łagodny wyraz twarzy, był tak wielki, że zaczął mu drgać mięsień pod prawym okiem. Tym słabszym. Popchnął w górę okulary. Pewnie powie, że z tym okiem też można sprawę załatwić siłą woli - pomyślał.

- Ja... ja się tak skupiłem, bo się przyglądałem temu obrazowi, który wisi za panią i za panią Dove - skłamał szybko.

Swan uniosła brew. Wiszące za nią wielkie malowidło przedstawiało półnągą Wolność na tle burzliwego nieba, prowadzącą Waszyngtona i jego oddziały.

- A co cię w nim tak zaniepokoiło?

- Chodzi mi o to, że gdyby Wolność naprawdę chciała, żeby ją generał Waszyngton poważnie traktował, toby chyba przykryła swój stanik jakąś zbroją.

Mama wyciągnęła rękę i złapała go z tyłu za kraciatą koszulę. Jeszcze jedno słowo - mówił ten gest - a zamiast koszuli uszczypnę ciebie. Eli posłał ojcu pełne pokory spojrzenie, ale w jego oczach zobaczył złość. Kiedy jednak z powrotem przeniósł wzrok na Swan, w jej twarzy dostrzegł coś nowego.

- Zwykle najlepsza zbroja jest niewidzialna - powiedziała. Eli nie odpowiedział. Każde kolejne słowo oznaczało dalsze ryzyko. - Widzę, że potrafisz myśleć i się uczyć.

- Tak, proszę pani.

- To bardzo dobrze, ale nigdy nie patrz na mnie tak surowo.

Eli mało się nie zadławił. Spojrzał na tatę, który skinął głową.

Walka była beznadziejna; musieli *przyznać* się do porażki. Niech im ta kobieta odgryzie jaja, jeśli chce.

EU wzdrygnął się ze złości.

- Tak, proszę pani.

Będzie pamiętał, na zawsze.

Kiedy się dowiedziałam, że Eli szydził sobie z przedstawiającego Wolność obrazu Swan, dosłownie osłupiałam. Co to za odważny chłopak! Czy nie zdaje sobie sprawy z potęgi babki? Swan nigdy nie tolerowała braku szacunku.

Zaledwie rok wcześniej definitywnie zerwała przyjaźń z pewną panią o bardzo wysokiej pozycji towarzyskiej, mieszkającą w położonym w górach mieście Asheville. Asheville dzieliło od Burnt Stand półtorej godziny wyjątkowo niebezpiecznej jazdy samochodem krętymi drogami, wijącymi się przez dwa strome pasma górskie. Zatrzymaliśmy się ze Swan w rezydencji tej kobiety w Asheville, ilekroć moja babka urządzała bale czy wydawała przyjęcia w Grove Park Inn, który dla mnie, ze swoim ogromnym holem i potężną kamienną werandą, był najpiękniejszym hotelem w całej Karolinie Północnej. Uwielbiałam go, ponieważ nie był różowy, nie został zbudowany z marmuru i nie krył w sobie - w przeciwieństwie do Burnt Stand - żadnych ponurych tajemnic.

Burnt Stand - miasto tak grzeszne, że zostało spalone przez diabła.

To zdanie przeczytałam na starej fotografii w książce o historii Karoliny Północnej, którą znalazłam na półce w salonie tamtej pani z Asheville. Zdjęcie przedstawiało Burnt Stand na początku lat dwudziestych, niedługo przed pożarem, w którym zginął mój pradziadek. Moja prababka Esta zdołała uciec ze Swan, maleńką Klarą i z Matyldą, córką czarnej służącej.

Trudno się dziwić, że Esta postanowiła odbudować miasto w niepalnym marmurze. Oryginalne miasteczko było ohydny zbirowiskiem budynków z bali i papy, skupionych w dolinie. Wycięto wszystkie drzewa, na dzisiejszej Main Street grzęzły zaprężone do wozów muły, a po krzywych drewnianych chodnikach snuły się grupki gburowatych mężczyzn i zaniedbanych kobiet. Nawet nasze wspaniałe błękitnozielone góry wydawały się jakieś szarobure. W rogu kartki anonimowy kronikarz poprowa-

dził strzałkę do wielkiej chmury kurzu i napisał: „Tylko pół mili do kamieniołomu, ponieważ jednak zupełnie nie ma drzew, w wietrzny dzień wszystkie dziewczyny A.A. Hardigree robią się różowe. Cha, cha”.

Pokazałam to zdjęcie Swan.

- Co to znaczy „grzeszne”, proszę babci? I dlaczego ten ktoś śmieje się z dziewczyn? Czy pradziadek nie był dobrym człowiekiem? I jakie miał dziewczyny? Co znaczy to zdjęcie?

- To znaczy, że moja przyjaciółka już nie jest moją przyjaciółką - odparła chłodno Swan. - Ma kiepski smak, jeśli chodzi o książki historyczne, i zbyt mało szacunku dla mojego dobrego imienia. - Wzięła ode mnie książkę i nie powiedziała ani słowa więcej. Ale już nigdy nie odwiedziłyśmy tej pani.

Kamienny Dworek był kolejną tajemnicą związaną z przeszłością mojej rodziny. Prababka Esta zbudowała go w późnych latach trzydziestych. Mniej więcej w tym samym czasie kiedy wzniosła Marmurowy Dwór i wszystkie inne fantastyczne Domy Esty w mieście. W Kamiennym Dworku były trzy sypialnie, salonik, jadalnia, kuchnia i nawet wolno stojący garaż na jeden samochód - wszystko to naturalnie z różowego marmuru. Do domu wiodła wysadzana azaliami droga.

Kiedy byłam dzieckiem, Swan powiedziała mi tylko, że Kamienny Dworek jest gościnnym domem Esty, co wydało mi się dziwne, jako że od Marmurowego Dworu dzieliło go kilka wzgórz i koryto Marmurowego Potoku, a dotarcie tam wymagało długiej i forsownej wycieczki przez nasze lasy, koło kolejnego szczególnego, a zarazem magicznego miejsca - Ogrodu Kamiennych Kwiatów.

Swan zleciła Carlowi McCarlowi dbanie o tamten dom, ale sama nigdy go nie odwiedzała. Od czasu do czasu zatrzymywał się tam któryś z jej przyjaciół czy partnerów w interesach, który akurat na miesiąc czy dwa potrzebował samotności, ale przez ostatnich kilka lat dom stał pusty.

Teraz jarzył się światłami.

- Jestem przekonana, że w tym domu straszy - szepnęła mi do ucha Karen, kiedy leżałyśmy na brzuchach na skraju laurowych chaszcy na wzgórz, z którego roztaczał się widok na Kamienny

Dworek. Karen miała fisia na punkcie śmierci i duchów od czasu, kiedy jej ojciec zginął w Wietnamie, a matka wkrótce potem umarła na jakąś dziwną nieznaną chorobę. Ja wolałam się nie zastanawiać, czy na przykład moi rodzice są gdzieś w eterze.

Karen pacnęła złocistą dłonią komara, który brzęczał koło jej starannie zaplecionych brązowych warkoczy.

- Mam nadzieję, że ten chłopak okaże się wart tego miejsca - dodała.

Zebrałam w ustach ślinę i precyzyjnie trafiłam komara w locie.

- Mam go - powiedziałam.

- Jesteś ordynarna.

- Ale przynajmniej nie boję się duchów.

- Bo jesteś głupia. - Zadarła głowę. - W Kamiennym Dworoku roi się od duchów.

- Nie gadaj. Dom po prostu stoi na odludziu, ale w nim nie straszy.

- Założę się, że są tu duchy naszych matek.

- Dlaczego?

- Bo one się bawiły w tych lasach. Wiem to od mojej babki.

- Nie, ich tu nie ma - powiedziałam arbitralnie. - A z tego wynika, że musiały nie być tu specjalnie szczęśliwe. Tak czy owak, nie interesują się nami, a to znaczy, że nigdzie ich tu nie ma. - Odgoniłam komary z twarzy, mając nadzieję, że nie wypełznie z zarośli i nie wślizgnie mi się w ucięte nogawki moich spodni żaden zielony wąż ani stonoga. Nagle zobaczyłam w Kamiennym Dworoku jakiś ruch.

- O, jest!

Przyłgnęłyśmy mocno do ziemi, patrząc, jak z drzwi na tyłach domu wyłania się Eli. Był początek września, tuż po Dniu Pracy, okres najróżniejszych biesiad, kiedy to dosłownie na każdym skrzyżowaniu dróg w całym okręgu były stoiska z barbecue, gdzie sprzedawano kanapki z wieprzowiną, potrawkę brunszwicką i wieprzowe żeberka, skąpane w smakowitym sosie. Zauważyłyśmy też mamę i tatę Eliego, którzy właśnie przyjechali swoją sprawną już ciężarówką i wnosili do domu pudła po butach pełne jedzenia. Jasper Wade był prawie od miesiąca pracownikiem Marmurów Hardigree.

Eli trzymał w ręku ociekający sosem kawał żeberka. Stojąc samotnie za domem, delektował się tym prostym wiejskim posił-

kiem, zatrzymując sos na języku i oblizując kości, jakby były najbardziej wyrafinowanym specjałem. Sos opryskał mu okulary i chłopak musiał przerwać ucztę, żeby je oczyścić. Oblizał więc najpierw szkła, a dopiero potem je wytarł.

- Nie grzeszy urodą - szepnęła Karen. - Taki wyłupiastooki okularnik i chudzielec...

Dałam jej kuksańca łokciem.

- On jest biedny. Po prostu musi nabrać trochę ciała. Ja w każdym razie uważam, że jest całkiem przystojny. I szlachetny. Jeździł po świecie, nie musi sterczeć w miejscu i czekać, aż coś się wydarzy. Jest jak Galahad albo... albo Chad Everett z „Centrum Medycznego”.

- Szlachetny? No wiesz...

Serce mi się ścisnęło, kiedy zobaczyłam, jak Eli po raz drugi oblizuje kości, wysysając z nich resztki smaku. Nowy rok szkolny zaczynał się za tydzień, ale ponieważ Karen i ja uczyłyśmy się w domu, nie spodziewałam się częstych spotkań z Elim.

- Szlachetny - powtórzyłam. - I przystojny.

Karen z irytacją wzniosła oczy do nieba.

- Co ty sobie właściwie wyobrażasz? Że będzie twoim chłopakiem? Babka nigdy ci nie pozwoli mieć chłopaka, chyba że sama go wybierze, jak już będziesz dorosła i uzna, że powinnaś wyjść za mąż.

- Mogę mieć chłopaka, kiedy będzie mi się podobało!

- Chyba zwariowałaś! Ty i ja jesteśmy ważnymi osobami i musimy wyjść za mąż za bogatych facetów.

Uniosłam się na łokciach.

- Wyjdę za mąż, za kogo będę chciała!

Karen jęknęła.

- Ciii, idiotko. Połóż się.

Przypłaszczyłam się do ziemi, ale było już za późno. Eli spojrzął prosto w stronę naszej kryjówki. Zagryzł zęby. Cisnął kości w krzaki i zaczął się wspinać pod górę. Włosy stanęły mi dęba. Karen wrzasnęła:

- Uciekamy! - I rzuciłyśmy się do ucieczki.

Przedzierałam się przez lasy, wdrapywałam na wzniesienia i zjeżdżałam w dół po zboczach, potykając się o wystające szare korzenie wielkiej brzozy i słysząc za sobą zbliżające się nieubłaganie kroki Eliego. Karen biegła wąską jelenią ścieżką i wkrótce

całkowicie straciłam ją z oczu. Jedynymi odgłosami, jakie teraz słyszałam, były moje własne pokrzykiwania i dyszenie i - z tyłu - kroki Eliego. Zmierzałam ku jednemu miejscu, w którym czułam się naprawdę bezpieczna.

Wdrapałam się na sam szczyt stromego pagórka, a następnie puściłam się w dół, ale szybko zawadziłam nogą o pęd jakiegoś pnącza i runęłam w wąską cieniłą dolinę. Zanim wyrznęłam czołem w gładką marmurową porośniętą mchem podstawę wazy, zorientowałam się, gdzie jestem. A zaraz potem usłyszałam głuchy łomot i zobaczyłam wszystkie gwiazdy. Leżałam rozkrzyżowana na ziemi, a nade mną z ogromnej różowej marmurowej wazy spływały pięknie rzeźbione kwiaty i pnącza. Dokoła, wśród paproci i kapryfolium, kryły się nadgryzione zębem czasu ławki, a różowe marmurowe czary stały puste, czekając na świeże kwiaty, których nigdy nie zaznały. Wbiegłam do Ogrodu Kamiennych Kwiatów, który zamknął mnie w swoich marmurowych ramionach.

Eli padł na kolana tuż koło mnie i ujął moją twarz w dłonie.

- Jezu, tylko przypadkiem nie zemdlej. - Sam był błydy jak papier, a wszelkie ślady złości gdzieś się ulotniły z jego twarzy. - Poczekaj, przyniosę wody ze strumienia. - Zniknął na chwilę, ale zaraz pojawił się, trzymając w rękach namoczony rąbek swojej białej koszulki. Usiadłam chwiejnie i oparłam się o potężną wazę, podczas gdy Eli przykładął mi do czoła i policzków chłodną mokrą koszulkę. - Co ty sobie wyobrażałaś?! - Niemal wrzasnęła. - Że zamierzałam cię dogonić i zabić?

Gwiazdy, które miałam przed oczami, gdzieś się rozplynęły i zaczęłam jaśniej myśleć.

- No bo tak biegłeś, jakbyś zamierzał to zrobić - powiedziałam. - Byłeś wściekły.

- Byłem. Ale nie miałem zamiaru cię uderzyć ani nic w tym rodzaju. Ja nie biję dziewczyn.

- Tylko je ścigas jak jakiś wilk. - Dotknęłam palcem wielkiego jak jajo guza, który mi wyskoczył na głowie. Eli popchnął w górę okulary w ciemnej oprawce i najpierw przyjrzał się guzowi, a następnie popatrzył mi w oczy. Szczupłymi, ale już silnymi dłońmi pozbierał liście z mojego kombinezону.

- Nie płaczesz?

- Nie, ja jestem Hardigree. Płaczę marmurowymi łzami i pluję marmurową śliną.

Eli gwizdnął pod nosem i ukucnął.

- Jesteś podglądaczką, i tyle.
- Ja tylko chciałam zobaczyć, jak ci się wiedzie na nowym miejscu.
- A ja bym chciał, żeby mi wszyscy dali święty spokój i nie spieprzyli tego, co mamy. Mojemu tacie ta praca jest bardzo potrzebna. Od sześciu miesięcy nie miał przyzwoitej pracy. Z kamieniołomu w Tennessee go wyrzucili. A on nic innego nie potrafi.
- Dlaczego? Jest duży i robi wrażenie bystrego.

Czekałam całe pięć minut na jego odpowiedź.

- Ale on nie jest taki bystry - powiedział wreszcie Eli. - W każdym razie nie w taki sposób, który by się liczył. - Cisza. Chłopak spuścił głowę.

Ogarnęło mnie współczucie.

- Ale czy jest przynajmniej dobrym ojcem?
- Tak.
- W porządku. To możesz być zadowolony. Ja nie mam ojca. Ani mamy.

Eli wstał, zafrasowany.

- Jak to?
- Zginęli w wypadku samochodowym, kiedy byłam niemowlakiem. Do dziś widać zadrapania na dużych skałach poniżej High-tower Ridge.
- Bardzo mi przykro.
- Mój tata był kamieniarzem w Marmurach Hardigree. Tak jak twój.

Eli gapił się na mnie osłupiały.

- Jezu.

Jezu. On pójdzie do piekła. W porządku, pójdę z nim.

- Niech to diabli! - powiedziałam odważnie.

Nagle Eli zdał sobie sprawę z istnienia ukrytej doliny, otoczonej gęstym lasem. W miarę jak przyglądał się gigantycznej marmurowej wazie, jego oczy stawały się coraz szersze.

- Co to jest za miejsce?
- Dobra kryjówka, tylko nie wtedy, kiedy ty mnie gonisz. Zbudowała ją moja prababka. Nikt nie wie po co.
- Założę się, że jest w tym jakaś magia.

Poczułam dreszcz podniecenia. Eli r o z u m i a ł .

- I to jeszcze jaka.
- Kto tu przychodzi?
- Tylko ja. Moja przyjaciółka Karen boi się tego miejsca. -
Zawahałam się. - Ale ty możesz przychodzić. Nie będzie mi to
przeszkadzało.

Wzrok Eliego stał się twardy.

- Dlaczego jesteś dla mnie miła? Czego chcesz? Ja nie należę
do twojego świata.

- A ja ci mówię, że należysz. - Kiedy ponownie zamilkł, wes-
tchnęłam z rozczarowania. Wstałam, otrzepałam się z liści i za-
częłam wolno, na miękkich nogach, iść pod przeciwległą górę.

- Hej! - zawołał. Zatrzymałam się i odwróciłam. Spojrzał na
mnie w taki sposób, że moje serce zabiło szybciej.

- Nigdy nie będę różowy tak jak ty - oświadczył. - Ale wyda-
je mi się, że możesz być niezłym kumplem.

Tego dnia, w wieku zaledwie siedmiu lat, zakochałam się
w nim na zabój.

Dlaczego ona jest dla mnie taka miła? - zastanawiał się nie-
ustannie Eli. W Tennessee przyzwyczaił się do tego, że go igno-
rują albo mu dokuczają, nazywają białym śmieciem, biedakiem,
okularnikiem, brzydactwem, a nawet jeszcze gorzej: synem głu-
pota, który nie umie czytać, i bratem siostry niemowy. Wszystkie
te walki staczał samotnie, dopóki nie spotkał różowej dziewczyn-
ki, która ujęła jego sprawę w swoje ręce.

- Uszanowanie - powiedziała Darl Union niczym księżniczka.

- Uszanowanie - odpowiedział jej Eli niczym księżę.

A teraz pokazała mu jeszcze fantastyczny ukryty ogród.
Uśmiechnęło się do niego szczęście. Była w tym wszystkim jakaś
magia. Ogród, ze swymi kamiennymi kwiatami, zaczął zmieniać
życie jego rodziny.

Co rano matka Eliego, gotując kaszę i smażąc jajka w ich no-
wym, pięknym domu, płakała ze szczęścia, nawet jeżeli ten dziw-
ny mały dom do nich nie należał i był tylko darmowym dachem
nad głową, zapewnionym im przez firmę Marmury Hardigree.
Latami mieszkali w wynajętych pokojach, starych przyczepach,
a nawet, przez ostatnie kilka tygodni, w ciężarówce. Nigdy do tej
pory nie mieli domu, nie mówiąc już o marmurach. Panował tu

miły chłód, a po ścianach budynku pięł się bluszcz, wchodząc aż na gzymsy dachu. Ściany na zewnątrz i od środka były czyste, chłodne, różowe. Całe to miejsce kojarzyło mu się z Darl Union.

- Za mało słońca jak na ogród - narzekał tata, ale nawet on nie miał się do czego przyczepić. Urządzenia kuchenne były czyste, w dobrym stanie i wszystko działało. Poza tym mieliśmy do dyspozycji dwie łazienki z dużymi marmurowymi wannami, a w nocy budynek jarzył się światłem kutych żelaznych kinkietów i lamp sufitowych. Była nawet pralka.

Kiedy Eli leżał w nocy we wspólnym łóżku z Bell, czysty po kąpieli w marmurowej wannie, tuląc do piersi tanie wydanie *Podróży Guliwera*, przysięgał sobie, że zrobi wszystko, by jego rodzina mogła tu pozostać tak długo, aż wspomnienie ciężkich czasów rozwieje się jak dym. Codziennie chodził do Ogrodu Kamiennych Kwiatów, by się o to modlić.

Tata powiesił na ścianie salonu, w pobliżu kominka, zdjęcie dziadka Wade'a. To jedyne zdjęcie dziadka, jakie mieli, było już mocno zniszczone. Tata powiedział, że dziadek wyciął je z jakiejś większej fotografii, ale nie wiedział ani co to za fotografia, ani gdzie została zrobiona. W tamtych czasach dziadek uchodził za najlepszego kamieniarza aż na pięć stanów, dopóki, po wypadku w kamieniołomie, nie został prawie kaleką. Taty nie było wtedy jeszcze na świecie. Zdjęcie zostało zrobione, zanim dziadek, już wtedy człowiek zrujnowany, poznał babcię Wade, która mimo wszystko wyszła za niego za mąż i utrzymywała ich oboje z pracy kucharki i pielęgniarki. Dziadek zapił się jednak na śmierć, kiedy tata był zaledwie chłopcem.

Ale na tym zdjęciu stał, młody, przystojny, na murze jakiegoś potężnego domu, który właśnie budował. Nogi w lekkim rozkroku, kciuki zahaczone o kieszenie spodni. Jego uśmiech, skierowany w dół, był wyraźnie przeznaczony dla kogoś, kto znajdował się niżej.

Eli zawsze się zastanawiał, kim była ta osoba i gdzie jego dziadek był taki szczęśliwy.

Przez całą jesień i zimę podglądałam, co działo się w Kamiennym Dworcu. Niezliczoną ilość razy widziałam, jak Eli pomagał matce wieszać przed domem bieliznę. Pewnego dnia jego ojciec

przyszedł do biura Swan i, stojąc z czapką w rękę, poprosił o pozwolenie na wykarczowanie kawałka ziemi pod ogródek warzywny.

- Jest pan dobrym pracownikiem, panie Wade - odparła Swan zza swojego wielkiego mahoniowego biurka z marmurowymi in-tarsjami - i dlatego ma pan moją zgodę. - Była to zdumiewająca pochwała w ustach kobiety, dla której mało co lub kto zasługiwał na uznanie.

Podczas zimowych miesięcy, ubrana w kaszmirowe swetry i miękkie wełniane płaszcze, czatowałam na wzgórzu, z którego roztaczał się widok na Kamienny Dworek, i patrzyłam, jak Eli i jego ojciec wycinają wielkie świerki, jodły i sosny, przygotowując teren pod nowy rodzinny ogródek. Widziałam, jak Eli dygocze w cienkiej wojskowej kurtce i zniszczonej dzianej czapce. Jasper też trząsał się z zimna, ale żaden z nich się nie poddawał i nie wchodził do domu, żeby się ogrzać. Jasper cierpliwie uczył syna, jak posługiwać się piłą łańcuchową, tak ciężką, że chłopak, biorąc ją do rąk, dosłownie zginał się wpół. Jestem przekonana, że Jasper mógłby oszczędzić sporo czasu, wycinając drzewa sam, ale tego nie robił.

Za każdym razem, kiedy wspólnym wysiłkiem ojca i syna padało wielkie drzewo, szorstki i oschły Jasper obejmował chłopaka ramieniem w szybkim geście serdeczności, a ja widziałam radość na uniesionej twarzy Eliego. Zrozumiałam wtedy, bez zbędnych słów, że Eli uwielbiał swego ojca tak samo, jak ja kochałam Swan. Ja też pragnęłam zasłużyć na jeden jedyny jej uśmiech, jeden uścisk, choćby najmniejszy - dosłownie najmniejszy - dowód miłości.

Annie Gwen regularnie wynosiła im z domu gorące napoje i podsycala ogień, który rozpalili z odrąbanych gałęzi. Bell, opatulona w koce i tanie szale ze sztucznego włókna, dźgała kijem brzegi ogniska. Annie Gwen przynosiła też parówki i często widywałam, jak pod koniec długiego dnia pracy rodzina zasiadała dokoła ognia, piekąc te niewyszukane przysmaki. Bell kuliła się wtedy na kolanach matki, a Eli siadał po turecku na ziemi między rodzicami. Czasem Annie Gwen śpiewała stare wiejskie piosenki, a Jasper słuchał, paląc papierosa. Słodki, przenikliwy aromat sosnowego dymu dolatywał do mnie, - a ja go wdychałam z niemal bolesnym uczuciem samotności.

Bo był to zapach kochającej się rodziny.

*

W marcu Eli przedzierał się przez gęste górskie lasy, szargając dzinsy i maskującą koszulę myśliwską, był bowiem - jako osoba bardzo metodyczna - w przebraniu. Odczekał, aż drzewa okryją się liśćmi na tyle gęstymi, by mogły go ukryć. Mignęła różowa siedziba Hardigree, której rozmiary wprawiły go w zdumienie. Wczołgał się w kępę laurowych zarośli, skąd miał dobry widok na tyły rezydencji. Zatkąło go z wrażenia. Z nabożną czcią gapił się na przepych Marmurowego Dworu.

Budynek wieńczył przeciwległy szczyt górski jak różowy pałac z ilustracji przedstawiającej Szangri-La w jednej z jego książek. Marmurowe balkony i strzeliste okna lśniły w słońcu. Dom otaczały wielkie wierzby i derenie, a trawnik za domem wydawał się tak zielony i gładki jak sukno na stole bilardowym. Był tam też cudowny ogród pełen kwiatów, marmurowa altana i basen! Osobisty, prywatny basen! Wszystko to odgrodzone z tyłu nieprawdopodobnym marmurowym tarasem - murem z różowych kamiennych bloków, wysokim na co najmniej dziesięć metrów. Po murze wiły się zygzakiem marmurowe schody, kończące się czymś w rodzaju patio, opartego o skraj lasu.

To patio, nakrapiane słońcem i położone w odosobnieniu, miało pośrodku duży staw, ze smukłą marmurową fontanną w kształcie pagody. Z dachu pagody delikatnie sączyła się woda. Na powierzchni stawu pływały białe lilie wodne, a w pewnej chwili na oczach oczarowanego chłopaka wyłoniła się białożółta ryba wielkości sporego pstrąga. Widok był zachwycający, nawet dla tak wytrawnego czytelnika jak Eli, w którego wyobraźni roilo się od egzotycznych miejsc i bajecznych opowieści. Darl miała swój własny staw z gigantycznymi złotymi rybkami i miniaturową pagodą. Żyła jak dziecko japońskiego samuraja.

Ledwie Eli zdołał złapać oddech, kiedy... znów dostał gęsiej skórki. Uniósł wzrok i na szczycie tarasowatego muru, pomiędzy wysokimi krzewami kaliny, zobaczył tuzin dużych białych marmurowych łabędzi. Siedziały, pyszne, na przemian z potężnymi krzewami, i patrzyły na niego groźnie, jakby w ten sposób rzucały mu wyzwanie i usiłowały sprowokować go do sforsowania różowych murów fortecy, której strzegły. Diabeł ma inkuby i sukuby.

Babka Darl miała marmurowe ptaki.

Zły i przestraszony, zmusił się do tego, żeby odwzajemnić ich spojrzenie. Miał ochotę obrzucić je kamieniami i uciekać, gdzie

pieprz rośnie. Nagle otworzyły się drzwi lśniącej w słońcu przeszklonej werandy na tyłach rezydencji i ukazała się w nich babka Darl. Serce Eliego zamarło. Wychynęła ze swojej różowej marmurowej rezydencji, jakby wiedziała, że chłopak naruszył jej teren, zbliżając się do granic fosy warownego zamku. Przywarł do ziemi pod wielkimi zielonymi liśćmi rododendronu.

- Boże - wyszeptał. W czarnym kostiumie kąpielowym, ciemnych okularach i długiej czarnej przezroczystej szacie Swan wyglądała jak gwiazda filmowa. Minęła basen, podeszła do krawędzi tarasu i odgarniając z twarzy ciemne włosy, spojrzała w kierunku lasu. Eli zamarł. Ruszyła w jego stronę.

Zeszła po marmurowych stopniach i zatrzymała się na patio. Chłopak w osłupieniu patrzył, jak Swan klęka nad stawem i przebiera palcami w ciemnej wodzie. W chwilę później uniosła w górę jedną ze złotych rybek i stała, trzymając ją przed sobą, jakby zamierzała zjeść biedaczkę żywcem albo patrzeć, jak kona w powietrzu - ot tak, dla zabawy. Ryba trzepotała się jak szalona. Ale Swan jej nie puszczała.

Wreszcie, kiedy wydawało się, że nieszczęsne stworzenie dało za wygraną, uklękła i wpuściła je z powrotem do wody. Ryba machnęła ogonem i znikła. Swan opłukała ręce, otrząsnęła je z wody i weszła po stopniach na górę. Zrzuciła czarną przezroczystą szatę i dała nurka do błękitnego basenu. Ona była od tego, żeby tu rządzić. Udawać Boga. J e j nikt nie będzie na siłę trzymał w wodzie ani w powietrzu.

Eli, ciągle jeszcze w szoku, odetchnął głęboko. Zobaczył ją w pełnym rynsztunku.

Rozdział 3

- Proszę wstać, Wade. - Wychowawczynie piątej klasy, pani Dane, patrzyła na Eliego groźnie z za prostokątnych okularów w bursztynowej oprawie. Trzymała w ręku jego test z matematyki, jakby zamierzała zdzielić nim chłopaka. Była mała, silna, bezwzględna, miała wałek tłuszczu w pasie i twarz podobną do mopsa. Nosiła blond perukę, spod której wymykały się kosmyki jej własnych ciemnych włosów.

Eliego przeszły ciarki. Wysunął się z ławki tak wolno, jakby był syropem, który wycieka z butelki. Nie cierpiał, kiedy go wywoływano na lekcji, nie cierpiał stać przed klasą we flanelowej koszuli z Armii Zbawienia i obwisłych dżinsach, już za krótkich na jego szybko rosnące nogi. Ciche chichoty otaczały go jak obłok smrodu. Poprawił okulary w ciemnej oprawce i pomacał odgniecione miejsce na skroni. Pani Dane przyglądała mu się zmrużonymi oczami z za swoich fantazyjnych bursztynowych szkieł. Eli w sposób zdecydowany odwzajemnił spojrzenie.

- Wade - powiedziała nauczycielka spokojnym głosem. - Zrobiłeś test matematyczny w pięć minut. Reszta klasy potrzebowała na to godziny. - Uderzyła papierami w stół. - Ściągałeś.

- Nie, proszę pani - odparł po prostu Eli. - Naprawdę nie ściągałem.

Potrząsnęła jego pracą.

- To wobec tego wytłumacz, jak to zrobiłeś.

- Ja... mnie... to mi po prostu jakoś samo wychodzi.

- Jak kupa... - syknął jeden z chłopców.

Chór chichotów został uciszony jednym uderzeniem ręki w pulpit. Twarz Eliego płonęła.

- Podejdz do tablicy - polecila nauczycielka. Kolana Eliemu drzaly. Wszedl wolno na srodek klasy i stanal na bacznoosc jak zolnierz. Pani Dane nabazgrala cos na kartce. - Pomnoz te liczby na tablicy. Dwieście siedemdziesiąt - Eli wziął kawałek kredy i napisał liczbę - razy dwieście pięćdziesiąt. - Napisał drugą liczbę.

- Sześćdziesiąt siedem tysięcy pięćset - odpowiedziął.

- Tylko nie próbuj ze mną żadnych numerów.

- Ja nie próbuję żadnych numerów, proszę pani. Taki jest wynik.

Pani Dane dokonała obliczenia na papierze. Krew uderzyła jej do twarzy. Zmarszczyła czoło.

- Tak, tak, w porządku. - Eli poczuł wielką ulgę. Ale usta pani Dane rozciągnęły się w wąską kreskę. - Sześć tysięcy siedem podzielone przez dwanaście.

Eli nawet nie zadał sobie trudu, żeby zapisać liczby na tablicy.

- Pięćset, przecinek, pięćdziesiąt osiem.

Pani Dane zapisała wynik. Zatkało ją. Poderwała głowę do góry i przyjrzała się Eliemu z niedowierzaniem.

- Dwa miliony dwadzieścia jeden razy sześćdziesiąt siedem!

- Sto trzydzieści cztery miliony tysiąc czterysta siedem. - Eli zrobił krótką pauzę. - Równo - dodał po chwili.

Pani Dane usiadła. Wykonała rachunek na papierze, po czym rzuciła długopis. Ponownie uniosła głowę, gapiąc się na Elię w osłupieniu. Zaczęła w roztargnieniu szarpać się za blond perukę, spod której wysypały się za uchem jej naturalne mysie włosy. Sprawilem, że mózg pani Dane wystrzelił pocisk z włosów - pomyslał Eli.

- Jesteś geniuszem - oświadczyła, wskazując na niego.

Poczuł dumę. Nie stracił panowania nad sobą, zachował wiarę w siebie i wygrał tę upokarzającą walkę. Spojrzał na kolegów - mieli oczy szeroko otwarte niczym szczury wpatrzone w ser.

W Wielki Ser. W niego.

- Uszanowanie - powiedziały.

Na ogół w soboty Swan zabierała mnie ze sobą do biura. Chciała, żebym się przyglądała pracy, wykonywała drobne papierkowe roboty i uczyła się twardych zadań związanych z twardym kamieniem. Siedziałam przy moim własnym małym biurku,

w kącie jej gabinetu i z tęsknotą spoglądałam przez wielkie okno na otwarte niebo, szeroki i głęboki szyb marmurowego kamieniołomu, a także na ludzi pracujących narzędziami do cięcia skały i przy dźwigach. Znacznie bardziej interesowały mnie zakłady obróbki kamienia, gdzie wolno mi było w niektórych miejscach stać w ochronnych goglach na oczach i przyglądać się, jak rzemieślnicy kruszą, tną i szlifują kamień. W niedzielę mężczyźni mogli przyprowadzać na godzinę swoich synów, żeby ich uczyć zawodu. Dziewcząt nie wpuszczano. Z wyjątkiem mnie.

Pewnej chłodnej marcowej soboty stał tam Eli, w za dużych skórzanych rękawicach na chłopięcych dłoniach. Twarz i ubranie pokrywała warstwa kurzu, nos i usta owiazał bandanką. Pracował u boku ojca i kiedy na niego spoglądałam, nie patrzył na mnie, chociaż złapałam go na tym, że od czasu do czasu przygląda mi się ukradkiem. Wzięłam się po prostu na sposób: odwróciłam się i natychmiast znów na niego spojrzałam. I tak właśnie udało mi się go złapać na gorącym uczynku.

Nagle, ku mojemu zdumieniu, Swan opuściła gabinet i przeszła do fabryki, co robiła bardzo rzadko, gdy w powietrzu unosił się pył. Była jedną z prekursorok mody kobiet biznesemek lat siedemdziesiątych. Tego dnia miała na sobie garnitur - granatowe spodnie i taki sam żakiet. Kolorowy jedwabny szal pełnił funkcję paska i spływał z jej prawego biodra jak flaga sędziego sportowego. Obcasy importowanych granatowych czółenek stuknęły na marmurze. Szyję zdobił sznur pereł. Ruchy jej wysokiej, smukłej sylwetki były harmonijne, świadczące o spokoju i pewności siebie. Kiedy szła, każdy mężczyzna unosił głowę, żeby na nią spojrzeć. W dalszym ciągu była tak piękna, że mogła uchodzić za starszą siostrę Scarlett O'Hary albo sobowtóra matki Jacklyn Smith z *Aniołków Charliego*.

Ja, oczywiście, byłam ubrana w różowy wełniany sweter i różowe buty do kolan.

Swan przystanęła w pobliżu Jaspera Wade'a i przyzwała go skinieniem palca. Kiedy zsunął maskę i odłożył narzędzie, powiedziała:

- Panie Wade, proszę przyjść do mojego biura i zabrać ze sobą syna.

Nie miałam pojęcia, czego Swan mogła od nich chcieć, ale uśmiechnęłam się do Eliego, bo spodziewałam się, że i ja będę

w to zamieszana. Kiedy ściągnął bandankę i przetarł okulary, jego duże czekoladowe oczy nie unikały moich, ale dostrzegłam w nich troskę. Serce mi się ścisnęło.

- Ona nigdy nie wyrzuca nikogo osobiście - szepnęłam, kiedy zsiłszy za Swan i jego ojcem. - Zleca to swojemu menedżerowi, panu Albertowi, więc nie martw się o swego tatę.

Eli spojrział na mnie spode łba, a ja odwzajemniłam mu się marsem na czole. Weszliśmy do biura. Swan usiadła, wskazując mi moje małe biurczko. Jego ojciec, choć taki wysoki, silny i przystojny, tego chłodnego wiosennego dnia stał pokorny i z troskany, pokryty pyłem i potem. Zatrzymali się z Elim w miejscu wyłożonym marmurowymi płytami, tuż za drzwiami gabinetu, nie śmiąc postawić brudnego buta na pięknym tureckim dywanie, leżącym pod naszymi stopami. Usiadłam markotnie przy swoim ładnym biurczku z marmurowym blatem i skrzyżowałam ręce na zimnym kamieniu.

- Panie Wade - zaczęła Swan - dowiedziałam się od nauczycielki Eliego, że jest on geniuszem matematycznym.

W pełnej napięcia ciszy, jaka zapadła, gapiłam się na Eliego jak urzeczona; oczy jego ojca też były szeroko rozwarte.

- On ma dobrze poukładane w głowie, proszę pani - powiedział Jasper w końcu. - I, według mojej oceny, jest wyjątkowo bystry do liczb. Zawsze prowadził w domu rachunki i nigdy się nie pomylił. Ani razu.

- Ile miał lat, kiedy pan mu powierzył rodzinne rachunki?
Jasper zwrócił się do Eliego.

- Pamiętasz, synu? Bo ja nie jestem pewien.

Ostrożne spojrzenie chłopaka mówiło, że nie wie, czy powinien pamiętać cokolwiek. Nerwowo przełknął ślinę.

- Sześć lat, tato.

Oczy Jaspiera rozbłysły; popatrzył na Swan.

- Tak, jeśli dobrze pamiętam, był wtedy w pierwszej klasie, proszę pani.

Swan usiadła wygodniej w wysokim tapicerowanym fotelu. Przytknęła obie dłonie do ust, wpatrując się intensywnie w Eliego swoimi błękitnymi oczyma, jakby próbowała ocenić jego wartość w kamieniach szlachetnych. Nagle nachyliła się i wystukała na kalkulatorze jakieś liczby. Maszyna zaterkotała i wypluła kawałek papieru. Swan oderwała go i ukryła w dłoni.

- Policz to szybko w myśli, chłopcze: sto dwadzieścia trzy razy czterdzieści dwa.

Eli nawet nie mrugnął okiem.

- Pięć tysięcy sto sześćdziesiąt sześć.

Uniosła brwi.

- Dobrze.

Mało nie spadłam ze swojego miniaturowego krzesła. Był wspaniały! Swan dokonała kolejnego obliczenia na kalkulatorze.

- Osiemset dziewięćdziesiąt pięć podzielone przez osiemdziesiąt dwa.

- Dziesięć, przecinek, dziewięćdziesiąt jeden - odpowiedział bez namysłu Eli.

Swan jednak postanowiła dręczyć go dalej. Miała w zanadrzu jeszcze dziesięć zadań. Eli ani razu się nie zawahał i ani razu się nie pomylił. Swan rzuciła na biurko świstki papieru, odchyliła się wygodnie w fotelu i wsparła brodę na jednej ze swoich pięknych dłoni. Podniosła wzrok na Jaspera.

- Panie Wade, chciałabym, żeby Eli po lekcjach pracował u mnie w biurze w niepełnym wymiarze godzin. Uczyłby się księgowości u pana Alberta. Oczywiście jest dzieckiem, ale dzieckiem niezwykłym. Co roku funduję stypendium na studia dla jednego zdolnego ucznia z tego miasta. Jeśli Eli okaże się dobrym uczniem i dżentelmenem, nic nie stanie na przeszkodzie, by po skończeniu szkoły średniej Hardigree to stypendium przypadło jemu. Będzie studiował biznes i rachunkowość na Duke University w Chapel Hill, a potem wróci tutaj i podejmie pracę u mnie.

Było to coś niesamowitego. Najpierw wybrała Wade'ów na mieszkańców naszego Kamiennego Dworku, potem pozwoliła Jasperowi wycinać stuletnie drzewa w naszym lesie i wreszcie obiecywała posłać Eliego na studia na najlepszy stanowy uniwersytet. Doceniła jego wyjątkowość!

Jasper był zbyt zaskoczony, by wykrztusić chociaż słowo. Eli otworzył usta i zaraz je zamknął. Przez jakiś czas patrzył w przestrzeń, po czym spojrzał na mnie. Jesteś wyjątkowy i ona o tym wie, więc się ciesz! Musiał dostrzec podniecenie w mojej twarzy, ale ja u niego widziałam tylko złość i rozpacz. Czy chciał tego, czy nie, miał stać się własnością Marmurów Hardigree.

- Nikt w mojej rodzinie nie studiował na uniwersytecie - powiedział wolno jego ojciec.

Swan skinęła głową.

- Najwyższy czas zacząć. Macie rzadką okazję, by zmienić przyszłość całej rodziny, a to jest warte wszelkich poświęceń.

- Tak, proszę pani. Jego matka będzie bardzo szczęśliwa. To jej największe marzenie.

- Dobrze. To zróbcie tak, żeby się ono ziściło.

- Dziękujemy, bardzo pani dziękujemy. Eli na pewno się postara. - Jasper spojrział na syna. Na surowej twarzy mężczyzny malowała się duma. Jego starsze dziecko i jedyny syn miał szansę pracować głową, a nie rękami. Miał szansę zostać kimś. - Co ty na to, synu?

Eli spojrział na ojca i napotkał jego badawczy wzrok. Powoli zwrócił się do mojej babki. Robił wrażenie, jakby przytłaczał go ciężar większy niż jakakolwiek bryła marmuru w kamieniołomie.

- Postaram się. Dziękuję, dziękuję pani bardzo.

Zabrzmiało to jednak jak przyznanie się do porażki. Dostanę go kiedyś na własność, ale wbrew jego woli. Miałam łzy w oczach. Odniosłam pyrrusowe zwycięstwo.

A więc tak wygląda ciemna strona bogactwa i władzy: aby mieć tę władzę, musisz innym coś odebrać, musisz we własnym interesie nad nimi panować, być za nich odpowiedzialnym. Całą tę mroczną wiosnę spędziłam, zastanawiając się nad moją przyszłością, niosącą w sobie obietnicę władzy, i nad smutkiem Eliego, który na dobre zagościł na jego twarzy, kiedy Swan zatrzasnęła kajdanki Marmurów Hardigree na jego młodym życiu. A oto decyzja, jaką wtedy podjęłam: kiedy odziedziczę Eliego, to go najpierw uwolnię, a dopiero potem weźmiemy ślub.

Szczerze mówiąc, w ogóle nie zamierzałam wychodzić za mąż, ale postanowiłam to zrobić dla jego dobra. Nie miałam żadnych pozytywnych wzorców małżeńskich w swoim otoczeniu, ale wszystkiego można się nauczyć. Moja matka zginęła dlatego, że była mężatką; co do Swan, to stanowiła ona naturalnie odrębny, niezależny byt, chłodną zagadkę spoza obszarów małżeńskich konwencji. Mój dziadek, doktor, jawił mi się jedynie jako łagodny w obejściu łysy człowiek z fotografii. Z tego, co wiem, moja matka przyszła na świat w wyniku niepokalanego

poczęcia. Nieraz widywałam, jak Swan, na wydawanych przez siebie przyjęciach, z wdziękiem przyjmowała mężczyzn, nigdy jednak nie zauważyłam, żeby któregoś z nich pocałowała. Od czasu do czasu, kiedy wyjeżdżałyśmy do Nowego Jorku, pojawiał się włoski baron marmurowy. Wtedy zostawiała mnie pod opieką którejś ze swoich miejscowych znajomych albo przyjaciółek z młodości i późne wieczory spędzała z nim gdzieś na mieście. I to wszystko.

Mąż Matyldy, pan Dove, był tajemnicą bez twarzy. Matylda mieszkała sama z Karen w jednym z mniejszych Domów Esty, pięknym bungalowu z lat trzydziestych, zbudowanym z kamienia rzeczno i wykończonym marmurem, a położonym przy zacienionej uliczce niedaleko Kamiennego Dworu. Dla nikogo nie było tajemnicą, że Swan podarowała Matyldzie ten dom wraz z pięcioakrową leśną działką jeszcze w czasach młodości. Czymkolwiek ta hojność pachniała - pozostałością sięgających niewolnictwa nadań ziemi czy właściwą rodzinie Hardigree zasadą noblesse oblige - Matylda bez wątpienia zasługiwała na ten wsparty na marmurach dach nad głową. Siłą napędową w jej życiu - podobnie jak w życiu mojej babki - były duma i niezależność.

Ale istniała jeszcze cioteczna babka Klara - ta od złowrogięgo milczenia i tajemniczej przeszłości. Jednak moja wiedza o niej na tym się kończyła. W kobiecym świecie Hardigreech mężczyźni wydawali się jedynie czymś w rodzaju dekoracji wystawy; postumentem podtrzymującym wagę przeznaczoną do podziwiania - nie mylić z trwałą podstawą czy stałą dekoracją. Nie mogłam sobie wyobrazić Swan robiącej to, co robią kobiety, żeby mieć dziecko. Karen bardzo dokładnie opisała mi cały ten proces, od kładzenia się na golasa i całowania aż do wtykania tej rzeczy i jego mokro-lepkich skutków. Wierzyłam, że Karen mnie nie buja, ponieważ zaczerpnęła tę wiedzę z książki *Radość seksu*, którą znalazła w pudle w Miejskiej Bibliotece Hardigree, gdzie Matylda posyłała książki fundacji Swan. Nie potrafiłam tego zgłębić.

Swan nigdy by się nie rozebrała przed mężczyzną, nawet mnie nie pokazywała się bez ubrania. Największy jej negliż, do jakiego byłam dopuszczana, stanowiła bajeczna nocna koszula i długi biały jedwabny peniuar. Miała ich całą kolekcję. A poza

tym Swan nigdy nikomu - mężczyźnie, kobiecie, Bogu czy szatanowi - nie pozwoliłaby na siebie wleźć.

Tego byłam w stu procentach pewna.

Co roku w maju Swan urządziła w Marmurowym Dworze weekendowe przyjęcia dla wychowanek Żeńskiej Szkoły Larsona z Asheville. Kiedy uczyła się tam jako nastolatka, chodziła z nią nawet kuzynka jednego z potomków Vanderbiltów, w tym czasie bowiem różni spadkobiercy tego rodu mieszkali w swojej przypominającej zamek siedzibie Biltmore, położonej w odosobnieniu i graniczącej z Asheville.

Tego roku w Marmurowym Dworze roiło się od eleganckich matron ze śmietanki towarzyskiej Południa. Swan sprowadziła dodatkową pomoc do wydawania posiłków, popołudniowej herbaty i wieczornych koktajli przy naszym wielkim basenie i w marmurowej altanie w ogrodach za domem. Była to pierwsza duża impreza w karierze Annie Gwen jako naszej pokojówki. Eli też został zmuszony do udziału w posługiwaniu - wynosił śmieci i zmywał naczynia. W wolnych chwilach miał się zajmować Bell. Nic z tego jednak nie wychodziło.

Bell Wade wpatrywała się we mnie przerażonymi oczami. Siedziała w jednej z białych szafek kuchennych, gdzie ukryła się wśród garnków i patelni. Na głowie miała durszlak, przez którego dziurki wystawały kosmyki jej ciemnych, puszystych włosów. Była ubrana w maleńkie ucięte džinsy i w koszulkę z postaciami z *Ulicy Sezamkowej*.

- O, tutaj jest, Eli. Ukryła się jak królik w norze.

Eli podciągnął nogawki spodni i zrezygnowany ukląkł przed otwartymi drzwiczkami szafki. Ja byłam ubrana w różową organdynową sukienkę i różowe skórkowe pantofelki.

- Chodź no tu do mnie, siostrzyczko - namawiał małą łagodnie, wyciągając do niej rękę. - Wyglądasz jak stwór nie z tego świata.

Bell gapiła się na nas wielkimi ciemnymi oczyma, ale nawet nie drgnęła.

- Musisz ją stąd wyciągnąć, zanim wróci tu Matylda. - Obejrzałam się na drzwi dla służby, prowadzące do jadalni. Matylda i Annie Gwen podawały akurat Swan i jej dwudziestu pięciu

szkolnym koleżankom krem z pomidorów i sałatkę z kurczęcia z migdałami.

- Matylda każe twojej mamie tak pucować te garnki, że wyglądają jak ze szczerogo srebra.

- I teraz mogą służyć Bell za koronę. - Eli delikatnie położył dłoń na małej rączce siostry, która z całej siły ścisnęła rondel. - No, chodź, malutka, wyłaź tu do mnie. - Eli nigdy nie tracił cierpliwości do Bell, mimo że nieustannie wystawiała go na próbę. Lekko uniosłam różową sukienkę i uklękłam.

- Wychodź w tej chwili - rozkazałam chłodnym, suchym tonem. - Czas to pieniądz. Zrujnujesz mi plany.

Eli zagryzł zęby i spojrzał na mnie z ukosa.

- Nie potrzebuję twojej pomocy. - Wsadził rękę do szafki i złapał małą za nadgarstek. - No, wychodź, Bell.

Dziewczynka pisnęła cicho, ale mimo to Eli ją wyciągnął. Szybko przytrzymałam garnki i patelnie, żeby nie narobiły hałasu. Bell zaparła się małą obutą w tenisówkę stopką o drzwiczki szafki. Eli mruknął coś pod nosem, złapał ją oburącz za nogę i szarpnął.

Wyleciała na wyłożoną marmurowymi płytkami podłogę, jakby szafka z garnkami była łonem, które ją wydało na świat. W ostrym świetle słonecznym, sączącym się do kuchni przez wysokie okna, zobaczyłam, jak bardzo jest blada, przerażona obcym miejscem i ludźmi. Trzęsła się ze strachu. Eli skrzywił się, przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

- Nie bój się, malutka, wszystko będzie dobrze.

Ale nie było. Powolutku z nogawki małej zaczął się sączyć żółty strumyczek. Zerwałam się na nogi. W korytarzu, za drzwiami dla służby, usłyszeliśmy kroki. Szybko zamknęłam drzwiczki szafki.

- Ukryj ją - powiedziałam do Eliego. - Idź schodami kuchennymi na górę. Na półpiętrze jest szafa z bielizną. Tam się schowajcie. Zaraz do was przyjdę.

Eli zmarszczył czoło i wziął Bell na rękę.

- Co ty masz zamiar...

Kroki były już prawie przy drzwiach.

- No, uciekaj!

Eli rzucił się do łukowatych drzwi w drugim końcu kuchni. Usłyszałam jego kroki na wąskich schodach dla służby, a potem...

błogosławioną ciszę. Zdyszana, spojrzałam w stronę drzwi, które się właśnie otworzyły, i weszła Annie Gwen. Ciemne włosy miała ściągnięte w koczek i była ubrana w przepisową różową sukienkę i różowe tenisówki. Na mój widok jej poczciwa, prosta twarz rozjaśnił uśmiech.

- Panno Darl, czym mogę panience służyć? - zapytała.

Odetchnęłam z ulgą i położyłam palec na ustach.

- Bell się posusiała. - Pokazałam na podłogę.

Annie Gwen pisnęła cicho z zakłopotania.

- A gdzie ona jest?

- Eli zabrał ją na górę. Zaraz tam pójde i mu pomogę. Nic się nie stało.

Annie Gwen skoczyła do komórki po mopa. Ja pobiegłam na górę. Dom zamknął się wokół mnie, ciemny, chłodny i cichy jak wielkie marmurowe mauzoleum. Znalazszy się na podeście schodów, powoli uchyliłam drzwi szafy z bielizną. Na podłodze, z przytuloną do niego Bell na kolanach, siedział Eli. Zawinął małą w jeden z najpiękniejszych, opatrzonych monogramem kąpielowych ręczników Swan. Jej zmoczone spodenki i majtki w kwiatki leżały na podłodze.

- W porządku - uspokoiliłam Elię i opowiedziałam mu wszystko po kolei. Odetchnął z ulgą.

- A teraz muszę jej skombinować jakieś suche ubranie.

- Zaraz coś przyniosę. Mam cały kuferek wyrośniętych ubrań. Poczekaj chwilę. - Zamknęłam drzwi szafy i pobiegłam na górę. Moja osobista sypialnia była niewielkim różowym apartamencikiem na tyłach domu. Okna wychodziły na basen, altanę i tylne ogrody. Widać przez nie było nawet położony aż za różowym kamiennym tarasem płytki staw ze złotymi rybkami. Wzdłuż tarasu, na przemian z krzewami, stały wysokie marmurowe łabędzie, które strzegły tajemnic Hardigree, łącznie z moją małą tajemnicą dotyczącą Bell.

Zaczęłam grzebać w białej cedrowej skrzyni i wyciągnęłam szorty i majtki z falbankami, które na oko wydały mi się odpowiedniej wielkości. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Zbiegłam szybko na dół i ledwie zdążyłam uchylić drzwi szafy, kiedy na długich marmurowych schodach, w drugim końcu korytarza, usłyszałam kroki. Cisnęłam Eliemu ubranie.

- To jedna z pań, zaraz ją zagadam - szepnęłam.

Eli mocniej przytulił biedną Bell.

- Tylko nie pozwól nikomu otworzyć tych drzwi.

- Nie pozwolę. - Zamknęłam szafę, a następnie usadowiłam się w wysokim tapicerowanym krześle nieopodal, jakbym była częścią dekoracji. Hol był szeroki i długi, a marmurowa podłoga przykryta dywanem w delikatne spiralne wzory i lilijki. Wzdłuż krawędzi dywanu stały krzesła. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające angielskie pejzaże i dobre reprodukcje europejskich mistrzów pędzla. Machałam nogami, udając całkowicie zrelaksowaną i mając nadzieję, że w panujących tu głębokich cieniach nikt mnie nie zauważy. Hol oświetlało tylko słońce wpadające przez jedyne wysokie okno w drugim końcu tego dużego pomieszczenia.

Ciastowata blondynka w jasnej jedwabnej sukni szła w stronę marmurowych schodów. Była czerwona na twarzy i zataczała się lekko.

- Jak się masz, Darlene, co tu porabiasz? - Jej głos był miły, aksamitny, ale trochę bełkotliwy. Musiała podczas lunchu wypić o jedną krawawą mary za dużo.

- Po prostu sobie siedzę, pani Colson. - Dobrnęła do mnie i usiadła obok na antycznej krytej pluszem kozetce. Jej mętne oczy napełniły się łzami.

- Jesteś bardzo podobna do Julii, jak tak tutaj siedzisz. To było jedno z jej ulubionych miejsc. W tej bielizniarce zawsze bawiła się lalkami. Nazywała ją swoim domem dla lalek.

Przestałam machać nogami. Dostałam gęsiej skórki. Przyjaciółki Swan rzadko rozmawiały ze mną o mojej matce.

- Czy była taka ładna jak na zdjęciach?

- Piękna. Piękna brunetka o niebieskich oczach, bardzo podobna do ciebie.

- Czy była mądra?

- Nie, kochanie. Była głupia i lekkomyślna. Ale z pewnością bardzo słodka.

Siedziałyśmy przez chwilę, patrząc na siebie, a ja próbowałam jakoś przełknąć jej szczerość. Pani Colson zaczęła mi opowiadać o Swan i mojej matce, o tym, jak były sobie bliskie, jak często się do siebie uśmiechały i jak Swan uwielbiała i psuła moją matkę. Poczułam lekkie ukłucie w sercu. Dlaczego Swan nie potrafiła kochać mnie w ten sposób?

Pani Colson mówiła dalej, smutno kiwając głową.

- Najgorsza była ta historia z nią i z Katherine. Biedna Katherine. Co zrobić, dzika krew. Ale czego można się było spodziewać po takiej mieszance?

Katherine Dove. Pani Colson mówiła o córce Matyldy, matce Karen, nieznannej dziewczynie, której nigdy nie widziałyśmy nawet na zdjęciu, o której nigdy się nie mówiło. Zsunęłam się z krzesła, sztywna jak żołnierz. Pani Colson zamknęła na moim ramieniu wilgotną, ciastowatą dłoń, patrząc na mnie zażawionymi oczami.

- Gdyby nie zły wpływ tej dziewczyny, twoja matka z pewnością byłaby w porządku. Biedactwo. Ale nigdy nie myśl o niej źle. Może nie miałaś dobrej matki, ale masz za to wspaiałą babkę.

Zatkało mnie po tych słowach.

- Czy moja matka mnie nie chciała?

Pani Colson przesuwała dłońmi wzdłuż moich ramion tam i z powrotem, wydając pocieszające pomruki.

- No nie, nie chciała, ale za to twoja babka cię chce. A jak Swan Hardigree kogoś chce, to już ten ktoś się jej nie wymknie. - Pani Colson uwolniła mnie, przejechała mi jeszcze ręką po włosach, a następnie wstała i poszła do toalety, głośno zamykając za sobą drzwi.

Odwrociłam się, płacząc bez łez, całkowicie odrętwiała. Otworzyłam drzwi do bielizniarki. Eli siedział tam w dalszym ciągu na podłodze, trzymając na kolanach zawiniętą w ręcznik Bell. Mała ukryła buzię w ręczniku - widziałam tylko SHS, monogram Swan. Eli patrzył na mnie wielkimi ciemnymi oczami, pełnymi powagi i współczucia, a ja - o zgrozo! - wiedziałam, że musiał słyseć każde słowo z tego, co mówiła pani Colson.

- Darl - powiedział ochrypłym głosem, po raz pierwszy zwracając się do mnie po imieniu.

Było mi duszno, nie mogłam złapać tchu.

- Idę do Ogrodu Kamiennych Kwiatów - powiedziałam i już mnie nie było. Zbiegłam po schodach, stamtąd na werandę, a z werandy prosto w słoneczne wiosenne popołudnie. Okrążyłam tylny ogród, za wysokim żywopłotem z czeremchy, po czym zbiegłam po kamiennych stopniach z tarasu. Już po chwili, mijając staw z japońskimi rybkami, gnałam przez las, ślizgając się i przewracając na leśnym poszyciu z martwych liści i zaczepiając

o cierniste gałązki. Kiedy dobrnęłam na miejsce, rzuciłam się na ziemię koło ławki i ukrywszy twarz w ramionach, zaczęłam gorzko płakać.

Dogonił mnie Eli z Bell na rękach. Usiedli tuż obok wśród liści i, o dziwo, Eli objął mnie ramieniem.

- To dobre, bezpieczne miejsce - powiedziała. - Kiedy tu przychodzimy, nie musimy być tym, kim jesteśmy naprawdę. Bądźmy tacy, jacy chcielibyśmy być, zgoda?

Skinęłam głowę. Nagle mojego ramienia dotknęła mała, delikatna rączka. Oboje - Eli i ja - spojrzeliśmy na Bell ze zdumieniem. Pokazała na spodenki, które jej dałam. Naturalnie różowe.

- Ja jestem teraz różowa - wyszeptała. Miała w oczach smutek, a jej głos był słodki i melodyjny. Poklepała mnie po ramieniu. - Jak ty.

- Co za szczęście, że w ogóle mówi - powiedział cicho Eli. Mała miała jakąś dziwną zdolność współczucia, którą jak gdyby „uruchomiłam”, płacząc w naszym magicznym ogrodzie. Otarłam oczy i usiadłam. Wymieniliśmy z Elim zdumione spojrzenia. Jego mocny uścisk dodał mi otuchy. Skinął do mnie głową. - Ale my bez względu na wszystko będziemy sobą - powiedział.

Od tej chwili Eli, Bell i ja spotykaliśmy się często w tym tajemniczym, niezwykłym ogrodzie, snując wspólnie marzenia i nadzieje w jedynym bezpiecznym świecie, jaki znaliśmy.

Rozdział 4

Minęły trzy lata. Eli w dalszym ciągu spędzał czas samotnie, licząc spokojne, bezpieczne dni ich nowego życia jak skąpiec drobniaki i dzieląc się swoimi marzeniami z Darl w magicznym kamiennym ogrodzie. Nigdy nie mówił wyraźnie, że nie cierpi pracy w biurze Marmurów Hardigree, ale podejrzewał, że Darl się tego domyśla. Tak samo jak on się domyślał, że ona jest najbardziej samotną istotą na świecie, z wyjątkiem chwil, które spędzali razem. Świat, z nimi pośrodku, zataczał małe, spokojne kręgi.

„O rany, to jest Leon Forrest we własnej osobie. Gdyby spojrzenia mogły zabijać, już dawno wszyscy w tym mieście padliby trupem”.

Była to pierwsza myśl, jaka przyszła Eliemu do głowy, kiedy pewnego zimowego popołudnia czarny chłopak pojawił się w biurze Marmurów Hardigree, żeby złożyć podanie o pracę w kamieniołomie. Eli spojrzał na niego znad stołu, przy którym na polecenie pana Alberta tak szybko, jak tylko nadażała jego ręka, sumował ołówkiem płace pracowników. Leon, czarny jak węgiel, z włosami sterczącymi w niesfornych, sfilcowanych kosmykach, stał z miną jak gradowa chmura. Miał czternaście lat i ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ale wydawał się szczuplejszy od Eliego, który sam był niewiele niższy. Gospodarująca na farmie rodzina Forrestów splajtowała i Leon musiał rzucić szkołę, żeby pracować w kamieniołomie. Kiedy tak stał, zgarbiony, w starej wojskowej kurtce, jego pełen goryczy wzrok padł na Eliego.

- Co się tak na mnie gapisz? - warknął.

Eli mocniej ścisnął ołówek, ale nie spuścił wzroku.

- Nie wiem. Pewnie dlatego, że jedziemy na jednym wózku. Ja też tu muszę pracować.

- To nie jest żadna praca.

- Lepsza niż łupanie marmurów na zimnie. - Eli postukał w teczkę. - Przynajmniej mądra.

- Chcesz powiedzieć, że jestem za głupi na to, żeby robić to co ty?

- Nie wiem. Ale chętnie bym cię tego nauczył, gdyby mi tylko pozwolili. Ja tej pracy nienawidzę.

- Ja bym mógł prowadzić księgowość. Lubię Uczyć. Na pewno nie będę całe życie łupał kamienia.

- Będziesz, jeżeli się nie nauczysz niczego innego. To tutaj normalne.

Leon kipiał ze złości. Pan Albert dostrzegł go przez szybę swego gabinetu i zagniewany wpadł, żeby interweniować.

- Nie pętaj się tutaj, chłopcze. Przyjdzie twój ojciec, to wypełni za ciebie formularz. - Wskazał okno wychodzące na kamieniołom. - Idź tam i powiedz temu wysokiemu mężczyźnie w niebieskiej kurtce, że ja kazałem dać ci robotę.

- Tak jest, proszę pana - wymamrotał Leon.

Pan Albert skrzywił się na widok kombinezonu i zabłoconych butów, którymi chłopak wszedł na dywan.

- I żebyś mi tu nigdy nie wchodził w zabłoconych butach. - Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Eli ze współczuciem popatrzył na Leona, widząc na jego twarzy wyraz upokorzenia.

- Ten człowiek w niebieskiej kurtce to mój tata. Rób, co ci każe, to będzie ci u niego dobrze. Nie pożałujesz.

Leon spojrział na niego spođe łba.

- Jeszcze przyjdzie taki czas, że nikt mi tu nie będzie mówił, co mam robić i dokąd iść. - Wyszedł bez pożegnania.

O szóstej pan Albert zamykał biuro. Po zimnym popołudniu zapadł lodowaty zmierzch.

- Koniec, panie geniuszu - oznajmił. Eli z ulgą założył gruby szal i płócienną ocieplaną kurtkę i poszedł na położony na uboczku parking, gdzie zwykle czekał na tatę. Na wysypanym żwirem placu, otoczonym stromymi pagórkami porośniętymi świerkiem i jodłą i tworzącym naturalną arenę, stało zaledwie kilka półciężarówek. Oddech Eliego niemal zamarzał w powietrzu. Chłopak wzdręgnął się, patrząc z przerażeniem, jak trzech czarnych osił-

ków wywleka Leona z lasu, młóćąc go pięściami. Nie znał żadnego z nich. Leon rzucił się na napastników i już po chwili cała czwórka tarzała się po ziemi między samochodami.

Powinienem iść po tatę - pomyślał Eli w pierwszej chwili, ale nie było na to czasu. Chowając się za ciężarówkami, podkraść się tak blisko walczących, że słyszał ich sapanie i pełne wściekłości przekleństwa. Razy sypały się na Leona jak grad. W rękę jednego z napastników błysnął nóż sprężynowy. Eli podniósł się i wrzasnął z całej siły. Mężczyźni skoczyli jak oparzeni i czubek ostrza przejechał Leonowi po policzku, zostawiając paskudną ranę. Trysnęła krew, ściekając po ciemnej szczęce i szyi ofiary.

Wydychając kłęby białej pary, Eli rzucił się na napastników z pięściami. Widok wysokiego, chudego białego chłopaka drącego się wniebogłose i okładającego ich z całej siły musiał wzbudzić w napastnikach obawy przed spotkaniem z miejską białą policją i związanymi z tym kłopotami.

- Pierdol się, frajer - powiedział ten od noża i dźgnął Eliego, po czym cała trójka puściła się biegiem do niskiego srebrnego sedana i odjechała, wznosząc tumany kurzu i żwiru.

Eli stał jeszcze przez chwilę w wyzywającej pozie, a następnie spojrzął po sobie. Z długiego na jakieś ćwierć metra rozcięcia w materiale, na wysokości brzucha, wyłaziło gąbczaste ocieplenie. Niepewnym ruchem sięgnął pod kurtkę, żeby sprawdzić, czy ma na miejscu wnętrzości. Leon usiadł z jękiem. Eli podbiegł do niego i ukląkł obok na ziemi. Skrzywił się na widok posiniaczonej i krwawiącej twarzy chłopaka. Skóra na policzku Leona przypominała otwarty suwak, ukazując czerwone mięso na czarnym tle.

- Wydaje mi się, że trzeba będzie założyć szwy - powiedział.
- Akurat. Moich starych nie stać na szycie. - Leon gwałtownym ruchem rozchylił kurtkę Eliego.
- Ty też oberwałeś nożem?
- Nie. Ja jestem chudy, a kurtka o numer za duża.
- Zwariowałeś? Co cię obchodzą moje kłopoty?
- A na czym polegają twoje kłopoty?
- Ci gnoje są z Ludawissee Gap. Jeden z nich wygadywał jakieś świństwa do mojej siostry Prig. Ona ma tam sklep spożywczy. Zawsze przyłażą i kradną jej różne rzeczy. Wziąłem kuzyna i poszliśmy im dokopać. A teraz się mszcza.

A więc Leon miał siostrę, którą chronił. Eh docenił szlachetne, honorowe zachowanie chłopaka. Opowie Darl o bohaterskim wyczynie Leona. Przy okazji napomknie, że i jemu mało nie wpruili flaków. To na pewno zrobi na niej wrażenie.

- Dobrze sobie radziłeś, ale z walką na pięści daleko nie zajdziesz. Ja sobie dałem z tym spokój już dawno.

- Co, uważasz, że masz to z głowy? Waliłeś tych sukinsynów jak idiota. Co ci się wydaje - że jesteś Johnem Frazierem czy jak? - Leon uśmiechnął się boleśnie i poklepał Eliego po plecach. Podnieśli się z ziemi i Eli wyciągnął kłębek waty ze swojej rozciętej kurtki.

- Masz, przyłóż sobie, przynajmniej zanim dojdiesz do domu.

Mniej więcej w tym momencie na parkingu pojawił się ojciec Eliego. Wytężał wzrok, wypatrując w mroku syna.

- Chodź, może cię podwieźć? - Eli zwrócił się do Leona, ale podejrzewał, że chłopak nie przyjmie pomocy od białych, i rzeczywiście się nie mylił. Leon potrząsnął głową. Przyłożył sobie „watę” do krwawiącego policzka i ruszył przez las. W pewnym momencie odwrócił się i zawołał:

- Jeszcze kiedyś i ja ci pomogę!

Eli wszystkie obietnice traktował bardzo poważnie.

- To ja ci wtedy bardzo dziękuję.

Powiedział Darl o całym wydarzeniu, a ona szepnęła słówko Matyldzie, która z kolei dopilnowała, żeby policzek Leona Forresta został zszyty. Kłopoty Leona poruszyły w niej jakąś strunę i od tej pory wzięła go dyskretnie pod swoje skrzydła. Obie z Karen trzymały dystans wobec kilku czarnych rodzin w mieście, które je w naturalny sposób odrzuciły. Eli zawsze się zastanawiał, czy pomoc okazana Leonowi była ich jedynym znakiem, że jest im przykro.

Uznał, że to jest właśnie ta magia, którą on i Darl wyzwalali do spółki.

W moje dziesiąte urodziny, które przypadły pewnej niedzieli pod koniec września, Swan i ja siedziałyśmy naprzeciwko siebie w jadalni i z pięknej porcelanowej zastawy jadłyśmy pieczone kurczęta, słodkie kukurydziane bułeczki i sałatkę z groszku. By-

łam szczęśliwa, że możemy zjeść posiłek tylko we dwie, co zdarzało się niezwykle rzadko, i że mogę mieć ją tylko dla siebie. Jak zawsze rano byliśmy na nabożeństwie w kościele metodystów, historycznym sanktuarium z marmuru, z tablicą poświęconą pamięci prababki Esty, która je zbudowała.

W drzwiach dla służby ukazała się Annie Gwen, niosąc srebrną tacę, na której dostrzegłam niewielki pagórek nakryty białą serwetką. Skwitowała uśmiechem moje zdziwione spojrzenie, postawiła tacę na wielkim antycznym bufecie, a następnie sięgnęła pod serwetkę i wyciągnęła końcówkę brązowego przewodu. Moja ręka z widelcem zastygła nad sałatką w bezruchu, kiedy zobaczyłam, jak Annie Gwen włącza przewód do gniazdka.

Spojrzała na Swan, która odprawiła ją skinieniem głowy.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, panno Darl - powiedziała Annie Gwen i wyszła z pokoju. Popatrzyłam najpierw na włączony tajemniczy przyrząd, a potem na babkę. Wstała od stołu, elegancka jak zawsze, w spódnicy do pół łydki i takim samym jasnobursztynowym stosownym do pory roku żakiecie. Ja byłam w dalszym ciągu skazana na róż.

- Skończyłaś dziesięć lat - powiedziała Swan. - To kamień miłowy. - Wyjęła ze stojącego na bufecie srebrnego wiaderka butelkę szampana i do dwóch wąskich kryształowych kieliszków nalała złocistego płynu, dolewając do niego następnie ze srebrnego dzbanka soku pomarańczowego. - To jest twoja pierwsza mimoza. Podejdź no tu, proszę.

Wstałam i ostrożnie podeszłam do bufetu, w dalszym ciągu gapiąc się na elektryczne coś, ukryte pod sztywną białą serwetką. Wyglądało na to, że Swan chce mnie ocechować. Wręczyła mi kieliszek szampana, a ja go uniosłam wysoko, naśladowując dorosłych, których widywałam na przyjęciach. Stuknęła się ze mną, czemu towarzyszył głęboki dźwięk jak gdyby dzwonu. Czekałam, aż coś powie, choćby wszystkiego najlepszego, ale nie powiedziała. Westchnęłam i przytknęłam kieliszek do ust. A więc taki miało smak bycie w połowie drogi do dorosłości. Słodki, a zarazem trochę cierpki, z lekkim uderzeniem musującego ciepła, sięgającym aż do palców stóp.

Za jednym zamachem opróżniłam kieliszek do dna. Tak bardzo chciałam być dorosła. Żeby Swan mogła być ze mnie jeszcze bardziej dumna, niż była.

- Nigdy więcej tak nie rób - poleciła. Zakręciło mi się w głowie; spoglądałam na nią z niedowierzaniem. Jej oczy zapłonęły. - Nie zachowuj się jak bywalcy barów upijający się piwem. Alkohol należy saczyć. I zawsze zostawiać na dnie jakieś dwa centymetry napoju. W ogóle nie wolno się rzucać na jedzenie, a zwłaszcza na alkohol. I pamiętaj: nigdy więcej niż dwa drinki naraz. A jeżeli będziesz sama w męskim towarzystwie, to wcale.

- Tak, proszę babci.

Wzięła ode mnie kieliszek i postawiła obok swego, elegancko niedopitego.

- Mam dla ciebie prezent.

Gapiłam się na przykryty serwetką przedmiot. Czułam, że język mi się płacze.

- Czy to będzie bolało? - zapytałam.

- Co takiego?

- Nie, nic, przepraszam, proszę babci.

Swan uniosła krawędź serwetki, odsłaniając piękną złotą szkatułkę. Wzięła ją do ręki i otworzyła. Na widok delikatnego wisiora na cienkim złotym łańcuszku wydałam okrzyk zachwytu. Płaska łezka z różowego marmuru została oprawiona w złotą filigranową ramkę. Pośrodku marmurowej łezki widniał jednokaratowy brylant w złotych pazurkach.

- Jest taki sam jak twój!

- Tak. I o to właśnie chodzi. - Swan wyjęła naszyjnik i postawiła szkatułkę na bufecie, a następnie spod miękkiego kołnierza swojego żakietu wyciągnęła identyczny wisior. - Dostałam go od matki, kiedy miałam dziesięć lat. Możesz zobaczyć na jej portrecie taki sam. - Przerwała. Jej usta wygięły się lekko. - Ma taki wisior również moja siostra Klara. I... - Znów zrobiła pauzę i dokończyła szybko: - Również twoja matka dostała taki ode mnie, kiedy była w twoim wieku. Mają je wszystkie kobiety Hardigree. I wszystkie je nosimy.

- Kochałaś moją matkę. Czy kochasz i mnie? - wyrzuciłam z siebie bez zastanowienia.

Twarz Swan zamknęła się nagle.

- Jesteś moją wnuczką - powiedziała. - I moja jedyną spadkobierczynią. To ma dla mnie ogromne znaczenie.

Cała moja radość, podniecenie i duma prysły jak bańka mydlana. Nie była w stanie nawet wymówić tych słów. D l a c z e g o

w żaden sposób nie mogłam na nie zasłużyć? Zawiesiła mi na szyi wisiorek i zamknęła zatrzask. Ściągnęła serwetkę ze srebrnej tacy. Moim oczom ukazało się coś w rodzaju maleńkiej lutownicy. Zrobiło mi się słabo.

- To jest lutownica - wyjaśniła Swan i wsunęła palce pod zameczek naszyjnika. Serce we mnie zamarło. - Ssz - powiedziała uspokajająco. - Ja tylko zanituję ten zameczek.

- Dlaczego?

Wbiła we mnie nieustępliwe niebieskie oczy.

- Ponieważ taka jest nasza tradycja i chciałabym, żebyś ją szanowała. Mój naszyjnik jest zalutowany i tak samo był zalutowany naszyjnik twojej matki. I Klary. I twojej prababki. Wszystkie.

- Czy to znaczy, że nigdy nie będę mogła go zdjąć?

- Nigdy.

Stałam jak okazowe cielę, podczas gdy Swan manewrowała lutownicą koło mojej szyi. Poczułam kwaśny zapach spalenizny i zrobiło mi się niedobrze. Ona mnie nie kocha i dlatego zakłada mi łańcuch na szyję. Jak psu. Będę nosiła psią obroź.

- No, już - powiedziała w pewnym momencie i cofnęła się o krok. - Gotowe.

- Dziękuję, proszę babci - zdołałam wykrztusić.

Przy pierwszej okazji, jaka mi się nadarzyła, wyszłam z jadalni, zbiegłam po tarasowych stopniach, minęłam stawek ze złotymi rybkami i pognałam do lasu, gdzie natychmiast zwymiotowałam.

- Nie, Bell, tego nie. - Eli wyrwał siostrze balon w chwili, kiedy usiłowała go przywiązać do jednej z niższych gałęzi młodego sasafrasu. Drzewko wyrosło w ubiegłym roku na zboczu dolinki, w której znajdował się Ogród Kamiennych Kwiatów. Mimo że razem z Darl, we trójkę, wypielili, oczyścili i uporządkowali dziwką dolinę, zdecydowali się zostawić ten sasafras ze względu na jego zabawne dłoniaste liście.

Bell skrzywiła się, kiedy Eli wziął balon za sznurek.

- Co od niego chcesz? - zapytała.

- Jest różowy. A ma nie być nic różowego.

Mała zrobiła zabawnie wystraszoną minę.

- Aha, nie podobałby się Darl, tak?

Eli wypuścił powietrze z balonu i schował go do kieszeni dżin-

sów. Spojrzał na zegarek, który dostał od rodziców trzy miesiące temu z okazji trzynastych urodzin.

- W porządku. Już czas. Pójdę za górkę i na nią poczekam. A ty bądź gotowa.

Bell się uśmiechnęła.

- Będę. - W wieku siedmiu lat w dalszym ciągu była małowzrastająca i nieśmiała, ale w niczym nie przypominała szkraba, który dosłownie drżał na widok każdej obcej osoby. Ubrana w spodenki z uciętymi nogawkami i w koszulkę, schowała się za kamienną wałą i przykucnęła. Eli skinął głową na znak aprobaty i poprawiwszy okulary na nosie, ruszył pod górę.

Rodzice sprawili mu okulary w metalowej oprawce, którymi nie był specjalnie zachwycony. Raz na sześć tygodni chodził do fryzjera w Burnt Stand, gdzie czarne, grube kosmyki włosów jego i taty spadały na różową marmurową podłogę jak włosy innych klientów w mieście i skąd wychodził przyzwoicie krótko ostrzyżony. Skończyły się domowe fryzury z przedziałkiem i „pod garnek”.

Wszystko szło dobrze. Mówiło się nawet w kamieniołomie, że tata wkrótce awansuje na brygadzystę. Mama ze swojej pracy pokojówki w Marmurowym Dworze oszczędziła dość pieniędzy, żeby kupić w sklepie z przecenionymi meblami w Asheville furnirowany dębem komplet do saloniku, a tata dumnie dołożył jej jeszcze dwadzieścia dolarów, żeby mogła kupić na pchlim targu dwie fantazyjne lampy.

No cóż, takie już jest życie - myślał Eli ponuro, siadając na zmuszałym dębowym pniu. Musisz dać z siebie dużo, żeby dostać niewiele. Bóg i Swan Hardigree Samples są dla nich dobrzy, ale jego rodzina ciężko sobie na to zapracowała i Eli nigdy nie zrobiłby nic, żeby to ich szczęście zniszczyć. Usłyszał szelest kroków w suchych liściach i szybko wstał. Natychmiast poprawił mu się nastrój, jak zawsze, kiedy Darl ukazywała się na szczycie najbliższego pagórka. Pomachała do niego w powitalnym geście, w odpowiedzi uniósł rękę.

Uciekając do lasu, nigdy nie ubierała się na różowo. Brązowe włosy, koloru futerka norki, spadały jej na ramiona i na przód niebieskiej bluzki. W ciągu ostatnich kilku lat urosła jakieś dziesięć centymetrów. Wszystko wskazywało, że będzie wysoka i szczupła jak jej babka. Ramiona i nogi miała długie i silne, skó-

rę delikatną jak jedwab, a oczy, nawet ze znacznej odległości, intensywnie niebieskie. Eli patrzył, jak się zbliża, z jakimś nowym uczuciem, które dręczyło go coraz bardziej. Kochał ją, ale nie powinien się tak na nią gapić. Jeszcze nawet nie miała piersi.

Ile wspaniałych chwil spędzali w ukrytym ogrodzie, czytając książki sobie nawzajem i Bell, rozmawiając o życiu i słuchając muzyki z przenośnego radia albo nawet tańcząc w takt różnych piosenek. Tyle samo czasu - ale o ile mniej szlachetnie - spędzał na fantazjowaniu o dziewczynach z dziewiątej klasy, które miały duże piersi, o modelkach prezentujących bieliznę w katalogu Searsa, a nawet o perwersyjnych kształtach gruszek czy straków papryki, jakie widywał w supermarkecie w Burnt Stand. Wszystko to razem ogromnie go krępowało.

Ale oto zjawiła się - jego najlepsza przyjaciółka, najwierniejsza sojuszniczka, tajemna miłość, Darl Union. Twarz miała dość smutną, ale jakżeż często bywała przygnębiona - dopóki się do niej nie odezwał. Lubił patrzeć, jak na jego widok oczy Darl się zapalały.

- Stop. Zatrzymaj się. - Podszedł do niej, wyciągając z kieszeni dzinsów niebieską bandankę. - Muszę ci zawiązać oczy. Bell i ja mamy dla ciebie niespodziankę.

- Wywalę się o jakiś kamień i to dopiero będzie niespodzianka.

- Ciii, ja cię poprowadzę. - Delikatnie zawiązując chusteczkę, wdychał rozkoszny zapach jej ubrania i skóry. Zanim jednak zdążył zakryć jej oczy, spojrzała na niego ze smutną ufnością, burząc jego szlachetne myśli i wprowadzając w nie hormonalny zamęt. Kiedy skończył, odsunął z twarzy Darl kosmyk włosów, a następnie wziął ją za rękę.

- Po prostu idź za mną.

- Dobrze.

Prowadził ją ostrożnie pod górę, a kiedy dotarli na miejsce, z którego roztaczał się widok na Ogród Kamiennych Kwiatów, delikatnie rozwiązał chustkę.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. - Darl zaczęła się śmiać; przytknęła dłoń do twarzy, jakby zastygła w modlitewnej pozie. Głęboką dolinę wypełniały kolorowe balony. Przyczepione do kamiennej wazy, ławek, drzewka sasafrasu i rododendronów chwiały się i tańczyły w ciepłym powietrzu wczesnej jesieni.

- Wszystkiego najlepszego, Darl! - zawołała cicho Bell. Wyłoniła się zza szerokiej podstawy marmurowej wazy, wystawiając na odwróconych dłoniach mały koślawy tort z białym kremem. Płonęło na nim dziesięć świeczek.

- Coś fantastycznego! - wykrzyknęła Darl. Złapała Eliego za rękę i puścili się biegiem w dół. - Jaki śliczny!

Bell zaczerwieniła się ze szczęścia i dumnie skłoniła kudłatą ciemną główkę.

- Sama go zrobiłam - wyszeptała.

- Naprawdę? To jeszcze bardziej mi się podoba.

Eli ścisnął Darl za rękę.

- Obmyśl sobie jakieś życzenie i zdmuchnij świeczki.

Darl spoważniała i spojrzała na mały zabawny torcik z cienkimi świeczkami.

- Chciałabym, żebyście ty i Bell byli moją rodziną.

Bell spojrzała na nią rozpromieniona, a Eliego ogarnęła ciepła fala radości, ale jakby skażonej złym przeczuciem.

- Nie powinnaś tego wypowiadać głośno.

Bell skwapliwie skinęła głową. Szczерze wierzyła w magię.

- Bo to się wtedy nie sprawdzi.

Spojrzenie Darl nabrało stanowczości.

- Ale ja tak zrobię, że się sprawdzi. Znajdę na to sposób. - Z determinacją zdmuchnęła świeczki i spojrzała na Eliego.

Serce mu się ścisnęło. Z kieszeni spodni wyjął małą paczuszkę i wyciągnął w jej stronę. Upominek był starannie zapakowany w białą bibułkę. Rozwinęła ją, jakby to był czysty jedwab. W środku znajdował się mały wypolerowany kawałek marmuru w kształcie idealnego owalu.

- Sam to dla ciebie zrobiłem - powiedział. Pośrodku owalu była wyryta wydłużona cyfra osiem. - To jest symbol matematyczny - wyjaśnił szorstko. - Oznacza nieskończoność. Na zawsze.

Darl stanęła na palcach i zanim się zorientował, co zamierza zrobić, złapała go za front koszuli, przyciągnęła do siebie i błyskawicznie pocałowała w usta. Policzki mu zapłonęły; ona też się zaczerwieniła. Napotkała jego spojrzenie i odwróciła się szybko, nagle speszona.

- Na zawsze - wyszeptała.

Nikt nie wiedział, co po tym wszystkim powiedzieć. Eli i Darl usiedli na ziemi obok ławki, odpychając balony, które ich czule

muskały. Wsadzali palce w biały krem i miękkie ciasto i nie patrząc na siebie ani na Bell, w milczeniu jedli. W końcu mała zaczęła chichotać.

Eli napawał się każdą chwilą, mało mu serce nie pękło ze wzruszenia. Tamten smak, najśodszy na świecie, na zawsze będzie mu się kojarzył z Darl. Na zawsze.

Była ciepła, słoneczna październikowa sobota w środku miesiąca. Pamiętam potężne sylwetki dębów, rosnących wzdłuż podjazdu Marmurowego Dworu, spokój ziemi i panującą w domu atmosferę wyciszenia. Poprzedniej nocy ulewny jesienny deszcz pozbawił drzewa resztek liści. Moje myśli, krążące wokół bliskiej już zimy, też były nagie i niewesołe.

Siedziałam w bibliotece, skulona na miękkiej kanapce w okiennym wykuszu, grzejąc się w słońcu i pochłaniając nową książkę *Watership Down*. Gdzieś w głębi domu Swan rozmawiała przez telefon z dostawcą i dekoratorem, planując przyjęcia na sezon świąteczny, które wydawała zarówno w Burnt Stand, jak i w Asheville. Matylda wyjechała na weekend, a Karen drzemała w mojej sypialni. Annie Gwen, która w swój cichy, spokojny sposób samodzielnie zarządzała kuchnią i całym domem, odkurzała teraz salon.

Za godzinę miałam się spotkać w ogrodzie z Elim, Karen i Bell. Z poświęceniem chodziłam na koszmarne sztywne lekcje tańca do specjalnej szkoły w Asheville i teraz uczyłam Eliego walca. Ale zwykle nie chciał tańczyć. Natomiast Bell, Karen i ja pląsałyśmy i wirowałyśmy, gdy tymczasem on leżał na ziemi w plamie słońca, wyśmiewając się z naszej głupoty.

Zegar na kominku tykał i szemrał. Przewróciłam kartkę książki. Doszedł mnie jakiś obcy odgłos, ale zignorowałam go, jakby to było brzęczenie muchy. Dźwięk się nasilił, więc podniosłam głowę i nadstawiłam uszu. Zobaczyłam na podjeździe jakiś samochód. Nic nadzwyczajnego. Swan musiała zaprosić którąś ze swoich znajomych z miasta. Nie były takie głupie, żeby nie przyjąć zaproszenia.

- Ja otworzę! - zawołałam do Annie Gwen. Poszłam do wysokiego holu, z wiszącymi u sufitu żyrandolami, i spojrzałam przez jedno z okien znajdujących się po obu stronach podwójnych

ozdobnych drzwi. Wysadzonym dębami podjazdem zbliżał się jaskrawoczerwony sportowy samochód. Musiałam się pomylić; Swan nie utrzymywała stosunków z ludźmi jeżdżącymi takimi samochodami. Dach wozu był otwarty, ale nie mogłam dostrzec kierowcy. Otworzyłam masywne drzwi i wyszłam na szeroki marmurowy podest, po którego bokach stały w kamiennych donicach wysokie, smukłe cedry. Zmrużyłam oczy w ostrym jesiennym słońcu.

Kobieta. Czerwony samochód prowadziła ciemnowłosa kobieta w okularach przeciwsłonecznych. Skręciła na podwórze, nieomal ścinając przy okazji wypielegnowane krzewy. Opony samochodu zapisać zaczęły, kiedy zahamowała gwałtownie, zatrzymując się dosłownie o centymetry od wypolerowanych marmurowych stopni portyku. Byłam zdumiona i zaskoczona takim brawurowym wtargnięciem na nasz teren. Kobieta otworzyła drzwi samochodu i wysiadła. Czerwone buty na wysokich obcasach zastukały o różowe płyty. Obcisłe eleganckie dżinsy uwydatniały długie, szczupłe nogi. Wyprostowała ramiona, okryte czarną skórzaną kamizelką z frędzlami. Jej zmysłowe piersi napierały na guziki białej bluzki, tak przezroczystej, że widać było pod nią wyraźnie mały czarny stanik. Szminka kobiety miała kolor jaskrawoczerwony, a zaczesane do góry ciemne włosy tworzyły burzę loków.

Gapiłam się na nią w osłupieniu. Jakaś szalona istota pojawiła się u naszych drzwi.

Patrzyła prosto na mnie, a na jej twarzy pojawił się pełen wyższości prowokacyjny uśmiech, który lekko wykrzywił usta, powodując zmarszczki, podkreślające wiotczącą skórę podbródka. Nie była taka młoda, za jaką chciała uchodzić, ale z pewnością tak ironiczna, jak tego pragnęła.

- Jesteś idealną kopią swojej cholernej babci - powiedziała, przeciągając słowa.

Poczułam ukłucie gniewu. Zacisnęłam usta i dumnym gestem uniosłam głowę.

Wybuchnęła śmiechem.

- O Boże, zupełnie jak Swan!

Za mną drzwi rezydencji otworzyły się z eleganckim świstem. Odwróciłam się błyskawicznie. Na progu stała Swan, wpatrując się w naszego gościa. Co do ubrania i zachowania, nie mogły się bardziej różnić. Swan, w jej typowo weekendowym nieoficjalnym

stroju, na który składały się szyte na miarę spodnie i szary sweter ozdobiony perłami, można było porównać do firmowego dania w eleganckiej restauracji; przybyła - do popularnej potrawy z przydrożnej knajpki.

Żadna z nich nie odezwała się słowem. Oczy Swan, zimne jak błękitne lody Arktyki, utkwione były w kobiecie, która patrzyła na nią, znieruchomiała nagle i chmurna. Cisza przedłużała się w nieskończoność. Myślałam, że od wstrzymywanego oddechu pękną mi płuca. Przypominały stojących naprzeciwko siebie w wyzywającej pozie rewolwerowców ze starego westernu.

- Pal! - powiedziałam nagle.

Kobieta gwałtownym ruchem zerwała z nosa okulary. Onie- miałam. Jej niebieskie oczy Hardigree patrzyły na Swan dokład- nie tak, jak mangusta patrzy na kobrę.

- Witaj, siostró - powiedziała kobieta.

Słowa, które wypowiedziała Swan, przypominały syk.

- Witaj, Klaro.

- I wtedy wyjechała z samochodu cztery czy pięć wielkich waliz i wciągnęła je do domu. - Szybko wyrzucałam z siebie słowa. - A Swan po prostu stała i patrzyła. Nie powiedziała: „Stop”, „Nie” czy „Nie jesteś tu mile widziana”. Nie, po prostu pozwoli- ła jej wejść. A moja... moja cioteczna babka Klara zabrała walizy na górę, wprowadziła się z nimi do największego gościnnego po- koju i zatrzęsnęła za sobą drzwi. Wtedy Swan poszła do swojego gabinetu i też zatrzęsnęła za sobą drzwi. A ja gapiłam się na to wszystko wybałuszonymi oczami, zastanawiając się, co z tego wy- niknie.

Przede mną w Ogrodzie Kamiennych Kwiatów siedzieli Ka- ren, Eli i Bell. Na chudej twarzy Eliego widać było najwyższą koncentrację. Usta Bell niemal na stałe przybrały kształt litery O. „Och!” - wyrывało jej się co chwila. Karen gwizdnęła pod nosem. W końcu Eli po zastanowieniu potrząsnął głową.

- Cała ta sprawa nie ma nic wspólnego z tobą i tylko to się dla mnie liczy.

Nachyliłam się do niego.

- Czy kiedykolwiek słyszeliście, żeby wasza mama mówiła coś o mojej babce i Klarze? - spytałam. - To znaczy Matylda na pew-

no wie o nas różne rzeczy, o których nie mówi, ale może powiedziała coś waszej mamie.

- Mama milczy jak grób - wyszeptała Bell. - Ja mam to po niej.

- Muszę sama do tego dojść. Babka z Klarą się nienawidzą. Ale nikt mi nie chce powiedzieć dlaczego.

Eli zmarszczył czoło i popchnął w górę okulary.

- Ty im lepiej nie wchodź w drogę. Jak dojdzie do tego, że zaczną się bić, wyciągną spluwy albo zechcą odpalić pocisk atomowy, to wrzasknij tylko, a ja przylecę na ratunek.

Zrobiło mi się ciepło koło serca.

- Ukryję się koło stawu ze złotymi rybkami i kiedy bomba wybuchnie, zawołam: „Na pomoc!”.

Wszyscy się roześmieli - tak zawsze na siebie działaliśmy, nawet w trudnych chwilach. Nagle usłyszeliśmy dalekie dzwonięcie. Karen i ja zerwałyśmy się, zaniepokojone. W ogrodzie za domem na potężnym palu dębowym wisiał mosiężny dzwon. Babka i Matylda przywoływały nas w ten sposób z naszych wędrówek po lesie.

- Musimy iść.

Eli i Bell pozbierali się z ziemi.

- Uważaj na Klarę! - zawołała Bell. Uścisnęłam ją.

- Nie boję się Klary. Jest taka czerwona, że widać ją na kilometr. Nie podkradnie się do mnie niespodziewanie.

Eli zmarszczył czoło. Lubiłam patrzeć na niego, kiedy miał taką opiekuńczą minę. Oczy mu wtedy ciemniały i robił się naprawdę słodki.

- Krzycz, gdybyś mnie potrzebowała - powiedział spokojnie. - Obiecuję.

Miałam ochotę go pocałować. Ale powstrzymałam się i tylko skinęłam głową.

Żołądek podjechał mi do gardła, kiedy znalazłyśmy się z Karen w takiej odległości od domu, że widać nas już było z okien. Na tarasie wypatrywała nas Matylda. Jej brązowe siwiejące włosy nie poruszały się w popołudniowym wietrze, złocista twarz zastępyła w wyrazie troski, a cała sylwetka jakby zeszytniała w dobrze skrojonej wełnianej sukni w kolorze umbry. Wbiegłam na kamienne stopnie.

- Darl, spakuj się na weekend - poleciała mi sucho. - Twoja babcia wysyła cię razem z Karen na kilka dni do nas.

- Fantastycznie! - zawołała uradowana Karen.

- Czy babcia i Klara będą się kłóciły? - zapytałam.

- Klara przyjechała po pieniądze i wyjedzie wtedy, kiedy do-
stanie tyle, ile żąda. Problem polega tylko na tym, ile i kiedy two-
ja babka zechce jej dać i jak długo ona zechce na to czekać. -
Nie mogłam wprost uwierzyć, że Matylda mówi nam takie rzeczy.
Jeszcze nikt do tej pory z niczym takim przed nami się nie zdra-
dził.

Złapałam Karen za rękę i pobiegłyśmy pakować rzeczy. Wy-
czuwałam w domu napięcie, wsłuchiwałam się w zdradziecką
przerażającą ciszę, jaka panowała pomiędzy babką i jej siostrą,
i czekałam, aż ich niebieskookie bomby wybuchną i zburzą mój
świat.

- Całkiem tu u was fajnie - szepnęłam do Karen, kiedy tuliły-
śmy się do siebie pod puchową kołdrą w łóżu z baldachimem. Po-
kój był pomalowany na ciepły kolor kremowy i jaskrawożółty.
Nawet zdjęcie ojca Karen, bohatera wojny w Wietnamie, które
stało na komodzie, było oprawione w kremowo-żółtą ramkę. -
Przynajmniej nie jest różowo.

Miała na sobie flanelową koszulę; przytuliła się do mnie moc-
niej. Jesienią dni w górach bywały jeszcze gorące, ale noce zrobi-
ły się zimne.

- Gdybyś nie była biała, zawsze mogłabyś do nas przyjeżdżać
i ludzie by nie gadali.

- A ja bym chciała, żebyś została kiedyś ze mną na noc w Mar-
murowym Dworze. Nikt nie śmie mówić źle o gościach mojej
babki.

Karen parsknęła z niesmakiem wobec tak uproszczonych po-
glądów jak moje, a następnie westchnęła.

- Żałuję, że nie jesteśmy siostrami.

- Ja też. - Wzięłyśmy się za ręce. - Nie byłybyśmy takie jak
moja babka i Klara. My byśmy się lubiły.

- Tylko że ludzie by nam nie pozwolili. Ja jestem czarnucha,
Darl.

To słowo zawisło między nami w powietrzu jak duch. Karen

jednak wypowiedziała je w sposób tak naturalny, że nie miało wielkiej mocy. Ale nawet odosobnienie, w jakim żyłyśmy, nie chroniło nas przed tymi problemami. Spojrzałam na majaczące w ciemności obramowane żółtym kolorem ściany, na żółtą koronkę, którą obszyte były kremowe firanki, i nawet na żółtą ramkę, z której w żółtym świetle lampki nocnej spoglądał dumnie czarny ojciec Karen.

- To nieważne, co ludzie gadają.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak na nas mówią, kiedy idziemy gdzieś same z babcią.

- Nie mają prawa! Swan by im nigdy nie pozwoliła!

- Nie tutaj. W Asheville. Różne panie gapią się na nas w sklepach. Kiedyś słyszałam, jak jedna z nich powiedziała: „Popatrz tylko na te wystrojone czarnuchy”. A kiedy indziej znów, kiedy brałyśmy paliwo, facet ze stacji benzynowej powiedział do mojej babci: „Ty to musisz pracować u jakiejś bogatej białej pani, że pozwala Murzynce jeździć takim przyzwoitym samochodem”. Zawsze tak jest, Darl, możesz mi wierzyć. Dlatego wolimy się z babcią nigdzie dalej nie ruszać.

- Będę was chroniła z całych sił, obiecuję.

Karen parsknęła.

- Nie potrzebuję, żebyś mnie chroniła, idiotko. A poza tym i tak byś nie dała rady. Reszta świata nie jest taka jak Burnt Stand.

Serce ścisnęło mi się z bólu. Co znaczą władza i pieniądze, skoro nie możesz ochronić nawet najbliższych osób?

- Cholera! Cholera! Cholera! - Waliłam pięścią w poduszkę. Czułam się tak, jakby każdy mięsień mego ciała zacisnął się w węzeł.

Reszta świata była jak Klara.

Rozdział 5

Następnego dnia po południu Matylda wyszła pozałatwiać sprawy, a Karen zasnęła na sofie w salonie. Dokoła niej leżały rozrzucone podręczniki, a na starym czarno-białym telewizorze, stanowiącym jedyną koncesję Matyldy na rzecz tanich rozrywek, siedł zakazany fragment *Dni z naszego życia*. Do różowej wełnianej spódnicy i różowej bluzki założyłam różowy sweter i różowe tenisówki i wymknęłam się z eleganckiego bungalowu Matyldy. Skierowałam się na zachód wąską niebrukowaną drogą, przez pokryty lasem pagórkowaty teren, w stronę położonych w odosobnieniu górskich farm. Czekał mnie niespełna trzykilometrowy spacer.

Październikowe popołudnie było upalne, więc zawiązałam sweter w tali. Kiedy wreszcie dotarłam do podjazdu Marmurowego Dworu, słońce rzucało przez złociste jesienne drzewa głębokie ukośne cienie. Nie było jeszcze piątej, co oznaczało, że Swan jest w biurze albo w salonie zamówień w mieście. Obeszłam dom od frontu i wślizgnęłam się przez bukszpanowy ogród z boku. Miałam klucz od drzwi kuchennych i zamierzałam się nim posłużyć. Po cichutku odszukam Klarę i zobaczę, czy trująca aura, jaką wokół siebie roztaczała, stopniała jak lód w ciepłym jesiennym słońcu.

Nie musiałam fatygować się daleko. Wystarczyło, że wyszłam z bukszpanowego ogrodu przez otwartą furtkę w murze, otaczającym dom od tyłu. Zobaczyłam Klarę koło basenu - opalała się w ostrym słońcu na wykładanej miękkimi poduszkami wiklinowej leżance.

Całkowicie naga.

Stanęłam jak wryta; przypominałam sarenkę, która zobaczyła wilka. Miałam nadzieję, że jeśli nie będę się ruszała, to stanę się

niewidoczna na tle różowego muru. Może dlatego właśnie Swan ubierała mnie zawsze na różowo - żeby mi zapewnić bezpieczny kamuflaż. Ale było już za późno. Stałam dokładnie naprzeciwko leżanki Klary. Moja cioteczna babka uniosła głowę, a na ustach pojawił się lekki uśmiezek. Nie mogłam dostrzec jej oczu za dużymi ośmiokątnymi okularami w białej oprawce, które upodabniały ją do zmutowanego owada z fantastycznego filmu grozy. Niewykluczone, że miała ochotę pożreć mnie żywcem, ot tak, dla zabawy. Z lekkiego koka na czubku głowy spływały grube pukle czarnych farbowanych włosów. Długie, smukłe nogi kołysały się prowokacyjnie, kiedy je skrzyżowała w kostkach.

Miała czterdzieści osiem lat, ale jej ciało zachowało gibkość charakterystyczną dla kobiet z rodziny Hardigree, na długo zapewniającą im atrakcyjność i szybkość w ataku. Nigdy do tej pory nie widziałam nagiej dorosłej osoby, a tym bardziej kogoś z rodziny. Gapiłam się bezradnie na jej jędrne sztucznie krągłe piersi i rozpaczliwie usiłowałam omijać wzrokiem krocze.

- Chodź no tu do mnie, droga Darl - powiedziała miękko, przeciągając słowa. Byłam zdumiona jej przyjacielskim tonem. - Nie bój się, nie ugryzę cię.

- Ja... ja tylko wpadłam na chwilkę, proszę pani, tylko chciałam wziąć jeszcze coś z ubrania.

- Jasne. - Zsunęła się niżej na długim niebieskim ręczniku kąpielowym, którego koniec zamiatał różową marmurową podłogę patio. Jakby chcąc wyjść naprzeciw mojej skromności, przysłoniła sobie rogiem ręcznika podbrzusze, nie czyniąc jednak najmniejszego wysiłku, żeby zakryć piersi.

- Podejź bliżej. - Wskazała gestem trzcinyowy fotel. Kiedy nie zastosowałam się do jej polecenia, uniosła brwi ponad białe oprawki okularów. - Chyba się nie boisz swojej ciotecznej babki, co? Nie wierzę, by Swan wychowała cię na prowincjonalną gąskę.

Podeszłam do niej z wyrazem ponurej godności. Uderzył mnie nieznanymi ostrymi zapachami i zaraz potem dostrzegłam pod leżanką popielniczkę. Z dziwnego papierosa domowej roboty wiała się w górę smużka dymu. Obok stał jeden z najpiękniejszych kieliszków Swan do martini, pusty. O alkoholu wiedziałam wiele, ale nigdy dotychczas nie spotkałam się z zapachem marihuany. Usiadłam na samym brzeжку fotela, z kolanami mocno ściśniętymi, jakbym się bała, że egzotyczny zapach przypominający swąd pa-

lonego knota wpełźnie mi pod spódnicę i sprawi, że ja też będę miała ochotę się rozebrać.

I wtedy, za wszelką cenę usiłując zebrać myśli, zobaczyłam naszyjnik. Marmurowa łażka z brylancikiem wisiała na złotym łańcuszku na szyi Klary tak samo jak na mojej i Swan. Poczułam rodzinne ciepło koło serca. Czy mogła być tak bardzo zła, a jednocześnie zachowywać nasze tradycje?

- Ja też mam taki naszyjnik, proszę pani - powiedziałam, wyciągając wisiołek zza dekoltu różowej bluzki.

Klara zaśmiała się gardłowo.

- Zostałaś ocechowana na całe życie. Powinam go zerwać z szyi i wyrzucić do pierwszej z brzegu toalety, ale to jedyna pamiątka po matce, jaka mi została, odkąd Swan wyrzuciła mnie z miasta. Miałam wtedy szesnaście lat. Znasz tę historię?

Zesztywniałam; znów wróciły moje lęki.

- Nie, proszę pani. - Wstałam. - Ja już chyba pójdę. Muszę sobie przygotować ubranie.

W uspokajającym geście uniosła dłoń zakończoną pomalowanymi na biało paznokciami.

- Skarżę ci się po prostu z nudów. Nie mogę się stąd ruszyć. - Parsknęła śmiechem. - Swan nałożyła na mnie areszt domowy.

- A co... co pani takiego złego zrobiła, jeśli wolno zapytać?

- Jeśli wierzyć Swan, droga Darl, odziedziczyłam wszystkie najgorsze cechy Hardigreech.

Wsunęłam rękę do kieszeni spódnicy i zacisnęłam ją na małym marmurku, który dostałam od Eliego. Bałam się Klary i potrzebowałam wsparcia przez kontakt z talizmanem.

- Ona... ona mi niewiele o pani mówiła.

- I nic dziwnego. Żyję po ciemnej stronie planety Hardigree. Tej przyjemniejszej. - Nachyliła się do przodu. Jej piersi się zakłysały. Siedziałam jak zahipnotyzowana. Klara się uśmiechnęła. - Mogłabym ci opowiedzieć najróżniejsze historie o naszej rodzinie, ale... nie zrobię tego.

Mocniej ścisnęłam talizman, a że dłoń miałam spoconą ze zderzenia, kamyk wyślizgnął mi się, wystrzelił na podłogę i potoczył się w stronę Klary. Opuściła rękę, zakończoną długimi szponami, i podniosła mój skarb.

- O, widzę, że masz marmurową maskotkę. Jaka słodka. A co znaczy ta cyfra osiem?

- Nic specjalnego. - Wyciągnęłam rękę. - Czy może mi pani to oddać?

- Nie. - Zacisnęła dłoń na moim marmurku. - Jeśli mi nie powiesz, to wyrzucę ten kamyk do basenu.

Wzdrygnęłam się.

- Ósemka nie znaczy nic. Naprawdę nic. I wszystko. Bo to nie jest ósemka. Trzeba na nią spojrzeć z boku. To jest symbol matematyczny i oznacza nieskończoność. Na zawsze.

- Hmm. Jesteś małą myślicielką.

- Czy może mi go pani teraz oddać?

- Jeszcze nie. - Otworzyła pięść, przewróciła kamyk na drugą stronę i dobrze mu się przyjrzała. - O, proszę - zachichotała. - Serce i inicjały. D.U. To ty. I E.W. Hmm. Darł ma chłopca. A kto to taki ten E.W.?

- Po prostu przyjaciel.

- Nie, to twój chłopak. Który rzeźbi w kamieniu.

- Nie, proszę pani, nie.

Klara wybuchnęła śmiechem.

- Syn kamieniarza! No proszę, nikt inny. O, kurczę, idealna historia! - Złapała się za piersi i odchyliła na oparcie leżanki, rechocząc jak wozak. W pewnym momencie cisnęła we mnie kamykiem. Złapałam go w powietrzu i schowałam do kieszeni. Klara zsunęła okulary przeciwsłoneczne na czubek nosa i przyjrzała mi się z niesmakiem.

- Nie rozumiesz? Swan za wszelką cenę stara się wyssać z ciebie życie, ale ty jesteś dotknięta rodzinnym przekleństwem. Mamy jakąś dziwną słabość do mężczyzn, którzy pracują w kamieniu - a do tego im brudniejszy, tym lepszy. Daj sobie z nim spokój, kochanie. Albo cię zniszczy, albo zabije, albo złamie ci serce. A jeśli nie on, zrobi to Swan.

Klara była wyraźnie zadowolona z siebie. Wydawała mi się uosobieniem zła. Duma wzięta we mnie górę nad zdrowym rozsądkiem.

- Mój chłopak jest najmądrzejszą osobą w mieście. Jest geniuszem i nigdy mnie nie skrzywdzi. Babcia go nawet zatrudniła u siebie w biurze, przy rachunkach. Za kilka lat pójdzie na uniwersytet. Nie będzie przez całe życie ciął kamieni. I wcale nie jest brudny!

- Jest, jest, z całą pewnością. I w ten czy inny sposób zawsze

będzie ciął kamień. Czy jest przystojny? - Na twarzy Klary znów pojawił się chytry uśmieszek. - Przystojny i z lekka nieokrzesany, tak? Takich właśnie mężczyzn lubimy. Szorstkich, ale twardych. Biednych i dumnych, ale nie za dumnych na to, żeby nas słuchali i robili wszystko, co chcemy. Na razie traktuj go jak pieska pokojowego, ale kiedy będzie na tyle duży, że zacznie cię kąsać, przegnaj go. Albo Swan to zrobi za ciebie.

Z wściekłości krew uderzyła mi do twarzy. Podeszłam do niej z zaciśniętymi pięściami.

- Masz plugawe myśli i plugawy język. Teraz rozumiem, dlaczego babcia nigdy cię do nas nie zaprosiła. Ale powiem ci jedno: Eli Wade jest najlepszym chłopcem na świecie. I...

- Jak powiedziałaś, że on się nazywa? - Klara rozdziawiła usta.

- Eli Wade. On, jego rodzice i siostra sprowadzili się tutaj trzy lata temu i bardzo ciężko pracują, i mieszkają w Kamiennym Dworku. Jego mama jest pokojówką u Matyldy, a to znaczy, że musi być bardzo dobra. I do tego jeszcze babcia dała im specjalne przywileje, a wiesz sama najlepiej, że ona byle kogo nie wyróżnia. I...

- Wade. Wade? O Boże... - Klara zerwała z nosa okulary, gapiąc się na mnie, jakby jeszcze za mało razy powtórzyła to nazwisko, żeby w nie uwierzyć. Nareszcie w jej oczach nie było humoru ani ironii. Tylko osłupienie. - Wade. Jesteś pewna, że tak się nazywają?

Zrobiłam dwa kroki do tyłu. Przeraziła mnie jej agresywność.

- Tak.

- A skąd przyjechali?

- Z jakiejś miejscowości w Tennessee.

- Jak oni wyglądają? To znaczy mężczyźni? Jak wygląda ojciec tego Eliego?

- Nie wiem, o co pani chodzi. Jest dużym, wysokim mężczyzną, o muskularnych ramionach i jest taki spokojny...

- Czy ma ciemne włosy i ciemne oczy?

- Tak, ale...

- Niech to szlag! - Klara patrzyła w przestrzeń, a jej błękitne oczy przesuwały się, jakby to, co mówię, porównywała z notatkami na tablicy swojej pamięci. Patrzyłam na nią zdezorientowana i pełna niepokoju. Zerwała się z leżanki, owijając się

ręcznikiem jak togą. Dygotała na całym ciele. Oczy miała rozgorączkowane.

- Wynoś się stąd! - Niemal splunęła w moją stronę. - I nie mów nikomu, że rozmawialiśmy o Wade'ach. I żebyś się nie wazyła komukolwiek powiedzieć, że idę do miasta. - Skończyły się już nawet pozory serdeczności czy choćby grzecznego cynizmu.

- Ale przecież pani miała nie opuszczać domu...

- Czuję się zwolniona z wszelkich zobowiązań. Jeśli jest tak, jak myślę, to mamy nowe reguły tej cholernej gry. - Klara odrzuciła głowę do tyłu i wydała coś w rodzaju pełnego wściekłości jęku. - Swan i Matylda - syknęła. - Kłamliwe suki.

Ruszyła do domu. Otworzyła wychodzące na patio i basen drzwi tarasu i po chwili za nimi zniknęła. Po przeżytych szoku stałam kompletnie ogłupiała. Powoli ogarniało mnie przerażenie.

Klara była do tej pory utrzymywana w ryzach siłą jakiejś magii, jak demon czy zły duch.

I nagle - ja ją uwolniłam.

Eliemu roіło się w głowie od marzeń na przyszłość. Szczęście chodzi **parami** - co do tego nie miał wątpliwości. Wystarczyło spojrzeć na babkę Darl, której darzyło się dosłownie we wszystkim. Szczęście to suma, która się mnoży w tempie podyktowanym przez samo życie. Uruchom tylko w swojej głowie mechanizm liczenia i uwierz w liczby, a szczęście natychmiast zacznie ci sprzyjać.

I teraz właśnie uśmiechnęło się do rodziny Wade'ów.

- No, synu, musimy uczcić tę okazję. - Tata uświetnił ją uśmiechem, który nieczęsto gościł na jego twarzy. Oczy mu zabłyśły, kiedy barman stawiał przed nim wysoki kufel piwa, a przed Elim małą szklaneczkę. Bar Neddlera znajdował się przy leśnej drodze pod Burnt Stand. Była tu szafa grająca, stoły bilaradowe i panował klozetowy zapach. Podłogę zrobiono ze skrawków marmuru, a ladę baru przykryto marmurowym blatem. Na brudnych ścianach z dykty, pomiędzy wypchanymi łbami jeleni i neonowymi reklamami piwa, wisały fotografie kamieniołomu.

- Za zdrowie Jaspera Wade'a, nowego brygadzysty - zawołał jeden z mężczyzn, a inni wstali z kufłami albo butelkami w rękach. - Szef Wade, szef Wade - zaczęli skandować.

Eli zerwał się na nogi i wzniosł do góry swoją szklankę.

- Zdrowie mojego taty - powiedział - szefa Wade'a.

Wszyscy wypili. Piwo miało dla Eliego gorzki smak toniku. Chłopak mało się nie zakrztusił, ale jakoś zapanował nad sobą, postawił szklankę na barze i uśmiechnął się do ojca, który wybuchnął tubalnym śmiechem. Nigdy w życiu nie robił wrażenia tak szczęśliwego jak teraz.

- Jedziemy, chłopcze, do domu, do mamy i Bell, z dobrą winą - powiedział. - I wiesz co - dodał - jak dostanę pierwszy czek z wyższą wypłatą, to zaproszę was do przyzwoitej restauracji, może nawet do Asheville. Tak żeby były świece i obrus.

- Wspaniale, tato. - Eli ostrożnie usadowił się na stołku barowym. Kręciło mu się lekko w głowie, ale przy okazji spostrzegł, że sięga stopami do marmurowej podpórki pod nogi tak samo łatwo jak tata. Miał już niemal metr osiemdziesiąt wzrostu. Był prawie mężczyzną. Poprawił okulary na nosie - był przekonany, że świat wyglądał z każdym dniem lepiej. Skoro tata mógł być taki szczęśliwy i awansować na brygadzystę, nie umiając czytać, to aż trudno sobie wyobrazić, jakie jeszcze wspaniałe możliwości kryła w sobie przyszłość.

Pomyślał o Darl, za sprawą której poczuł w sobie wielką energię. Pójdę na studia o własnych siłach - rozmarzył się. - Nie potrzebuję od Hardigreech żadnego stypendium. W ten sposób nie będę musiał tu wrócić i pracować w Marmurach Hardigree, żeby spłacić dług. Owszem, przyjedzie tu po Darl, kiedy ona już dorosnie, bo wtedy, jako absolwent wyższej uczelni, z pewnością będzie bogaty. Zabierze stąd swoją rodzinę - i Darl. Zobaczą świat, a świat zobaczy ich.

Stare drewniane drzwi baru Neddlera otworzyły się nagle do środka, podzwaniając łańcuchem zamka. Wszystkie głowy odwróciły się, żeby zobaczyć, kto przyszedł. Promień chłodnego jesiennego słońca przebił się przez zadymiony mrok wnętrza. Eli zmrużył oczy, próbując ogarnąć wzrokiem zdumiewającą kobiecą sylwetkę, która ukazała się w drzwiach. Długie nogi w obcisłych dżinsach, buty na wysokich obcasach i grubych podeszwach, widoczny w słońcu biust w opiętej bluzce i burza włosów do ramion. Kobieta weszła do środka, a jeden z siedzących w pobliżu mężczyzn zerwał się, żeby zamknąć drzwi.

W szafie grającej trwała akurat przerwa między jedną a drugą

piosenką, a że nagle umilkły wszelkie rozmowy, zapanowała kompletna cisza. Mężczyźni, z otwartymi ustami i wzrokiem wbitym w gościa, zastygli z kijami bilardowymi w pół ruchu. Słowo *s e k s*, wyraźne jak neon, zawisło w powietrzu. W panującym tu mroku kobieta mogła uchodzić za dwudziestokilkuletnią dziewczynę, ale jej niebieskie oczy zdradzały drapieżność starego jastrzębia. Odgarnęła z twarzy ciemne włosy, przeszukując wnętrze wzrokiem, który miał moc zabijania. Eli poczuł dreszcz niepokoju i podniecenia, który przeszył go wzdłuż kręgosłupa aż po kroczce. Zacerwienił się. Kim była ta dziwnie znajoma pani?

Creighton Neddler, podstarzały, siwy właściciel lokalu i barman w jednej osobie, nagle ożył.

- Panna Hardigree - powiedział głośno, rozglądając się dokoła, jakby się upewniał, że usłyszeli go wszyscy kamieniarze. - Miło panią widzieć. Czym mogę służyć? Może piwka?

Kobieta nie zadała sobie nawet trudu, żeby mu odpowiedzieć, tylko wpatrywała się po kolei we wszystkich mężczyzn. Eliemu zaparło dech. Hardigree. Czyżby to była cioteczna babka Darl, Klara? A jeśli tak, to musi być w wieku zbliżonym do Swan, czyli mogłaby być czyjaś babką. Zerknął ukradkiem na ojca i z jego twarzy wyczytał, że wszelkie kontakty z którąkolwiek z kobiet Hardigree, bez względu na jej wiek, byłyby w najwyższym stopniu niewskazane dla każdego, kto zarabiał pieniądze u Swan.

Tata odstawił kufel i wstał. Czuł się odpowiedzialny za swoich ludzi.

Jego głos, głęboki, mocny głos prostego człowieka, rozbrzmiał na cały bar.

- Jestem nowym brygadzystą w Marmurach Hardigree. Nazywam się Jasper Wade. W czym mógłbym pani pomóc? Czy pani kogoś szuka?

Jej wzrok, który spoczął na nim, był jak impuls elektryczny. Błyskawicznym spojrzeniem musnęła Eliego, ale zaraz wróciła wzrokiem do taty. Jej oczy to się zwężyły, to rozszerzały. Ku swojemu zdumieniu Eli dostrzegł w nich coś między gniewem a bólem. Przechyliła głowę, jakby chciała przyjrzeć się tacie pod różnymi kątami, po czym gwałtownie skinawszy głową, podeszła do niego na tyle blisko, że mogła go dotknąć.

Co nagle zrobiła.

Eliego dosłownie zatkało, kiedy widział, jak unosi rękę i czub-

kami palców przesuwając wzdłuż szczęki taty. Ramiona ojca zeszytywniały; cofnął głowę. Kobieta uniosła rękę wyżej i pogłaskała go po policzku. Eli miał ochotę krzyknąć: „Odczep się od niego!”, i tylko z najwyższym trudem się przed tym powstrzymał.

Tata nie mógł jej odepchnąć ani zrobić nic gwałtownego - nigdy w życiu nie pozwoliłby sobie na coś podobnego wobec kobiety. Nie mógł się także cofnąć. Jak by wyglądał w oczach swoich mężczyzn? Wszyscy się na niego gapili.

- Pani wybaczy - powiedział dość stanowczym tonem - ale byłbym wdzięczny, gdyby zabrała pani rękę. Jestem człowiekiem żonatym i jeśli pani sama tego nie zrobi, będę zmuszony pani w tym pomóc.

Pochyliła głowę, ale w dalszym ciągu mu się przyglądała, a jej piersi wznosiły się gwałtownie przy każdym oddechu. Uśmiechnęła się gorzko.

- Jesteś do niego bardzo podobny. Tak, to musi być prawda. Twoim ojcem był Anthony Wade, tak?

Otrząsnąwszy się z osłupienia, tata odpowiedział niepewnie:

- Tak, proszę pani.

- Z Wichitaw, Tennessee? - Te słowa, wypowiedziane cicho, jak gdyby eksplodowały z jej ust.

- Tak, proszę pani.

- Marmurowy Kamieniołom Paysona w Wichitaw. Tam pracował, zanim tu przyjechał, tak?

Eli zaniemówił. Co to wszystko miało znaczyć?

Kiedy stanął obok taty i spojrzał mu w twarz, dostrzegł w niej takie samo ponure osłupienie jak u siebie.

- Mój ojciec umarł, proszę pani, kiedy byłem chłopcem. Dobre trzydzieści lat temu. Nie wiem, o co pani chodzi. Czy pani go znała?

Roześmiała się w głos.

- Czy go znałam? O, tak, znałam go, jeszcze zanim przyszedł na świat. Znałam go, kiedy był w tym mieście numerem pierwszym. Nikt tak nie potrafił rąbać kamienia jak Anthony Wade. - Podkreśliła swoje słowa przechyleniem głowy. Zabrzmiało to jakoś niesmacznie.

Tata się zaczerwienił.

- Mój ojciec nigdy nie mieszkał w Karolinie Północnej i nigdy nie pracował w Marmurach Hardigree.

- A skąd ty to możesz wiedzieć? Przecież ci mówiłam, że to było jeszcze przed twoim urodzeniem. Wyobraź sobie, że, owszem, mieszkał tu, w tym mieście. - Zrobiła pauzę, po czym podniosła głos. - Sprowadziła go tu moja matka. Zbudował jej Marmurowy Dwór. Zbudował wszystkie Domy Esty w mieście. I Kamienny Dworek, i Ogród Kamiennych Kwiatów. - Uśmiechnęła się lodowato, jak drapieżny kot. - Robił wszystko, co mu kazała, i w ten sposób właściwie zbudował to miasto.

Eli z trudem łapał oddech. Jego dziadek Wade, kaleka i alkoholik, miałyby być twórcą tego wszystkiego? A więc mieszkali w domu z kamienia, który on własnymi rękami ciął i układał? To spod jego rąk wyszły wszystkie bajeczne rzeźby w Ogrodzie Kamiennych Kwiatów, on projektował wspaniałe marmurowe elementy najpiękniejszych domów w całym mieście? Dlaczego takie wielkie zasługi utrzymywał w tajemnicy? Tata patrzył w osłupieniu. Dokoła niego, w nienaturalnej ciszy, gapili się mężczyźni.

- Chciałem powiedzieć - odezwał się wreszcie ojciec - że gdyby mój tata robił takie wspaniałe rzeczy, to chyba bym o tym wiedział, nie uważa pani? Chybaby powiedział o tym mojej matce? Pani nas musiała z kimś pomylić...

Podeszła bliżej. Pachniała perfumami i chłodnym nocnym powietrzem. Oczy jej płonęły. Znów dotknęła twarzy taty, wbijając mu paznokiec w policzek. Tata się cofnął. W jej oczach zapalił się błysk.

- Ale on nie chciał, żeby ktokolwiek o tym wiedział - powiedziała, zniżając głos. - Był utrzymankiem mojej matki. Jej dziwka.

Tata miał taką minę, jakby dostał w twarz. Odwrócił się powoli, wziął Eliego za ramię i powiedział:

- Idziemy, synu, natychmiast. - I zwracając się do Klary Hardigree, dodał: - Nie wierzę w ani jedno słowo z tego, co pani powiedziała, ale gdyby pani była mężczyzną, zabiłbym panią bez chwili wahania.

Zabiłbym panią. Ta ponura groźba nie zrobiła na niej najmniejszego wrażenia, ale Eliego dosłownie zatkało. Ojciec pchnął go energicznie, minął Klarę i ruszyli w kierunku drzwi. Eliemu zjeżył się włos. Wszyscy kamieniarze, którzy jeszcze przed chwilą nazywali tatę szefem Wade'em, byli świadkami tego potwornego upokorzenia.

- I jeszcze jedno ci powiem - zawołała za nimi Klara Hardi-

gree, kiedy już byli przy drzwiach, na tyle głośno, żeby wszyscy słyszeli. - Wiem, w jaki sposób twój ojciec został kaleką. Kilkunastu jego ludzi - kamieniarzy - wyrzuciło go z miasta i pobiło niemal na śmierć. A chcesz może wiedzieć dlaczego?

Nagle cały świat wokół nich eksplodował. Eli stał na rozstawionych nogach, zaparłszy się mocno, i patrzył, jak z twarzy taty odpływa cała krew. Klara Hardigree się uśmiechnęła.

- Bo był nie tylko kurwą, ale jeszcze kochasiem czarnuchów. Bądź miły dla wnuczki Matyldy Dove. - Klara zrobiła pauzę, rozkoszując się ostatecznym ciosem, jaki za chwilę miała zadać. - Bo ona jest jego wnuczką.

O zmierzchu wróciłam ukradkiem do domu Matyldy. Karen nawrzeszczała na mnie, że się wybrałam bez niej na tę eskapadę. Jednak na widok mojej rozpaczki szybko zmieniła ton i zamknęła się ze mną w sypialni. Resztę popołudnia spędziłyśmy, komentując bez końca moje spotkanie z Klarą i zastanawiając się, co mogło znaczyć jej dziwne zachowanie.

Matylda, roztargniona i zmęczona załatwianiem spraw Swan, wróciła w porze kolacji. W milczeniu jadałyśmy kanapki z tuńczykiem i zupełną warzywną. Chciałam się przyznać do mojego spotkania z Klarą, ale słowa więzły mi w gardle. Matylda włożyła długą niebieską podomkę i zasiadła w salonie ze szklaneczką nierozcieńczonego niczym burbona. Nigdy do tej pory nie widziałam, żeby piła.

- No więc takie są wiadomości - odezwała się w końcu. - Klara wyszła z domu i nie wiadomo, dokąd pojechała. Obiecała Swan, że nie opuści Marmurowego Dworu, ale nie dotrzymała słowa. Gdyby się tak złożyło, że z jakichś względów się tu pokaże, to macie natychmiast iść na górę i nie wytykać nosa ze swojego pokoju, dopóki nie skończę z nią rozmowy.

- Bo Klara jest złą osobą? - zapytała przymilnie Karen, spoglądając porozumiewawczo w moją stronę.

- Tak. - Ton Matyldy był stanowczy. - Jest okrutna i nieodpowiedzialna, a jej reputacja w mieście pozostawia wiele do życzenia. To na razie wszystko, co mogę wam powiedzieć. Swan znalazła się w trudnej sytuacji, a my musimy robić wszystko, co w naszej mocy, żeby jej pomóc.

- Może Klara już do nas nie wróci, może pojechała do siebie, do Chicago - powiedziałam.

Matylda spojrzała na mnie znacząco.

- Nie łudź się, Darl - odparła. - Zło nigdy tak łatwo nie ustępuje.

Nie łudziłam się. Klara na pewno pojechała do miasta i robiła tam jakieś straszne rzeczy. I to wszystko z mojego powodu.

Rozdział 6

Nawet w najgorszych czasach Eli nie widział taty w takim stanie jak wtedy, kiedy wrócili od Neddlera.

- Nie martw się, Jasper, wszystko będzie dobrze - zaklinała go mama. Skulona na podłodze u jego stóp, patrzyła mu błagalnie w oczy i obejmowała za kolana.

Tata siedział zgarbiony w fotelu, który mama kupiła mu u Searsa w lecie na urodziny. Trzymał głowę w dłoniach. Dębowy ogień trzeszczał w ozdobnym kominku, rzucając cienie ponad lampami i na półkę z kolekcją ceramicznych drobiazgów mamy. Salonik w Kamiennym Dworku był dzięki jej staraniom ciepły i przytulny, ale to nic nie pomagało.

Wzrok Eliego ciągle wędrował do niewielkiej fotografii dziadka Wade'a. Zapłakana Bell tuliła się do brata, obejmując go w pasie i chowając buzię na jego piersi. Tata nie płakał, ale Eli słyszał w jego głosie prawdziwą rozpacz.

- Jestem skończony. Jeśli to, co mówiła ta kobieta, się sprawdzi, to nazwisko Wade będzie tu od tej chwili tylko kiepskim żartem.

Mama tuliła go do siebie.

- To jest kłamstwo, Jasper. Klara Hardigree to szalona i podła kobieta. Ludzie mówią, że zawsze były przez nią tylko same kłopoty. Nawet pani Swan nie może znieść jej obecności i nie chce, żeby inni widzieli, jak jej siostra się zachowuje. Dlatego pani Matylda powiedziała mi, że póki ona jest, mam nie przychodzić do pracy.

Tata spojrział na mamę z wyrozumiałością i cierpieniem na miżernej twarzy.

- Czy ty tego nie rozumiesz, Annie Gwen? Panie Swan i Matylda nie chciały dopuścić do tego, żeby ona poznała twoje nazwisko. Wade. Chciały nas przed nią ukryć.

Mama otworzyła usta. Siedzieli w milczeniu, z pochylonymi głowami. Żadne z nich nie odznaczało się elokwencją - to, co mieli w sercach, wyrażali czynem, nie słowem. Eli z rozpaczą patrzył, jak tata głaszcze jasnobrzęde włosy i wątle plecy mamy.

- Nigdy nie byłem specjalnie bystry, nie umiem czytać i w ogóle, ale zawsze się starałem, żebyś była ze mnie dumna. Przepraszam cię.

Mama wzięła ojca za rękę.

- Ja je s t e m z ciebie dumna. To, co robił twój ojciec czterdzieści lat temu, nie ma z tobą nic wspólnego. A jeśli się wstydzisz tego, że masz w rodzinie kogoś kolorowego, to pamiętaj, że prawie każda biała osoba na świecie ma coś do ukrycia.

Tata wziął mamę pod brodę, uniósł jej twarz do góry i spojrzał w oczy.

- Wiesz, że matka nauczyła mnie szacunku dla ludzi kolorowych, a Matylda i Karen mają niewiele ciemniejszą skórę od nas, ale pamiętaj, Annie Gwen, że są w kamieniołomie ludzie, którzy nienawidzą kolorowych i się od nich odżegnują. A ja jestem teraz ich brygadziwą. Patrząc na mnie, będą myśleli tylko o jednym: że mam w tym mieście czarnych krewniaków.

Annie Gwen energicznie potrząsnęła głową.

- Posłuchaj mnie, Jasper. To jest najlepsze miejsce ze wszystkich, w jakich do tej pory żyliśmy. Pani Swan nie uznaje takich głupot. Z powodu kilku zakutych łbów i nienawistników nie zmieni swojej decyzji.

Tata objął ją ramionami i przytulił.

- Do tego, co tu mamy, doszliśmy uczciwą, ciężką pracą - przez pot i łzy. To wszystko nam się należy. Przysięgam tobie i Bogu, że nie dam się stąd wyrzucić bez walki.

Eli leżał w ciemnościach w swoim szerokim podwójnym łożu i wsłuchiwał się w szepty rodziców, którzy rozmawiali do późnej nocy. Wyczuwał ich niepokój i rozpacz. Nie zdjął dżinsów ani bluzy, położył się w ubraniu, tak samo jak Bell, która spała bardzo niespokojnie w drugim końcu pokoju. Słyszał, jak mama i ta-

ta wychodzą na korytarz, a potem, w nocnej ciszy, pochwycił brzęk kluczyków samochodowych.

- Pojadę do baru i zapytam Creightona Neddlera, co ludzie mówili po moim wyjściu - powiedział tata ściszym głosem.

Eli usiadł, wyteżając słuch, by nic nie uронić z cichej, pełnej niepokoju odpowiedzi mamy.

- Proszę cię, poczekaj z tym do rana.

- Nie mogę. To mnie zabija. Niedługo wrócę, nie martw się.

Zabija. Już po raz drugi tata użył tego słowa. Eli wstał, otworzył okno i wymknął się z domu. Kiedy tata zapalał silnik, Eli siedział już bezpiecznie w pace ciężarówki, z ręką na wewnętrznym zatrasku plandeki.

Nie zostawi taty samego. Sprawy nie wyglądają dla niego dobrze.

Dygotał z zimna, wyglądając nerwowo przez popękane okienko budy kempingowej. Bar Neddlera przypominał rodzaj bunkra, zbudowanego ze skrawków marmuru, z blaszanym dachem i oknami zabitymi deskami, na których właściciel umieścił reklamę piwa. Nie był to zachęcający obiekt w dzień, a tym bardziej po północy - szczególnie z uwagi na odosobnione położenie w pobliżu wąskiej bocznej drogi w połowie zbocza Doe Ridge, jednego z dzikich pasm górskich otaczających Burnt Stand. Parking przed barem kiepsko oświetlała lampa uliczna, umocowana wysoko na słupie elektrycznym. Zimne górskie powietrze kłębiło się nad grzbietem górskim i lizało nagie gałęzie drzew. Poza dwiema ciężarówkami i limuzyną Neddlera stało na mrocznym parkingu tylko jedno auto - czerwony jak krew samochód Klary. Czyżby cały ten czas spędziła tu w lesie, w barze? Boże święty - pomyślał Eli. Czy to przystoi damie?

Wygramolił się z samochodu i szybko schował w cieniu, poza kręgiem światła. Po chwili usłyszał trzaśnięcie i drewniane drzwi baru stanęły otworem. Podskoczył.

Z baru wyszedł tata, z gniewną miną i pięściami wciśniętymi głęboko w kieszenie zielonej myśliwskiej kurtki, jakby się bał, że kogoś pobije. Za nim dreptał stary Neddler, wycierając ręce w fartuch.

- Nie wyrzucam cię, Jasper. Radzę ci tylko, żebyś na razie zo-

stawił sprawy w spokoju. Wystarczy, że mam ją tu dzisiaj na głowie. Musiałem przegonić z połowę moich stałych gości. Bałem się, że tracą pracę w kamieniołomie, jak się zaczną do niej dobrać. Zapewniam cię, że Swan Samples wyrzuciłaby każdego, kto by tylko tknął jej siostrę, chociaż wiadomo, że byłaby to jej wina.

Tata obrócił Neddlera do siebie i spojrzał mu w twarz.

- Do diabła, przecież to nie jest w porządku - powiedział - żeby ktoś taki obrażał ludzi, wywlekając im jakieś sprawy z przeszłości. Ona nie może nawet udowodnić, że to prawda. - Zawałał się. - Czy mój ojciec sypiał z Estą Hardigree?

Stary spuścił głowę.

- Ludzie mówią, że więcej czasu spędzał w Marmurowym Dworze, rąbiąc starą, niż rąbiąc kamień.

Tata jęknął. Słuchając tej rozmowy, Eli palił się ze wstydu - ze względu na tatę, na całą ich rodzinę i - jak sobie nagle uświadomił - na Darl. Jej cioteczna babka Klara była bogatym białym śmieciem, a czym była jej prababka...? Przekonał się wtedy, jak bardzo kocha Darl - jej nieszczęście bolało go tak samo jak jego własne.

- Idź do domu - ponaglał Neddler tatę. - Ci, co mają myśleć o twojej rodzinie źle, i tak będą myśleli, reszta jest mądrzejsza. Miejmy nadzieję, że pani Swan nie dowie się o całej tej historii.

Tata z rezygnacją skinął głową i ruszył w stronę samochodu. Nagle z baru wyszła Klara Hardigree. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby się zorientować, że przez cały ten czas piła. Szła przez parking, zataczając się z lekka. Z jej prawej ręki unosiła się smużka dymu. Odrzuciła niedopałek papierosa ze zręcznością kelnerki z podrzędnej spelunki.

- Czuję się rozczarowana, że wychodzisz. Nie jesteś synem godnym swego ojca.

Tata spojrzał na nią z góry, a ja zobaczyłem, jak mu drga mięsień twarzy.

- Trzymaj się ode mnie z daleka - warknął.

Neddler usiłował zastąpić jej drogę, ale go wyminęła zręcznie jak kotka. W okamgnieniu zatoczyła się na tatę i zarzuciła mu ręce na szyję. Przycisnęła się do niego udami i odgięła głowę. Tata tak energicznie oderwał od siebie jej ramiona, że poleciała do tyłu, potknęła się na swoich wysokich obcasach i upadła na ziemię.

Pan Neddler wyciągnął do niej rękę, ale był nie dość szybki. Przewróciła się na bok i klapnęła go w dłoń. Eli skamieniał. Tata nachylił się nad Klarą.

- Powiedziałem ci, że gdybyś była mężczyzną, tobym cię zabił. Ale jeżeli skrzywdzisz moją rodzinę, zabiję cię bez względu na wszystko.

Odwrócił się i ruszył do samochodu. Otworzył drzwi i wszedł. Eli rzucił się w tamtą stronę, ale nie zdążył dobiec. Ukryty w mroku patrzył, jak ojciec odjeżdża, nieświadomy, że go tu zostawia. Klara Hardigree, rozwścieczona, pozbierała się z ziemi.

- Nikt nie będzie się tak do mnie odzywał. - Podeszła do samochodu, wyjęła kluczyki z kieszeni dżinsów, wślizgnęła się do niskiego, lśniącego wozu i odjechała z piskiem opon. Jej tylne światła zniknęły za światłami ciężarówki.

- Niech ją wszyscy diabli - zaklął Neddler, a jego głos poniósł wiatr. - Może się rozwali o stok górski i oszczędzi nam wszystkim dalszych kłopotów.

Eli wycofał się w mrok, drżąc na całym ciele z rozpaczy i złości. Miał przed sobą długą drogę po nocy, ale tego się nie bał.

Bał się tego, że Klara Hardigree pojechała za tatą ciemną górską drogą.

Był prawie świt. Leżałam w łóżku obok Karen i przeżywałam męki, nie mogąc się zdecydować. Powinnam zadzwonić do babki i powiedzieć jej o rozmowie z Klarą. To przeze mnie Klara się wściekła i wyszła z domu. Ale wtedy musiałabym się przyznać do rozmowy o Wade'ach, a tego nie mogłam ryzykować. Nękana moralnym niepokojem, przyjęłam pozycję embrionalną, zwijając się w kłębek tak ciasno, że mogłam niemal pocałować się we własne kolana.

Usłyszałam brzęk kamienia o szybę i wylazłam z łóżka. Kiedy wyjrzałam na zewnątrz, zobaczyłam Elięgo, który patrzy! na mnie w świetle księżyca.

Pomachałam mu ręką, narzuciłam szlafrok na ramiona, zesłałam na palcach na dół i wymknęłam się z domu tylnymi drzwiami. Podbiegłam do niego.

- Co się stało? Co ty tu robisz?

- Wracalem na piechotę od Neddlera.

- A co robiłeś w tym koszmarnym miejscu? Co się w ogóle dzieje?

Ścisnął mnie mocno za ręce i zgarbił się pod drelichową kurtką. W mroźnym powietrzu spazmatycznie wydychał kłęby pary.

- Nie wiem, jak mam ci to powiedzieć... jak ci powiedzieć o tym wszystkim, co się stało, o twojej... nie, nie, nie mogę, nie przejdzie mi to przez gardło...

- Klara! - Głos mi się załamał. - Coś okropnego stało się z jej powodu, prawda? - Eli był wstrząśnięty, ale skinął głową. Opowiedziałam mu o naszej rozmowie przy basenie w Marmurowym Dworze. Eli wyciągnął mnie z kręgu światła i usiedliśmy na marmurowej ławce w głębokim cieniu dębu o złocistych liściach. I tu Eli powtórzył mi to, co Klara powiedziała u Neddlera o jego rodzinie.

Po wysłuchaniu tej historii miałam głowę jak zbyt mocno nadmuchany balon. To dziadek Eliego mieszkał w Burnt Stand, kiedy był młodym człowiekiem? I pracował u mojej prababki Esty? I zbudował Kamienny Dworek i Ogród Kamiennych Kwiatów, który tak bardzo z Elim lubiliśmy? I... i kochał się z Matyldą? I miał z nią dziecko? To właśnie Katherine była ich córką? A Karen wnuczką? Miałam wrażenie, że moja czaszka nie wytrzyma naporu tych wszystkich myśli i eksploduje. Przycisnęłam dłońie do skroni i stałam tak przez chwilę w całkowitym oszołomieniu.

Eli zwiesił głowę.

- Wiesz, co ludzie będą mówili o mojej rodzinie, kiedy sprawa nabierze rozgłosu...

- Nie, nie wiem. Co masz na myśli?

- Że jesteśmy spokrewnieni z Matyldą. Że mamy czarnych w rodzinie.

- Ale przecież wy nie jesteście czarni.

- To nie ma znaczenia. Tata mówi, że wśród jego ludzi są tacy, którzy już nigdy nie będą na niego patrzyli tak jak dawniej. Powiedzą, że jego tata był... że dziadek Wade lubił czarne kobiety.

- Ale przecież twój ojciec nie zrobił nic złego. Nikt z was nie zrobił nic złego. Tylko twój dziadek. I chyba Matylda, chociaż sobie nie wyobrażam, żeby...

- Hej! - zawołała cicho Karen. - Co się dzieje? - Oboje z Elim podskoczyliśmy. Karen biegła do nas chyłkiem, wydychając białe obłoczki pary. Na koszulę nocną narzuciła żółto-białą

wełniany koc i ze swoją złocistą buzią wyglądała w świetle księżyca jak piękny motyl. Jeśli to wszystko jest prawdą - pomyślałam w oszołomieniu - to Karen jest kuzynką Eliego.

Eli podniósł się z ławki.

- Nic. Po prostu musiałem się zobaczyć z Darl.

- Eli Wade, jesteś stuknięty i wpakujesz nas wszystkich w kłopoty. - Podeszła do niego i żartobliwie uderzyła go w ramię. Eli przez chwilę przyglądał jej się z namysłem, po czym wyciągnął do niej rękę.

- Dawaj piątkę - powiedział.

- Mów, co się stało.

- Są kłopoty. I wydaje mi się, że wpadliśmy w nie wszyscy razem.

- W porządku. - Karen podała rękę Eliemu i energicznie nią potrząsnęła. Wstałam i położyłam dłoń na ich rękach.

- Ja też - powiedziałam. - Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Napotkałam poważne, uczciwe spojrzenie Eliego. Nie mogliśmy powiedzieć Karen, czego się dowiedzieliśmy. W każdym razie jeszcze nie teraz. Może to było kłamstwo. Może się wszystko rozejdzie po kościach. Tej nocy nie byliśmy w stanie ocenić skutków, jakie dla Matyldy i Karen, dla rodziny Eliego czy mojej mogły wywołać wredne słowa Klary.

Trzymaliśmy się więc za ręce w nadziei, że tak naprawdę nic innego się nie liczy.

Eli leżał w łóżku, w bladym świetle poranka, udając, że śpi, kiedy usłyszał, że wrócił ojciec. Usiadł gwałtownie. W drugim końcu pokoju Bell przewróciła się na drugi bok, zamamrotała coś przez sen i ucichła. Z sercem w gardle nasłuchiwał kroków mamy na marmurowej podłodze korytarza.

- Jasper? Gdzie byłeś? Myślałam, że umrę z niepokoju.

- Po prostu pojechałem przed siebie, żeby to wszystko przeżyć. Przepraszam. Usiadłem sobie na Cheetawak Point i dłuższy czas patrzyłem w gwiazdy.

- Co się stało?

- Nic. Creighton Neddler powiedział mi, że Klara zawsze przysparzała kłopotów i że, owszem, mój dziadek był dziwkarem. Nie wiem. Nie mogę już myśleć. Koniecznie muszę się

przespać z godzinę czy dwie, zanim pójde do roboty. Nie stracę pracy, obiecuję ci. Obiecuję.

- Przestań się martwić i odpocznij. Tak bardzo cię Kocham - mówiła do taty pieścizotliwie mama. - Zdejmij to przepecone ubranie i kładź się.

Eh czuł się tak, jakby mu nerwy płonęły. Kiedy rodzice zamknęli drzwi sypialni, złapał się za głowę. Jego myśli wirowały i skakały. Gdzie tata mógł być? Co się stało z Klarą Hardigree? I dlaczego tata nie powiedział mamie, że znów się z nią widział?

Klara zniknęła. Wiadomość o jej bezczelnej wizycie u Neddlera jeszcze do Swan nie dotarła. Plotki o Wade'ach i Matyldzie krążyły między kamieniarzami, przeciekając do ich żon, dzieci i przyjaciół. Z pewnością nikt nie chciał zostać oskarżony, że to właśnie on przekazał te wieści do kolejnego kręgu systemu słonecznego Burnt Stand, w którym słońcem była Swan. Nie ulegało wątpliwości, że ten, co się znajdzie najbliżej słońca, może się upiec żywcem.

Tego popołudnia pracowałam w biurze kamieniołomu, wpinając faktury do segregatorów, a Eli kończył sumować dla pana Alberta długie kolumny kont z bieżącego miesiąca. Swan siedziała jak gradowa chmura, prawie się nie odzywając. Widziałam w jej oczach błękitny ogień i wyniosłą godność, które mówiły, że Klara znalazła się w poważnych kłopotach, ponieważ złamała jej zakaz, dotyczący poruszania się po okolicy. Dostawałam gęziej skórki na samą myśl o tym, że Swan mogłaby się dowiedzieć, co Klara powiedziała u Neddlera.

Eli wyglądał bardzo mizernie. Co chwila znajdował jakąś wymówkę, żeby podejść do dużego okna, wychodzącego na kamieniołom, gdzie jego ojciec potężną piłą atakował ścianę surowego kamienia. Woda z sykiem lała się z systemu chłodzącego piły. Jasper Wade nie podnosił głowy i do nikogo się nie odzywał. Po prostu ciął kamień z zaciekłością, która mnie przerażała.

Zrobiło się zimno. Tego dnia nikt by nie nakrył Klary na golasie przy basenie. Dochodziła piąta, a mnie się robiło niedobrze na samą myśl o tym, gdzie ona może być i co się dalej stanie. Usłyszeliśmy na zewnątrz krzyk. Eli i ja zerwaliśmy się z miejsc i podbiegliśmy do okna, a wraz z nami pan Albert, chudy, łysiejący mężczyzna, idealnie pasujący do opisu typowego liczykrupy.

Na widok tego, co zobaczyliśmy, serce we mnie zamarło.

Na wąskiej drewnianej kładce, przerzuconej przez kwadratową otchłań kamieniołomu, stał pastor Al, ten od przydrożnych tablic, potępiających grzech i Hardigreech. Był starym, siwym, brodatym i nawiedzonym kaznodzieją, jakby żywcem wyjętym ze Starego Testamentu, a jego obszarpane dzinsy i czarny sportowy płaszcz mogły z powodzeniem uchodzić za święte szaty. Trzymał w górze kawał dykty o powierzchni ponad metra kwadratowego. Na białym tle wymalował krwistoczerwonymi literami:

DRUGA CÓRKA JEZEBEL WRÓCIŁA,
BY DAĆ ŚWIADECTWO PRAWDZIE

- On ma na myśli Klarę - szepnęłam do Eliego.

Kilku kamieniarzy wybiegło po metalowych schodach na wąskie korytarze znajdujące się na wierzchu kamieniołomu, dobre piętnaście metrów nad jego kamienną podłogą. Na ich czele szedł Jasper Wade. Eli zacisnął ręce na parapecie. Poręcze kładki sięgały zaledwie bioder, a pastor Al miał kiepskie poczucie równowagi. Chory na reumatyzm i nadciśnienie, cierpiał na zawroty głowy nie tylko wtedy, kiedy nie widział biblijnych zjaw. Chwiał się, trzymając tablicę w wyciągniętych do góry rękach.

- Sprowadziłaś tu swoją siostrę ładacznicę i syna tamtego grzesznika, żeby rzucili wyzwanie bożemu duchowi tego miasta - grzmiał w naszą stronę.

- On mówi o moim tacie - powiedział Eli ze zgrozą. - Syn grzesznika.

Pastor Al myślał zapewne, że w biurze jest Swan i że na niego patrzy, ale ona wyszła kilka minut wcześniej do zakładu obróbki marmurów, by obejrzeć jakieś nowe urządzenie.

- Nie szargajcie świętości słowa Bożego! - wołał pastor Al. - Grzech ojca dojrzeva w synu! Siostra i matka hańby zrodziły jeszcze większą hańbę. Swan Hardigree! Wyjdź z tego przybytku bezceństwa i odżegnaj się od grzechów swojej rodziny!

Jęknęłam. Oparta o parapet, patrzyłam, jak Jasper Wade i kilku innych mężczyzn przystaje u wejścia na kładkę. Była za wąska na to, żeby pomieścić grupę ludzi. Ojciec Eliego gestem ręki przyzwał pastora, by do niego podszedł. Kiedy to nie odniosło skutku, sam wszedł na kładkę.

- Nie zbliżaj się, demonie Wade! - wrzasnął do niego pastor. - Twój ojciec zaspokajał chucie Hardigreech i sypiał z ciemną rasą!

Jasper zatrzymał się z chmurną twarzą. Eli zadrżał. W tym momencie na końcu sąsiedniego mostka pojawiła się moja babka.

- O Boże - jęknął pan Albert. - Zaraz panna Swan się do niego dobierze.

Wyglądała groźnie. Posuwała się po wysokim, wąskim mostku spokojnym, pewnym krokiem, jakby była na niedzielnym spacerze. Mężczyźni widzieli, jak nadchodzi, i stłoczyli się z jednej strony, żeby ją przepuścić. Położyła rękę na ramieniu Jaspera i potrząsnęła głową. Zmarszczył brwi, ale się cofnął.

Szybko weszła na kładkę, na której stał pastor Al. Patrzyła wprost na niego, nie wahając się ani przez chwilę. Nie odezwała się słowem. Pastor zaczął się cofać, wymachując tablicą i wykrzykując pod adresem Swan jakieś poprzekręcane zdania z Biblii. Ale ona nieustępliwie parła do przodu. Nagle jego twarz wykrzywił wyraz panicznego lęku; przelazł przez poręcz i uczipiony jej zewnętrznej strony, wymachiwał trzymaną w wolnej ręce tablicą, wrzeszcząc na całe gardło:

- Wtedy znałem prawdę i teraz ją znam!

Swan się zatrzymała, spokojna, i zaczęła do niego mówić ścisłym głosem. Eli i ja nie słyszeliśmy słów, ale później dowiedzieliśmy się, co mówiła. „Anthony Wade był dla ciebie dobry. Uratował ci nawet życie w tych szybach. To twoja wina, że dałeś się namówić mojej siostrze do zdradzenia jego tajemnic. I z tym musisz żyć. Albo umrzeć. Twój wybór”.

Ojciec Eliego i inni stojący w pobliżu mężczyźni wołali do pastora:

- Opuść tablicę! Przejdź z powrotem na tę stronę! - Nie był to jednak balsam na piekielny ogień, który stary dostrzegł w oczach Swan. Uniósł prawą rękę, jakby się chciał przed nią zasłonić swoją patetyczną tablicą, ale rogiem twardej tektury dźgnął się w oko. Szarpnął głowę do tyłu i w tym momencie wypuścił poręcz. I spadł. Z otwartymi ustami, jak gdyby kontynuował niema już teraz orację, runął na wznak piętnaście metrów w dół na marmurowy chodnik kamieniołomu.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że nie żyje.

Przytuliłam się do Eliego, który złapał mnie za ramię. Jego oddech był świszczący.

- Zabiła go wzrokiem - powiedziała.

W odpowiedzi mogłam jedynie skinąć głową.

Swan zabrała mnie z powrotem do Marmurowego Dworu, razem z Matyldą i Karen. Byłyśmy zabarykadowane za marmurowymi ścianami. Czułam na sobie ciężar klątwy, jaka nad nami zawisła. Karen, która w dalszym ciągu nie wiedziała, że Wade'owie są jej rodziną, rozczuła się nade mną, współczując, że byłam świadkiem czegoś tak potwornego. Kiedy spałam, trzymała mnie za rękę. Mimo to następnej nocy miałam koszmarne sny: widziałam, jak pastor Al spada i z odgłosem przypominającym rozkwaszony arbuz ląduje na dnie kamieniołomu.

Nazajutrz rano Klara w dalszym ciągu nie dała znaku życia. Zostawiłam Karen śpiącą, a sama, trzymając się za brzuch, zeszałam w nocnej koszuli na dół. Spotkałam tam Matyldę.

- Wracaj na górę - poleciła mi. - Rozmawiamy ze Swan o tym, co Klara powiedziała ludziom o twojej prababce i Anthony' Wadzie. - Zrobiła pauzę. - I o mnie. - A to są bardzo poważne sprawy, nieprzeznaczone dla uszu twoich ani Karen.

- Ale ja to wszystko już wiem.

- Bardzo nam jest z tego powodu przykro.

- Czy powiesz o tym Karen? Myślę, że nie będzie jej przeszkadzało, kiedy się dowie, że ma białego kuzyna.

Matylda przytknęła mi do policzka swoją chłodną złotobrazową dłoń. Jej orzechowe oczy nabrały ciepłego blasku.

- A co myślisz o mnie teraz, kiedy już to wszystko wiesz? Tylko bądź szczerą.

- Nie mam pojęcia, co o tym myśleć... - Zawahałam się. - Ale w dalszym ciągu cię kocham.

Z bocznego korytarza wyszła Swan. Jej spokojna twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Miała na sobie miękkie szare spodnie i kaszmirowy sweter pod kolor.

- Czas najwyższy, żebyśmy porozmawiały - powiedziała na mój widok.

Wzdrygnęłam się.

- Będę wdzięczna za jakieś wyjaśnienia, proszę babci.

Zaprowadziła mnie do salonu, gdzie usiadłyśmy naprzeciwko siebie na bliźniaczych otomankach z marmurowymi podnóżkami. Odchrząknęła.

- Niektóre plotki mogą zaszkodzić temu, co kiedyś odziedzicysz. Chcę, byś pamiętała, że zbudowaliśmy w tym miejscu coś bardzo cennego. Przede wszystkim samo miasto, które przyciąga

wartościowych ludzi, ceniących sobie jego niepowtarzalne piękno. Ponadto zapewniliśmy godziwą pracę dwustu mężczyznom, prowadzimy i wspieramy najróżniejsze akcje charytatywne, nam też to miasto zawdzięcza swoje dobre imię. Nie byłoby tego bez pieniędzy i determinacji rodziny Hardigree. Zbudowaliśmy to miasto i o nie dbamy. Czujemy się za nie odpowiedzialni, rozumiesz chyba, co mam na myśli?

- Tak, proszę babci. Mieliliśmy wiele szczęścia.

- Nie. Tu nie chodzi o samo szczęście. Każdy jest kowalem własnego losu. Gdyby twoja prababka Esta nie potrafiła zadbać o swoje szczęście, tego miasta by nie było. Nie byłoby tu nic cennego. Wartość człowieka nie jest wykuta w kamieniu, Darl. Ona się bierze stąd. - Babka położyła dłoń na sercu. Powtórzyłam ten gest i skinęłam głową. - A teraz posłuchaj: te straszne rzeczy, które mówiła twoja cioteczna babka Klara, to prawda. A przynajmniej znaczną ich część.

- Czyli... czyli że dziadek Eliego rzeczywiście kiedyś, w przeszłości, u nas pracował?

- Tak. Prawie czterdzieści lat temu.

- I... i on lubił prababcinę?

- Tak.

- I Matyldę też?

- Też.

Dopiero teraz zaczęła do mnie docierać cała ta potworna prawda.

- Ale teraz wszystko zostało zburzone, tak?

- Tak. Kiedy ludzie nie znają faktów, mogą jedynie plotkować i się zastanawiać. Ale kiedy są dowody, sprawy zaczynają wyglądać paskudnie. Niestety, żywy dowód mamy w naszym własnym Kamiennym Dworcu.

Nerwowo złożyłam dłonie.

- Proszę, błagam, niech tylko babcia nie mówi, że musi wyrzucić z pracy ojca Eliego i wygnać stąd całą ich rodzinę. Proszę...

- Nie mam innego wyjścia. Nie pozwolę na to, żeby ludzie porównywali ich z Matyldą i Karen, przysparzając nam jeszcze więcej kłopotów. Chcesz, żeby Karen miała przykrości?

- Nie, ale...

- Matylda jest jedną z nas. Chroni ją mój autorytet, ale nie mogę chronić wszystkich. Wade'owie muszą odejść.

Umrę, zamienię się w kamień bez Eliego - pomyślałam. Miałam ochotę błagać Swan, ale byłam za mądra na to, żeby podsuwać jej jeszcze jeden powód do odmowy.

- Ale jeśli Matylda chce, żeby oni tu byli, jeśli są krewnymi Karen...

- Powiedziałam już Matyldzie, że zadbam o to, by Jasper dostał dobrą pracę gdzie indziej. Matylda to rozumie. Musi myśleć o reputacji Karen w tym mieście. I - możesz mi wierzyć - będzie to najlepsze również dla samych Wade'ów. Paskudne plotki nie służą nikomu.

- Przecież to nie ma żadnego znaczenia, że są kuzynami Dove'ów. Co to za różnica? Matylda i Karen są takie same jak my!

- Dopiero kiedy będziesz starsza, zrozumiesz w pełni ludzką głupotę.

- Nie, ja ją już teraz rozumiem. Nie możesz wyrzucić stąd Eliego!

W powietrzu wyczułam jak gdyby nowy prąd. Swan wbiła we mnie palący wzrok.

- Byłoby dobrze, gdybyś wiedziała, że losy tego chłopca nie mają z tobą nic wspólnego. Nawet gdyby tu został, nie pozwoliłabym ci zatrzymać go dla siebie.

- Jeżeli każdy w naszej rodzinie może kochać, kogo chce, to i ja mogę! I nie muszę płacić Eliemu za to, żeby mnie kochał, tak jak prababka Anthony'emu Wade'owi.

Swan wstała, nachyliła się i wymierzyła mi policzek tak mocny, że usłyszałam, jak mi strzeliło coś w szyi. Zobaczyłam wszystkie gwiazdy, ale - o dziwo - poczułam się silniejsza. Zamrugałam oczami, lecz zaraz spojrzałam na nią bez odrobiny żalu czy upokorzenia, jak gdybym ją prowokowała do następnego ciosu. I wtedy... dostrzegłam w jej oczach łzy.

Usłyszałyśmy warkot silnika. Swan szybkim krokiem opuściła pokój, a ja pospieszyłam za nią. W holu spotkałyśmy Matyldę.

- To Klara - powiedziała.

Rozdział 7

Klara zatrzymała samochód przed frontem rezydencji. Miała na sobie wszystko nowe, jako że wyjechała bez bagażu.

- Neiman Marcus - powiedziała, wskazując na kremowe wełniane spodnium. - Byłam na zakupach. Pojechałam aż do Atlanty. Przekroczyłam granicę stanu, wjechałam do Georgii i dalejjechałam cały czas na południe, realizując listę zakupów. Jeśli chodzi o sklepy, to Asheville w porównaniu z Atlantą robi wrażenie kompletnej wiochy. - Podniosła do góry prawą rękę i wtedy na jej brylantowym pierścionku zaślniło słońce. - Jak ci się podoba, Swan? To za twoje pieniądze. Płacisz za wszystko. - Uśmiechnęła się. Mam teraz klucz do twojego serca. A na tym kluczu jest napis „Wade”. - O, jak się masz, Matyldo. Jak się czujesz jako przedmiot plotek w tym mieście? Zawsze chciałaś odzyskać Anthony'ego, a tymczasem znalazłaś tylko jego syna. Spóźniłaś się o czterdzieści lat.

Matylda spojrzała na Klarę i powiedziała:

- Jesteś równie żałosną postacią jak zawsze.

Klara się roześmiała i ruszyła po stopniach do wejścia. Swan zastąpiła jej drogę.

- Nigdy więcej twoja noga nie postanie w tym domu.

- Zobaczymy. - Ale nawet Klara nie miałaby odwagi odepchnąć Swan. Jej twarz wykrzywił nieprzyjemny grymas. - Idę spakować rzeczy, a potem porozmawiamy o moim przyszłym dochodzie.

- I tu się bardzo mylisz.

Klara robiła wrażenie zdenerwowanej.

- Dobrze, to wobec tego wejdę kuchennymi drzwiami, mam

klucz. - Obróciła się na pięcie, zeszła po stopniach i ruszyła marmurowym chodnikiem w stronę ogrodów przy basenie. Swan i Matylda ruszyły za nią, a ja, bez wahania, za nimi. Moja nocna koszula trzepotała na wietrze.

- Tylne drzwi są zaryglowane od wewnątrz - powiedziała Matylda, kiedy doszły do patio przy basenie.

Klara obróciła się w miejscu.

- A dlaczego?

- Zamknęłam je - odparła Swan - ponieważ wiem, do czego jesteś zdolna.

- Ja chcę tylko więcej pieniędzy, droga siostrzo. Nie przeczę, że sprawia mi przyjemność patrzeć, jak się wijesz, ale chodzi mi przede wszystkim o uczciwy udział w rodzinnym majątku.

- Całe życie się tobą opiekowałam. Nie potrzebujesz ani centa więcej.

- Tyś się mną opiekowała? - Klara podniosła głos. - Ty się mną opiekowałaś? - Nagle zobaczyła mnie, jak stoję i przysłuchuję się tej scenie. Okrążyłam basen i znalazłam sobie dogodny punkt obserwacyjny koło niskiego muru tylnego tarasu. Klara obróciła się i dopadła mnie, prawie biegnąc. - Chętnie porozmawiam z tobą, droga Darl. Nie stój tutaj i nie udawaj niewiniątka. Naucz się mówić tak jak twoja ciotka Klara. Dla ciebie też mam smakowitą rodzinną historię.

Cofnęłam się, ale złapała mnie za ramię. Jej błękitne oczy cisnęły błyskawice, kiedy patrzyła to na mnie, to na Swan.

- Otóż twoja prababka Esta była właścicielką największego burdelu w mieście. Swan i ja przyszyliśmy w nim na świat. Tak samo jak Matylda. A.A. Hardigree był naszym wspólnym ojcem. Nas trzech. Tyle że matką Matyldy była kolorowa prostytutka. A z tego wynika, że jesteśmy przyrodnimi siostrami. Interesujące, nie uważasz?

Głowa odskoczyła mi do tyłu, jakbym dostała policzek. Ale Swan zdążyła już do mnie podbiec. Wykręciła Klarze rękę, a mnie pchnęła w stronę Matyldy, która objęła mnie za ramiona. Swan i Klara stały naprzeciwko siebie. W głowie mi się mąciło od słów, które Klara dosłownie cisnęła pod moim adresem.

- Masz zamilknąć, natychmiast! - rzuciła Swan przez zaciśnięte zęby.

Ale Klara ze złośliwą satysfakcją rozglądała się dokoła.

- I wiesz, co jeszcze, Dar! Twoja prababka nigdy nie poślubiła A.A. Hardigree. Ale postanowiła, że będzie damą, a swoje córki wychowa tak, jakby miały nazwisko, i dlatego spaliła całe to cholerne miasto - by mieć pewność, że ojciec jej dzieci upiecze się żywcem w tym pożarze. I dopiero wtedy sprokurowała akt małżeństwa i testament, tak żeby odziedziczyć kamieniołom. Dopiero od tej pory ona i jej córki stały się damami z Południa. Z czystej litości hołowałyśmy za sobą naszą czarną przyrodną siostrzyczkę, Matyldę...

- Jeśli natychmiast przestaniesz - powtórzyła Swan - to dostaniesz pieniądze, o które się dopominasz, i możesz sobie iść.

- A wiesz, co twoja babka mi zrobiła, Dar! Kiedy miałam szesnaście lat, posłała mnie do poprawczaka. Więzienia dla dziewcząt. Prowadzonego przez cholerne zakonnice. Tam spędziłam dwa lata. Pozbyła się mnie, bo... bo mówiłam o naszej rodzinie. Mówiłam prawdę. A to było kłopotliwe. Matyldę musiała zostawić, żeby urodziła Wade'owi dziecko, ale mnie się pozbyła. - Łypnęła okiem w stronę Swan i Matyldy. - Ale ja zawsze wracam, prawda? I zawsze mówię. A wy zawsze będziecie musiały z tym żyć.

- Dość tego - warknęła Swan i uderzyła ją w twarz tak mocno, że zęby Klary zadzwoniły. Złapała się za szczękę, wpatrując się w siostrę zmrużonymi oczami, w których był strach. Swan miała ten sam morderczy wyraz twarzy jak wtedy w kamieniołomie podczas spotkania z nieszczęsnym pastorem Alem.

Uderzyła Klarę ponownie. Tym razem nie był to policzek, tylko cios, zadany oburącz w klatkę piersiową. Klara się zachwiała, Swan zwinnie rzuciła się za nią i zadała kolejny cios. Matylda krzyknęła. Ja wrzasnęłam: „Uwaga!”. Klara poleciała na mur tarasu i w rozpaczliwej próbie ratowania się złapała za szyję jednego z marmurowych łabędzi.

Ale pupile mojej babki ani myślały ratować kogoś, kto mógł zrujnować wszystko, co Swan zbudowała. Konwulsyjnie czepiając się szyi łabędzia palce Klary ześlizgnęły się i moja cioteczna babka runęła z muru tarasowego, skręcając się w powietrzu i ginąc nam z oczu.

Nie widziałam, jak uderza w marmurowe obrzeże stawu ze złotymi rybkami, ale słyszałam przerażający głuchy łomot, taki sam, jaki towarzyszył upadkowi pastora Ala. Rzuciłam się do muru, ale Swan wyciągnęła rękę i zagroziła mi drogę. Byłam tak

zdenerwowana i oszołomiona tym, co się stało, że w ataku ślepej hysterii sama mogłam wypaść. Po chwili dołączyła do nas Matyl-
da i we trzy patrzyłyśmy na przerażającą scenę na dole.

Klara unosiła się na powierzchni stawu, twarzą w dół. Wokół jej głowy widać było bąbelki.

- Ona jeszcze oddycha! - krzyknęłam. Wyrwałam się z uścisku Swan i pobiegłam do stopni. Zanim zdążyłam zbiec, Matyl-
da i Swan były przy mnie. Już miałam wejść do płytkiego stawu, kie-
dy Swan obydwoma rękami złapała mnie w talii.

- Wyciągnij ją - powiedziała spokojnie. - A ty biegnij do
domu i przynieś podręczną apteczkę. Szybko. Nie trać czasu na
telefonowanie po pomoc czy zawiadomianie Karen. Ani słowa.
Zrób, co ci mówię.

Jakoś się totrzymało kupy.

- Tak jest, proszę babci! - Ruszyłam biegiem po stopniach.
Kiedy znalazłam się na górze i spojrzałam w dół, zobaczyłam, że
Swan, zamiast wejść do wody, trzyma Matyldę za ramiona i mó-
wi coś do niej tak cicho, że nie usłyszałam z tego ani słowa. Ma-
tylda pokazywała na Klarę i usiłowała wyrwać się Swan, ale mo-
ja babka potrząsnęła nią lekko. Dopiero wtedy sama weszła do
wody. Brodząc, zbliżyła się do Klary i stała nad nią, ale nawet nie
próbowała jej obrócić twarzą do góry. W dalszym ciągu na wo-
dzie widać było bańki, ale Swan tylko dźgnęła Klarę palcem w ra-
mie. Matyl-
da, która do tej pory stała na patio w całkowitym oszo-
łomieniu, odwróciła się nagle i ukryła twarz w dłoniach.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć - co one robią, co to wszyst-
ko miało znaczyć? Wbiegłam do domu, porwałam ze spiżarni ap-
teczkę pierwszej pomocy i ściskając ją w rękach, zdyszana, zbieg-
łam pędem po stopniach na dół.

Swan i Matyl-
da siedziały na marmurowym obrzeżu stawu. Ma-
tylda trzymała na kolanach głowę Klary i cicho płakała. Klara
miała oczy i usta otwarte. Jej twarz była kredowobiała. Padłam
na kolana i wyciągnęłam rękę z apteczką, jakby mieściła w sobie
cały zespół lekarzy.

- Mam maść i gazę i... - Dalsze słowa uwięzły mi w gardle. -
Powinnam była biec szybciej...

Nieustępliwe spojrzenie błękitnych oczu Swan zamknęło mi
usta.

- Nie, to niepotrzebne, nic już się nie da dla niej zrobić.

Wydałam długi krzyk rozpacz i pochyliłam się nad moją bezużyteczną apteczką. Swan siedziała całkowicie opanowana, patrząc, jak szlocham, i czekała. Spojrzała na zwłoki swojej siostry i odsunęła mokry kosmyk jej włosów. Palce drżały jej lekko, ale wzrok, kiedy spojrzała na Matyldę, był spokojny.

- To moja wina, nie twoja.

- Nie. Bo ja ci na to pozwoliłam. - Matylda położyła rękę na martwym policzku Klary. - Zawsze się modliłam, byśmy jakoś zdołali ją zmienić. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego musiała bez przerwy ranić siebie i innych. - Znów pochyliła się nad Klarą. Odgarnęła jej włosy zasłaniające ciemnoczerwoną plamę na skroni w miejscu, którym Klara uderzyła o brzeg patio. - Zostań tu z nią, kiedy pójdziesz wezwać policję.

Swan nawet się nie ruszyła. Matylda uniosła głowę. Wymieniły wymowne spojrzenia. Wzrok Swan był stanowczy i zdecydowany; w oczach Matyldy czaiło się przerażenie graniczące z szokiem.

- Swan... - powiedziała.

- Kiedy wczoraj stanęłam twarzą w twarz z pastorem Alem, spadł z kładki. Dziś po nieporozumieniu ze mną Klara spadła z muru.

- To był wypadek. Nikt cię nie może oskarżyć o to, że namyślnie...

- Klara wyjechała z miasta dwa dni temu. Według mnie nigdy już tu nie wróciła.

- Swan, ale my nie możemy, nie możemy tak po prostu...

- Wiesz dobrze, co to jest plotka. Wiesz, że potrafi wrócić, żeby nas dręczyć, prześladować. Klara wyrządziła nam już dość krzywdy. Tylko tego mi jeszcze brakuje, żeby jej krew splamiła moje dobre imię... czy twoje... do końca życia.

- Ale czy do tego wszystkiego chcesz jeszcze powiedzieć, że...

- Czy po tym, jak nas latami krzywdziła, uważasz, że ma prawo skrzywdzić nas jeszcze bardziej?

Cisza. Twarz Matyldy przybrała wyraz, jakiego się nigdy nie spodziewałam. W jej oczach był wstręt.

- Nie. Masz rację.

Swan skinęła głową. Patrzyłam na martwą twarz Klary, czując, że zbiera mi się na wymioty; bezwiednie zdrapywałam z apteczki jaskrawą farbę.

- Co... co teraz będzie? - zdołałam wreszcie wykrztusić. Babka spojrzała na mnie, nawet nie mrugnawszy okiem.
- Pochowamy Klarę w lesie. I nie puścimy pary z ust.

Niewiele pamiętam z tego, co działo się tamtego dnia, a nawet nocy, która po nim nastąpiła. Wiem tylko, że wieczorem stary Carl McCarl przyprowadził wielki wóz meblowy, wjechał po pochylni do jego wnętrza czerwonym samochodem Klary i gdzieś go wywiózł. Wiem też, że późnym wieczorem, kiedy Karen i ja leżałyśmy w łóżkach, Matylda i Swan zawlokły zawinięte w prześcieradło ciało Klary do Ogrodu Kamiennych Kwiatów.

Poszłam za nimi w ciemnościach i ukryłam się na wzgórzu, z którego roztaczał się widok na ogród. Widziałam, jak przy świetle latarni u podstawy kamiennej wazy kopią grób i składają w nim ciało. Patrzyłam, jak Matylda odmawia modlitwę nad płytą otwartym dołem. Swan położyła jej rękę na ramieniu, ale to był jedyny objaw współczucia, jakie jej okazała. I zaraz potem zasypały Klarę ziemią.

Powlokłam się z powrotem do domu, usiadłam po turecku pod lampą na patio i czekałam. Kiedy weszły na taras i zobaczyły mnie, stanęły jak wryte.

- Czy jesteśmy morderczyniami? - spytałam.

Matylda uklękła koło mnie i przytuliła mocno do siebie.

- Nie. Pamiętaj, żebyś tak nigdy nie myślała.

Ale moja babka, mniej skłonna do tego, by wyjawić prawdę, spojrzała mi prosto w oczy.

- Zrobiłyśmy to, co należało zrobić. - To wszystko, co miała mi do powiedzenia.

Przez tydzień nie ruszałam się z domu. Po nocach śniło mi się, że w Ogrodzie Kamiennych Kwiatów otwiera się ziemia i z dołu wypełza moja cioteczna babka, szara jak popiół, cała pokryta pleśnią. Idzie przez las, do domu, wchodzi po stopniach na taras, a potem po schodach do mojego pokoju. Za nią unosi się w powietrzu pastor Al. Z jego uszu i otwartych ust cieknie krew. Klara i pastor Al nie chcieli spotkania ze Swan. Swan patrzyła z góry nawet na zmarłych. Ale ja to co innego.

Dlaczego pozwoliłaś mi umrzeć? - pytała Klara. Stała nade mną, przerażająca i zła, oblepiona błotem i robakami. Dlaczego się nie pospieszyłaś z tą apteczką? Dlaczego przynajmniej nie pochowałaś mnie w rodzinnym grobowcu? Dlaczego nic nie mówiłaś? Będę cię straszyła do końca twojego życia. Pastor Al jęczał do mnie: Grzechy Jezebel ciążyą teraz i na tobie.

Pewnej nocy wszystkie te twarze się rozplynęły i zastąpiła je twarz Swan. Zerwałam się i usiadłam na łóżku. Przede mną stała Swan we własnej osobie. W kremowobiałym szlafroku wyglądała jak anioł. W czarnych włosach, które w dalszym ciągu spadały na ramiona wspaniałą kaskadą, pojawiły się ostatnio srebrne nitki.

Odgarnęła mi włosy ze spoczonego czoła i przytknęła do policzków chłodne palce.

- Otrząśnij się z tych snów - poleciła mi łagodnie. - Z czasem będzie lepiej. Zapomnisz o tym, co się stało, ale pamiętaj, dlaczego to zrobiliśmy. I ta wiedza uczyni cię silniejszą.

Zabiła Klarę. Jeśli nie będę robiła tego, czego ode mnie wymaga, może zabić i mnie. Ta groteskowa myśl wpełzła do mojej głowy jak wąż i tam się zagnieżdżyła.

- Nic mi nie jest - skłamałam, dygocząc pod prześcieradłami. - Nigdy nikomu o tym nie powiem.

Przez chwilę milczała, a w jej głębokich niebieskich oczach pojawiło się coś w rodzaju bólu. Szybko jednak przezwyciężyła chwilę słabości.

- Dobrze - odpowiedziała.

Następnego dnia zmusiłam się do tego, żeby pójść do Ogrodu Kamiennych Kwiatów i upewnić się, że Klara nie wyszła z grobu. Nie byłam w stanie zejść aż w dolinę, którą kiedyś tak bardzo kochałam; zatrzymałam się w połowie zbocza. Swan starannie nasunęła na to miejsce kawał darni, przykrywając w ten sposób naruszoną ziemię jak gdyby dywanem. Talent mojej babki do ukrywania grzechów Hardigreech był niezwykły.

Nagle usłyszałam szelest. Żółć podjechała mi do gardła. To na pewno Klara wygrzebuje się z ziemi. Zrobiło mi się słabo.

- Darl! - Był to Eli, który właśnie wspinał się na przeciwległe zbocze, wysoki, niezdarny, w okularach, a jednak tak drogi i dobry.

Okrzyknął dolinę i zatrzymał się przede mną. W jego ciemnych oczach widziałam troskę.

- Gdzie byłaś? - zapytał z niepokojem. - Przychodziłem tu codziennie i czekałem na ciebie.

- Byłam... byłam chora, nic takiego. Na... na grypę.

Dotknął mojego policzka.

- Ale nie masz gorączki. Policzek jest chłodny.

- Bo już jestem prawie zdrowa. - Obróciłam głowę i bezradnie ukryłam twarz w jego dłoni. Był to gest dorosły, romantyczny i zmysłowy, a jednocześnie niewinny jak moja rozpaczliwa samotność. Eli wyglądał niewiele lepiej ode mnie; był mizerny i blady.

- Przytulę cię - powiedział i zrobił to. Wziął mnie w swoje chłopiące ramiona, a ja przylgnęłam do niego z całej siły. Jego okulary zaplątały się w moje włosy. Po chwili oboje poruszyliśmy się niezręcznie i rozdzieliliśmy.

- Mój tata nie wie, czego ma się spodziewać. Słyszałaś coś może? - zapytał.

Potrząsnęłam głową. Pomyślałam, że pewnie Swan obiecała Matyldzie zostawić na razie Wade'ów w spokoju. Gdyby działa się zbyt dużo zbyt szybko, mogłoby to tylko wzbudzić niepotrzebne zainteresowanie. Eli wpatrywał się we mnie intensywnie.

- Czy Klara już wróciła?

Swan poinstruowała mnie dokładnie, co mam odpowiadać, gdyby ktoś zadał mi takie pytanie. Spojrzałam w oczy mojemu najlepszemu przyjacielowi i jedynej prawdziwej miłości i skłamałam.

- Wróciła do siebie do Chicago.

Eli wypuścił powietrze. Zamknął oczy, a następnie je otworzył.

- Kiedy?

- Zaraz następnego dnia po tej nocy u Neddlera. Swan kazała jej opuścić miasto. Nie wiedziałam o tym, dowiedziałam się dopiero później.

- To znaczy, że sama nie widziałaś, jak wyjeżdżała?

- Nie, ale... ale wyjechała.

- Dzięki Ci, Boże! - wyrzucił z siebie Eli jednym tchem. Złapał mnie za rękę i pobieглиśmy w dół zbocza. Usiadł na ławce w odległości jakichś trzydziestu centymetrów od miejsca pochówku Klary. Ciągnął mnie, żebym usiadła obok niego, ale ja zaparłam się, wpatrzona w jej ukryty grób. Zrobiło mi się niedobrze.

- Muszę... muszę iść. - Wyrwałam rękę i pobiegłam w górę

stoku, gdzie padłam na kolana i zwymiotowałam mleczną wodą. Eli pospieszył za mną, ukląkł i objął mnie ramieniem.

- W dalszym ciągu jesteś chora - powiedział. - Chodź, odprowadzę cię do domu.

Wstałam z jego pomocą. Oparta o Eliego, przyciskając do żołądka jedną z jego zaciśniętych dłoni, dowlokłam się do podstawy tarasu, gdzie spojrzałam na staw z rybkami i ponownie zwymiotowałam. A potem odepchnęłam go i wbiegłam po kamiennych stopniach na górę, nie oglądając się za siebie.

Eli otrzymał pierwsze ciosy i oddał je dwukrotnie z taką siłą, że słychać było jęki napastników. Ale byli to starsi chłopcy, potężni w ramionach, zawodnicy z miejscowej drużyny futbolowej, i było ich dwóch. W niecałą minutę Eli leżał na ziemi wśród metalowych pojemników na śmieci przed rampą dla samochodów dostawczych szkolnej kafeterii. Z rozcięcia nad okiem leciała krew, bolały go też żebra. Z trudem łapał oddech.

- Następnym razem weź sobie do pomocy jakichś czarnuchów - powiedział jeden z chłopaków, a drugi dodał:

- Hej, on może sobie wziąć nawet kuzynkę.

Po ich odejściu Eh znalazł okulary pod pokrywą pojemnika na śmieci. Metalowa oprawka była powykręcana i pęknięta. Pozbiierał się z ziemi. Świat bez okularów był zamazany, przypominał więzienie. Wolno obszedł teren szkolny i dotarł do drogi, która miała go zaprowadzić przez las do odległego o jakieś trzy kilometry kamieniołomu. Zajął mu to około godziny, cały czas potykał się i błądził. Kiedy dotarł na miejsce, zatrzymał się w lesie w pobliżu parkingu dla pracowników. Późnym popołudniem tata skończył pracę.

Eli wyszedł mu naprzeciw, posiniaczony, na pół ślepy, z pulsującą głową. Tata podszedł do niego, wziął go pod brodę i przyrzekał mu się z wyrazem bólu na twarzy.

- Wytrzymasz to, synu? - zapytał.

- Wytrzymam, a ty?

Tata skinał głową. Kłykcie prawej dłoni były spuchnięte. Jeden z awanturników z jego brygady powiedział: „Nie muszę słuchać żadnych poleceń od kochasia czarnuchów”, i tata pokazał mu, że nie jest to najlepszy pomysł.

- Wsiadaj do samochodu. Jedziemy do okulisty zamówić nowe okulary.

Eli skinął głową. Niepewnie wdrapał się do samochodu. Żaden z nich nie odezwał się słowem. Chłopak nie mógł się zmusić do tego, żeby zapytać ojca o tamtą noc u Neddlera. Klara wyjechała i tylko to się liczyło.

Eli codziennie chodził do Ogrodu Kamiennych Kwiatów, ale Darl już się więcej nie pojawiła. Przestał więc tam chodzić i zajął się rąbaniem drewna - aż do bólu ramion, aż do pęcherzy na dłoniach. Pewnego zimnego popołudnia przyszła Bell, przyglądając mu się z niepokojem. W pewnym momencie rzuciła się naprzód jak mały bałwanek w pikowanej kurtce i dresowych spodniach, złapała drzazgę, która odprysnęła podczas rąbania, i położyła ją na marmurowym stopniu, jakby Eli miał zaraz potem rozłupać kamień.

Eli zamachnął się siekierą ze szczególną furją. Darl nie chce mieć teraz ze mną nic wspólnego. Nie potrafi mi powiedzieć tego wprost, ale nie może znieść, że jestem wnukiem Anthony'ego Wade'a. Wade'owie są dla jej rodziny przyczyną samych kłopotów.

Być może Wade'owie byli przyczyną samych kłopotów również i dla siebie. Być może szczęście się odejmuje, zamiast pomnażać. Matylda Dove powiedziała mamie, żeby nie przychodziła do pracy, przynajmniej na razie. I mimo że Swan nie zwolniła taty z kamieniołomu, to pan Albert nagle przestał mieć dla Eliego robotę w biurze.

Chłopak znów zamachnął się siekierą. W dalszym ciągu patrzył na tatę z rozpaczą, ponieważ tata skłamał mamie, mówiąc, że nie widział się z Klarą po raz drugi wtedy w nocy u Neddlera. Może nie chciał po prostu, żeby mama wiedziała, że Klara się do niego lepiła, że potem za nim pojechała i w ogóle. Ale to było nie w porządku; to była rysa na monolicie ich wzajemnego zaufania i zaufania Eliego do taty.

Za następnym uderzeniem siekiery drzazga, która odprysnęła od polana, uderzyła Bell w usta. Mała przytknęła rękę do buzi i zaczęła płakać. Boże, siedem lat, a chwilami zachowywała się jak niemowlę. Eli podbiegł do siostry i oderwał jej rękę od twarzy. Ze skaleczenia na dolnej wardze sączyła się krew.

- Och, siostrzyczko, bardzo cię przepraszam. - W jego oczach pokazały się nieproszone i zaskakujące łzy. Wytarł je, ale powróciły. Bell, patrząc w osłupieniu na łzy brata, sama przestała płakać.

- Eli - jęknęła i pogłaskała go po policzku - ty nigdy nie płaczesz. Co się stało?

Chłopak potrząsnął głową. Był starszym bratem, mężczyzną w rodzinie, a do Bożego Narodzenia zostały zaledwie dwa tygodnie, ostatni moment, by jeszcze nad sobą popracować. Ale nigdy w życiu nie czuł się bardziej samotny niż teraz, kiedy opuściła go Darl.

Nasze szczęście się kończy - pomyślał, ale nie powiedział tego głośno.

Rozdział 8

Cały dwór, wewnątrz i na zewnątrz, tonął w dekoracjach świątecznych. We wszystkich pokojach na dole stały drzewka, przystrojone ozdobami i świecidełkami. Na każdym stole leżał migocący świąteczny stroik. Wszędzie poustawiano wazony z czerwonymi poinsecjami. Kiedy na nie patrzyłam, widziałam tylko krew i czerwony samochód Klary.

Pewnego popołudnia Matylda przywiozła Karen, która przybiegła na górę do mojej sypialni. Siedziałam na kanapce w wykuszu okiennym, na różowych poduszkach, i patrzyłam na taras, lasy i Ogród Kamiennych Kwiatów. Karen usiadła naprzeciwko mnie.

- Co robisz? - spytała z ożywieniem.

A ja patrzyłam na nią i myślałam o rzeczach, o których ona nie wiedziała. O tym mianowicie, że nie tylko jej na pół biała babka była przyrodnią siostrą Swan, ale także i o tym, że jej dziadkiem był Anthony Wade. Że nasze babki rozpoczynały swoje życie jako córki prostytutek - coś, co niezupełnie rozumiałam, ale co napęłniało mnie zgrozą. Że ona i Eli byli kuzynami. I że my dwie też byłyśmy ze sobą spokrewnione. Ale tylko ja zostałam w to wszystko wtajemniczona. Tylko mnie dotknęło przekleństwo Hardigreech.

- Co robisz? - zapytała Karen po raz drugi. - Zwariowałaś czy co? Słyszysz, co do ciebie mówię?

- Staram się jakoś uporządkować myśli-odparłam - Niezbyt dobrze się czuję.

- Jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś tak długo chorował na gripę.

- Bo ja tak wolno wracam do zdrowia.

Karen zmarszczyła czoło na widok sterty oprawnych w skórę książek leżących u moich stóp. Przyniosłam je z biblioteki Swan. Karen położyła sobie jeden z tych tomów na kolanach i gwizdnęła na widok różowej papeterii, której używałam jako zakładki.

- Co czytasz?

- To książki prawnicze.

- Książki prawnicze? - Otworzyła tom w założonym miejscu. - Wspólństwo - wymówiła powoli i z odpowiednim drammatyzmem, wznosząc oczy do góry. - Co to ma znaczyć?

- To znaczy, że mogłaś czegoś nie zrobić, a mimo to iść do więzienia.

Karen znów wzniosła oczy do nieba, komentując w ten sposób moje dziwne zainteresowania, zamknęła książkę, ziewnęła i rzuciła kaptcie, po czym zwinęła się w kłębek na kanapce, z nogami na moich kolanach. Położyłam obie ręce na skarpetkach z żółtym szlaczkiem mojej złocistej kuzynki, końcami palców dotykając ciepłej skóry jej łydek i myśląc o tym, jak bardzo ją kocham. Znów wyjrzałam przez okno. Rozpaczliwie tęskniłam za Elim, ale nie mogłam nawet pomyśleć o tym, żeby pójść do naszego ogrodu. Nie mogłam mu przecież nic powiedzieć, nie mogłam powiedzieć nikomu o Klarze i prababce Escie, o burdelach, Swan i Matyldzie, o tym, kto spoczywał pod darnią w ogrodzie.

Czułam wtedy, że nie miałabym żalu, gdybym trafiła na krzesło elektryczne jako współniczka zbrodni, byle tylko uchronić Matyldę i Swan. Co by zrobiła bez swojej babki Karen w świecie tak okrutnym jak nasz? Dlatego nie mogłam powiedzieć nikomu, nikogo nie mogłam poprosić o radę.

Nikogo. Nigdy.

Byłam wykuta w kamieniu.

Na tydzień przed Wigilią Bożego Narodzenia jeden z rybaków zauważył w głębokim na sześć metrów jeziorze Briscoe zatopiony samochód Klary. Duże górskie jezioro znajdowało się w odległości godziny jazdy na zachód od Burnt Stand, na terenie rozległych Lasów Państwowych Nantahala. Indianie Cherokee nazywali te lasy, porastające góry tak strome, że ich cienie kryły wszystko, poza sportowym wozem Klary, Krainą Południowego Słońca.

- Wyciągnęliśmy samochód i stanowe laboratorium kryminalistyczne właśnie go bada - poinformował Swan Lowden, szef naszej policji. - Jak do tej pory nic tam nie znaleźli. - Siedziałam niedaleko, na kanapce w salonie, i przysłuchiwałam się tej rozmowie ze spokojem sędziego. Lowden, wysoki, krzepki, rudy mężczyzna, znany ze swojej dobronaszności, połączonej z pewną brutalnością, niespokojnie spoglądał w moją stronę. - Panno Swan - zwrócił się wreszcie do mojej babki - czy pani jest pewna, że Darl powinna być przy tej rozmowie?

- Moja wnuczka nie jest zwykłym dzieckiem - odparła Swan. - Proszę mówić dalej.

- No cóż, chciałem powiedzieć, iż zamierzamy sprowadzić nurków, żeby... hm... żeby przeszukali jezioro. Chodzi o... o ciało.

Swan poważnie skinęła głową, jakby Lowden mówił o kimś obcym, a nie o Klarze.

- Być może znajdziecie ciało.

- Mówiła pani, że siostra wyjechała tego samego wieczoru, kiedy była widziana w barze Neddlera, tak?

- Tak. Powiedziała mi, że wraca do Chicago. Wtedy widziałam ją po raz ostatni. Nie miałam pojęcia, iż po drodze do domu zamierza jeszcze wstąpić do baru. Ale mnie to specjalnie nie zdziwiło.

- Rozumiem, że panie nie były ze sobą specjalnie blisko, ale czy pani Klara nie zadzwoniłaby do pani, by powiedzieć, że dojechała szczęśliwie na miejsce?

- Nie. Nieraz latami nie odzywałyśmy się do siebie.

Mężczyzna westchnął i skinął głową. Wszyscy w mieście wiedzieli, że Klara była rodzinnym wyrzutkiem. Nie mogłyśmy się odciąć od jej rujnującego wpływu na całe otoczenie i od naszej żalostnej rodzinnej historii, nawet marmurowe ściany naszej rezydencji nie zapewniały nam spokoju i bezpieczeństwa.

- Myślę, że coś jej strzeliło do głowy i pojechała na przełaj do drogi międzystanowej - ciągnął Lowden. - I jakimś objazdem trafiła nad jezioro. Służby leśne twierdzą, że w tym czasie droga zwirowa była otwarta dla gości. Wygląda na to, że spadła z niewielkiego drewnianego mostka nad zatoką, gdzie zwykle nie ma żywego ducha.

Swan nawet nie mrugnęła.

- Moja siostra była w najwyższym stopniu lekkomyślna. Nie wykluczone, że piła u Neddlera.

- Pamiętam, że jako nastolatka skasowała pod wpływem alkoholu ze dwa czy trzy samochody. - Lowden się skrzywił. - Przepraszam, że to mówię.

- Nic nie szkodzi. Nigdy nawet nie udawałam, że ją rozumiem. Nie mam zielonego pojęcia, co mogła robić sama nad jeziorem Briscoe. Wolę się nad tym nie zastanawiać.

- I słusznie, panno Swan. - Lowden, który zawdzięczał Marmurom Hardigree swój nowy wóz patrolowy i świeżo odnowioną siedzibę posterunku, ze dwie minuty poświęcił na przeproszanie Swan za to, że jest nosicielem złych wieści. Babka skłoniła głowę w królewskim geście podziękowania za wyrazy współczucia. Lowden wyszedł z czapką w rękę.

Zaczęłam się trząść. Swan wzięła mnie pod brodę i spojrzała mi w oczy niemal ze smutkiem.

- Zapomnij o wszystkim, poza prawdą, z którą chciałybyś żyć - powiedziała, a następnie podeszła do potężnej komody z marmurowym blatem i nalała sobie wina z karafki ze rżniętego szkła, z ozdobną literą H, wygrawerowaną w srebrnym korku. Łyknęła wina i zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, wszelkie ślady troski, malującej się w nich jeszcze przed chwilą, znikły. - Pamiętaj, Darl, że twoje życie to twoja reputacja, a twoja reputacja to twój los.

Siedziałam na kanapie i drapałam sobie dłonie niemal do krwi.

Kiedy Eli się dowiedział, że Klara mimo wszystko nie wróciła do Chicago, spuścił głowę i zapłakał.

W mieście dosłownie wrzało od plotek: nurkowie nie znaleźli w jeziorze Briscoe ciała Klary. Ten dramatyczny rozwój wypadków wywołał nową falę komentarzy na temat rewelacji dotyczących naszej rodziny, Wade'ów i Matyldy. Ale nawet w tej sytuacji duma nie pozwoliła Swan odwołać dorocznego przyjęcia, organizowanego zawsze przez firmę z okazji Bożego Narodzenia i tak zakorzenionego w tradycjach miasta, że w tym roku przypadająca pięćdziesiąta rocznica tych uroczystości.

- Czy ona wyrzuci stąd Jaspera Wade'a? - zapytałam Matyldę. Matylda skinęła głową i odwróciła wzrok.

- Tak, po Bożym Narodzeniu.

Na tydzień przed świętami stałam więc obok Swan - ona w złocistej sukni za kolana, ja w różowej ze świąteczną czerwoną lamówką - w wielkim ogrzewanym namiocie, rozbitym obok kamieniołomu. Kilkaset osób - pracownicy firmy z rodzinami, burmistrz i inni notable, każdy, kto się liczył w naszym małym światku - kręciło się wokół stołów zastawionych jedzeniem i napojami. Wynajęty Mikołaj z pomocnikami rozdawał dzieciom zabawki i słodycze. Środek namiotu zajmowało podium do tańca, nad którym wisiały ozdobione czerwonymi wstążkami bukiety jemioly wielkości piłki do koszykówki. Z metalowych listew namiotu zwisały kolorowe światła. Niewielki zespół muzyczny grał świąteczne melodie.

- Witamy - zwracała się oficjalnie Swan do każdego z wchodzących gości, z których większość stanowili prości wiejscy ludzie, którzy czerwieniu się i jękali.

- Uszanowanie - wtórowałam jej.

Wszystko we mnie drżało z napięcia i rozczarowania. Eli z rodziną nie przyszedł, nie pozwolono im.

- O, są - szepnęła nagle Karen. Stała za mną, koło Matyldy, która ostatnio trzymała ją na takiej krótkiej smyczy, że prawie się nie widywałyśmy. Podobna do słodkiego elfa w kolorze jasnej mokki, w zielonozłotej sukience, w dalszym ciągu nie była świadoma żadnych komplikacji, poza zniknięciem Klary.

Serce waliło mi jak młotem, kiedy w przybranych girlandami drzwiach ukazali się w końcu Eli, Bell, Annie Gwen i Jasper. Cała rodzina była ubrana odświętnie. Bell rozpromieniła się na widok mojego uśmiechu, ale nerwowo szarpała brzeg rozciągniętego swetra. Ciemne włosy miała ściągnięte do tyłu i związane gumką, do której była przyczepiona plastikowa gałązka ostrokrzewu z czerwonymi jagodami. Annie Gwen, w prostej brązowej sukience i żakiecie w kratkę, wydawała się mizerna, ale spokojna. Jasper patrzył prosto przed siebie. Jego mocna twarz była niewzruszona jak rzeźba w kamieniu, a jednak kobiety oglądały się za tym przystojnym mężczyzną, dziś w garniturze i krawacie. Garnitur mógł pochodzić z katalogu Searsa, a krawat ze sklepu z używaną odzieżą w Burnt Stand, ale efekt końcowy zwracał powszechną uwagę.

Cały czas wodziłam wzrokiem za Elim. Miał na sobie granatowy garnitur, tak jak ojciec, z gładkim czerwonym krawatem, za-

wiązanym krzywo, ale za to w mocny węzeł. Nieco za krótkie nogawki spodni ukazywały kostki, a rękawy marynarki grube, kościste nadgarstki. Wbił we mnie zza okularów palące spojrzenie ciemnych, skupionych oczu, domagając się odpowiedzi na tysiąc niezadanych pytań. Z chęci porozmawiania z nim aż dygotałam w środku. Nagle w wieku lat dziesięciu zrozumiałam, co to znaczy być dorosłym; czułam, jak moje dzieciństwo się ode mnie oddała. Widziałam też, jak Eli traci swoje chłopiństwo i jak w wieku lat trzynastu staje się wysokim, poważnym mężczyzną.

- Uszanowanie - powiedziałam, załamana.

Nie odpowiedział.

- Witajcie. - Swan zwróciła się do Jaspera i Annie Gwen.

- Dziękujemy - odpowiedzieli chórem, ale ich twarze były zadowolone, a wzrok błędził w tłumie. Ludzie przyglądali się im, szepcząc, rzucając pod ich adresem ukradkowe spojrzenia i kiwając głowami. Na ułamek sekundy Jasper ominął wzrokiem Swan i wymienił przenikliwe spojrzenia z Matyldą. Wytrzymała wzrok syna swojego kochanka z pełną powagi godnością. Jedną rękę trzymała mocno zaciśniętą na ramieniu Karen, drugą opuściła wzdłuż boku, dotykając fałd sukni w kolorze czerwonego wina.

Swan odwróciła się, z zaciśniętymi ustami i twarzą, która nie wyrażała żadnych uczuć.

- Chodź, Darl - powiedziała - mamy jeszcze innych gości. - Podtrzymała tradycję gościnności Hardigreech, ale jej postawa mówiła wyraźnie, że skończyła z Jasperem Wade. Odchodząc do innych pracowników, dała mu do zrozumienia, że nie ma na co liczyć. Ludzie rozstapili się, robiąc jej przejście, niczym dworzanie na dworze królewskim, po czym zamknęli się za nią, spoglądając na stojących samotnie Wade'ów.

Swan tak była przyzwyczajona do tego, że bez dyskusji spełniałam każde jej polecenie, iż nawet się nie obejrzała, by sprawdzić, czy za nią idę. A ja nie szłam. Moje serce rwało się na strzępy. Na twarzy Jaspera Wade'a widziałam wyraźnie skutki całkowitego ostracyzmu, jakiemu zostali poddani. Jego przyszłość w Burnt Stand została przesądzona. Mężczyźni, którzy z nim pracowali, wiedzieli, że wypadł z łask Swan, i jak zwierzęta w stadzie, czeka-U tylko, kiedy zostanie wyeliminowany.

- Co się dzieje? - zapytała Karen. - Dlaczego wszyscy się tak dziwnie zachowują? - Nagle podbiegł do niej czarny chłopak, syn

jednego z farmerów, którzy mieszkali i trzymali się razem, poza miastem, i splunął jej pod nogi, tuż przed złotymi pantofelkami.

- Co, nie bawisz się ze swoim białym kuzynkiem? - zapytał.
- O czym ty mówisz, głupku?
- O Wade'ach - rzucił z pogardą chłopak. - Są twoimi kuzynami. Białymi.

Wszystko działo się tak szybko, że nawet Matylda nie była w stanie temu zapobiec. W chwilę później z tłumu wystąpił Leon Forrest i chłopak uciekł przestraszony. Leon - niefortunny wielbiciel w tandetnym niedzielnym garniturze z poliestru - stanął przed Karen i powiedział:

- Nie ma znaczenia, kim jesteś. W każdym razie dla mnie. Wszystko jest w porządku.

Karen, z ustami otwartymi ze zdumienia, patrzyła to na Leona, to na mnie, a wreszcie na swoją babkę.

- Chodź, idziemy - odezwała się Matylda i objawszy Karen ramieniem, wyprowadziła ją bocznymi drzwiami. Karen się wyrwała, spoglądając to na mnie, to na Eliego, który mrugnął do niej porozumiewawczo. Wreszcie się poddała. Zaciśnęłam pięści i zatoczyłam się. Miałam wrażenie, że spadam w dół, w przepaść, w głąb ziemi, a moje serce bije gdzieś w skale, na samym dnie. Matylda i Karen zniknęły. Teraz Karen dowie się wszystkiego, co ja już wcześniej wiedziałam o naszej rodzinie. Z wyjątkiem tego, że zamordowałyśmy Klarę.

Całkowicie odrętwiała, podeszłam do Eliego. Obserwowałam jego twarz. Patrzyłam, jak gniew ustępuje smutkowi, smutek niepewności, a ta z kolei poświęceniu. Wiedziałam, że dla niego i jego rodziny jest już za późno, i Eli też to wiedział. Niewielki zespół muzyczny po drugiej stronie drogi zaczął grać jakąś spokojną świąteczną melodię. Wyciągnęłam do niego ręce.

- Zatańczysz?

Eli zawsze był kiepskim tancerzem. Przez chwilę się nie odzywał, patrzył tylko na mnie z bezgranicznym smutkiem i rezerwą.

- Jedynym miejscem, w którym możemy być razem, jest Ogród Kamiennych Kwiatów - powiedział.

Te słowa prawie mnie zabiły. Z trudem wydobyłam z siebie głos.

- Nie, ja mogę być z tobą wszędzie.

Eli westchnął głęboko. Wziął mnie pod łokieć i weszliśmy na

parkiet. Staliśmy tam, osamotnieni, czując na sobie zbiorowe spojrzenie całego miasta. Wpatrzeni w siebie, spleśliśmy ramiona, jak tego wymagała sytuacja, i zaczęliśmy się wolno poruszać w takt muzyki. Kiedy melodia się skończyła, nikt się nie ruszył ani nie odezwał. W wielkim namiocie zapanowała atmosfera zdumienia i zaprawionej strachem dezaprobaty.

- Dostyc tego, synu - odezwał się gdzieś zza nas ponurym głosem Jasper Wade. - Idziemy.

Eli patrzył mi jeszcze w oczy przez parę sekund, po czym jego usta poruszyły się w szepcie tak cichym, że bardziej go wyczułam, niż usłyszałam:

- Uszanowanie.

- Uszanowanie - odparłam z oczyma pełnymi łez.

Po czym rodzina Wade'ów wyszła z namiotu. Opuszczona, pośrodku parkietu, obróciłam się i... napotkałam bezlitosne spojrzenie błękitnych oczu mojej babki.

Następnego dnia w wyłożonym marmurami gabinecie Lowdena na komisariacie policji w Burnt Stand pojawił się pan Neddler.

- Szefie, nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, czy nie, ale od chwili, kiedy się dowiedziałem o samochodzie Klary Hardigree, ta sprawa nie daje mi spokoju. - Po czym opisał nocne spotkanie Jaspera Wade'a z Klarą przed barem, opowiedział o tym, jak bardzo Jasper był zły, jak silnie ją pchnął, aż się przewróciła, grożąc, że ją zabije, i jak potem Klara, zdeterminowana, pojechała za nim ciemną górską drogą.

Lowden powtórzył to wszystko Swan, kiedy szli razem do naszego eleganckiego salonu w Marmurowym Dworze.

- Panno Swan - powiedział na koniec - ostatnią osobą, która widziała tamtej nocy pani siostrę żywą, był Jasper Wade, który miał powody, żeby zrobić jej coś złego. Nie chciałbym sugerować tego, co najgorsze, ale wnioski nasuwają się same.

- Babciu - powiedziałam tytułem ostrzeżenia. - B a b c i u .

Z twarzy Swan mogłam wyczytać, że w sprawie Klary przebrała się miara jej cierpliwości. Poczułam od niej chłód jeszcze większy niż zwykle.

- Wyjdź z pokoju, Darl - poleciła mi.

Potrząsnęłam głową. Nie pozwolę, żeby to zrobiła ojcu Eliego.

Ale cóż ja mogłam powiedzieć? To myśmy zabiły Klarę, panie komisarzu? Moja babka, Matylda i ja? Pozwoliłyśmy, by utopiła się w stawie, a potem zawlokłyśmy jej ciało do lasu i zakopałyśmy w cieniu kamiennych kwiatów? Proszę nas wszystkie trzy wsadzić do więzienia. Och, Matylda, Karen, nie mogłam ich przecież pociągnąć za sobą.

- Babciu - powtórzyłam przez zaciśnięte zęby - pan Wade nie jest mordercą, wiem to z całą pewnością.

Myślałam, że spojrzenie jej oczu mnie spali. Bitwa, jaką rozpoczęliśmy, przeszła w otwartą wojnę.

- Nie wątpię, że masz rację, ale pan Lowden zada tylko panu Wade'owi kilka pytań.

Lowden skinął głową.

- Darl, jesteś małą, słodką dziewczynką, która chciałaby myśleć o ludziach tylko jak najlepiej, i ja cię rozumiem. Obiecuję ci, że zrobię jedynie to, do czego jako szef policji jestem zobowiązany. Zaraz po wyjściu stąd wstąpię do Kamiennego Dworku i poproszę pana Wade'a o pewne wyjaśnienia i wszystko będzie załatwione, jak trzeba. Nikomu nic złego się nie stanie, dziecino.

Już się stało - miałam ochotę wykrzyknąć, ale poczułam się tak, jak gdybym zamarzyła wewnątrz swojej skóry na kość. Zaczynałam się uczyć, co można zdradzić, a co za wszelką cenę należy zatrzymać przy sobie.

- Dobrze - powiedziałam i wydałam z siebie westchnienie jak gdyby zadowolenia, a następnie odwróciłam się i czując na sobie świdrujące spojrzenie Swan, wolno wyszłam z pokoju. Gdy tylko uznałam, że mogę biec, pognałam na tyły domu, wybiegłam przez drzwi tarasu, minęłam basen, przykryty na zimę plandeką, a następnie po marmurowych stopniach popędziłam do lasu.

Drewniana przyczepa na sprzęty. Trochę mebli i drobiazgów. Nowy silnik do starego samochodu. Nieco gotówki - oszczędzanej na koncie w banku w Burnt Stand i schowanej w pudle pod przednim siedzeniem. Oto jedyne widome oznaki tego, że trzy lata spędzone w Burnt Stand zmieniły ich życie na lepsze, a zarazem o tyle gorsze. Eli próbował nie myśleć o tym, jak nędznie, mimo wszystko, będą wyglądali, wyjeżdżając z miasta. Szarpnął linę, którą przywiązywał kuchenne krzesło, ułożone na samym

wierzchu sterty mebli. Oczy piekły go od łez. Poczucie gniewu i krzywdy, głębokie jak cięcie siekierą, oddzieliło go od chłopca, którym w końcu przecież był.

Koniec - powiedział tata, rzucając marynarkę na przednie siedzenie samochodu.

- Jeszcze to. - Mama wyniosła z domu wyładowane tekturowe pudło. Eli podskoczył, żeby jej pomóc.

- A to co? - zapytał.

Oczy miała spuchnięte od łez.

- Spróbuj to umieścić w takim miejscu, żeby się nie pogniotło. To są kanapki z indykiem i takie tam różne.

- Dobrze, mamo.

Była to ich kolacja wigilijna, którą mieli zjeść przy ładnie nakrytym stole, oglądając w telewizji koncert świąteczny. Teraz mama zrobiła z tego jedzenie na drogę, w tanich plastikowych pojemnikach, i kanapki na później, owinięte w pergamin. Eli miał ochotę wyć. Pobić się z kimś. Kiedy zaniósł pudło do samochodu, tata stał zgięty wpół i układał od nowa torby na śmieci wypełnione ubraniami i innymi rzeczami. Wyprostował się i na widok upchniętej w pudle kolacji wigilijnej zrobił się błydy jak ściana.

- Niech to szlag - powiedział wolno, pod nosem, a następnie obrócił się i walnął pięścią w bok ciężarówki. - Niech szlag trafi mojego ojca, całe to miasto i Klarę Hardigree.

Bell, która właśnie wyszła z domu, zaniósła się szlochem, słysząc te brutalne słowa. Schowała buzię w świąteczne dekoracje, wypełniające koszyk na zakupy, który niosła przed sobą.

- Ja stąd nie chcę wyjeżdżać! To jest nasz dom!

Mama podbiegła do niej i przytuliła ją.

Taki był rodzinny pejzaż, kiedy Eli obrócił się znużonym gestem i na wzgórzu wznoszącym się nad Kamiennym Dworkiem zobaczył wyłaniającą się z gąszczu rododendronów Darl.

- Eli! - wrzasnęła, a on wybiegł jej na spotkanie. W długich włosach miała pełno drobnych patyków i suchych liści. Była czerwona na twarzy i z trudem łąpała oddech. - Biegłam... biegłam najszybciej, jak tylko mogłam. Eli, komisarz Lowden...

- Uspokój się. Zaczynaj normalnie oddychać. - Otoczył ją ramieniem i przyprowadził pod dom. Na widok spakowanego samochodu jęknęła.

- Nie!

Eli się wyprostował, przywołując resztki nadszarpniętej dumy.

- Idź - powiedział. - Idź tam na tę górkę i nie odwracaj się. Nie będzie żadnego pożegnania. Nie, nie będzie. Napiszę do ciebie, jak tylko gdzieś zajedziemy.

Złapała go za koszulę z przodu i potrząsnęła.

- Eli, po twojego tatę idzie policja!

W tym momencie podszedł do nich Jasper.

- Co takiego? - zapytał.

O Boże, tato - pomyślał Eli. - Czy to ty zrobiłeś?

Darl jednak przybiegła za późno, żeby ich ostrzec. Właśnie na wąskiej drodze dojazdowej usłyszeli silniki samochodów. Dwa beżowo-niebieskie policyjne wozy terenowe wyłoniły się zza zakrętu i wjechały na podwórko. Z pierwszego wysiadł sam komisarz Lowden i pomachał do wszystkich w geście wymuszonej serdeczności. Z drugiego wygramolił się najbardziej krzepki z jego ludzi, diakon z miejscowego kościoła, człowiek o masywnym karku i były żołnierz piechoty morskiej, Canton.

Eli patrzył, jak mężczyzna odpina kaburę służbowego rewolweru i kładzie ciężką rękę na jego kolbie. Któregoś dnia Canton, przemawiając do zgromadzonych w miejscowej szkole średniej, szczylił się tym, że się zawsze zgłasza do najtrudniejszych zadań. W mieście, w którym zdarzało się jedno morderstwo na rok, najtrudniejszym zadaniem była właśnie wizyta u Wade'ów.

- Annie, zabierz stąd wszystkich - polecił tata i spojrzął Elie-mu w oczy. - Synu, zajmij się matką i siostrą.

Poczucie winy schwyciło Eliego za gardło.

- Dobrze, tato. - Stał przed matką i Bell, bezradnie patrząc, jak dołącza do nich Darl. W głębi duszy był z tego rad, ale na wszelki wypadek i ją schował za siebie. Darl, mama i Bell napięły na niego od tyłu, trzymając się razem.

Tata stanął naprzeciwko komisarza Lowdena.

- Wyjeżdżamy. Nie będę czekał, aż pani Samples mnie wyrzuci.

Lowden westchnął ciężko. Za nim Canton stał na rozstawionych nogach, z ręką w dalszym ciągu na kolbie rewolweru.

- Nie tak szybko, Jasperze - powiedział komisarz. - Muszę z tobą porozmawiać. Tylko bądź ze mną szczerzy.

- Jestem uczciwym człowiekiem.

- To dobrze. Słyszałem, że tamtej nocy, w barze na zboczu Doe Mountain, po raz drugi spotkałeś się z Klarą Hardigree. - Eli poczuł, jak palce matki konwulsyjnie wbijają mu się w ramię. Ze ściśniętym sercem słuchał, jak policjant z najdrobniejszymi szczegółami opowiada tamtą nieprzyjemną scenę, której on i Neddler byli świadkami. Mama wydała cichy okrzyk zgrozy. Tata, który stał tyłem do nich, jak gdyby z każdym słowem bardziej się garbił. Lowden wpatrywał się w jego twarz. - Do kąd wtedy pojechałeś, mając świadomość, że ona za tobą jedzie?

- Przyjechał prosto do domu! - wykrzyknęła mama. - I był ze mną do rana.

Tata obrócił się i spojrzał na nią ze łzami żalu i miłości w oczach.

- Daj spokój, Annie - powiedział szorstko. Po czym z powrotem odwrócił się do Lowdena.

- Moja żona chce mi pomóc, ale ja nie mam nic do ukrycia. Mówię prawdę. Pozwoliłem Klarze się wyprzedzić, a potem pojechałem do Cheetawak Point i tam przez jakiś czas siedziałem, patrząc na gwiazdy i próbując sobie to wszystko przemyśleć. Przed świtem byłem w domu.

Komisarz Lowden smutno potrząsnął głową.

- Przykro mi, Jasperze, ale to znaczy, że nie masz alibi. Przykro, że tak to muszę ująć, ale tamtej nocy miałeś dość czasu, żeby zabić Klarę Hardigree, a potem pojechać nad jezioro Briscoe i wrzucić do wody jej samochód wraz z ciałem. Miałeś, Jasper, nie tylko dość czasu, żeby popełnić morderstwo, ale i motyw, żeby to zrobić.

Tata zacisnął pięści.

- Nie zabiłem Klary Hardigree i nie wrzuciłem jej do jeziora. To bzdury.

- Mam nadzieję. Ale będziesz musiał pojechać ze mną do miasta i odpowiedzieć na dalsze pytania.

- Czy jestem aresztowany?

- Na razie tak tego nie nazywajmy. Po prostu chciałbym, żebyś opowiedział swoją historię do protokołu. Musisz ją powtórzyć kilka razy przy różnych facetach z zewnątrz, spoza okręgu, potem wezmę twoje odciski palców i tak dalej. A teraz idziemy. Wsiadaj do mojego samochodu i jedziemy do miasta, żeby jak

najprędzej mieć sprawę z głowy. Nie jest powiedziane, że spędzisz noc w areszcie, ale dla własnego dobra staraj się współpracować.

Jasper nawet nie drgnął. Nogi pod Elim się ugięły. Wiedział, co tata w tej chwili musiał myśleć. Wychowany w biedzie, praktycznie bez ojca, który zginął w wypadku w kamieniołomie, kiedy tata był chłopcem, obarczony jakąś dziwną wadą, która sprawiła, że nigdy nie nauczył się czytać, ignorowany dosłownie w każdej dziedzinie, poza kamieniarstwem, sprowadzony tutaj w akcie dobroczywności i podźwignięty, a następnie zrujnowany - tata czuł, że więcej już nie znieśie. A teraz - na oczach żony, syna i małej córeczki - miał być jeszcze oskarżony o morderstwo i wieziony do miasta w samochodzie policyjnym, gdzie wszyscy mogli być świadkami jego hańby... nie, tego już było za wiele. Akurat w przeddzień Wigilii Bożego Narodzenia dopadł tatę cały jego życiowy pech.

- Tato, jedź, porozmawiaj z policją - zawołał Eli. - Pojadę z tobą.

Ojciec niemal niewidocznie potrząsnął głową.

- Panie komisarzu - powiedział do Lowdena - spakuję rodzinę i wyjedziemy jeszcze dziś, ale nie pójdę do waszego aresztu. Nawet na przesłuchanie.

- Ale ja cię stąd nie wypuszczę. Wsiadaj, człowieku, do mojego samochodu.

Tata odwrócił się i podszedł do naszej ciężarówki. Lowden gapił się na ojca z niedowierzaniem.

- Spokojnie, Jasperze, bo zaczynasz mnie denerwować, a Canton nie lubi, jak jego szef jest zdenerwowany.

Canton wyjął rewolwer z kabury. Tata otworzył drzwi ciężarówki i sięgnął pod przednie siedzenie. Eli nagle uświadomił sobie, co tata ukrył tam koło pudła z pieniędzmi. Nie, nie, tato, nie! - otworzył już usta, żeby wykrzyknąć te słowa, ale mama go uprzedziła.

Tata wyjął pistolet spod siedzenia.

- Jasperze Wade, odłóż broń - polecił Lowden. Canton uniósł rewolwer. Tata jedynie trzymał pistolet w ręku, nie celował, uniósł go jednak w górę, a jego palce zaczęły szukać spustu.

- Wyoście się stąd - zażądał. - Zabieram rodzinę i wyjeżdżamy z tego miasta. Nic więcej nie chcę.

- Odłóż broń.

- Nie mogę tego zrobić. - Tata zagiął palec na spuście. Być może chciał tylko wystrzelić w powietrze, posłać Bogu w akcie rozgoryczenia i protestu jedną jedyną kulę, a potem odłożyć broń na maskę ciężarówki i oddać się w ręce policji. Ale nie zdążył. Nie miał szansy.

Canton strzelił mu prosto w serce.

Rozdział 9

Leżałam w łóżku, w ciemnościach, naszpikowana środkami uspokajającymi, ale na tyle świadoma tego, co się dokoła mnie działo, że słyszałam urywki rozmów, jakie się toczyły pomiędzy Swan, komisarzem Lowdenem i naszym rodzinnym lekarzem.

- Przysięgam, doktorze - mówił Lowden - że zabrałem ją stamtąd zaraz, jak tylko się zorientowałem, że ona tam jest. Zachowywała się jak szalona. Musiałem ją ciągnąć na siłę. Widział pan, w jakim była stanie, kiedy pan przyjechał na miejsce. Dostała ataku hysterii.

Mój pokój był w ruinie - meble połamane, ubrania porozrzucone. W wielkim oknie wychodzącym na lasy powybijane szyby. Miałam pobandażowane ręce.

- Chciałbym, żeby mała była na środkach uspokajających jeszcze przynajmniej przez tydzień - powiedział szeptem doktor. - A może nawet znacznie dłużej.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne - odparła Swan znużonym głosem.

- Zwracam uwagę, że w ciągu ubiegłego miesiąca Darl była świadkiem tego, jak pastor Al spada do szybu kamieniołomu, straciła cioteczna babkę, a teraz na jej oczach zastrzelono człowieka. Grozi jej to załamaniem nerwowym.

- Nie ma obawy. Darl wyrośnie na najsilniejszą istotę, jaką pan widział w życiu. Ona już jest silniejsza, niż panowie są w stanie sobie wyobrazić.

- Ona będzie twarda, panno Swan, a nie po prostu silna. Wybitna i twarda.

- Obie te cechy mogą być zaletami. Świat nie jest szczególnie łaskawy dla słabych kobiet.

Mężczyźni spojrzeli na Swan ze zdumieniem. Doktor odchrząknął.

- Niech i tak będzie. W każdym razie jedyną metodą na to, żeby mała mogła na razie w tym domu jakoś funkcjonować, nie robiąc sobie krzywdy, jest podawanie jej środków uspokajających.

Po chwili milczenia Swan powiedziała:

- Doktorze, proszę wypisać receptę, a ja ją zrealizuję.

Mężczyźni wyszli. Poczułam na twarzy delikatny dotyk jej ręki i otworzyłam oczy. Usiadła koło mnie na łóżku. W powietrzu unosił się delikatny zapach jej perfum. Po tej nocy już zawsze będę chora od zapachu Swan.

- Kiedy byłam mała - zaczęła cichym głosem, jakby opowiadała bajkę - nauczyłam się płakać cicho, tak żeby mężczyźni w domu mojej matki nie mogli mnie znaleźć.

Zamrugałam wolno, ale w środku cała płonęłam. Płakać? Moja babka kiedykolwiek płakała?

- Oni nie byli przyjacielscy w sposób odpowiedni dla małej dziewczynki - ciągnęła Swan. - Nauczyłam też i Matyldę, że ma płakać cicho. Miałśmy tego samego ojca, ale on się nami kompletnie nie interesował. A co do naszych matek... matka Matyldy pracowała u mojej matki, no i oczywiście była kolorowa, a tym samym dla naszego ojca w ogóle nie istniała. Umarła na chorobę, na którą w tamtych czasach cierpiały niektóre pracujące kobiety, i Matylda... została u mojej matki, a twojej prababki Esty, na wychowaniu.

Matka zamierzała ją oddać do Asheville, do sierocińca dla dzieci kolorowych, ale ją uprosiłam, żeby tego nie robiła, i w końcu uległa. Jak będziesz grzeczna, pozwolę ci zatrzymać Matyldę - powiedziała, jakbyśmy dalej żyli w czasach niewolnictwa i można było mieć kogoś na własność. Zresztą w oczach mojej matki nie byłyśmy wiele lepsze od takich czy innych niewolników. Ostatecznie żyła z tego, że sprzedawała kobiety mężczyznom.

Od tej chwili mówiła każdemu, że Matylda jest moją małą kolorową pokojówką, co stanowiło dla klientów matki dodatkową atrakcję. Uważali to za czarujące. Ale Matylda i ja wiedziałyśmy, że jesteśmy siostrami przyrodnimi. Wiedziałyśmy, że możemy liczyć tylko na siebie. Razem odkrywałyśmy różne kryjówki w wielkim domu mojej matki, gdzie nie mogły nas znaleźć inne kobiety. - Swan przerwała. - Ani mężczyźni.

Ujęła jedną z moich obandażowanych rąk w obie dłonie. Pewnie sądziła, że jestem zbyt zamroczona środkami uspokajającymi, żeby zapamiętać cokolwiek z tego, co mi mówiła, ale każde jej słowo odciskało się piętnem w moim mózgu.

- Miałyśmy mniej więcej po pięć lat, kiedy urodziła się Klara. Nasz ojciec, A.A. Hardigree, był w tym czasie pijany i zabawiał się na dole w towarzystwie jednej z kobiet. Ukryte w szafie w korytarzu, widziałyśmy z Matyldą, jak wychodził od niej, z garderobą w nieładzie, cuchnący alkoholem i potem. Był dużym, przystojnym mężczyzną i miał typowe ręce kamieniarza, ale tak za dbane, że musiał od dawna nie dotykać kamienia. Jako właściciel kamieniołomu zbudował miasto dla swoich mężczyzn i rządził w nim jak król. Patrzyliśmy na niego ze strachem i nabożną czcią. Nagle usłyszałyśmy na górze jakiś odgłos.

Moja matka zdołała wyjść ze swego pokoju i dowlec się do schodów. Uchwyciła się poręczy i patrząc w dół, zaczęła go przeklinać i płakać. Zakrwawiona biała koszula nocna przylgnęła do jej ciała. Matka miała długie czarne włosy, jak ty i ja, i niesamowicie niebieskie oczy. Była przerażająca, zdumiewająca i piękna. „Właśnie urodziłam ci drugą b i a ł ą córkę - powiedziała. - Czy to nic dla ciebie nie znaczy?”.

Ojciec odrzucił do tyłu głowę i uśmiechnął się do niej, jakby narodziny Klary były żartem. „Synowie i marmury mają wartość - powiedział. - Ale co może być warta córka prostytutki? Nic”. - Swan koniuszkami palców wiodła po moich bandażach. - To prawdopodobnie wtedy matka podjęła decyzję o tym, że będzie nas chroniła przed losem, jaki był nam pisany. Zdecydowała, że los swój, swoich dwóch córek i ich małej kolorowej przyrodniej siostry weźmie we własne ręce. W lecie - w samym środku najgorszej suszy - obudziła nas pewnej nocy i wysłała z domu - Matyldę i mnie z małą Klara na ręku - pod opieką jednej ze swoich kobiet. Kobieta poprowadziła nas pod górę, poza miasto, do lasu, gdzie - ze strachu przed ciemnością i moją matką - załamała się i płacząc, po prostu nas porzuciła.

Matylda i ja kuliłyśmy się w ciemności, tuląc do siebie Klarę. Nie miałyśmy pojęcia, co się dzieje. Wzgórza były wówczas prawie całkowicie pozbawione drzew - przed nami rozpościerały się gołe, brzydkie obszary, pokryte pieńkami. Bez trudu widziałyśmy stamtąd miasto - w obezwładniającym letnim upale suche błyskawice

oświetlały szopy, baraki i drewniane domy, które tworzyły wówczas Burnt Stand. Nigdy nie zapomnę, jak nagle wszystko stanęło w płomieniach, jakby jednocześnie wybuchło kilkanaście pożarów. Gorąco i dym spowiły wzgórze. Rzuciłyśmy się do ucieczki.

Wśród skalistych wypiętrzeń, w lasach Bald Stone Trace, było źródło - dziś już od dawna wyschnięte. Utworzyło się tam małe, rozkoszne jezioro. Byłyśmy z Matyldą zachwycone. Myślałyśmy, że w wodzie żyją dobre wróżki. Trafiłyśmy do źródła i usiadłyśmy na brzegu jeziora - dopiero tam mogłyśmy oddychać. Biedna Klara dosłownie się dusiła, ale ją wykapałyśmy i zrobiło jej się lepiej. Nigdy nie zapomnę, jak bezpieczne i wolne się tam poczułyśmy, jak ważne dla nas było to, że ocaliłyśmy siebie i Klarę, jakie byłyśmy z tego dumne. Od tamtej pory pokochołam wodę.

Dom mojej matki był wielkim drewnianym wiktoriańskim budynkiem krytym papą, który płonął jak suszona kukurydza. Ludzie biegali z krzykiem, niektórzy sami przypominając pochodnie. Nie widziałyśmy, żeby nasz ojciec wy dostał się z pożaru. Podobno umarł w łóżku matki. Ludzie mówili, że pożar wybuchł od pioruna. Matka milczała.

Niebawem wyciągnęła testament ojca i wynajęła adwokata z Asheville. Przysięgła, że ojciec zostawił jej kamieniołom i że w swojej ostatniej woli nazywał ją żoną. I wygrała. Tak więc od tamtej pory została panią Hardigree. Teraz już wszystko należało do niej - tragiczne ruiny miasta, kamieniołom, nazwisko ojca i jego pieniądze. Nigdy nie oglądała się za siebie, a i my też starałyśmy się ją w tym naśladować.

Swan westchnęła ciężko i spuściła głowę.

- Ale Klara nigdy nie zrozumiała, skąd się wywodziłyśmy. Wychowywała się w zupełnie innych warunkach niż Matylda i ja. Nigdy nie poczuła, co to prawdziwy strach. Nie musiała znosić upokorzeń i nigdy nie pojęła, dlaczego byłyśmy tak ostrożne, tak zdetaminowane, żeby odciąć się od przeszłości. Matka, zajęta prowadzeniem kamieniołomu, robieniem pieniędzy i budowaniem swojego marmurowego miasta, nie zwracała na Klarę najmniejszej uwagi - pozwoliła jej zejść na złą drogę. Być może nienawdziła swojej młodszej córki z powodu słów, które wypowiedział ojciec w dniu jej urodzin. Nie wiem. Matka niewiele o sobie mówiła. Nigdy nie byłyśmy ze sobą blisko.

Swan uśmiechnęła się blado.

- Matylda i ja próbowałyśmy zrobić z Klary damę, ale bezskutecznie. Nie mogła zrozumieć, dlaczego tak bardzo zależało nam na ludzkim szacunku. A my wiedziałyśmy, że pieniądze, władzę i dobre imię traci się równie łatwo, jak się je zyskuje. Klara wiedziała tylko jedno: że urodziła się bogata i piękna i że w związku z tym może robić, co jej się żywnie podoba.

Kiedy miałyśmy po kilkanaście lat, matka była już na tyle bogata, że mogła realizować swoją wizję marmurowego miasta. Potrzebowała w tym celu mistrza kamieniarskiego, który by zbudował dla niej rezydencję, a oprócz tego różne piękne domy w mieście - wszystko z marmuru. Rozesłała wieści do wszystkich kamieniołomów Południa, aż znalazła, w Tennessee, człowieka nazwiskiem Anthony Wade. Był to wyjątkowo urodziwy młody mężczyzna, wysoki, ciemnowłosy, biedny i niewykształcony, ale pełen wrodzonej elegancji. A do tego w sprawach budowy i obróbki kamienia okazał się niebywale utalentowany. Miał szczególnie wrodzone zdolności do rachunków i logicznego myślenia. - Swan zrobiła pauzę. - Niewykluczone, że, jak Eli, był kimś w rodzaju geniusza.

Wydałam pomruk złości i usiłowałam wyrwać rękę. Ale Swantrzymała mocno.

- Posłuchaj i staraj się zrozumieć. Gdyby miał możliwości, w innym czasie i miejscu, mógłby zostać słynnym architektem. Przyjeżdżając tutaj, miał szansę - na dobre czy na złe - zapisać się w historii tego miasta. A nie ma okazji bez poświęceń. Musisz to przyjąć do wiadomości, moje dziecko.

Swan na chwilę zamknęła oczy, ale zaraz potem zaczęła mówić dalej.

- Matka sprowadziła go tutaj i bardzo szybko zasmakowała nie tylko w jego robocie. Ale wtedy już zaczynała się starzeć, powoli traciła urodę, choć ciągle jeszcze była piękną kobietą. Przepuszczam, że musiał jej mocno zawrócić w głowie, no a on... - Swan się zawahała. - Myślę, że nie był nieszczęśliwy z tego powodu, że go darzyła względami. Przynajmniej na początku. Kryzys dopiero się kończył, w dalszym ciągu brakowało pracy, ludzie byli zrozpaczeni. Matka, prawdę mówiąc, miała swoich kamieniarzy na własność. Rządziła całym miastem.

Kazała Anthony'emu Wade'owi zbudować tę rezydencję, Ka-

mienny Dworek i Ogród Kamiennych Kwiatów. Wstawiła do dworku wspaniale meble i życzyła sobie, żeby Anthony tam zamieszkał, niczym jakiś książę. Wkrótce stał się czymś w rodzaju lokalnej osobistości. Potem matka zleciła mu budowę pięknych marmurowych domów i budynków użyteczności publicznej w mieście. Ludzie podziwiali jego talent. Nie wiedzieli, że wobec mojej matki przejawiał i inne talenty. Miała go na każde skinienie.

Swan na chwilę zamilkła.

- Byłam wściekła na matkę za plotki, które zaczęły się szerzyć na ich temat. I byłam wściekła na Klarę, która jeszcze nie zdążyła dorosnąć, a już cieszyła się złą opinią u wszystkich młodych mężczyzn w mieście - z wyjątkiem Anthony'ego, który ją ignorował. - Swan znów zamilkła. Zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, były twarde i przenikliwe. - Bo widzisz, Anthony zabawiał się z moją matką w pewnym sensie z konieczności, ale tak naprawdę kochał się w Matyldzie.

Powinłam była przewidzieć, co się szykuje. Wiedziałam, że Matylda jest zakompleksiona i że ma wielkie poczucie krzywdy z powodu miejsca, jakie jej w świecie przypadło. Obie byłyśmy wysokie, inteligentne i na wiele sposobów bardzo do siebie podobne, a jednak traktowano nas zupełnie inaczej. A to wszystko dlatego, że ona miała skórę nieco ciemniejszą i te szorstkie, pokręcone murzyńskie włosy. Była piękna, ale nie mogła udawać białej, a sposób, w jaki odnosili się do niej biali mężczyźni, naprawdę oburzał. Stała się nieprzystępna i bardzo nieufna. Usiłowałam jej pomóc, ale niewiele mogłam zrobić, niestety, by zmienić świat, w którym żyłyśmy.

Chodziłam do prywatnego college'u w Asheville, dokąd zabrałam ze sobą Matyldę mimo plotek, jakie to wywołało. Ludzie gadali, że wszędzie ciągnę ze sobą pokojówkę. Mieszkałyśmy u kuzynów Samplesów i w ten sposób poznałam twojego dziadka. Matyldzie nie było wolno uczęszczać do college'u ani brać udziału w żadnych zajęciach, co nas obie boleśnie dotykało. Znalazła sobie pracę w towarzystwie ubezpieczeniowym, należącym do bardzo zamożnego czarnego mężczyzny, który sprzedawał polisy kolorowym w całym stanie. Matylda go nie kochała, ale czuła się ogromnie samotna, a on nalegał. Zaczęli się spotykać. Należeli do śmietanki towarzyskiej środowiska kolorowych. Wszyscy się spodziewali, że Matylda wyjdzie za niego za męża.

Tymczasem w letnie wakacje, dosłownie w przeddzień moich zaręczyn z doktorem Samplesem, przyjechałyśmy do domu. Pewnego dnia matka wysłała nas do Kamiennego Dworku, żebyśmy dostarczyły Anthony'emu Wade'owi projekt jakiegoś kolejnego budynku, który zamierzała postawić w mieście, a ponieważ przez wzgląd na swoją dobrą opinię nie chciałam chodzić tam sama, wzięłam ze sobą Matyldę. Pojechaliśmy do tego odosobnionego miejsca dużym, efektownym cordem matki, trochę zdenerwowane i pełne rezerwy. Anthony Wade był jej wynajętym człowiekiem i zdawałyśmy sobie sprawę z tego, co to oznacza.

Na miejscu czekała nas niespodzianka. Anthony Wade zbudował zagrodę, w której trzymał dwa małe jelonki. Bliźnięta. Karmił je krowim mlekiem ze specjalnego pojemnika, zupełnie jakby były osieroconymi cielaczkami. Powiedział nam, że ich matkę zagryzły psy. Małe znalazł w lesie i postanowił je uratować. Robił wrażenie zmęczonego, ale nie dawał za wygraną. Wzruszyło nas jego dobre serce. „Czy mogłabym panu jakoś pomóc w karmieniu tych jelonków?” - spytała Matylda. Była oczarowana. Rzadko rozmawiała z białymi mężczyznami; wolała trzymać się na dystans, ale tym razem odstąpiła od swojej zasady.

A Anthony - nigdy tego nie zapomnę - zachowywał się tak, jakby Matylda była księżniczką, która zniżyła się do tego, żeby z nim rozmawiać. „Jestem przekonany - powiedział - że kiedy taka dama jak pani choćby raz ich dotknie, z pewnością nabiorą chęci do życia”. Matylda położyła rękę na sercu, jakby chciała wskazać miejsce, z którego je właśnie zabrał. Od tej pory jeździła tam codziennie pomagać Anthony'emu w karmieniu jelonków. Na własne oczy w i d z i a ł a m , jak tamtego dnia zakochała się w Anthonym, a on w niej.

Swan westchnęła ciężko.

- Oczywiście był to wielki problem: biały mężczyzna i kolorowa dziewczyna. Błagałam ją, żeby trzymała się od niego z daleka, ale na próżno. Anthony tak samo rozpaczliwie pragnął być z nią jak ona z nim. Mówili nawet o małżeństwie, o tym, że uciekną gdzieś, gdzie mogliby się legalnie pobrać... - Swan się zawahała, a w jej tonie pojawiła się gorzka nuta. - Wiedziałam, że mogło się to skończyć tylko katastrofą. I powinnam była przewidzieć, że stanie się to za sprawą Klary.

Otóż Klara nasza ich kiedyś w Kamiennym Dworku. Miała

wtedy szesnaście lat, była dziecinna i złośliwie zazdrosna. Powiedziała o Matyldzie i Anthonym najpierw matce, a potem dosłownie wszystkim. Wkrótce całe miasto wiedziało, że Anthony Wade został nakryty z kolorową pokojówką Esty Hardigree. Matka wpadła w szał. Poszła do pastora Ala, który jeszcze wtedy nie był pastorem, tylko wielkim zbirem pracującym w kamieniołomie, i zapłaciła mu, żeby wziął ze sobą kilku mężczyzn i poszedł zakałować Anthony'ego Wade'a na śmierć. Matylda zorientowała się w zamiarach matki i posłała do Kamiennego Dworku Carla McCarla, który przerwał tę makabryczną egzekucję.

Carl od zarania tego miasta pracował w kamieniołomie. Znał matkę Matyldy i zanim mój ojciec zastrzegł ją sobie wyłącznie dla siebie, był jej stałym klientem. Podejrzewam, że szczerze ją kochał, a Matyldę traktował jak własną córkę.

Carl uratował wprawdzie Anthony'emu życie, ale nie uratował go przed kalectwem. Zawiózł go do szpitala w Tennessee i tam zostawił, a ja płaciłam za jego leczenie. Nikt się nie spodziewał, że Anthony przeżyje. Przeżył jednak, ale jako ciężko poszkodowany inwalida. A kiedy tylko wydobrzył, przepadł bez wieści.

Matka wyrzuciła Matyldę z domu i powiedziała, żeby nie wazyła się wracać. Ukryłam ją u przyjaciół w Asheville. Bałam się, że umrze z rozpacz po stracie Anthony'ego. A co gorsze, była z nim w ciąży. Dotarło to do jej starającego się - tego od firmy ubezpieczeniowej - i ten zerwał z nią wszelkie kontakty. Mnie matka zagroziła wydziedziczeniem, jeśli nie przestanę jej pomagać. Był to straszny okres w naszym życiu, a Klara dosłownie rozkoszowała się tą sytuacją. Z najwyższym trudem udało mi się utrzymać sprawę w tajemnicy, tak że rodzina twojego dziadka niczego nie podejrzewała, z czasem jednak różne pogłoski zaczęły i do nich docierać. Ale wtedy byliśmy już zaręczeni. Wiedziałam, że muszę coś zrobić, żeby zadbać o przyszłość moją i Matyldy.

Swan zamilkła na chwilę. A ja to odzyskiwałam świadomość, to ją traciłam, gdy tymczasem ponura historia, którą mi opowiadała, mieszała się w mojej głowie ze wspomnieniem śmierci, rozpacz, wstydu i bólu, jakie widziałam na twarzach Eliego i Annie Gwen, kiedy trzymali w ramionach zalanego krwią Jaspera. Przed oczyma mojej wyobraźni jak w kalejdoskopie przesuwały się najdziwniejsze obrazy, skuwając mnie kamiennym łańcuchem. Wreszcie Swan przerwała milczenie:

- I wtedy matka nagle umarła i ten fakt zmienił dosłownie wszystko. - Znów nastała długa chwila milczenia, a przez moją głowę przemknęła straszna myśl. Nie potrafiłabym powiedzieć, do czego zmierzała Swan, ale podejrzenie, że śmierć Klary nie była przypadkowa, stało się nagle pewnością. - Wysłałam Klarę do takiej jednej szkoły w Illinois - podjęła - prowadzonej przez katolickie zakonnice.

Do takiej jednej szkoły. W głowie mi się kręciło. Do więzienia.

- Dopilnowałam, żeby cały spadek po matce przypadł mnie - kamieniołom, ten dom, pieniądze. Nagle wszelkie zastrzeżenia, jakie miała do mnie rodzina Samplesów - wszelkie plotki i wersje na temat rodziny Hardigree, jakie do nich docierały - zbladły wobec mojej fortuny. Wysłałam za mąż za twojego dziadka i osiedliśmy tutaj. A tymczasem w Asheville przyszła na świat córka Matyldy, biała jak ty czy ja. Katherine. Mała ślicznotka. Ciemnowłosa i ciemnooka, jak Anthony Wade, ale o skórze jasnej jak różowy marmur. Zupełnie niepodobna do kolorowego dziecka.

Zabrałam ją tutaj, mówiąc twojemu dziadkowi, że jest to sierota po mojej kuzynce. I tu się wychowywała. A potem ściągnęłam też Matyldę. Dałam jej dom w mieście i powierzyłam zarządzanie naszą rezydencją, tak żeby mogła być ze swoją córką. W rok później urodziła się twoja matka. Julia i Katherine - cóż to była za piękna para! Matylda i ja razem wychowywałyśmy nasze córki, nie wtajemniczając ich w rodzinne sekrety i rozpieszczając, ale jednocześnie wpajając im przekonanie, że są damami i że mają swoją dumę. Były to wspaniałe dziewczyny - bystre, piękne i silne. Katherine rosła w przekonaniu, że jest biała i że jest Hardigree. Cieszyła się zresztą wszelkimi przywilejami, jakie jej z tego tytułu mogły przyspaść, a Matylda chroniła ją z bolesną dumą.

Swan się zawahała, słowa przychodziły jej coraz trudniej.

- Nagle, kiedy Julia i Katherine miały już kończyć szkołę Larsona w Asheville, pojawiła się Klara. Dziewczęta były tak podniecone perspektywą nadchodzącej jesieni w college'u, że nie mówiły o niczym innym, tylko o wstąpieniu do korporacji i o różnych wspaniałych znajomościach, jakie z pewnością nawiążą. Ich życie było usłane różami.

Klarze nie wiodło się tak dobrze. Zmieniała partnerów jak rękawiczki. Z reguły byli to mężczyźni cieszący się złą sławą, ale bogaci, od których przejmowała prostacki sposób bycia, typowy dla środowisk gangsterskich i marginesu społecznego. Zbliżała się wtedy do czterdziestki i zdawała sobie sprawę, że w oczach tego typu mężczyzn przestaje być atrakcyjna. Domagała się ode mnie stałego dochodu. Powiedziałam: nie. Ale nie doceniłam jej mściwości. W akcie zemsty - głos Swan przypominał teraz senne brzęczenie muchy - poszła do Katherine i Julii i opowiedziała im historię naszej rodziny, informując Katherine, że jest córką Matyldy.

Swan przerwała. Patrzyłam na jej nawiedzoną twarz, jak gdyby pogrążoną w hipnotycznym transie. Mój umysł przypominał otwartą ranę, w którą lała wrzątek swoich tajemnic.

- Klara zagroziła, że powie to wszystko ich koleżankom szkolnym, społeczności, która je zaakceptowała i ceniła. Byłam załamana i Matylda też. Dałam Klarze pieniądze, których się domagała, i obiecałam w przyszłości dać więcej. Kupiłam jej milczenie i Klara wyjechała, ale zło już się stało.

Twoja matka i Katherine nigdy się z tego szoku nie podniosły. Były takie młode, takie odizolowane od rzeczywistości w tym różowym, niewinnym świecie, który im stworzyłyśmy. A teraz musiały się pogodzić z faktem, że są wnuczkami kobiet lekkich obyczajów, z tym i jeszcze, że Katherine jest dzieckiem z mieszanego związku - z kolorową kobietą. Wywarło to na niej niesamowite wrażenie. Dotychczas uwielbiała Matyldę jak kogoś z rodziny, kto jednak w gruncie rzeczy był tylko pracownikiem. Teraz wiedziała, że Matylda jest jej matką - kobietą kolorową, która nie mogła się zatrzymywać w najlepszych hotelach, kiedy podróżowały razem - chyba że Katherine ją zameldowała jako swoją pokojówkę. Nie miała też prawa korzystać z publicznej toalety czy źródła wody pitnej, oznaczonych tabliczką „Dla białych”. Taka była matka Katherine. I taka była Katherine, od teraz.

Obie z Julią nie mogły się z tego otrząsnąć. Oskarżały nas o hipokryzję i o kłamstwa, jakbyśmy to my były winne dziedzictwu, przed którym tak bardzo pragnęłyśmy je uchronić. Załamane i zawstyżone, stały się bezmyślnie okrutne. Obie widziały tylko jedno wyjście z tej sytuacji: walczyć za wszelką cenę z własnym losem, uderzając z bólem i złością w każdy możliwy cel. Katherine odrzuciła nas wszystkich i uciekła. A ja tak bardzo się bałam, że

Julia pójdzie w jej ślady, że dosłownie zrobiłam z niej więźnia - groziłam jej, śledziłam, nie puszczałam nigdzie samej. A to miało tylko taki skutek, że tym bardziej starała się mnie zranić.

Swan spojrzała na mnie tak, jak gdyby się przede mną usprawiedliwiała.

- Była księżniczką uwięzioną na zamku, a twój ojciec uważał za pewne jej uwolnienie za swój obowiązek. Zwłaszcza że ona chciała zostać uwolniona i że jej bohater wydawał się ostatnim człowiekiem, jakiego bym dla niej wybrała. Oczywiście był kamieniarzem. Zaszała z nim w ciążę i poślubiła go po kryjomu, zanim się zorientowałam, że mnie przechytrzyła.

A ja, w swojej głupio pojętej miłości, próbowałam ją dalej kontrolować. Tym razem przez akt wspaniałomyślności - dałam im mianowicie Kamienny Dworek, a jemu zaproponowałam stanowisko brygadzysty w kamieniołomie. Bez trudu go do tego przekonałam, ale twoja matka była na mnie wściekła, że go zmanipulowałam, i zaczęła go nienawidzić za to, że mi uległ. Zresztą nie byli dla siebie stworzeni - on nieokrzesany i niewykształcony - więc Julia szybko doszła do wniosku, że nie ma przed nimi wspólnej przyszłości. Kłócili się, ale mimo to nie chciała od niego odejść, pewnie głównie dlatego, żeby zrobić mi na złość. Kiedy się urodziłaś, zabrałam cię do siebie. W dniu, w którym twoi rodzice zginęli, jechali właśnie do Asheville do sądu, gdzie próbowali o ciebie walczyć. - Swan zamilkła. - Bo walcząc ze mną, czuli się rodziną. Ale było już za późno.

Czy babka mówiła to wszystko mnie - dziesięcioletniej dziewczynce, która przeżyła wstrząs i była pod wpływem środków uspokajających - po to, by się przede mną usprawiedliwić, czy żeby wyjaśnić mi te trudne sprawy, a może w tak osobliwy sposób pocieszyć mnie, trudno zgadnąć - w każdym razie wiedziałam już teraz, że moja matka mnie nie opuściła. Była to w całym tym koszmarze jedyna jaśniejsza myśl, której się rozpaczliwie uczepliłam. Swan obserwowała mnie z niezmałowanym spokojem.

- Widzę, że jednak każde moje słowo do ciebie dociera. To zdumiewające - powiedziała.

Przytrzymała mocniej moją obandażowaną rękę.

- A teraz posłuchaj reszty. Odnaleźliśmy wreszcie Katherine w Nowym Jorku. Przez jakiś czas pracowała w jednej z organizacji praw człowieka, gdzie poznała młodego kolorowego mężczyz-

nę, który wykonywał tę samą pracę co ona. Powiedziała mu, że jej matka jest kolorowa, i wyszła za niego za męż. Przypuszczam, że go kochała. Nie wiem. W każdym razie mąż Katherine dostał powołanie do wojska i pojechał do Wietnamu, gdzie zginął. W tydzień później Katherine zostawiła malutką wówczas Karen ze swoją przyjaciółką i popełniła samobójstwo.

Pojechaliśmy z Matyldą do Nowego Jorku i przywieźliśmy małą i ciało Katherine, którą pochowaaliśmy obok Julii w bezimiennym krypcie. Ludzie o tym nie wiedzą, ale ona tam jest - w mauzoleum Hardigreech. Karen wychowywała się razem z tobą. Wiedzieliśmy, że kiedyś będziemy zmuszone powiedzieć wam prawdę - oczywiście, kiedy dorośniesz do tego, żeby ją usłyszeć. - Swan się zawahała. - Wygląda na to, że właśnie przyszła ta chwila.

Poruszyłam wargami, ale nie wydałam z siebie żadnego dźwięku. Swan położyła mi palce na ustach.

- Trzy lata temu, działając w dobrej wierze, popełniłyśmy z Matyldą wielki błąd. Nie powinnyśmy były sprowadzać tu Wade'ów. Matylda chciała im pomóc, ale się nie udało. Jest mi z tego powodu bardzo przykro. Możesz mi wierzyć. Ale mówię ci to wszystko, bo chcę, żebyś zrozumiała. Jest tylko jedna jedyna rzecz, której naprawdę żałuję. - Swan zrobiła pauzę. - Powinnam była utopić Klarę, kiedy była niemowlęciem, wtedy w Bald Stone Trace.

Wszystko, co mi dotychczas powiedziała, każdy chory, a jednocześnie rozpaczliwie smutny fakt z życia nas wszystkich: jej, Matyldy, naszych matek, naszego, Anthony'ego Wade'a i Klary - wszystko to błędło przy pozbawionej wszelkich skrupułów destrukcji, którą szerzyła wokół siebie. Zmusiła mnie do tego, żebym zaakceptowała naszą przeszłość, robiąc z tego wyznania ceremonię swoistej inicjacji, a ja ją przyjmę na jedynych możliwych dla mnie warunkach.

- Nienawidzę cię - wyszeptalam.

Odwrociła głowę, ale po chwili znów na mnie spojrzała. W oczach miała coś twardego i oschłego.

- Gdyby rzeczywiście było tak łatwo przestać kogoś kochać, tobym ci uwierzyła.

Wyszła, zostawiając mnie w ciemności, a ja zamknęłam oczy.

Eli, mama i Bell pochowali tatę na cmentarzu przy tym samym obdrapanym kościółku w Tennessee, gdzie kilkadziesiąt lat temu spoczął Anthony. Było to dokładnie na południe od Nashville i przez następne dwa dni po pogrzebie Eli prowadził ciężarówkę drogą międzystanową nie wiadomo dokąd - było mu wszystko jedno, tak samo jak mamie i Bell. Pewnego wieczoru, kiedy się zatrzymali w przydrożnym motelu, powiedział:

- Ja się wami zaopiekuję.

Bell, która milczała już od tygodnia, nagle zaczęła szlochać.

- Czy tata to zrobił?

Mama załamała się i od nowa wybuchnęła płaczem.

- Nie, nie, nie zrobił, nie mógł tego zrobić.

- Ja się wami zaopiekuję - powtórzył Eli w oszołomieniu. W głębi serca wierzył, że jego ojciec zabił Klarę. Nigdy nie zapomni wyrazu oczu Darl, kiedy komisarz Lowden odciągał ją z tamtego miejsca, wyrazu, w którym wyczytał: wstydę się za ciebie, wstydę się tego, że cię pokochałam, jestem przekonana o winie twojego ojca. Gniew i żal Eliego, jego mocne postanowienie, że odmieni los swojej rodziny - wszystko to zbladło wobec wyrazu odrzucenia, jaki wydawało mu się, że dostrzegł w jej oczach.

Wobec tego, że na zawsze stracił Darl.

Straciłam Eliego. Nigdy przecież za nim nie pojedę, nigdy mu nie powiem prawdy, nigdy nie będę mogła oczekiwać przebaczenia. Nie mam prawa. Od tej chwili obojętne, dokąd pójdę i co zrobię ze swoim życiem, obojętne, jak będę sobie radziła ze Swan i w jaki sposób uniknę jej planów wobec mnie - pozostanę więźniem wspomnień i mojej sekretnej winy tak niezmiennie jak nasze kamienne kwiaty. Jakaś mistyczna intuicja szeptała mi do ucha: twoja matka cię nie porzuciła. To Swan ją wyszczuła z domu. Ja sama jeszcze nie mogłam uciec od babki, ale wiedziałam, że kiedyś na pewno to zrobię.

Pomiędzy skałą a murem przetrwać może tylko miłość i bunt.

Kiedy przestałam brać leki, mniej więcej w lutym albo w marcu, poszłam na górę, do małego, skromnego pokoiku, zastawionego pudłami, i zaczęłam w nich grzebać, aż znalazłam ubrania, które nosiła moja matka jako dziewczynka. Była ode mnie drobniejsza i dlatego szczupła beżowa spódniczka i biała bluzka paso-

wały na mnie jak ulał, mimo że byłam młodsza niż ona wtedy, kiedy je nosiła. Znalazłam nawet parę pantofelków. Swan pocho-
wała te wszystkie rzeczy, żeby nas obie odciąć od wspomnień.
Kiedy byłam starsza i miałam na koncie już własne bolesne prze-
życia, rozumiałam ból mojej babki, ale nigdy jej nie wybaczyłam.

Nawet pantofle mamy na mnie pasowały. Nie zamierzałam iść
w jej ślady, ale przynajmniej wiedziałam, dlaczego obrała taką
drogę. Założyłam beżową spódniczkę i białą bluzkę i zesłam na
dół. Swan stała w holu, przy głównym stole, z nieobecny, wbi-
tym w przestrzeń wzrokiem i rękami spoczywającymi bezwładnie
na cienkiej marmurowej wazie, którą właśnie trzymała. W tej
krótkiej chwili, zanim mnie zauważyła, wydała mi się bezgra-
nicznie samotna. Zatrzymałam się na dolnych stopniach, ale
marmur zdradza nawet bicie serca. Usłyszała moje kroki i pod-
niosła głowę.

Na jedną sekundę musiała mnie wziąć za moją matkę. Jej rę-
ce zadrżały, marmurowa waza upadła na marmurową podłogę
i rozbiła się na dwie części.

Nawet nie mrugnęłam okiem.

- Koniec z różowym kolorem - powiedziałam.

CZEŚĆ DRUGA

Dwadzieścia pięć lat później

Rozdział 10

Pewnego popołudnia, późną jesienią, kiedy upał unosił się nad ziemią jak mgła, Eli prowadził swoją dwusilnikową cessnę wzdłuż rzeki Missisipi, poza Memphis, w Tennessee. Wzdłuż tego odwiecznego szlaku wodnego ciągnęły się lasy sosnowe i bagna, ostrzegając go, żeby się trzymał od nich z daleka. Co tam, dam sobie radę - pomyślał odważnie. Ładował już w dżunglach Ameryki Południowej, w górach Kanady, na zachodnich pustyniach i w nadbrzeżnych rybackich osadach, gdzie w błotnistych rowach, tuż przy kołach samolotu, stękały aligatory. Miał trzydzieści osiem lat, ogorzała, dość pospolita, ale przystojną twarz, wielkie ciemne oczy chłopca, szerokie ramiona swojego ojca i ponad pięćdziesiąt milionów dolarów na koncie w banku; nie miał żony ani dzieci. Hazardzista, inwestor i wynalazca - szedł tam, gdzie go pociągała jakaś ciekawa gra.

Ale w dzisiejszej misji nie było nic szczególnie ciekawego.

Teraz wielka matka-rzeka jego rodzinnego Południa rozlewała się pod nim jak długie srebrzyste jezioro. Znalazł nad jej brzegiem charakterystyczny punkt i zszedł nisko nad drzewa, zły i trochę lekkomyślny. Zobaczył pośród lasu budowę - ziemię podartą na pasy, ziejącą świeżymi skibami, i ciężki sprzęt. Mignęła mu tablicą wielkości billboardu. „Ładowisko Przeprawa. Rezydencje od 300 000 dolarów” - przypomniał sobie jej treść.

Znalazł długi wybetonowany pas bulwaru, stanowiącego główną drogę dojazdową na teren osiedla, po czym wprowadził samolot w wąską uliczkę, między drzewa, w denerwującym popisie zręczności i determinacji. Solo - tak go nazwał instruktor latania i bardzo wielu pasażerów. Solo. Przewisko do niego przyłgnęło.

Eli odwrócił głowę, bezbłędnie oceniając odległość i szybkość. Kolo niego migały gigantyczne drewniane konstrukcje przyszłych domów. Wylądował na płaskim wykarczowanym terenie działek budowlanych. Kołując powoli, wzbijał tumany pyłu, aż wreszcie zatrzymał maszynę przed białym barakiem, mieszczącym biura budowy, z tabliczką „Budowa Canetree”.

Gdy tylko wysiadł, podbiegł do niego jeden z robotników.

- Czyś ty oszalał, cholerny sukinsynu... - Mężczyzna nie do końca był. Stał jak wryty. Eli miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, muskularne ramiona i duże jak bochny dłonie. Brud ciężkiej pracy przyłgął do jego roboczych buciorów o grubych podeszwach, do starych roboczych spodni i przepoconej niebieskiej koszuli. Okulary zamienił najpierw na szkła kontaktowe, a następnie, w ubiegłym roku, poddał się operacji laserowej. Zdawał sobie sprawę - tak jak i robotnik - że musi wyglądać bardzo „zgrzebnie”. Mężczyzna cofnął się i Eli skinął do niego głową.

- Jestem szwagrem Altona Canetree. - Wskazał na barak. - Zastałem go może?

- Owszem, ale... ale ma dziś zły dzień. Prawie się nie udziela.

- Nic dziwnego. - Eli podrzucił w powietrze asa kier, złapał go koniuszkami palców i umieścił na dłoni jak magiczną monetę. Spokojnie. Cierpliwości. Policzył do dziesięciu. Liczby nigdy człowieka nie zawiodą. Idąc do baraku, wsunął starą kartę do kieszeni koszuli i kilka razy zgął i rozprostował palce.

Otworzył ciężkie metalowe drzwi tak gwałtownie, że uderzył w ścianę baraku. Skrzywił się na widok Altona, który spał wyciągnięty na winylowej kanapce, z ramieniem przerzuconym przez twarz, w wymiętej koszuli, w spodniach poplamionych popiołem z cygara i z jasnymi włosami pozlepianymi potem. Na brzegu niskiej metalowej szafki na akta, którą Alton przyciągnął do kozetki, stała do połowy opróżniona butelka burbona i popielniczka pełna niedopałków cygar.

Eli się zawahał, zdziwiony i zaniepokojony. Normalnie Alton ani nie palił, ani nie pił. W ciągu pięciu lat małżeństwa z Bell dał się poznać jako człowiek w pełni odpowiedzialny. Dla Eliego stał się bratem, a dla mamy drugim synem. Alton dosłownie szalał za Bell, a ona odwzajemniała mu się szczerym uczuciem. Ich pierwsze dziecko, Jessie, miało sześć miesięcy. Alton uwielbiał córeczkę. Tym trudniej było Eliemu zrozumieć to, co zobaczył.

- Alton, do licha, obudź się. - Okrążył szafkę, pochylił się nad szwagrem i ujął go za koszulę. Wystarczyło, że dobrze nim potrząsnął, by Alton usiadł i spojrzał na niego mętными, przekrwionymi oczami. Eli się skrzywił. Alton nie tylko pił, musiał także płakać. Złapał go za ramiona. - Co się stało? Dlaczego odszedłeś od mojej siostry?

- Bo nie wiedziałem, co robić. Za bardzo ją kocham na to, żeby dłużej znosić taką sytuację.

- Rozumiem, ona ma różne dziwne pomysły, ale spakować się i tak po prostu opuścić żonę i dziecko...? Nie porzuca się rodziny.

- Eli, ale tym razem jedna z jej zwariowanych wrózek na dobre zawróciła jej w głowie. Bell nie potrafi mówić o niczym innym, jak tylko o tym, co się wydarzyło w Karolinie Północnej, kiedy byliście dziećmi.

Eli jęknął cicho. Obsesje Bell, dotyczące ich przeszłości, nie były dla niego niczym nowym. Tak jak mama, nigdy się nie pogodziła z tym, co się stało, nawet wtedy, kiedy nie było odpowiedzi na najważniejsze pytania. Mama rozładowywała swoją rozpacz przez modlitwę i pracę na rzecz kościoła; u Bell wszystko poszło w tarota, kontakty z różnego rodzaju guru i parapsychologię.

- Ona w ten sposób próbuje sobie jakoś poradzić z tym, co nas spotkało. Wiesz, jaka potrafi być nieprzewidywalna. Teraz przeżywa taki okres. Jeżeli za dużo wydaje na wróżki, to przysyłaj mi rachunki.

- Kiedy to już nie jest tylko sprawa cholernych wrózek, to poszło znacznie dalej. A ja nie potrzebuję twoich pieniędzy. Gdyby chodziło tylko o pieniądze, to przecież wiem, że byś nas wykupił. Ale ja ci nie pozwolę.

- Bez względu na to, o co tu chodzi, wracasz ze mną do Nashville, w tej chwili. Porozmawiamy po drodze. Pomogę wam dojść do ładu. Ty wyglądasz źle, a ona jeszcze gorzej. Zbieraj się, Bell z małą jest u mamy.

Alton zwlókł się z kanapki i stanął przed Elim.

- To nie jest takie łatwe. - Podniósł głos. - Jedna z wrózek powiedziała jej, że powinniście wrócić tam, gdzie zginął wasz ojciec. Że powinniście pojechać do tego miasta, w którym mieszkaliście. I że prawda leży pogrzebana w ziemi. Już nie wiem, jak mam

przekonywać Bell, że to kompletne bzdury. Po urodzeniu Jessie dosłownie znikowała. Twierdzi, że winna jest to naszej córce - dowieść, że jej dziadek nie był mordercą!

- Nic mnie to nie obchodzi, co jakaś ciemna idiotka mówi Bell, żeby...

- Eli, twoja siostra za moimi plecami dokonała transakcji, która pochłonęła całe nasze oszczędności! - Alton przeczesał włosy palcami. - Za pół miliona dolarów kupiła bez mojej wiedzy kawał ziemi.

Eli zamarł.

- Jakiej ziemi?

Alton ukrył twarz w dłoniach i wydał coś między szlochom a ponurym chichotem.

- Tam gdzie mieszkaliście, w Karolinie Północnej. Z tym marmurowym domem i ogrodem... obojętne, jak go nazywaliście.

Eli wpatrywał się w szwagra z niedowierzaniem.

- Ogród Kamiennych Kwiatów.

Alton skinął głową.

- Bell twierdzi, że tam pojedzie i wszystko przepokopie, by prawda ujrzała wreszcie światło dzienne.

Po południu Eli, w jednym ze swoich najgorszych nastrojów, odbył krótki lot do Nashville. Dotrzymał danej sobie jeszcze w dzieciństwie obietnicy, że znajdzie płaski kawał ziemi. W pewnym sensie to, żeby mieć zawsze pod nogami równy grunt, stało się naczelną dewizą jego życia. A jednak, samotnik z natury, podczas podróży wzbijał się w górę. Kiedy patrzył za siebie, widział najczęściej Burnt Stand, to jedno jedyne różowe miasto w Karolinie Północnej, w którym nigdy nie lądował, gdzie nic nie było równe ani proste i gdzie nie mógł znaleźć odpowiedzi na najważniejsze pytania. Ale nawet po tylu latach nie było dnia, żeby nie myślał o Darl.

Posadził samolot na wybetonowanym pasie wśród falistych pastwisk i porośniętych lasem pagórków, mając przed sobą, na dalekim tle horyzontu, słynną sylwetkę Nashville. Kawał ziemi, który kupił przed kilkoma laty, był położony zaledwie kilkanaście kilometrów od starego cmentarza, na którym pochowali tatę. Co tydzień mama jeździła na grób, a także ofiarowała na rzecz nie-

wielkiego kościółka, do którego należał cmentarz, kilka tysięcy dolarów. Była szczęśliwa, że jest w pobliżu taty.

Eli wsiadł do pochłapanego błotem samochodu, który zostawił na prywatnym pasie startowym. Jadąc wiejską drogą, miał po obu stronach ogrodzone łąki, nakrapiane sylwetkami pasącego się bydła i koni. Kiedy nie podróżował, prowadził farmę, usiłując związać się z ziemią, zapuścić korzenie. Jednakże z mamą i Bell przez tyle lat wędrowali, że siedzenie w jednym miejscu wydawało się czymś nienaturalnym.

„Idź cały czas do przodu i nie oglądaj się za siebie”. Często łąpał się na tym, że sobie to powtarzał.

Minał stodoły, budynki gospodarcze i niewielki domek z cegły, w którym mieszkał zarządca z rodziną. Ironia losu i nieustannie narzucające się porównania z własnym dzieciństwem sprawiały, że czuł się trochę nieswojo. Teraz sam był właścicielem majątku, zatrudniającym administratora i szczyjącym się tym, że daje dobre warunki i szczerze płaci. Kiedy wjechał na szczyt pagórka, roztoczył się przed nim widok na główny budynek z jego najbliższym otoczeniem, zielonym i pięknym, pełnym jeszcze nieprzekwitłych letnich kwiatów. Pod potężnymi drzewami kładły się głębokie cienie, a wśród nich stał dom, który Eli zbudował dla matki, dom pełen spokoju i gracji, niezbędnych według niej atrybutów ogniska domowego. Przestronny, ale prosty, został zaprojektowany na wzór białego drewnianego farmerskiego domu, którego zdjęcie Annie Gwen znalazła w magazynie „Southern Living”.

Matka przywitała Eliego przy drzwiach frontowych z wyrazem łagodnej troski na twarzy. Annie Gwen Wade, która zbliżała się do sześćdziesiątki, trzymała się prosto, choć mocno przytyła i miała kłopoty z prawym biodrem. Ciemnoblond włosy, lekko już przyprószone siwizną, nosiła krótko bezpretensjonalnie ostrzyżone w drogim salonie fryzjerskim w Nashville. Była ubrana w jeden ze swoich ulubionych prostych niebieskich swetrów i T-shirt. W rękę trzymała dziecięcą kocyk i śliniak.

- Nie zdołałeś namówić Altona, żeby wrócił? - zapytała z troską w głosie.

Eli potrząsnął głową i porwał matkę w ramiona.

- Nie. Ale Alton kocha Bell. Nie bój się, ja się tym zajmę.

- W jaki sposób? - Matka uwolniła się z jego objąć. W oczach

miała smutek. - Mówił ci, co zrobiła Bell? - Eli skinął głową. - Podobno pani Swan wystawiła ziemię na sprzedaż, i...

- Wiem, mamó, wiem. Alton opowiedział mi wszystko szczegółowo.

- Chyba zwariowała! Chce przekopać całą ziemię tam, gdzie mieszkaliśmy, ale nawet nie wie po co.

- Nie pojedziemy tam. I nikt nie będzie kopał.

Mama uniosła rękę i zacisnęła dłoń na diamentowym krucyfiksie, który dostała od Eliego i Bell na Gwiazdkę. Bell goniła za błędnym ognikiem; ona modliła się o znak.

- Wiesz przecież, że gdyby istniał jakiś sposób na to, by udowodnić, że wasz tata nie zabił Klary Hardigree, to już dawno bym to zrobiła. Ale to jest kompletna głupota.

- Nie, to nie jest głupota, mamó - odezwała się Bell, która właśnie pojawiła się nad nimi na schodach. - To jest przeznaczenie.

Eli spojrzął na schody. Siostra stała na górze, bosa, w dżinsach i białej jedwabnej bluzce. W wieku trzydziestu dwóch lat była nadal delikatną, pełną wdzięku, choć trochę dziwną młodą kobietą o włosach karmelowego koloru po matce i ciemnych oczach Wade'ów. W ramionach trzymała śpiącą Annie Jessamine Cane-tree - Jessie.

- Nigdy tam nie pojedziemy - powiedział Eh.

- Jeżeli tego nie zrobimy, to do końca życia będzie nas ta sprawa prześladowała. Tak, prześladowała - podkreśliła Bell z płaczem, kołyszając małą. - Nie chcę, żeby moją córkę cokolwiek prześladowało, rozumiecie?!

Eli przejechał ręką po włosach, z trudem powstrzymując się, żeby na nią nie wrzasnąć,

- Twoja wróżka gada bzdury. Tam nic nie zostało pogrzebane, poza złymi wspomnieniami.

- Nieprawda. Nic się nie dzieje przez przypadek. Po tym, jak mi wróżka powiedziała, że prawda jest pogrzebana tam, gdzie kiedyś mieszkaliśmy, wynajęłam adwokata, by sprawdził, co dzieje się ze Swan Samples i jej majątkiem. Swan musi mieć teraz pod osiemdziesiątkę i pomyślałam, że może wszystko przekazała Darl, która...

Eli uderzył ręką w poręcz schodów.

- Ale chyba nie kontaktowałaś się z Darl, co?

- Nie, nie, prosiłam tylko adwokata, żeby porozmawiał z agentem nieruchomości w Burnt Stand. Bell uchwyciła się poręczy i zaczęła powoli schodzić w dół, trzymając Jessie na ręku. Mama wdrapała się kilka stopni i pełna niepokoju wzięła od niej śpiące niemowlę. Bell wyciągnęła do brata ręce w błagalnym geście. Jej oczy płonęły. - I adwokat dowiedział się, że Swan Samples już rok temu wystawiła na sprzedaż cały kawał ziemi za Marmurowym Dworem. Kamienny Dworek i Ogród Kamiennych Kwiatów, wszystko! To nie może być przypadek, Eli! To my mieliśmy kupić tę ziemię!

- Zawarłaś transakcję ze Swan Samples? I ona wie, że to ty?
Bell potrząsnęła głową.

- Nie, nie chciałam jej denerwować, ujawniając prawdę. Ona jest w tej chwili już bardzo starą kobietą.

- A nie sądzisz, że kiedy jej tam posłałaś ludzi z kilofami i buldożerami, to mogła się zorientować, że została wyprowadzona w pole?

- Nie wiem. Może będzie nawet zadowolona, na pewno i ona chce poznać prawdę o swojej siostrze. Przecież nie znaleziono ciała Klary w jeziorze.

- Nic dziwnego. Jezioro jest wielkie i głębokie.

- Ktoś zabił Klarę Hardigree, ale to nie był tata. Tak długo będę tam kopała, aż wyjaśnię, co się z nią naprawdę stało.

- Nic nie znajdziesz - powiedział Eli, już nieco ciszej i głosem bardziej opanowanym. - Co najwyżej wyjdziemy na idiotów, co mają za dużo forsy.

Bell, ciskając oczyma błyskawice i drżąc na całym ciele, zwróciła się do brata ze złością.

- Dlaczego nie wierzysz w tatę? Jak możesz zachowywać się tak, jakbyś uważał, że to on popełnił morderstwo? Nie chcesz przywrócić mu dobrego imienia? To był nasz ojciec. Kochał nas. Nie zasługuje na to, by go nazywać mordercą. Nie życzę sobie, żeby moja córka wzrastała w przekonaniu, że jej pradziadek Anthony był dziwkazem, a dziadek Jasper zabił człowieka. Chciałbyś stanąć kiedyś wobec konieczności powiedzenia czegoś takiego swoim dzieciom?

Eli się zawahał. Czuł na sobie świdrujący wzrok mamy.

- Nie mam dzieci i nie zamierzam ich mieć.

Mama jęknęła i energiczniej zakołysała Jessie w ramionach.

Bell wymownym gestem wyrzuciła w górę ręce.

- Czy ty nie widzisz, Eli, że twoje zachowanie jest nienormalne? Że żyjesz jak pustelnik? Latasz tylko samolotami po całym kraju, robisz pieniądze na komputerach i sypiasz z mniej czy więcej przypadkowymi kobietami, byle tylko przypominały Darl Union.

- Bell - przywołała ją do porządku mama.

Bell spojrzała na ostrzegawczy wyraz twarzy Eliego i trochę się zreflektowała.

- Przepraszam cię, braciszku, ale wiesz, że twoje życie nie jest normalne. A wszystko przez sprawę taty. Dreńczy cię ona tak samo jak mnie i mamę. Jedyna metoda to pojechać do Burnt Stand.

Eli mocniej uchwycił poręcz schodów.

- Tam, w tej ziemi, nie ma nic, co by miało jakkolwiek związek z tym, co tata zrobił czy nie zrobił. Radzę ci dobrze, daj sobie z tym spokój i żyjmy normalnie dalej.

- Żyjmy normalnie dalej? Normalnie to znaczy tak jak ty? Wiem, czym się zajmowałeś przez ostatnie kilka lat. Mama też wie. Nie jesteśmy głupie.

- Próbuję zrobić coś dobrego z moim życiem i z moimi niewłaściwie zarobionymi pieniędzmi. - Usta Eliego wykrzywił gorzki uśmiech.

- Wiemy o Darl i o Grupie Phoenix.

Cisza. W powietrzu zawisło gorzkie oskarżenie. Eli milczał ponuro. Bell ujęła jego zaciśnięte dłonie.

- Eli, nie możesz nadal być częścią życia Darl bez jej wiedzy. To jest nie fair, ani w stosunku do niej, ani do siebie samego.

- Ona nie ma najmniejszego powodu, by chcieć mnie jeszcze kiedykolwiek widzieć. Czy kogokolwiek z nas.

- Przecież ty nawet nie wiesz, czy ona nas nienawidzi. I czy wierzy w to, że Klarę zabił nasz tata.

- Wierzy - powiedział Eli przez zaciśnięte zęby. - Jest kilka rzeczy, których nie zapomnę nigdy w życiu. Jedna z nich to tata leżący na ziemi i brozący krwią... - Urwał nagle, widząc, jak twarz matki kurczy się w wyrazie rozpacz. - A druga to wyraz oczu Darl.

Bell zaczęła na dobre płakać.

- I właśnie dlatego musimy tam wrócić. - Delikatnie dotknę-

ła jego zaciśniętej pięści. - Eli, czy nigdy ci nie przyszło do głowy, że Darl może cierpieć tak samo jak my? Że może i ona chciała by wiedzieć, co się tak naprawdę stało z jej cioteczną babką?

- Może z tego wyniknąć tylko jedno: że udowodnimy winę ta-
ty ponad wszelką wątpliwość.

Mama, dla której wątpliwości Eliego miały bardzo oczywistą wymowę, przerwała bolesne milczenie, z jakim przysłuchiwała się rozmowie dzieci, i powiedziała cicho:

- A więc to tego się boisz, synu?

Skinął głową po chwili zastanowienia. Mama zbladła i osunę-
ła się na schody, osłaniając małą ramieniem. Eli złapał ją pod łok-
cieć, a Bell zbiegła na dół, biorąc Jessie z rąk matki.

- Mamo! - Usiadła obok niej na stopniu, trzymając jej rękę.
Eli głaskał ją po włosach.

Annie Gwen wyprostowała się i wytarła oczy.

- Wasz tata był dobrym człowiekiem i w głębi serca wiem, że
nie zabił Klary Hardigree. Może kopiąc tam, wyjdziemy na głup-
ków, ale to nie szkodzi. Bell ma rację. Musimy tam jechać i szu-
kać, modląc się, żeby ta prawda - jeśli ją odkryjemy - stała się dla
nas możliwa do zniesienia. - Przygarnęła do siebie dzieci
i wnuczkę, wpatrując się w trochę cynicznego syna i zrozpaczoną
córkę z macierzyńską troską.

Eli poczuł wielki ciężar.

D a r l .

Kiedy przebywał na farmie pod Nashville, czas spędzał głów-
nie w małym, pozbawionym okien domku, który zbudował so-
bie w lesie, w niewielkiej odległości od domu matki. Skromna
tabliczka na drzwiach informowała: „Solo, SA”. Była to nazwa
niedużej firmy o profilu mieszanym, którą założył. Budynek
składał się z urządzonych po spartańsku sypialni i kuchni, do któ-
rych nie przywiązywał większej wagi. W części pokojów prze-
chowywał książki i płyty CD z zakresu matematyki, fizyki i tech-
niki. Inne przypominały magazyn ze stołami i półkami zasta-
wionymi sprzętem elektronicznym i testerami. Pełno tu było
komputerów i związanych z nimi najróżniejszych układów.
Z fałszywych sufitów zwieszała się płatanina kabli, wijących się
po posadzkach jak węże. Pasja do tego rodzaju rzeczy sprawiła,

że Eli zainwestował mądrze w rozwój kilku małych firm parających się wysoką techniką, z których każda była dziś warta majątek. Mógł sobie pozwolić na to, żeby się otaczać tymi bezdusznymi przedmiotami.

A jednak tej nocy, siedząc w starym skórzanym fotelu, pośród tych wszystkich beznamiętnych i w najwyższym stopniu logicznych silikonowych mózgów, wystukał na klawiaturze komputera polecenie. Wielki monitor wypełniła czołówka programu Larry'ego Kinga. King przedstawił temat spotkania i gościa, do którego zwrócił się w szerokim ujęciu kamery.

„Witamy ponownie w programie” - powiedział do Darl. Eli wolno wypuścił powietrze. Tyle razy jej widok zapierał mu dech, a ona nawet o tym nie wiedziała. Przez całe lata, po wyjeździe z Burnt Stand, próbował wymazać ją z pamięci, bo rozmyślanie o niej było zbyt bolesne.

Teraz usadowił się wygodnie w fotelu i oglądał ją w telewizji państwowej.

„Wolałabym nie wracać do tego programu - powiedziała. - Bez obrazu, ale mimo wszystko...”.

„Rozumiem. Ze względu na widzów, którzy nie wiedzą, co to jest Grupa Phoenix, poprosimy o parę słów wyjaśnienia”.

„Jest to niedochodowa fundacja zajmująca się obroną prawną. Mamy pięciu adwokatów i niewielki personel pomocniczy. Nasza centrala mieści się w Waszyngtonie, a na czele fundacji stoi emerytowana sędzia sądu federalnego, Irene Branshaw”.

„Zajmujecie się sprawami, które kończą się wyrokami śmierci. Do dziś fundacja uratowała od wykonania wyroku dwudziestu mężczyzn, ale opinia publiczna nie lubi prawników, którzy się w to angażują”.

„Niewinności tych ludzi dowiodły badania DNA. Celem fundacji nie są manipulacje zmierzające do uwolnienia winnych popełnienia przestępstw, tylko obrona niesłusznie skazanych”.

„Ale sprawa »Żaby« Marvinina jest inna. Tu nie ma wątpliwości, że zabił dwóch funkcjonariuszy policji. Czy i jego zamierzacie uchronić przed karą?”.

„Nie. Chcielibyśmy jedynie spowodować zamianę kary śmierci na dożywotnie więzienie”.

„Egzekucja ma się odbyć na Florydzie, we środę. Jak ostatnie apelacje? Czy macie jakieś sukcesy?”.

„Nie, ale pozostał jeszcze tydzień. Nie pozwolę władzom stanu Floryda zabić dziecka”.

„Pani konsekwentnie traktuje »Żabę« Marvina, który ma trzydzieści dziewięć lat, jak dziecko. Dlaczego?”.

„Dlatego że ma iloraz inteligencji drugoklasisty. Proszę sobie wyobrazić, że skazuje pan na śmierć ośmiolatka. A na tym poziomie jest »Żaba«”. - Darl obdarzyła Kinga swoim słynnym grzecznym, ale ostrym jak brzytwa spojrzeniem. Oczy rewolwerowca w samo południe - jak się żartobliwie wyraził jeden z komentatorów sądowych. Miała wspaniałe rysy, a cerę - trudno o lepsze porównanie - porcelanową. Odznaczała się przy tym wielką surowością stroju i zachowania, preferując proste urzędowe kostiumy. Sprawa Marvina stanowiła dla niej szczególne wyzwanie. Eli obserwował, jak w przeciągu ostatnich miesięcy stawała się coraz chudsza i coraz mizerniejsza. Ostrzejsza. Smutniejsza. I coraz bardziej groźna.

King zwrócił się do kamery.

„Ze względu na telewizjów, którzy dopiero zaczęli nas oglądać, chciałbym wyjaśnić, że dwanaście lat temu »Żaba« Marvin i jego starszy brat Tom zostali na Florydzie skazani za zabicie dwóch policjantów podczas napadu na sklep. Tom odsiaduje wyrok dożywocia, a »Żaba« dostał karę śmierci, bo to on strzelał do ofiar”.

Darl potrząsnęła głową i uniosła prawą rękę, jakby chciała powiedzieć: chwileczkę. Eli zauważył, że nie nosiła pierścionków i prawie żadnej biżuterii. Jak zawsze miała na szyi tylko cienki złoty łańcuszek z wisiorkiem Hardigreech, który rzucał błyski, odbijając światła jupiterów. Jest lojalna wobec babki - pomyślał.

Podparł pięścią podbródek. Darl zawsze będzie wnuczką Swan, zawsze Hardigree, a on na zawsze pozostanie synem człowieka, który najprawdopodobniej zabił kogoś z jej krewnych.

„To Tom polecił »Żabie« zastrzelić policjantów - podjęła Darl. - Nikt nie kwestionuje ani tego faktu, ani tego, że Tom był bandziorem, który terroryzował brata jeszcze w dzieciństwie. Wszyscy naoczni świadkowie napadu zgodnie twierdzą, że »Żaba« powiedział: »Nie chcę ich skrzywdzić«, i że wtedy Tom na niego wrzasnął i zagroził, że jeśli nie strzeli, to on zrobi z nim porządek. Dopiero wówczas »Żaba« zastrzelił policjantów i zaraz potem rzucił broń i zaczął płakać”.

„W ubiegłym tygodniu w tym programie uczestniczyły rodziny zabitych. Są zdania, że tych okoliczności w ogóle nie należy brać pod uwagę”.

„Współczuję im głęboko, ale człowiekiem, który zabił ich bliskich, był Tom Marvin, a nie »Żaba« Marvin. Ten ostatni zrobił tylko to, co mu kazano. Najwyraźniej nie potrafił przeciwstawić się bratu”.

„Pani traktuje tę sprawę bardzo osobiście”.

„Każdą sprawę traktuję osobiście”.

„Musiała pani bardzo dobrze poznać »Żabę« Marvina?”.

„Od pięciu lat pracuję nad tą sprawą. Było to jedno z moich pierwszych zadań, od kiedy przyłączyłam się do Grupy Phoenix”.

„Przedtem była pani w Atlancie obrońcą z urzędu, tak?”.

„Przez wiele lat, tak. Zostałam zaangażowana przez Grupę Phoenix wkrótce po jej powstaniu w 1996 roku”.

„Nie wzbogaci się pani, pracując dla instytucji rządowych i fundacji charytatywnych. Nigdy nie myślała pani o prywatnej praktyce prawniczej?”.

„Żyjemy w świecie, w którym bogaci mogą sobie kupić swoje własne prawo. Im nie jestem potrzebna”.

„Cynizm?”.

„Realizm”. - Darł dalej wyjaśniała zasady działania fundacji. Mówiła cicho, głosem typowym dla elit Południa, modulowanym, niskim, bardzo zmysłowym. W telewizji czuła się swobodnie jak na sali sądowej. Mógłbym jej słuchać bez końca - myślał za każdym razem Eli. Z powodu wywiadów telewizyjnych, jakich udzielała, stała się bardzo popularną postacią. Wszystkie jej wystąpienia nagrywał na płyty CD. Nie opuścił ani jednego.

„Czy w związku ze sprawą Marvina grożono pani śmiercią?”.

Skinęła głową i wzruszyła ramionami. Jej sposób bycia mówił wyraźnie, że każdemu, kto by się na coś takiego poważył, wypruje flaki. Miała te same co jej babka kusicielskie, mrozące krew w żyłach niezgłębione niebieskie oczy. Ale dla Eliego była nadal tamtą różową dziewczynką.

„To zależy gdzie”.

Eli zerwał się z fotela i złapał za telefon komórkowy, leżący wśród elektronicznych urządzeń testujących. Nacisnął szybkie wybieranie. W kilka sekund później miał połączenie.

- William? Powiedz mi o grożeniu śmiercią.

Kiedy skończył rozmowę, zaczął nerwowo spacerować po pokoju. Darl mówiła dalej spokojnie do Larry'ego Kinga, podczas gdy on wyłamywał sobie palce.

„Czego by pani sobie życzyła dla »Żaby« Marvinina?» - zapytał King.

„Chciałabym, żeby mu zamieniono karę śmierci na dożywocie. Nie twierdzę, że powinien być niewinny”.

„Jeżeli wszystko zawiedzie, zostanie w środę stracony przez wstrzyknięcie mu śmiertelnej dawki trucizny. Czy będzie pani przy tym obecna?”.

„W pierwszym rządzie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Byłam z nim przez cały czas. Tym bardziej nie opuszczę go w chwili śmierci”.

„We wstępniaku pewnej gazety na Florydzie nazwano panią rekinem o niebieskich morderczych oczach. Czy rzeczywiście jest pani taka groźna?”.

„Absolutnie”.

„Czy mogłaby pani patrzeć, jak Marvin umiera, gdyby zaszła taka potrzeba?”.

Darl nawet nie mrugnęła.

„Patrzeć na śmierć nie jest takie trudne - odpowiedziała. - Trudno jest potem z tym żyć”.

King zwrócił się do kamer.

„Następnym razem poprosimy państwa o pytania do Darl Union, obrońcy »Żaby« Marvinina, skazanego na śmierć upośledzonego umysłowo mordercy, na którym wyrok ma być wykonany w przyszłym tygodniu na Florydzie”.

Eli usiadł powoli, nie spuszczać oka z jej twarzy aż do chwili, kiedy rozpoczęły się reklamy. Robiła wrażenie bladej, zmęczonej. Trudno jest potem z tym żyć. A ona z czym żyła? Jak bardzo złe były jej wspomnienia dotyczące jego ojca i Klary? Jego? Eli miał gonitwę myśli. Dręczące Darl obsesje śmierci rozumiał jak mało kto. Rozumiał, dlaczego o bezbronnego, infantylnego Marvinina potrafiła walczyć z tak wielką determinacją i poświęceniem.

Ta trzydziestopięcioletnia kobieta była kiedyś małą różową dziewczynką, która potrafiła rzucić się na bandę agresywnych chłopaków, żeby bronić obcego przybysza.

W jego głowie dojrzewał śmiały plan.

- Do diabła, przecież nie możesz iść do niej ot tak, po prostu - powiedział głośno i ukrył twarz w dłoniach.

Ale jednocześnie wiedział, że musi wyjaśnić wszystko, co było między nimi, do końca, spotkać się z nią na neutralnym gruncie, zanim jej powie o szalonych planach Bell. Najważniejsze jednak, że winien jest jej to, by znaleźć się tam, gdzie ona go potrzebuje, gdzie śmierć zagląda w oczy bezbronnym. Przynajmniej **powinien spróbować**.

Po dwudziestu pięciu latach on i Darl znów się spotkają.

Rozdział 11

Przegrałam. Nie było już żadnej szansy. Koniec z apelacjami. „Żaba” Marvin musi umrzeć. I to przeze mnie.

Środa rano, świt. Gorący wrześnieowy dzień; upał drga na horyzoncie. Centrum Florydy, z dala od fantastycznego świata Disneylandu, od przyjaznych plaż Atlantyku i Zatoki Meksykańskiej. Kilka godzin wcześniej gubernator stanu odmówił interwencji w sprawie „Żaby”. Stojąc na podwórzu więziennym, patrzyłam ponuro na ciemnoróżową krawędź wschodzącego słońca. Światło było jeszcze mroczne; w ciężkim powietrzu unosił się zapach skoszonej trawy, sosnowych lasków i bagnistych kanałków; żaby właśnie przestały kumkać.

„Żaba”. Skrzywiłam się. W ciągu ostatnich dwóch dni spałam nie więcej niż pięć godzin, a kiedy już spałam, śnili mi się Eli, Jasper i Klara, nawet pastor Al, a wszystko było tak wyraźne i świeże jak nowy szyb kamieniołomu. Eli miał wciąż te same trzynastcie lat i wołał: „Nie, tato, nie!”, widząc, jak jego ojciec upada, trafiony pociskiem. Moje milczenie, mój strach, moja lojalność wobec rodziny - to wszystko skazało go na śmierć. A teraz przegrałam sprawę „Żaby” Marvina.

- Trzeba już iść - zwróciłam się do młodego mężczyzny i kobiety, którzy wypalili na spółkę paczkę papierosów z filtrem. Byli studentami prawa, którzy odbywali praktykę w Grupie Phoenix. Ich wsparcie moralne ograniczało się do tego, że chodzili wszędzie za mną i kiedy uważali, że ich nie słyszę, szeptaU do siebie, iż za chwilę się załamie. Może i mieli rację. Nogi miałam jak z ołowiu, a ciało, w wymiętym granatowym kostiumie, przypominało kłęb lodowatego drutu. Zatrzymałam się przy drzwiach,

które otworzył mi strażnik, i przez chwilę wycierałam czarne czółenka ze źdźbeł trawy i z rosy. Musiałam coś robić, obojętne co, byle tylko nie myśleć.

- Jestem gotowa - skłamałam. Poszłam za strażnikami do odosobnionej celi. „Żaba” elegancko podniósł się z krzesła. Towarzyszył mu podstarzały więzienny pastor, który robił wrażenie skurczonego w sobie. „Żaba” był wielki, miał okrągłą, rumianą twarz i wyłupiaste zielone oczy; stąd wzięła się jego ksywa. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak potwór.

- Panno Darl! - powiedział gwałtownie, z wiejskim akcentem. - Bałam się, że nie będzie pani chciała tu przyjść, żeby mnie ostatni raz zobaczyć.

- „Żaba”, jeszcze nigdy do tej pory cię nie zawiodłam, prawda?

Spojrzał na mnie ciepło.

- Nie, panno Darl.

- Byłam zdenerwowana, kiedy ci mówiłam, co powiedział gubernator. Potrzebowałam trochę czasu, żeby się zastanowić, co jeszcze mogłabym zrobić. Ale już nic nie przychodzi mi do głowy, przykro mi. Chętnie zaczęłabym wszystko od nowa. Tym razem postępowałabym zupełnie inaczej. Nie powtórzyłabym błędów, które popełniłam.

- Och, nie, panno Darl, niepotrzebnie robi sobie pani wyrzuty. Wszyscy mówią, że jest pani najlepszą adwokatką. - „Żaba” splatał wielkie dłonie, przestępując z nogi na nogę. - Zrobiłem coś złego, więc powinienem... powinienem... po prostu umrzeć.

- „Żaba”, ty zrobiłeś tylko to, co ci kazał brat. I dlatego uważam, że nie powinieneś umierać.

- Ale... ale ja muszę... w każdym razie tak mówią.

Skinęłam głową. Oczy mnie piekły, gardło miałam ściśnięte. „Żaba” spojrzał na mnie i zaczęła mu drzeć dolna warga.

- Niech pani się nie smuci - szepnął.

- Smuć się, bo cię zawiodłam.

- Panno Darl, niech pani tak nie mówi. W pierwszej chwili się przestraszyłem, gdy dowiedziałem się, że pani ma być moim obrońcą. Bo pani ma takie wredne oczy. Ale potem pani się do mnie uśmiechnęła i zobaczyłem, że pani jest słodka. I od tamtej pory zawsze pani taka dla mnie była. Pani mnie nie mogła zawieść. Pani dodawała mi sił.

Pastor odchrząknął. Wyjął z kieszeni małą kartę z modlitwą, którą nosił w podręcznej Biblii, i podetknął „Żabie”.

- Panie Marvin, przeczytajmy to razem głośno.

„Żaba” przez jakiś czas obracał kartę w grubych paluchach, po czym się zaczerwienił. Ścisnęło mnie coś w żołądku. „Żaba” nie umiał czytać. Wzięłam od niego kartkę.

- Pozwól, że ja to za ciebie przeczytam.

- Czy tam piszą, jak jest w niebie?

Pastor odrzucił głowę do tyłu i głęboko wciągnął powietrze, jakby napełniał płuca retoryką.

- Niebo jest poza granicami naszego rozumienia, panie Marvin - odparł. - Jaśniej światłem dobra i...

- Będziesz miał tam ładną dziewczynę i dom, w którym znajdzie się miejsce na grę w koszykówkę - przerwałam mu, przywołując szczególnie interesujące „Żabę” tematy, na które wiele razy rozmawialiśmy. - Zaraz po śmierci spotkasz się z Hambone'em i z dziadkiem Bo. Kiedy tylko zaśniesz, obaj zaraz do Ciebie przyjdą. - Ukochany kundel Hambone i poczciwy dziadek były to dwie istoty, które „Żaba” zachował we wdzięcznej pamięci. Na całym jego życiu zaciążyło upośledzenie umysłowe, bieda i przerażająco złe traktowanie.

Wpatrywał się we mnie z nadzieją.

- Jak umrę, to oni tam będą?

- Tak. Musisz tylko zasnąć.

- A skąd pani to wie?

Zawahałam się.

- Bo zmarli ludzie nawiedzają mnie w snach. - Raczej w koszmarach sennych, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego głośno.

- I pani naprawdę wie, kiedy oni tam są?

- Oni są tam zawsze - zapewniłam go. - Tylko czekają, żebym zamknęła oczy.

Odetchnął z ulgą.

- To dobrze, zamknę oczy.

- Czas iść, pani Union - powiedział urzędnik przy drzwiach.

- Panno Darl - szepnął „Żaba”. - Ja się boję.

Zesztywniałam. Miałam ochotę coś zrobić, cokolwiek, rozwalić mury, wyprowadzić to duże dziecko na zewnątrz, w świat mniej okrutny niż ten, w którym się znalazło.

- Chodź, to cię uściskam - szepnęłam. Objął mnie potężnymi

ramionami. Kiedy się wreszcie z nich uwolniłam, spojrział nagle co na pastora.

- Niech pan jej da prezent!

Pastor westchnął i wyciągnął z kieszeni marynarki pękata paczuszkę.

- Pan Marvin poprosił mnie, żebym to dla pani kupił.

Delikatnie rozwinęłam bibułkę. Wewnątrz było białe plastikowe serduszko pomalowane w kwiatki.

- Moje serce na zawsze należy do ciebie - powiedział „Żaba”.

Myślałam, że zwariuję. „Żaba” był Jasperem Wade'em, był mną, był Elim, był każdym bardzo osobistym wspomnieniem z tamtych czasów, jakie we mnie przetrwało. Znów miałam patrzeć, jak ktoś umiera.

- Zachowam to na pamiątkę - powiedziałam i pocałowałam go w policzek. - Kocham cię. - Najprawdopodobniej w całym swoim dorosłym życiu usłyszał to po raz pierwszy - obojętne od kobiety czy od mężczyzny. Zaczął płakać.

- Teraz już mogę iść do nieba - oświadczył.

W kilka minut później weszłam do niewielkiego pomieszczenia, w którym miał zostać stracony. Młody reporter z telewizji powiedział z grymasem niesmaku:

- Nie rozumiem, jak pani może.

Nie odpowiedziałam. Sama nie wiedziałam, jak mogę.

Jakaś kobieta z jednej ze stacji kablowych nachyliła się do mnie, kiedy zajmowałyśmy miejsca.

- Słyszałam, że podobno Grupa Phoenix ma pokryć koszty kremacji ciała „Żaby”. I że pani zamierza posłać jego prochy do swojego rodzinnego miasta w Karolinie Północnej. Czy to prawda?

Zignorowałam to pytanie, a ona w odpowiedzi nazwała mnie pod nosem zimną suką. Dosłownie każdy nerw w moim ciele wibrował. Kiedy funkcjonariusze więzienni zaprowadzili „Żabę” w drugi koniec pokoju i przypięli go pasami do leżanki, niezdolny zaczął się trząść i spoglądać w moją stronę.

- Panno Darl, ja teraz zamknę oczy i będę je trzymał zamknięte, aż przyjdą po mnie Hambone i dziadek. - Przerwał. Usta mu drżały. - Ja się nie boję, bo pani tu czeka na nich razem ze mną.

Skinęłam głową, niezdolna wykrztusić choćby słowa. Panujący

w pokoju odór środka odkażającego, szum klimatyzatora i brzęczenie świetlówek nad głową - wszystko to razem łączyło się we mnie w jeden ryk. Oczyma duszy zobaczyłam Klarę i Jaspera, bąbelki powietrza w stawie i plamę krwi na ziemi przed Kamiennym Dworkiem. Widziałam też, jak Eli rzuca się do ojca, a potem jak pustym wzrokiem patrzy na Lowdena, gdy ten odciągał mnie z miejsca tragedii. Teraz przed oczyma miałam „Żabę” Marvinina, rozkrzyżowanego na leżance, i technika włączającego kroplówkę, która miała sprawić, że nieszczęśnik zaśnie na wieki, a to wszystko dlatego, że znów nie zrobiłam czy nie powiedziałam właściwej rzeczy we właściwym czasie. Zaczęłam w duchu krzyczeć. Ścisnąjąc w rękę plastikowe serduszko, przytknęłam je do twarzy, tak żeby „Żaba” widział.

Uśmiechnął się i zamknął oczy.

I już ich nigdy nie otworzył.

Chaos. Dziesiątki protestujących pikietowało przed więzieniem, wymachując hasłami i skandując do kamer telewizyjnych. Mniej więcej połowa była za wykonaniem kary śmierci, połowa przeciw. Oślepiające reflektory kamer wideo oświetlały tłum, który rejestrowano dla różnych sieci telewizyjnych i lokalnych stacji. Kordon policjantów spychał ludzi za ustawione zapory. W ukośnych promieniach wschodzącego na pół tropikalnego słońca widziałam transparenty. Zauważyłam tylko te ziejące niewiścią.

ZABIĆ MORDERCĘ POLICJANTÓW

WSKAKUJ DO PIEKŁA, ŻABO

JEDNEGO GNOJKA NA ŚWIECIE MNIEJ

Policjanci pocili się, widać było, że czują się niepewnie.

- Wykluczone, Darl, nie mogę ci na to pozwolić - powiedział William Leyland, kiedy ruszyłam w stronę tłumu i kamer. Leyland, odpowiedzialny za bezpieczeństwo Grupy Phoenix, chciał być groźny, ale dla człowieka mówiącego ze śpiewnym karaibskim akcentem nie było to łatwe. Położył mi na ramieniu potężną rękę w kolorze kawy. - Proszę cię, nie rób tego. To nieodpowiedzialne. Samochody czekają i większość osób już w nich siedzi. Musimy jechać. Przemawianie do tych protestujących nie przyniesie nic dobrego.

- Mnie przyniesie. - Odepchnęłam jego rękę i wystąpiłam do przodu. Kamerzyści skierowali na mnie światła mniej więcej w tym samym momencie, kiedy tłum się zorientował, że jestem obrońcą „Żaby”. Grupa przeciwna karze śmierci zaczęła klaskać. Reszta ruszyła w moim kierunku; w ich oczach płonął ogień.

- Mam nadzieję, że dobrze widziałas, jak twój debilowaty morderca korkuje! - wrzasnęła jedna z kobiet. Któryś z przeciwników kary śmierci pchnął ją i natychmiast rozdzieliła ich policja. William próbował zasłonić mnie przed tłumem.

- To może wywołać rozruchy - mruknął pod nosem. - Proszę cię, daj spokój.

- Nie mogę. - Podeszłam do zapory. W dalszym ciągu ściszałam w dłoni plastikowe serduszko. Drugą ręką wyciągnęłam z kieszeni zmiętego zakietu złożoną kartkę papieru. - Chciałabym wam wszystkim coś przeczytać. To są fragmenty sprawozdania opiekuna społecznego dotyczące „Żaby” Marvina i jego brata. Pochodzi ono z siedemdziesiątego dziewiątego roku, kiedy „Żaba” miał około dwunastu lat, a Tom piętnaście. - Odchrząknęłam i zaczęłam czytać głośno i powoli: „Żaba» zdradza ostre objawy strachu i jest cały posiniaczony. Często w atakach hysterii chroni się u sąsiadów, prosząc, żeby go ukryli przed »potworami«. Jediną dorosłą osobą w domu jest wuj chłopców, alkoholik. Sąsiedzi mówią o biciu obu chłopców i o tym, że »Żaba« jest bity przez Toma. W ubiegłym roku Tom złamał »Żabie« szczękę i ramię. W obecności młodszego brata zabijał i dręczył zwierzęta. Na podstawie badania lekarskiego stwierdzono u »Żaby« ślady wykorzystywania seksualnego. - Zrobiłam pauzę. - Dom, w którym wzrastał »Żaba« Marvin, można śmiało nazwać gabinetem okropności. Wtedy nikt nie zadał sobie trudu, żeby położyć temu kres, i teraz też nikogo to nie obchodzi. To my jesteśmy potworami w świecie »Żaby« Marvina”.

Na wielu twarzach dokoła siebie widziałam grymas upokorzenia i zażenowania, na wielu innych wyraz wojowniczości i agresji. Niski, zażywny mężczyzna przepchnął się na czoło tłumowi.

- Pani mnie posłucha: to tacy cholerni liberałowie jak pani pozwalają takim szumowinom jak on chodzić swobodnie po świecie. Nic mnie to nie obchodzi, w jakich warunkach wychowywał się ten głupi sukinsyn. I nic mnie nie obchodzi, że za bardzo bał się swojego cholernego brata, by uciec. I tak samo nie obchodzi

mnie, że ten kretyń miał kurzy mózdzek, jasne? Zabił dwóch policjantów i zasłużył na to, żeby dostać czapę. - Mężczyzna wyrwał mi z rąk kartkę i plastikowe serduszek i uniósł je wysoko do góry. - Patrzcie, co to za gówno! To są właśnie te idiotyczne wypowiedzi liberałów!

- Zamknij się, ty prymitywny żłobie! - odpowiedział mu ktoś z grupy przeciwników kary śmierci. Tłum zaczął przeć do przodu. Rozległy się krzyki. Ludzie rzucali się jeden na drugiego, szarpiąc się między sobą. Wszystkie kamery skierowano na burdę. Przechyliłam się przez zaporę, złapałam mężczyznę za koszulę i sięgnęłam po prezent „Żaby” i kartkę. Mężczyzna podarł ją na drobne kawałki, a plastikowe serduszek rzucił na ziemię i po-deptał.

- Możesz to wziąć ze sobą do sądu - powiedział z ironicznym uśmiechem.

Jakaś nieznaną pięść mignęła mi koło głowy i wylądowała na twarzy intruza. Pięść nie należała do Williama, który rozpaczliwie usiłował odepchnąć mnie na bok. Mężczyzna zatoczył się do tyłu i zniknął w rozwrzeszczanym agresywnym tłumie, który się wokół niego zamknął. Tymczasem ciżba zaczęła przewracać zapory, a interweniujący strażnicy i policjanci starali się rozdzielać walczących. O mało mnie nie stratowano.

- Zabierz ją stąd! - krzyknął William do osoby, która wymierzyła cios mojemu napastnikowi. Silne ramię objęło mnie w talii, a moje stopy straciły kontakt z ziemią.

Rzucałam się i wrywałam, ale mój obrońca mimo to zdołał mnie jakoś wyciągnąć z tłumy. Kiedy znów stanęłam na własnych nogach, odwróciłam się, próbując go odepchnąć.

- Proszę mnie zostawić w spokoju, muszę zabrać stamtąd moje serce... - Urwałam. Zobaczyłam duże brązowe oczy, kanciastą twarz i ciemne włosy. Gdzieś głęboko we mnie odezwał się głos: Przyjrzyj mu się i przypomnij sobie. Przypomnij sobie... co? Potrząsnęłam głową.

- Ja się nim zajmę - powiedział nieznajomy z typowym dla Południa akcentem, który mnie dziwnie poruszył. - Pani serce. Ja się nim zajmę.

Podbiegł do nas William.

- Idź, idź z tym człowiekiem, proszę cię.

- Iść? Dokąd?

- Irene już wszystko dla ciebie zaplanowała. Proszę cię, idź. To mój serdeczny przyjaciel. Bez wahania powierzyłbym mu swoje życie. Możesz na niego liczyć. On się nazywa Solo. Nie martw się o nic. Proszę cię, idź.

- William, ale ja nie mogę...

- Zabieram ją - powiedział nagle nieznajomy imieniem Solo. Po przeciwnej stronie dwupasmowej drogi dojazdowej do więzienia stała wynajęta limuzyna. Solo pociągnął mnie i otworzył drzwi od strony pasażera.

Uchwyciłam się drzwi i ze ściśniętym sercem patrzyłam na kotłujący się rozwrzeszczany tłum, który sama sprowokowałam. Solo położył mi dłoń na ramieniu i ten kontakt sprawił, że odwróciłam się do niego gwałtownie i zawstydzona spojrzałam mu w oczy. To przeze mnie śmierci „Żaby” towarzyszyła atmosfera cyrku.

- Co ja takiego zrobiłam? - zapytałam zduszonym głosem.

W oczach mężczyzny była jakaś dziwna duma.

- Sprawiała pani, że musieli zajrzeć w gąb własnej duszy, a to, co tam zobaczyli, wyraźnie im się nie spodobało. A teraz proszę wsiadać do samochodu. Kiedy awantura się kończy i są już tylko krzyki, jest czas na odpoczynek i głęboki oddech.

- Od lat nie wiem, co to znaczy głęboki oddech.

- To chodźmy zaczerpnąć świeżego powietrza.

Delikatnie wepchnął mnie do samochodu. Zawstydzona, ukryłam twarz w dłoniach.

Niedaleko budynku więzienia czekał na nas niewielki samolot Sola. Sądząc po odbrapanej farbie kadłuba i trochę niechlujnym wnętrzu, maszyna musiała być używana do różnych celów. Kiedy Solo otworzył luk, mój bagaż leżał już na siedzeniach dla pasażerów. Wdrapałam się na miejsce obok pilota i patrzyłam tępo na umykający pod nami krajobraz. Po godzinie zobaczyłam na zachodzie połyskujące wody wielkiej Zatoki Meksykańskiej.

St. George Island, piaszczysty luk, ciągnący się wzdłuż Appalachee Bay na wodach zatoki, spoglądał w stronę Karaibów i Meksyku. Tę część Florydy ludzie nazywają Zapomnianym Wybrzeżem, a samo zagłębienie pod półwyspem - mniej elegancko - pachą. W tym miejscu, położonym z dala od dróg międzystano-

wych, znajdują się głównie malownicze stare miasteczka rybackie, bary ostrygowe i szerokie pustawe plaże, pełne piaszczystych wydym i letnich domów, wznoszących się na betonowych podmurówkach.

Irene Branshaw, emerytowana sędzia sądu federalnego, która stała na czele Grupy Phoenix, postanowiła, że mam jechać właśnie tu, do jej domu. Zostałam łagodnie uprowadzona i to akurat Solo, nowemu doradcy Williama do spraw bezpieczeństwa, powierzono tak niewdzięczne zadanie. Nie chciałam o nim nic wiedzieć; nie chciałam nawet znać jego prawdziwego nazwiska. Marzyłam o tym, by żyć w próżni, w której byłabym odpowiedzialna tylko za siebie.

Na horyzoncie zbierały się burzowe chmury. Samolot kołysał się w porywach wiatru, ale Solo, z twarzą skupioną, spokojnie operował sterami. Za sobą zostawialiśmy ognistą kulę słońca. Uciekałam od ognia piekielnego, biorąc ze sobą tego nieznanego mężczyznę.

Żadne z nas się nie odzywało. Siedziałam, z głową na oparciu, z rękami złożonymi na poplamionej kawą spódnicy, niezdolna zebrać myśli.

Wpatrzony w deskę rozdzielczą Solo burknął coś pod nosem.

Uniosłam głowę.

- Czy coś jest nie w porządku?

- Nie. Po prostu obliczam ilość paliwa w stosunku do szybkości.

- Kończy nam się paliwo?

- Nie. Takie mam hobby. Liczenie, kalkulowanie. - Zawahał się. - Proszę oddychać - polecił łagodnie.

Skinęłam głową i zamknęłam oczy. William powiedział, że mogę na niego Uczyć. Może jest rzeczywiście dobry w rachunkach.

Dobry w rachunkach. To było uspokajające.

Na przekór sobie zasnęłam.

„Żaba” umierał od nowa, w moich snach.

Usiedliśmy na małym lądowisku wśród sosnowych lasów, w zachodniej części wyspy. Irene trzymała tam starego dżipa. Solo załadował na tył samochodu mój bagaż i swój zniszczony skórzany plecak. Patrząc na plecak, usiłowałam wyrobić sobie zdanie

o jego właścicielu, nie było to jednak łatwe. W ciągu ostatnich dwóch dni niewiele jadłam; głód z upałem sprawiły, że zrobiło mi się słabo.

- Dziękuję, ale dalej już sobie poradzę sama - powiedziałam, wsparta o dżipa, pocąc się w kostiumie.

Solo, wpatrzony we mnie, obracał w palcach sfatygowanego asa kier.

- Szanse są przeciwko pani. - Jak na potwierdzenie tej prognozy, nogi się pode mną ugięły i uchwyciłam się dżipa. Solo podtrzymał mnie i posadził w samochodzie na miejscu pasażera. - Proszę się nie denerwować, nie będę pani wchodził w drogę-

Siedziałam oszołomiona, omdlewająca, w milczeniu, podczas gdy on prowadził dżipa główną drogą, biegnącą wzdłuż wyspy. Minęliśmy ciągnące się wzdłuż plaży restauracje i sklepy dla turystów i znów znaleźliśmy się w sosnowym lesie. W pewnym momencie mój towarzysz skręcił w wąską dróżkę, która ginęła wśród drzew. Po chwili wyjechaliśmy z lasu i znaleźliśmy się między piaszczystymi pagórkami porośniętymi morską trawą. Przed nami rozciągał się widok na wody zatoki. Solo zatrzymał dżipa na podwórku za wielopoziomowym perłowszarym domem, krytym koralową dachówką. Dom wznosił się na palach, na wysokości przynajmniej czterech i pół metra nad poziomem parkingu. Rozciągał się z niego widok na niskie wydmy i zawieszony nad oceanem błękitne niebo, wypełnione białymi obłokami.

Weszłam do środka sama, starając się, mimo zawrotów głowy, nie korzystać z jego pomocy. Ostrożnie pokonałam długą kondygnację schodów prowadzących z parkingu.

- Dziękuję bardzo, bagaż wniosę później - powiedziałam, ale mój bagaż został już wniesiony. Wewnątrz zastałam ładne jasne meble i głębokie koralowe kanapy. Od frontu, na głównym poziomie domu, ciągnął się pomost, schodzący stopniami do wydmy. Irene dopilnowała, żeby kuchnia była obficie zaopatrzona. Wzięłam z lodówki butelkę wody, rzuciłam żakiet na krzesło, z bagażu, który Solo oparł o drzwi pokoju gościnnego, wyciągnęłam notes i pióro i chwiejnie wyszłam na zewnątrz.

W altanie, z widokiem na morze, pod koralowym daszkiem, czekały dwie miękkie leżanki. Największym wysiłkiem woli dotarłam do jednej z nich. Usiadłam w przewiewnym cieniu, zrzu-

ciąłem pantofle i szybko wypijałem łyk wody, który przywrócił mi życie. Następnie pochyliłam się nad notesem i zaczęłam robić notatki dotyczące sprawy „Żaby”. Miałam przed sobą telefony do załatwienia i oświadczenia do napisania - nie było czasu na odpoczynek czy żale.

- To wprawdzie nie moja sprawa - usłyszałam za sobą głos Sola - ale myślę, że to, co pani robi, może poczekać, aż się pani lepiej poczuje. Na razie przygotuję coś do jedzenia.

- Nie, dziękuję, może mnie pan spokojnie zostawić. Zadzwoń do Williama i powiem mu, że już nie potrzebuję pomocy. Jestem wdzięczna za wszystko, co pan dla mnie zrobił, ale teraz dam już sobie radę sama. Mam sporo roboty i muszę się skupić.

Zapadła cisza, jeśli nie liczyć powolnego szumu fal i krzyków mew. Wreszcie Solo przerwał milczenie.

- Pani nawet nie zobaczyła domu.

- Dom jest w porządku.

Obszedł mój fotel i stanął naprzeciwko - wysoki, szczupły mężczyzna o szerokich ramionach, poruszający się z wdziękiem. Miał na sobie miękkie płócienne spodnie i lekką koszulę z zawiniętymi rękawami. Robił wrażenie człowieka, który nie przywiązuje wagi do ubrania, który je traktuje wyłącznie jako okrycie, a nie wyznacznik elegancji. Gdyby to było jakiegoś innego dnia, zauważyłabym znacznie więcej.

- Tak? - Spojrzałam na niego wyczekująco.

- Pozwolę sobie na kilka wyjaśnień. Ostatniej nocy musiała tu szaleć piekielna burza - zaczął cierpliwie. - Na pasie startowym i na drodze głównej leżało pełno gałęzi. W domu brakuje gontów i paru płytek. Nie ma też prądu, przypuszczam, że ta woda, którą pani pije, jest ciepła. Poza tym na dach, z drugiej strony, przewróciły się dwie sosny. - Przerwał i zrobił zatroskaną minę. - Ale najbardziej niepokoi mnie fakt, że wysiadł system alarmowy. Nie zadziałało nawet zasilanie zapasowe.

Powoli uniosłam głowę. Wszystko wydawało mi się jakieś niewyraźne, zamazane. Nie zauważyłam nic z tego, o czym mówił.

- A czy pan by sobie z tym poradził?

Ukucnął koło leżanki. Nie potrafiłam skupić wzroku na niczym innym poza jego oczami. Wielkimi, ciemnymi i jakby znajomymi. Odsunęłam od siebie tę dziwną myśl.

- Poradziłbym sobie ze wszystkim oprócz pani. - Kiedy zaczę-

łam mu się przyglądać, zmarszczył czoło i wstał. - No cóż, nie jestem złotousty, więc zabieram się do roboty. Ale nie zamierzam zostawiać tu pani samej. Zajmę sypialnię na górze.

- O tym porozmawiamy później. - Ponownie pochyliłam się nad notatnikiem, z maniackim uporem zmuszając palce do pisania. Miałam zamiar wypisać wszystkie czynności prawne, jakie wykonałam w związku z „Żabą”, poczynając od dnia, kiedy przed pięciu laty przejęłam jego sprawę. Wszystkie czynności i wszystkie błędy. Następnie zamierzałam analizować uzyskany w ten sposób materiał tak długo, aż dojdę, w którym miejscu nawaliłam.

Pan Solo, kimkolwiek był, zostawił mnie na razie samą, a przynajmniej pozwolił mi w to wierzyć.

Obudziłam się w nocy, na plażowej leżance, wciąż ubrana w kostium. Czułam, że od wilgotnej morskiej bryzy mam słoną skórę. Dokoła mnie walały się porozrzucane zmięte kartki. Moją całodzienną pracę myślową rozwiął nocny wiatr, szalejący gdzieś na skraju kontynentu. Księżyc w nowiu zaglądał do altany. W głowie mi pulsowało. Byłam słaba i zdezorientowana. Kiedy usiadłam, mój wzrok padł na niski stolik, który się pojawił przy leżance. Znalazłam na nim tacę z owocami, ser i butelkę wody. Była to niewątpliwie robota Sola.

Drżącą ręką sięgnęłam po jabłko. Przy pierwszym kęsie poczułam nagle potworny głód. Zmiotłam wszystko, co było na tacy, pakując jedzenie do ust i popijając wodą. Kiedy skończyłam, nieoczekiwanie oparłam ramię na stoliku i położyłam na nim głowę. Wróciły przeżycia z ubiegłego dnia. I sprzed dwudziestu pięciu lat.

Moje życie nie miało najmniejszego sensu; duchy przeszłości i poczucie winy nigdy mnie nie przestaną dręczyć. Opuściłam Burnt Stand w dniu, w którym skończyłam osiemnaście lat. Spakowałam rzeczy do niewielkiego samochodu, który sobie kupiłam za własne oszczędności, i po kilkugodzinnej jeździe znalazłam się w Georgii. Kiedy zobaczyłam drapacze chmur i zielone przedmieścia Atlanty, zatrzymałam się w tanim motelu i podjęłam pracę kelnerki w centrum miasta w barze Peanut Room, gdzie na ścianach królowały zdjęcia byłego prezydenta Cartera. Zapisałam się na kurs przygotowawczy prawa na Uniwersytecie Emory.

Swan kazała mi wracać, potem próbowała mnie przekonywać, wreszcie w elegancki sposób przekupić, a kiedy to wszystko zawodło, odcięła mnie od pieniędzy, zostawiając bez grosza przy duszy. Wiedziałam, że moja ucieczka była dla niej bolesnym ciosem. Zrozumiałam też, że reguły gry, które narzuciła, okazały się równie trudne dla niej, jak i dla mnie. Tylko w jeden jedyny sposób potrafiła utrzymywać kruchą reputację Hardigreech, o którą tak uparcie całe życie walczyła. Przez bezwzględną dominację. A ja sięgnęłam po jej własną broń.

Na prawo dostałam się, biorąc kredyt studencki, a żeby się utrzymać, pracowałam na dwóch posadach. Przez pięć lat noco- wałam w wolnych łóżkach i gościnnych pokojach przyjaciół, ale kiedy skończyłam studia i nie miałam nic, poza swoimi obciążo- nymi poczuciem winy wspomnieniami, nie byłam nikomu nic winna. Odrzuciłam kilka propozycji pracy w prestiżowych fir- mach prawniczych i zostałam obrońcą z urzędu w sądzie w Atlan- cie. Przez najbliższe kilka lat zarabiałam akurat tyle, że było mnie stać na wynajęcie taniego mieszkania i pokrycie bieżących wydat- ków, ale to mi nie przeszkadzało. Byłam pracowoliczką, męczen- nicą całkowicie oddaną sprawie i samotniczką. Jeśli się nawet zdarzyło, że jakiś mężczyzna przekroczył próg mojej sypialni, nie wytrzymywał konkurencji z moim obsesyjnym wprost powoła- niem. Wzięłam sobie mianowicie za punkt honoru ratowanie każdej niewinnej istoty ludzkiej. Postanowiłam, że już nigdy wię- cej żaden Jasper Wade nie umrze na moich oczach. Co zaś do moich bardziej winnych klientów - a większość z nich była win- na - traktowałam ich jak cioteczną babkę Klarę: uważałam, że przynajmniej należy im się uczciwy proces sądowy. W kilka lat później, kiedy Irene Branshaw zaprosiła mnie do współpracy z Grupą Phoenix, wiedziałam, że będzie to wprost idealny sposób na rozładowanie dręczącej mnie nieustannie potrzeby odkupie- nia win.

Dopóki nie zawiodłam „Żaby” Marvina.

- Ja tak dalej nie mogę - wyszeptałam do nocnego wiatru. Z trudem podniosłam się z leżanki i popatrzyłam na zalane światłem księżycy plażę i ocean. Jakiś ciemny wewnętrzny głos mówił mi: Idź naprzód i nie oglądaj się za siebie. Nie miałam po- jęcia, co zrobić z tą uporczywą myślą. Nie chciałam umierać, a nie potrafiłam żyć. Obróciłam się, półprzymknięta, i uniosłam rę-

ce do zmierzwionych włosów. Trzymałam się za skronie, jakbym się bała, że za chwilę mój mózg eksploduje.

Nagle zatrzymałam się w osłupieniu. W ostrym blasku księżycy zobaczyłam wyciągniętego na drugiej leżance i smacznie śpiącego mojego tymczasowego towarzysza niedoli. Solo. Podeszłam do niego i nachyliłam się, patrząc na jego sympatyczną, mocną twarz i atletyczne ciało. Teraz, ubrany w koszulkę i spłowiełe džinsy, z wyrazem spokoju na twarzy, wydawał się jakiś dziwnie kruchy i bezbronny. Spał na wznak, z potężnymi ramionami złożonymi na piersi i dużymi sękatymi stopami skrzyżowanymi w kostkach - w pozycji bardzo czujnej jak na człowieka odpoczywającego. Jego głowa leżała na pół zatopiona w kolorowej poduszce, a ciemne włosy ostro kontrastowały z tym delikatnym „damskim” tłem.

Gapiłam się tępo na zamknięty laptop, stojący pod jego leżanką, na pusty kubek i termos z kawą. Wszystko wskazywało na to, że starał się jak najdłużej nie spać. W odległości jakichś dwóch metrów pobłyскиwał w świetle księżycy dziwny, nieznan mi przedmiot, przypominający metalowego pajaka, o wysokości mniej więcej trzydziestu centymetrów - skomplikowana mechaniczna zabawka, mały robot.

Oszołomiona, wróciłam do leżanki. Ocean lśnił i szumiał. Nad nim rozpościerało się usiane gwiazdami nocne niebo. Wydmę na tle głębokich cieni przypominały białe sterczące wierzchołki. Małe jasne kraby śmigały szybko po piasku. Wyprostowałam ramiona. Pobrodzę sobie przy brzegu, pójdę na spotkanie oceanu. Stawię czoło wszystkim problemom, jakie napotykałam w moim kulawym życiu, i spróbuję coś z nimi zrobić. A może zdecydujesz się na długi spacer w głąb oceanu - podszeptał mi głos wewnętrzny.

Ręce mi się trzęsły. Uniosłam zmiętą spódnicę i zdjęłam rajstopy. Poszłam bosą na sam koniec pomostu i zaczęłam schodzić po drewnianych stopniach na dół. Nagle „zabawka” wydała pulsujący wysoki pisk. Odwróciłam się. Stworzenie pełzło w moją stronę jak metalowy krab.

Solo zerwał się z leżanki. Robot zbliżał się do mnie, wydając mechaniczne wrzaski. Solo błyskawicznym wzrokiem drapieńnika ogarnął zalany światłem księżycy pomost. Kiedy mnie zobaczył, odczuł wyraźną ulgę. Wyciągnął z kieszeni džinsów coś w rodzaju pilota, nacisnął jakiś guzik i zabawka umilkła.

- Przepraszam - powiedział. - To taki gadżet, który sam zbudowałem. Zabawka z czujnikami ruchowymi. Ale działa. - Podszedł do mnie. - Jak samopoczucie? Może mógłbym w czymś pomóc? Wybiera się pani na spacer przy księżycu? Dobrze. Będę szedł za panią. Proszę nie zwracać na mnie najmniejszej uwagi.

Spojrzałam na robota.

- Co to za piekielne urządzenie? Do tej chwili dygoczę ze strachu.

- Pomyślałem sobie, że może się pani obudzi i będzie chciała pospacerować albo popływać. Lepiej, żebym o tym wiedział. To wielki ocean.

Czyżby podejrzewał, że należy mnie chronić przede mną? Na miękkich nogach pokonałam te same stopnie w górę i podeszłam do niego. Nagle poczułam się jakoś bardzo głupio, ogarnęła mnie depresja. Zatrzymałam się przed nim na odległość wyciągniętego ramienia.

- Jestem zmęczona, ale nie potrzebuję eskorty - powiedziałam. - Idę się tylko przejść.

Przyjrzał mi się dokładnie.

- Chciałbym pani coś powiedzieć. Wiem wszystko o pani pracy dla Grupy Phoenix. I wiem, jak bardzo pragnęła pani uratować „Żabę” Marviną. Zorientowałem się, jaką jest pani osobą, i wiem, co pani teraz myśli. - Zrobił pauzę. - Dlatego nie zamierzam zostawiać pani sam na sam z tymi myślami - dokończył.

Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy i jak powraca cały żal. Skąd ty możesz znać mnie aż tak dobrze? Ten jego znajomy język, swojski akcent, twarz. Jego twarz. Te ciemne oczy.

- W pewnej mierze ma pan rację - wyszeptalam. - Ale to, co się stało, było wynikiem mojego błędu. I właśnie tego nie mogę sobie darować.

Solo obrzucił mnie przenikliwym spojrzeniem, od którego przeszły mnie ciarki; na jego pogrążonej w cieniu twarzy malowały się tysiące uczuć. Mogłabym przysiąc, że widziałam w jego oczach łzy. Nie. To tylko jeszcze jeden figiel księżycy. Wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć mojego ramienia, ale rozmyślił się i opuścił ją bezwładnie.

- On by chciał, żeby pani była szczęśliwa. I spokojna, że zrobiła dla niego wszystko, co możliwe. Jestem o tym przekonany.

Tembr jego głębokiego, szczerzego głosu wibrował we mnie, uruchamiając zdrowy rozsądek.

- Pan może mnie znać, ale ja nic o panu nie wiem.

- A ja wiem tylko jedno: że nie pozwolę pani iść samej na spacer. - Przerwał. - A jeśli mnie pani nie posłucha, to siłą zaniosę panią do domu i zamknę w sypialni.

Czułam, że robi mi się zimno. Przez jakiś czas patrzyłam na niego z niedowierzaniem, zanim się zorientowałam, że mówi poważnie. Że mi grozi.

- Jutro wyjeżdżam - powiedziałam - i w tym pan mi nie przeszkodzi. - Niezadowolona weszłam do domu. Już w drzwiach sypialni usłyszałam, że on też wszedł. Przez jakiś czas kręcił się po obszernej morelowo-koralowej kuchni, otwierając i zamykając białe szafki, a potem słyszałam, jak ostrożnie stąpa po białym dywanie leżącym w salonie, wyraźnie usiłując nie hałasować. I wreszcie - cisza. Nie zauważyłam, by poszedł na górę.

Nieznacznie uchyliłam drzwi i wyjrzałam. Spostrzegłam, że położył się na tapczanie, a elektroniczne urządzenie ustawił pośrodku salonu. Zamknęłam drzwi. Przez jakiś czas spacerowałam niespokojnie po sypialni, a następnie, trzęsąc się ze złości, usiadłam na perłowej narzucie wielkiego łóża. Po chwili położyłam się, mnąc w rękę narzutę i zadręczając się swoimi problemami.

W przeciągu pięciu sekund zasnąłam.

Powiedz jej. Powiedz jej, kim jesteś. Kiedy nazajutrz wczesnym rankiem Eli pływał w ciepłych wodach zatoki, ta myśl nie dawała mu spokoju. Z każdym ruchem silnych ramion to polecenie zapadało mu głębiej w świadomość. Powiedz jej. Powiedz jej prawdę już dzisiaj.

To ja. Eli. Wszystkie te sprawy, które dręczą ciebie, dręczą również mnie. Muszę wrócić do Burnt Stand i znaleźć odpowiedzi na nasze wspólne pytania.

Modlił się, by wtedy - kiedy już jej powie, kim jest i czego od niej chce - odnalazła w pamięci coś z tej krótkiej, ale mocnej dziecinnej więzi, która ich kiedyś łączyła. Modlił się, żeby nie patrzyła na niego jedynie pod kątem tego, co być może tata zrobił kiedyś jej ciotecznej babce. Żeby nie traktowała go jako dorosłego syna mordercy.

Pokonał motylkiem płytką fałę i skierował się do brzegu. Po-
wiem jej zaraz, jak tylko znajdę się w domu. Kiedy się obudzi, bę-
dę już czekał, żeby z nią porozmawiać. Stanął w wodzie i wytarł
piekącą słońną wodę z twarzy i włosów, podczas gdy szmaragdowe
fale, zakończone białą grzywą piany, igrały wokół jego bioder.
Kochał ocean, kochał jego nieskończoność i nieprzewidywalność,
czerpiać z niego radość czysto abstrakcyjną. Czuł się wtedy jakiś
dziwnie czysty. Stał przez chwilę, z zamkniętymi oczyma, z głową
odrzuconą do tyłu, ociekający wodą, która maleńkimi strumycz-
kami spływała z czubków jego palców, głęboko wdychając świeże
morskie powietrze. Wsadził kciuki za luźno związaną taśmę czar-
nych kąpielówek, które opadły poniżej pępka. Podciągnął je
i otworzył oczy.

W odległości kilku metrów od niego, na szczycie piaszczystej
wydmy, stała Darl, pilnie go obserwując.

Wyszła z domu i zbliżyła się do oceanu bez jego wiedzy i bez
wiedzy robota. Boże, cóż to był za widok! Włosy koloru futerka
brązowej norki tańczyły w delikatnych podmuchach wiatru wokół
jej pięknej twarzy, to zakrywając, to odsłaniając oczy. Ani na
chwilę nie przestała go obserwować, nawet wtedy, kiedy napoty-
kała jego wzrok. Biała wilgotna koszula nocna, oblepiająca ciało
i uda, wystawiała na próbę jej skromność. Przez moką bawełnia-
ną tkaninę widać było nisko wycięty czarny stanik i czarne maj-
teczki bikini. Zgrabną sylwetkę, o wysokich, jędrnych piersiach
i roztańczonych na wietrze włosach, stojącą dumnie na szczycie
wydmy, miał na zawsze zachować w pamięci. Podniecony i nie-
szczęśliwy, wiedział teraz ponad wszelką wątpliwość, że była jego
ukochaną Darl, dojrzałą i piękną, pełną godności, ale tragicznie
okaleczoną. Darl, która tak samo jak on wlokła za sobą ciężar
dzieciństwa.

- Uciekłam - zawołała z zaciętą miną, po czym zesza z wyd-
my i ruszyła w jego stronę, zatrzymując się na granicy wody. Pró-
bowała odciągać od siebie moką koszulę, ale wiatr co chwila
przyklepał materiał do ciała. Delikatny rumieniec świadczył
o tym, że czuła się lekko skrępowana, ale oczy, podkrażone ze
zmęczenia, patrzyły na niego badawczo. - Przelazłam przez bal-
kon - wyjaśniła rzeczowym tonem. - Po prostu musiałam dziś ra-
no wyjść sama.

Eli zapatrzył się na nią w niemym zachwycie. Powiedz jej, kim

jesteś. Powiedz jej teraz. Stał w chłodnej wodzie, zanurzony do bioder, czekając, aż ustąpią objawy podniecenia.

- Kiedy byłaś dziewczynką... - zaczął niepewnie - zawsze przełamywałeś wszelkie bariery.

Zamarła w bezruchu.

- To ciekawa obserwacja.

- Ale prawdziwa.

Wolno skinęła głową.

- Widzę, że jest pan dobry w analizowaniu ludzi. A może do pańskich obowiązków należy jak najdokładniejsze rozpracowanie mojej osoby?

- Nie traktuję tego w kategoriach obowiązku. Nie jest pani dla mnie nikim obcym. Nie potrafię tego powiedzieć inaczej, jak tylko...

Uniosła rękę.

- W porządku. Wiem, co ma pan na myśli. Wczoraj stał się pan moim bliskim przyjacielem. - W jej chmurnych oczach pojawiło się coś ciepłego - jak gdyby żal i smutek, pod wpływem których Eli zaniemówił. - Chciałabym panu za wszystko podziękować. Nawet za to, że wczoraj wieczorem nie pozwolił mi pan wyjść samej z domu. Byłam... wyczerpana i przybita... Ogarnęło mnie przerażenie. Nie wiem, co powinnam robić dalej - nie mogę się pogodzić ze śmiercią „Żaby” Marvina i nie jestem zadowolona z tego, co dla niego zrobiłam. Muszę przeanalizować każdy najdrobniejszy szczegół procedury. I wszystko przemyśleć. Wiem tylko jedno: że powinnam przez jakiś czas być tutaj, z dala od wszystkiego i od wszystkich tych, którzy by mi mówili, co powinnam teraz czuć. Muszę po prostu przez dzień czy dwa p o i s t n i e ć. Nie myśląc o przeszłości ani o przyszłości. Po prostu być. - Uśmiechnęła się blado. - I to by była, panie Solo, moja metafizyczna myśl na dzisiaj. Czy nie miałyby pan nic przeciwko temu, żeby po prostu „pobyć” ze mną?

Eli poczuł na sobie cały ciężar sytuacji.

- Oczywiście, że bym nie miał - odparł po chwili - Dopilnuję, żeby w tym czasie nic ani nikt pani nie niepokoił. Obiecuję.

Ładunek emocjonalny, jaki towarzyszył tym słowom, pogłębił tylko jej rumieniec i przywrócił pełne rezerwy spojrzenie. Eli przeklinał się w myślach. Tak wiele nauczył się przecież od kobiet, co się więc stało z jego powściągliwością i umiejętnością kal-

kulowania, tak ważnymi odruchami obronnymi gier miłosnych? Co się stało z tą odrobiną niezbędnego cynizmu? Wszystko to stracił dziś rano na plaży. Darl odgarnęła włosy z twarzy i grzecznie skinęła głową.

- Rozumiem teraz, dlaczego William wysiał mnie tu z panem. Takie poczucie honoru to błogosławieństwo. Zazdroszczę panu.

Po tych słowach odwróciła się i ruszyła między wydmami, muskając koniuszkami palców trawy, które chyliły przed nią głowy. Eli stał, smutny i pełen poczucia winy, na skraju jedyne go świata, który mogli spokojnie dzielić.

Jeszcze za wcześnie, jeszcze nie może jej powiedzieć.

Nigdy nie popełniłam tego błędu, by wierzyć, że jeszcze kiedykolwiek w moim życiu pojawi się Eli. Nie mieszkał już w Stanach i najprawdopodobniej nie zamierzał tu wrócić. Wiedziałam dlaczego. Dziesięć lat wcześniej udało mi się go wytropić

Był pogodny wiosenny poranek w Atlancie, zaledwie kilka tygodni po tym, jak zaczęłam pracować w biurze prokuratora okręgowego jako obrońca z urzędu. Miałam dwadzieścia pięć lat i byłam dość ładną i dumną z siebie obsesyjną pracoholiczką. Ukończyłam wreszcie prawo i dorobiłam się własnego skromnego mieszkania. Miało jedną sypialnię i mieściło się na ostatnim piętrze starego gotyckiego budynku w pobliżu Ponce de Leon, szizofrenicznego bulwaru, gdzie piękne nobliwe domy sąsiadowały z salonami tatuażu i gdzie najędzniejsze prostytutki przesiadywały na stołkach całonocnych barów obok dobrze zapowiadających się studentów politechniki stanu Georgia.

Tego ranka, popijając gorącą herbatę przy dębowym stole, wybranym z bogatej oferty pachlego targu przy Lakewood, największego miejsca comiesięcznej wymiany towarów w mieście, spojrzałam na moją książeczkę czekową. Swan przysłała mi z okazji ukończenia studiów pięć tysięcy dolarów - nie potrafiła nie być ze mnie dumna, chociaż nigdy mi tego nie powiedziała. „Dopiętaś swego - brzmiał dopisek. - Kiedy zdecydujesz się wrócić do domu, Marmury Hardigree zrobią stosowny użytek z twojej wiedzy prawniczej”.

Zamierzałam całą sumę, ofiarowaną mi przez babkę, przekazać na cele charytatywne, ale później uznałam, że przynajmniej

z części tych pieniędzy mogą zrobić równie dobry użytek. Zafunduję sobie prezent z okazji ukończenia studiów, jakiego by Swan z pewnością nie zaakceptowała. Znajdę odpowiedź na pytanie, które dręczyło mnie od lat.

Wzięłam telefon i zadzwoniłam do prywatnego detektywa, którego poznałam, odbywając staż u jednego ze znanych obrońców w sprawach kryminalnych. Był w tej dziedzinie chyba najlepszy: potrafił znaleźć nawet kogoś, kto nie chciał być znaleziony.

- Poszukuję młodego człowieka nazwiskiem Eli Wade - powiedziałam i jednocześnie dodałam, że wiem o nim bardzo niewiele. Wiek - dwadzieścia osiem lat, wówczas. Datę urodzenia Eliego znałam dokładnie - zaznaczyłam ją sobie w kalendarzu jeszcze jako dziecko i co roku tego dnia dawałam mu prezenty. Znałam też imiona jego rodziców, no i naturalnie Bell. - Niewykluczone, że mieszka teraz w Tennessee - powiedziałam detektywowi. - To nic pewnego, ale tam się w każdym razie urodził. Nie wiem, dokąd się cała rodzina udała po opuszczeniu Burnt Stand w Karolinie Północnej, ale słyszałam, że pochowali ojca Eliego pod Nashville.

Informacje są bardzo skąpe, powiedział mi detektyw. Ale data urodzenia to ważny szczegół, który ułatwi poszukiwania w archiwach rządowych. Zobaczy, co uda mu się zrobić. Odłożyłam słuchawkę i wyjrzałam przez niewielkie okienko nad umywalką. Brud miasta przylgnał do rozłożystego, okrytego kwieciami dereń, który walczył o miejsce z popękany chodnikiem. Po przeciwnej stronie zacienionej ulicy, przy której mieszkałam, stała poobijana półciężarówka z flagą konfederacką i emblematem w postaci Uścia marihuany. „Boże, chroń Dixie i podaj skręta”. Czułam się jak ten dereń - bardzo samotna w świecie pozbawionym wszelkiego uroku.

W trzy tygodnie później, kiedy siedziałam przy porannej herbacie, zadzwonił do mnie mój tropiciel z nowinami.

- Eli Wade nie był taki trudny do znalezienia - powiedział. - Jest poszukiwany przez policję federalną.

Uchwyciłam mocniej słuchawkę.

- Dlaczego?

- Jest partnerem w nadmorskim hazardowym biznesie na Karaibach. Mieszka tam od pięciu lat. - Zamilkłam. Detektyw

cmoknął. - Wygląda na to, że nie jest z nim tak źle. To młody facet, który zarabia krocie na zakładach sportowych, rozumiesz? Jest wysoko płatnym bukmacherem obsługującym Amerykanów wysyłających zakłady sportowe pocztą.

Serce mi się ścisnęło.

- Czy on jest profesjonalnym hazardzistą?

- Tak. I to nie byle jakim. Posługującym się wysoką techniką. Skomputeryzowanym. Aż szkoda, że kiedy się pojawi w Stanach, wpadnie w wielkie tarapaty. Eli Wade jest człowiekiem bez kraju stałego zamieszkania.

- A co z jego matką i siostrą?

- Wygląda na to, że żyją w luksusie. Ogromnie o nie dba.

- A one są tam z nim na wyspach?

- Aha. Matka udziela się społecznie u jakichś miejscowych misjonarzy. Młodsza siostra zajmuje się reklamą w jednym z największych hoteli. Twój Eli trzyma je z daleka od swoich interesów. Mają ładny dom, ładne rzeczy. - Zrobił pauzę. - Ja bym się na twoim miejscu nie martwił o tego faceta. Tam włos mu z głowy nie spadnie. Robi duże pieniądze, żyje sobie spokojnie i dobrze mu się powodzi. Jest przestępcą, ale tylko gdyby tu wrócił. - Przeczekał cierpliwie moje pełne przerażenia milczenie i wreszcie dokończył: - Posłuchaj, Darl, jesteś dziewczyną z dużą klasą. Musisz mi powiedzieć, o jakie informacje ci chodzi, a jakich nie chcesz słyszeć.

- Dawaj resztę. - Czułam, że robi mi się słabo.

- No więc dobrze. Jeżeli go sprawdzasz dlatego, że jest twoim dawnym chłopakiem i w dalszym ciągu coś do niego czujesz, to ci radzę: zapomnij o nim. Chcę powiedzieć, że oczywiście ma tam kobiety. Jego dziewczyna prowadzi interes ze sprzętem do nurkowania głębinowego. Inna prowadzi księgowość. Na pewno nie jest samotny i nie czeka beczynn timer, aż ty się pojawisz na jego horyzoncie.

Nie było najmniejszego powodu, żebym się czuła zawiedziona, zdradzona czy choćby zdziwiona. Kiedy Eli wyjechał z Burnt Stand, miałam ledwie dziesięć lat. Sama nie byłam przecież czystą dziewicą, a w czasie studiów miałam dwa poważniejsze związki. Mimo to wieści na temat Eliego odczułam jako dziwną mieszaninę zwycięstwa i klęski. Przeżył i dobrze mu się powiodło, chociaż zgubił gdzieś po drodze honor. W każdym razie był

szczęśliwy - szczęśliwy, że mógł zapomnieć o mnie i o tych trzech latach, które jego rodzina spędziła w Burnt Stand.

Zawsze myślałam, że kiedyś go odnajdę, pojedę do niego i powiem całą prawdę o Klarze. To mu się należało ze względu na pamięć ojca. I miał prawo do zemsty. Gdyby chodziło tylko o mnie, pozwoliłabym mu zrobić, co tylko by chciał, żeby mnie ukarać, ale musiałam jeszcze myśleć o Swan i Matyldzie, no i o Karen, której jako dziecku został oszczędzony przynajmniej ten jeden szok: prawda o udziale jej babki w śmierci Klary. Po upływie roku Karen odsunęła się od Matyldy i ode mnie, a kiedy była na tyle dorosła, że mogła sobie na to pozwolić, tak samo jak ja wyjechała z Burnt Stand. Od lat nie utrzymywałyśmy ze sobą kontaktu.

Tamtego ranka ukryłam twarz w dłoniach, zastanawiając się, co robić. Moja rodzina była w całkowitej ruinie. Eli stał się bogatym przestępcą. Obowiązkiem moim jako przyzwoitej prawniczki było chronić świat przed nielegalnymi zakładami sportowymi, ale nic w tej sprawie nie zrobiłam.

Płakałam po prostu w filiżankę herbaty i próbowałam o nim zapomnieć.

Rozdział 12

Otworzyłam dwie pakowne walizki, ale miałam w nich tylko oficjalne stroje. Kiedy tydzień temu pakowałam się przed wyjazdem na Florydę, byłam przekonana, że wywalczę dla „Żaby” w ostatniej chwili zawieszenie wyroku i zaraz wrócę do Waszyngtonu. Z rzeczy zwykłych miałam tylko gniecioną białą lnianą sukienkę bez rękawów, drugą białą prostą sukienkę i szorty. Wzięłam prysznic, włożyłam jedną z tych luźnych sukienek, zaplotłam wilgotne włosy w warkocz i założyłam wąskie okulary przeciwsłoneczne.

Nagle usłyszałam nad głową głośnie stukanie. Osłoniłam oczy przed ostrym słońcem, które wciskało się przez zasuwane drzwi sypialni, wychodzące na balkon. Otworzyłam drzwi. Do pokoju wdarły się szum morza i słona bryza. Wyszłam bosą na zewnątrz i spojrzałam w górę. Nade mną na składanej drabinie siedział Solo i przybijał brakujące płytki. Jego sylwetka odcinała się wyraźnie na tle błękitnego nieba. Miał zapiaszczone białe stopy, a na sobie tylko luźne szorty do kolan. Koszulę przewiesił przez półeczkę drabiny. Już wcześniej, na plaży, zauważyłam jego muskularne plecy, szeroką klatkę piersiową i mocno opaloną skórę. Wzdłuż brzucha biegła cienka smużka ciemnych włosów. Ze skupioną miną trzymał w ustach kilka gwoździ. Mimo to z długimi nogami i sękatymi rozczulająco brzydkimi stopami przeplecionymi przez metalowe szczeble wyglądał niemal chłopięco, a przez to szczególnie pociągająco. Kiedy na niego patrzyłam, uniósł do góry młotek. Widziałam, jak poruszają się mięśnie jego przedramion. Wbił gwoździe jednym mocnym wprawnym uderzeniem.

Lubimy, żeby nasi mężczyźni byli nieco prymitywni i twardzi - syknęła do mnie wtedy przy basenie Klara. Gdzieś w głębi duszy martwiłam się - irracjonalnie, ale jednak - że przez jakąś genetyczną słabość wszystkie kobiety Hardigree są skazane na to, żeby grzeszyć albo nadmierną seksualnością, albo zbyt silną dominującą osobowością, albo jednym i drugim. Na ogół trzymałam się z dala od mężczyzn. Dla mnie droga do intymności była długa i wymagała namysłu i powściągliwości. A jednak stałam i gapiłam się na Sola. Skóra zaczęła mnie świerzbic pod Inianą sukienką. Przed takimi doznaniem broniłam się zawsze, narzucając sobie dyscyplinę ostrą jak stalowa pułapka.

- Może panu pomóc? - spytałam.

Obrócił się i spojrzał na mnie tak szybko, że bałam się, iż straci równowagę. A tymczasem on się uśmiechnął i... stracił wszystkie gwoździe. Rozsypały się z brzękiem po podłodze wyższej kondygnacji. Kilka z nich wpadło w szczeliny i wylądowało u moich bosych stóp niczym twarde krople deszczu. Uklęknęłam i zaczęłam je zbierać.

- Proszę dać spokój, mam dość gwoździ! - zawołał.

- Od przybytku głowa nie boli. - Pozbierałam gwoździe, a tymczasem Solo zszedł z drabiny.

- Założę się, że trzyma pani w kuchni słoik pełen zapasowych gwoździ, spinaczy i pinasek.

- Mówi pan jak człowiek, który sam trzyma taki słoik.

- Hmm, tu mnie pani przygwoździła. - Usiadł na brzegu pomostu i spojrzał na mnie z góry. - Cieszę się, że czuje się pani lepiej.

Zawahałam się.

- Dzisiaj spałam.

- To świetnie. A teraz proszę mi oddać moje gwoździe, złodziejko.

Wyciągnął rękę na dół, a ja w zagiętej dłoni podałam mu gwoździe. Solo zgarnął je delikatnie, muskając mnie lekko opuszkami palców. Wymieniliśmy znaczące spojrzenia.

- Proszę - powiedziałam. Skinął głową, wyraźnie speszony. Odwróciłam się i bez słowa wróciłam do pokoju.

Usiadłam na łóżku, obejmując się rękami.

Po południu przyjechał kurier i doręczył małą paczuszkę, którą Solo przyniósł mi pod drzwi sypialni. Ciągłe jeszcze zajęty przy naprawie dachu, był zlany potem i pachniał świeżym morskim wiatrem. Zbliżając się do mnie, wciągnął koszulkę.

- Jest bezpieczna - powiedział, wskazując na waszyngtoński adres nadawcy. - William mi mówił, że to przyśle, ale nie chciałym, żeby pani cokolwiek otwierała sama.

- Zawsze dostaję nienawistną pocztę, panie Solo, jestem do tego przyzwyczajona. Ale nie ma tam bomb. Zresztą, co to jest? Prosiłam Williama, żeby mi to przysłał.

Zmarszczyłam czoło, usiłując krótko obciętymi paznokciami dobrać się do pozalepianego taśmami pudełka. Solo wyjął z kieszeni spodni stalowy nóż składany i jednym ruchem otworzył ząbkowane ostrze, na tyle niebezpieczne, że spojrzalam na niego ostrzegawczo. Opiekuńczym gestem nakrył dłonią moją dłoń i czubkiem ostrza zrobił błyskawiczne cięcie po przekątnej wieczka. Taśma się rozstała, a wtedy ruchem równie naturalnym schował nóż z powrotem do kieszeni i puścił moją rękę.

Otworzyłam przykrywkę i zagłębiłam palce w pęcherzykowatym ochronnym plastiku. Kiedy wyłowiłam dar „Żaby”, serce mi się ścisnęło. Plastikowe serduszko całe popękane i podeptane. Biała kokardka, przyklejona na czubku, zwiślała teraz z wystrzępionej nitki. Jęknęłam. Solo odwrócił się dyskretnie.

- Będę na zewnątrz - powiedział.

- „Żaba” nie umiał czytać. - Wyrwało mi się bez sensu. Odwrócił się do mnie powoli. Potrząsnęłam głową. Czekał ze spokojem, który świadczył o tym, że to wszystko i dla niego ma jakieś znaczenie.

- Wiem - powiedział.

- Nawet w więzieniu współtowarzysze niedoli mu dokuczali. Nazywali go głupkiem i debilem. Chciał napisać list z przeprosinami do rodzin policjantów, których zastrzelił, i ja mu te listy pisałam. Powiedziałam mu, żeby nie oczekiwał żadnych odpowiedzi, i on to zrozumiał. A potem poprosił, bym napisała do jego cholernego brata, który odsiadywał karę w więzieniu. „Kocham cię, Tommy. Wiem, że nie chciałeś, abym zrobił komuś krzywdę”. Ale Tommy Marvin nigdy się do niego nie odezwał. Ani słowem. Drań. - Włożyłam plastikowe serce z powrotem do pudełka. - „Żaba” był przekonany, iż brat mu nie odpisał, bo

wiedział, że on nie umie czytać. „On nie chce, by ludzie wiedzieli, że ja jestem taki głupi” - powiedział mi kiedyś. Nikt sobie nawet nie wyobraża, jak bardzo bolało go to upokorzenie.

- Ja sobie wyobrażam - odparł spokojnie Solo. - Dokładnie wiem, co się wtedy dzieje z człowiekiem. - Kiedy spojrzałam na niego, oczekując wyjaśnienia, odwrócił się i wyszedł. Słyszałam później, jak kręcił się dokoła domu, ale ja już nie wyszłam i do końca dnia się nie widzieliśmy.

Nazajutrz rano Solo znów poszedł popływać, a potem zarzucił sobie ręcznik na ramiona i pisał coś na komputerku wielkości dłoni. Obserwowałam go z balkonu, gdzie na małym stoliku porozkładałam swoje papiery. Bolała mnie głowa. Całą noc rzucałam się na łóżku, dręczona złymi snami, a raz nawet wyjrzałam, żeby sprawdzić, czy Solo w dalszym ciągu śpi na tapczanie w salonie. Byłam kompletnie rozbita. Słońce przedostawało się pod parasol, więc zaczęłam go ustawiać tak, by mieć trochę cienia. Ziemia nadal się obracała. Co za odkrycie! Podparłam brodę pięściami i obserwowałam Sola. Spojrzał na morze, potem na niewielkie urządzenie, które miał na dłoni, potem coś zapisał rysem i znów spojrzał na ocean.

Złapałam za słuchawkę telefonu, który wyciągnęłam na balkon, jako że mój telefon komórkowy nie działał na wyspie, i zadzwoniłam do biura Grupy Phoenix w Waszyngtonie.

- Skąd wytrzasnąłeś tego faceta? - zapytałam Williama. William Leyland sam był niezmiernie tajemniczy. Jego łagodny akcent rodem z Karaibów i spokojne zachowanie z pewnością kryły jakąś ciekawą historię. Jeżeli, jako czarny, miał problemy natury politycznej czy rasowej, to w każdym razie się z nimi nie zdradzał. I takie samo prawo do prywatności przyznawał innym. Wszyscy z Grupy Phoenix mieliśmy zaufanie do jego opinii na temat bezpieczeństwa, tak samo jak i do ludzi, którymi się otaczał.

- Mam swoje sposoby - odparł.
- Rozumiem. Czy Solo to jego prawdziwe nazwisko?
- Raczej pseudonim. Pod którym obecnie woli występować.
- I to jest wszystko, co możesz mi powiedzieć na temat jego personaliów? Czy ten facet to były wojskowy, były policjant, czy może emerytowany samuraj?

- Daj spokój. Co za wyobraźnia. Solo jest absolutnym dżentelmenem. Mogę ci w każdym razie powiedzieć, że nigdy nie był żonaty, nie ma dzieci i jest właścicielem samolotu, którym leciałaś dwa dni temu. Poza tym jest też ekspertem od spraw komputerowych i autorem programu, który chroni akta biura fundacji.

- Chcesz powiedzieć, że stworzył też nasze programy ochronny?

- Tak, wszystkie. A poza tym systemy komputerowe. Łącznie z systemem bezpieczeństwa w domu Irene tam, na St. George.

- I dorabia sobie jako goryl, tak?

- Niezupełnie. Po prostu zastrzegł sobie w tym wypadku osobisty udział.

- Dlaczego? - Cisza. - William... - nalegałam.

- Dlatego że od dłuższego czasu obserwował twoją pracę w fundacji i ma dla ciebie wiele uznania. A sprawę „Żaby” Marvinina traktował bardzo osobiście.

- Dlaczego?

- Pochodzi z biednej rodziny. Rozumie słabych i bezbronnych. Ale daj spokój, Darl, już ci dość nagadałem. Proszę cię, nie poddawaj go takiej drobiazgowej analizie. Zaakceptuj go w tej roli, w jakiej podjął się występować. Chce ci stworzyć dogodne i bezpieczne warunki odpoczynku.

- Już odpoczęłam. Zamierzam złapać samolot z Tallahassee i jutro wracać do Waszyngtonu.

- Odradzam ci. Irene sugeruje, że nie powinnaś się pokazywać w biurze ani, jak na razie, w swoim mieszkaniu. Okoliczności nie są w tej chwili sprzyjające.

Włosy stanęły mi dęba.

- A co się takiego stało?

- Media dosłownie okupują nasze biuro, domagając się wywiadu z tobą na temat rozruchów przed więzieniem, a policja złapała faceta, który ci wypisywał sprayem na drzwiach mieszkania różne głupoty. - Zamknęłam oczy. Bez trudu wyobrażałam sobie, co tam mogli nawypisywać. Pewnie to samo, co widziałam na transparentach. William ciągnął dalej uprzejmym tonem: - Jeszcze kilka dni i zainteresowanie opinii publicznej sprawą Marvinina osłabnie. Ale bardzo cię proszę, przez ten czas siedź tam, nad morzem.

- Wygląda na to, że nie mam wyboru.

William zrobił pauzę, a następnie z odcieniem ponurej satysfakcji w głosie dodał:

- Czasami Bóg sam tak postanowi dla dobra danej osoby.

- Bóg nie interesuje się nami aż tak bardzo. - Powiedziałam Williamowi do widzenia i z ciężkim sercem odłożyłam słuchawkę.

Stojący na plaży Solo odwrócił się i spojrzał na mnie. A następnie uniósł rękę. Na tle oceanu i nieba wcale nie wydawał się mały. Stał na skraju ziemi, jakby był moją jedyną latarnią morską.

Nagle poczułam ulgę, że go widzę, i pomachałam mu w odpowiedzi.

Ostatnio zaczęłam trochę za dużo popijać. Po południu poszłam do wielkiego salonu, gdzie w kącie znajdował się barek alkoholowy. Do wysokiej szklanki nalałam burbona z wodą i lodem. Dość sztywno zapadłam w wykładaną pluszem rattanową kanapkę, odsunęłam kolekcję koralów, zdobiącą duży szklany stolik, i ustawiłam na nim laptopa. Ale po dwóch obfitych łykach burbona oklapłam i trzymając się za głowę, zaczęłam tęsknić za spartańskim wnętrzem mojego starzejącego się miejskiego mieszkania, gdzie całe wyposażenie stanowił stary tapczan i w każdym możliwym miejscu - książki. Cały czas wyobrażałam sobie faceta wypisującego sprayem na moich drzwiach: „Ty suko” albo „Idź do piekła pieprzyć się z »Żabą«”.

- Pocięsza się pani, tak? - zapytał Solo.

Wyprostowałam się szybko. Stał w otwartych drzwiach, spocyny, z gołym torsem i z narzędziami w rękę. Położył narzędzia na ziemię, wytarł tors koszulką, a następnie podniósł w górę ramiona i wciągnął ją na siebie. Seksowna linia jego piersi i brzucha wydawała się zupełnie naturalna i nieświadomiona, a przez to jeszcze bardziej pociągająca. Kiedy w otworze koszulki ukazała się jego głowa, odwróciłam wzrok.

- Czy wszystko w domu już działa?

- Mniej więcej. W każdym razie jest elektryczność.

Zagrzechotałam kostkami lodu.

- Wiem. Mam lód.

- Czy pani dzisiaj coś jadła?

Ponownie zagrzechotałam kostkami.

- Łód.

- Dobrze. Usmażę trochę wielorybiego tłuszczu i zabawimy się w Eskimosów. Zaraz będę z powrotem. - Wskazał na schody, po czym zniknął, pokonując je po dwa naraz. Kilka minut później zszedł na dół. Najwyraźniej wziął prysznic, o czym świadczyły ciemne włosy wijące się w mokrych falach. Miał na sobie lekkie spodnie i wypuszczoną na nie niebieską koszulę; był boso. Podszedł do mnie i bez zaproszenia usiadł obok na rattanowej kanapie. W moją strefę lekko pachnącego perfumami powietrza wtargnęło jego ciepło i delikatna woń mydła. Spojrzał na swój stalowy wieloczynnościowy zegarek, a następnie sięgnął po pilota.

- Czas na pani ulubiony serial. - Przycisnął guzik. W drugim końcu pokoju ożył duży telewizor. Solo zmieniał kanały, aż ekran wypełniła czołówka programu *Atrakcje*. - Podobno w tym programie występuje pani przyjaciółka z rodzinnego miasta.

Gapiłam się na niego zdziwiona.

- To chyba musiał panu powiedzieć William.

- Szs, już jest.

Na monitorze pojawiła się piękna, drobna, młoda kobieta w wieczorowej sukni naszywanej drogimi kamieniami. Rozmawiając z czarnym, niewiarygodnie przystojnym aktorem w smokingu, z wdziękiem gestykulowała szczupłymi rękami miodowego koloru. Jej smągła twarz - z rysów podobna do mojej - była opanowana, ale bardzo gniewna. Orzechowe oczy błyskały jak sztylety spod niebywale długich czarnych rzęs, a gęste ciemne włosy, porozdzielane przedziałkami, przedłużone były jedwabistymi sznureczkami, które sływały do piersi.

Tą wyniosłą, egzotyczną i piękną istotą była Karen. Znana obecnie szerszej publiczności jako Kare Noland.

- Kare Noland potrafi udawać równie spokojniutką jak Kassandra - powiedział Solo.

Patrzyłam na niego długo, oceniając sytuację i zastanawiając się, co robić.

- Pan ogląda ten program regularnie? - Skinął głową. Spojrzałam w telewizor, łyknęłam burbona i zdecydowałam się mówić. - Dla mnie ona jest Karen. To moja kuzynka.

Wiadomość o tym, że mam w rodzinie kolorowych, najwyraźniej nie zrobiła na nim wrażenia.

- Często się ostatnio widujecie?

- Nie. Wyjechała z domu mniej więcej w tym samym czasie co ja, w wieku siedemnastu-osiemnastu lat, potem została aktorką i odrzuciła wszelkie więzy rodzinne. Powiedziała mi, że nie mamy ze sobą nic wspólnego. - Urwałam. - I że czuje się czarna. - Wypuściłam nasycone alkoholem powietrze i wstałam z kanapy, a następnie posłałam marsowe spojrzenie Solowi, który przyglądał mi się w milczeniu. - I to jest, panie Solo, najdłuższa rozmowa na ten temat, jaką odbyłam kiedykolwiek i z kimkolwiek. Ma pan zdumiewające właściwości.

- Potrafię słuchać. To, co pani mówi, zostaje we mnie. Pani to chyba wie.

- Wiem, że lubi pan zbierać informacje. Liczby, fakty, detale.

- Lubię porządek. Próbuję rozumieć rzeczy w jedyny sposób, w jaki potrafię.

- To pewnie już pan wie, że ktoś mi powypisywał sprayem różne rzeczy na drzwiach mieszkania w Waszyngtonie.

Skinał głową.

- Jeszcze parę dni i ludzie zapomną o „Żabie” Marvinie i o tym, dlaczego pani o niego walczyła. Sukinsyny znajdą sobie jakieś nowe pola walki i zostawią panią w spokoju.

Niestety miał rację. W świecie, w którym z pomocą mediów można śmierć, destrukcję i niesprawiedliwość sprowadzić do burdy ulicznej, nikomu w gruncie rzeczy na niczym nie zależy. Ale kiedy się jest w samym środku ludzkiego nieszczęścia, poza zasięgiem jupiterów, to ta ludzka krzywda dzień w dzień chwyta za gardło. Złapałam się za żołądek i powstrzymałam atak mdłości. Solo spojrzął na moją udręczoną twarz i powiedział szybko:

- Co oczywiście nie znaczy, że to, co pani zrobiła, jest nieważne.

- A jest ważne? Czy życie albo śmierć „Żaby” cokolwiek znaczą, cokolwiek rozwiążą, cokolwiek zmienią? Czy w jakikolwiek sposób pomogłam w polepszeniu tego świata czy świata w ogóle? Nie. „Żaba” nie żyje i tego nie zmienię. - Pochyliłam się, złapałam pilota i kliknęłam w stronę Karen. - Poza tym istnieje osoba, którą kocham i której nie mogę pomóc. A to jest tylko czubek góry lodowej moich spraw osobistych, panie Solo. Zawodzę tych, którzy na mnie liczą, i nie mogę pomóc tym, których kocham. - Wyłączyłam telewizor i rzuciłam pilota na kanapę.

Solo wstał, obszedł stolik i ujął mnie za ramiona. Zamarłam

pod wpływem tego fizycznego kontaktu. Jego kanciasta twarz i ciemne oczy były bardzo poważne, niemal zagniewane.

- Gdybym wiedział, jak zapomnieć zmarłych i myśleć o żywych, tobym pani zdradził ten sekret. Widziałem panią w telewizji w ubiegłym tygodniu. I zapamiętałem to, co pani wtedy powiedziała: że patrzeć na czyjąś śmierć nie jest najtrudniejsze. Znacznie trudniej jest z tym potem żyć. Miała pani rację.

- Pan stracił kogoś bliskiego?

- O, tak!

- Jak pan sobie z tym poradził?

- Nie wiem, czy sobie poradziłem i czy kiedykolwiek sobie poradzę.

Puścił moje ramiona i stanął w dużych szklanych drzwiach na tyłach domu. Położył ręce na biodrach i, przygarbiony, patrzył na ocean. Podeszłam do niego.

- Proszę mi powiedzieć, co się stało. Bardzo proszę. - Staliśmy obok siebie, wpatrzeni w bezmiar wód.

- Widziałem, jak umierał mój ojciec.

Miałam uczucie, że podłoga usuwa mi się spod nóg. Nic dziwnego, że ten człowiek przypominał mi Eliego.

- W jaki sposób? - zapytałam łagodnie.

- W... w kłótni. - Widać było, jak zastanawia się nad każdym słowem i z jakim trudem mu one przychodzą. Obrócił się, badając moją reakcję na to, co mówił. - Może i zasłużył na tę śmierć, ale to było nie fair.

- Potępia go pan za jego własną śmierć?

- Na to wygląda. Nie jestem zbyt dobrym synem, prawda?

- Myślę, że pan jest dobrym synem. To są bardzo skomplikowane sprawy. Można życie spędzić, próbując je zrozumieć.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek zrozumiem. Zawsze szukam odpowiedzi, których prawdopodobnie nigdy nie znajdę. Reszta mojej rodziny właściwie nigdy się z tym nie pogodziła. Wziąłem na siebie obowiązek zaopiekowania się nimi. Niech wierzą w to, w co tak bardzo chcą wierzyć.

- Że on na to nie zasłużył?

- Tak.

- Ale pan wierzy, że był winien?

- Nie wiem. Być może. Tak czy siak, zawsze jest jakaś częśćka jego - i mnie - której nie potrafię odnaleźć. Gdzieś tam. - Wska-

zał ręką w stronę oceanu, świata. - Zabrał to i nie zostawił odpowiedzi.

- Pan go nienawidzi i jednocześnie kocha.

- Tak. I to jest bardzo trudne.

Skinęłam głowę. Przeżywałam potworny zamęt; szukałam dyskretnego sposobu na to, by mu opisać moje relacje ze Swan, śmierć Klary i jej skutki. Solo był pierwszą osobą, która mogłaby to zrozumieć.

- Ktoś... ktoś w mojej rodzinie został zamordowany.

Solo stał się bardzo spokojny, wpatrywał się badawczo w moją twarz.

- Kto?

- Bliska krewna. Nie mogę... trudno mi o tym mówić, nawet teraz. Byłam dzieckiem, kiedy to się stało. Czułam się odpowiedzialna za całą sekwencję wypadków, które do tego doprowadziły. Gdybym tylko zrobiła czy powiedziała jedną rzecz inaczej. - Spuściłam oczy, załamana. - Ta sama myśl towarzyszy mi od chwili, kiedy został stracony „Żaba”.

- Ale przecież wtedy była pani tylko dzieckiem.

Uniosłam głowę.

- Nawet dziecko potrafi odróżnić dobro od zła. A ja byłam bardzo nietypowym, bardzo dojrzałym dzieckiem. Wiedziałam, co jest dobre, a co złe i co powinnam zrobić.

- A czy znaleziono zabójcę? - Mówił cicho, tak samo jak ja. Jakbyśmy trzymali zamkniętą puszkę Pandory wspomnień, której otwarcie w dalszym ciągu groziło katastrofą.

- Człowieka, który został oskarżony - powiedziałam ostrożnie - nawet nie osądzono.

Podszedł do mnie, sondując moją twarz.

- Ale pani była pewna, że on to zrobił?

Zagryzłam usta; czułam, jak ogarnia mnie odrętwiający chłód samokontroli. Czasami przerażało mnie to, że potrafiłam, tak jak Swan, stać się nagle lodowata, nie pokazując po sobie żadnych emocji. Cofnęłam się o krok.

- Powiedzmy, że system nie działał zbyt dobrze - dla obu stron - a ja wcześniej się dowiedziałam, że łatwiej jest kogoś oskarżyć niż dowieść jego niewinności. Dlatego zostałam obrońcą z urzędu, a nie prokuratorem. Potrzebne mi jest wyzwanie w postaci udowodnienia własnej niewinności.

Solo przechylił głowę.

- P a n i niewinności?

- Mam na myśli niewinność oskarżonego. - Głęboko poruszona, obróciłam się twarzą do okna. Jego wzrok w dalszym ciągu był wbity we mnie. W y b a w i e n i e . Oczekiwałam od tego budzącego zaufanie obcego mężczyzny wybawienia. Oczekiwałam, że mi zastąpi człowieka, którego przebaczenia rozpaczliwie potrzebowałam. Eliego. Nagle odwróciłam się i rozglądając się po podłodze, zaczęłam szukać skórzanych sandałów, które zostawiłam przy jednej z kanap. Wsunęłam w nie nogi. - Musimy zmienić scenerię.

Solo w milczeniu założył stare mokasyny, które zostawił przy drzwiach do niższego pomostu.

- Jadąc tutaj, zauważyłem bar na plaży. Zapraszam panią na kolację. Obejrzymy sobie zachód słońca.

- Dobrze. Nie mówmy o tym więcej.

Nie zdradzając żadnych emocji, Solo jedynie potrząsnął głową.

Siedzieliśmy na piasku, poza obrębem należącego do tawerny pomostu, i podziwialiśmy purpurowożłocisty zachód słońca na horyzoncie. Powoli zapadał zmrok. Z głośników zamocowanych na słupach, zrobionych z wyrzuconych przez morze kawałów drewna, leciały stare przeboje. Solo zaliczył dwa importowane piwa; ja poprzestałam na wodzie mineralnej w obawie, że już całkowicie stracę nad sobą kontrolę. Siedziałam w pozycji obronnej, obejmując kolana ramionami. Morska bryza rozwiała mi włosy i wysuszyła skórę. Siedzący obok mnie Solo odchylił się do tyłu i podparty na łokciach, wyciągnął przed siebie długie nogi. W pewnej chwili miniaturowy krab wdrapał się po jego łydce i na chwilę przysiadł na języku buta. Solo obserwował go na pół przy-
mkniętymi oczami, a ja obserwowałam Solo.

- Nic pana nie rusza - powiedziałam.

- Owszem, wiele rzeczy mnie rusza - odparł.

- Przyglądałam się panu dziś rano z balkonu, kiedy pan szedł nad morze. Co pan tak pilnie notował?

Zwrócił na mnie półprzymknięte oczy.

- Obliczałem natężenie i prędkość fal. Próbowałem ustalić liczbę fal na minutę, na godzinę, na tysiąc lat. Taka zabawa. Od-

poczywam w ten sposób, że rozwiązuję zagadki matematyczne. - Spojrzał na mnie żartobliwie. - No, proszę, może się pani śmiać. Może pani powiedzieć: „Liczył pan wodę”.

Rozplotłam ramiona i obróciłam się, żeby mu się bliżej przyrzyć, poruszona jego urokiem i dziwną, aż namacalną bliskością, z której od nowa zdałam sobie sprawę. Przypomniało mi się, jak podczas naszego lotu na wyspę dokonywał obliczeń paliwa. Pomyślałam o skonstruowanym przez niego robocie, o wiedzy komputerowej, jaką posiadał, o umiejętnościach z zakresu systemów ochrony. Wszystko to było oparte na dogłębnej znajomości elektroniki i inżynierii, ale przede wszystkim matematyki wyższej.

- Znałam kogoś, kto tak jak pan był rozmiłowany w liczbach i w matematyce.

Zaśmiał się sucho.

- Jakiś zwariowany uczony jak ja? Człowiek licznych talentów?

- Był najwspanialszą osobą, jaką spotkałam w życiu. I cudownym dzieckiem w dziedzinie matematyki.

- Hmm... i jaki zrobił użytek z tych talentów? Został profesorem? Inżynierem? Doktorem? Kim?

Nabrałam w garść trochę piasku i patrzyłam, jak ucieka między palcami.

- Nie. Niestety, został profesjonalnym hazardzistą i bukmacherem.

Solo usiadł. Podciągnął jedno kolano, objął je rękami i zapatrzył się w morze. Jego profil był czysty, mocny, a twarz chmurna.

- Co się stało? - zapytałam.

- Nic. Starość nie radość. - Przygarbił ramiona, a potem wyprostował się i skinał głową w stronę małych nierównych wydm pod nami, - Jak sobie pościeliłem, tak się wyśpię. Ale dopiero teraz w pełni pojąłem, jak twarde mam łóżce.

Zmarszczyłam czoło na jego dziwne słowa. Dalej patrzył w morze, omijając mnie wzrokiem.

- A więc ten dobry, wspaniały człowiek, ten geniusz, niezupełnie się sprawdził, tak?

- Nie powiedziałabym tego. Wiem tylko, że osiadł na Karaibach, prowadząc w nadmorskim rejonie bardzo lukratywny interes, obsługujący zakłady sportowe. Dziesięć lat temu wynajęłam prywatnego detektywa, żeby go odnalazł, i stąd mam te informacje.

- Musiał być dla pani kimś ważnym, skoro zadała sobie pani tyle trudu, żeby go odnaleźć. Dawny chłopak, tak?

Zawahałam się.

- Można tak powiedzieć. Tak.

- I nigdy nie próbowała pani nawiązać z nim kontaktu?

- Nie. Prowadził nielegalne interesy. Obsługiwał Amerykanów, używając telefonicznych systemów krajowych. Teraz te same przepisy stosuje się do gier przez Internet.

- Nie mogłaby pani kochać człowieka, który choćby w nieznacznym stopniu, ale łamie przepisy, tak?

- Nie o to chodzi. To nie moja sprawa. Nie jestem pewna, czy hazard musi być niezgodny z przepisami. Jeśli ludzie chcą tracić pieniądze, to niech tracą.

- Ale była pani zawiedziona, że nie okazał się kimś szacownym.

- Myślę, że robił to, co musiał, żeby zapewnić rodzinie godziwe życie. Miał trudne dzieciństwo. Nie będę go osądzała. - Spojrzałam spokojnie na Sola. - Powiedział pan, że stracił pan ojca i musiał się zająć rodziną. Mógłby mi pan powiedzieć o tym coś więcej?

Widać było, jak walczy w nim rezerwa z potrzebą zwierzeń. Potrząsnął głową.

- Ale gdybym zapragnął się zwierzyć, to tylko pani.

Po chwili zastanowienia powiedziałam:

- Zaczynamy trudne rozmowy, a potem się wycofujemy, zanim powiemy coś naprawdę istotnego. Tak samo z mojej winy, jak i z pana.

Zamilkliśmy. Nocne niebo rozbłysło gwiazdami. Zapytał, czy nie mam nic przeciwko temu, żeby zapalił cygaro. Zgodziłam się.

- Jestem impulsywna i dość zasadnicza, ale bynajmniej nie poprawna politycznie.

- Grzeczna dziewczynka. - Wyciągnął z tylnej kieszeni spodni porysowany srebrny pojemnik i wyjął z niego małe cygaro z drogą nalepką. Wdychałam miły aromat i patrzyłam na smużkę dymu, wijącą się z jego ust. Przedstawiał sobą tak klasyczny wizerunek prawdziwego mężczyzny, że aż śmieszny, ale z pewnością bardzo atrakcyjny.

- Czy pan poluje albo wędkuje? - spytałam.

Spojrzał na mnie z ukosa.

- Trochę wędкую. Nie mam broni.

- Pacyfista?

- Nie. Po prostu widziałem w życiu dość zabijania.

Ponury podtekst tego prostego stwierdzenia zaparł mi dech. Spojrzałam na niego poprzez delikatną mgiełkę wiszącej w powietrzu słonej wilgoci.

- Rozumiem - powiedziałam.

Po chwili milczenia Solo odezwał się cicho:

- Niech pani przestanie rozpamiętywać okoliczności śmierci „Żaby” Marvina. Jemu to nie pomoże, a pani musi jakoś żyć. I pracować dla innych takich jak on. Oni pani potrzebują. Nie mówię nic takiego, czego by pani nie znalazła w Biblii czy gdziekolwiek indziej, gdzie ludzie poszukują uzasadnienia dla wiary. Po prostu tak jest.

- Niech mi pan powie, jak pan to robi. Jak pan może żyć w cieniu śmierci, nie bojąc się zła? Jak nie stracić tego, co dobre, w sobie samym?

- Trzeba mieć nadzieję. Trzeba próbować robić tak, żeby było dobrze.

Uśmiechnęłam się blado.

- Chodzi o podróż, a nie o miejsce przeznaczenia. Rozumiem.

- Chodzi o nadzieję - powtórzył. - I o miłość.

Spojrzałam mu w oczy. Ten człowiek kochał i był kochany. Co do tego nie miałam wątpliwości. Czy była to miłość adorujących go kobiet, najbliższej rodziny, przyjaciół czy wszystkich razem, nie wiem, w każdym razie doświadczył czegoś, czego mnie najwyraźniej brakowało. Pomyślałam o Swan, Matyldzie i Karen. Byłyśmy odłamkami tego, co mogłoby stanowić kochającą się rodzinę.

- Dość - zarządził Solo. Spojrzałam na niego. - Dość tych poważnych myśli. Trzeba przede wszystkim czuć, a nie myśleć. - Uniósł rękę z cygarem i nakreślił nad moją głową rytualne kółko z dymu. - Dym zabiera złe myśli. To jest stare wierzenie Czirokezów.

Teraz przynajmniej z grubsza wiedziałam, skąd mógł pochodzić. Skojarzenia z plemiennymi obyczajami i górski akcent wskazywały na to, że musiał się wychowywać gdzieś w rejonie Apalachów.

- Pan pochodzi z gór, prawda?

Skinął głową.

- Tak, góral z Południa.
- Mam nadzieję, że to zaklęcie z dymem okaże się skuteczne.
- Widzę, że pani jeszcze nie zrozumiała. Dała pani „Żabie” Marvinowi nadzieję. I miłość. Umierał szczęśliwy. Zrobiła pani dla niego to, do czego była pani powołana.

Resztkę niedopalonego cygara schował starannie w srebrnym pojemniku, wykonując czynności metodycznie, jak pastor. Spokój tego prostego rytuału zapadał we mnie głęboko; patrzyłam na niego z desperackim podziwem.

- Łatwo tak mówić.

Potrząsnął głową.

- Odpowiedzi są na ogół łatwiejsze, niż nam się wydaje. To pytania powodują największe rozterki.

Podciągnęłam kolana, podparłam brodę rękami i zapatrzyłam się w gwiazdy nad oceanem.

- Dziękuję - zdołałam w końcu wykrztusić.

Nagle, poza systemem nagłaśniającym baru, rozległy się tonyikliwej ballady Righteous Brothers. Solo spojrzął niepewnie na kilka splecionych par na niewielkim parkiecie.

- Wie pani, co mnie naprawdę peszy? Taniec.

Przez chwilę siedziałam w milczeniu, obserwując Sola i pary, które ledwie się poruszały w leniwym rytmie romantycznej muzyki. Nie rób tego. Nie prowokuj.

- Zostałam wychowana przez moją bardzo „południową” babkę. Posłała mnie na lekcje tańca towarzyskiego do Asheville w Karolinie Północnej, krainie nobliwego two stepa. Jestem wysokiej klasy specjalistką. - Wyciągnęłam do niego rękę. - Spróbujemy?

- Podepczę pani nogi.

- Zdejmę buty, jeśli pan też zdejmie. Bose stopy są niegroźne.

- A niech tam, jeśli pani zależy. - Z udaną rezygnacją podałam mi rękę i pomógł wstać.

Zrzuciliśmy buty i stanęliśmy naprzeciwko siebie. Serce waliło mi jak młotem. Trzymał moją dłoń niby ufnie, ale z pewną rezerwą. Położyłam mu lewą rękę na ramieniu.

- A teraz prawą ręką proszę mnie objąć w talii. - Powoli objął mnie tuż nad biodrem, delikatnie kładąc palce na białym materiale luźnej sukienki. Jego lewą dłoń, w której nadal trzymał moją prawą, przytknęłam mu do piersi, tworząc w ten sposób po-

między nami strefę bezpieczeństwa. - Nie musimy się tak do siebie lepić jak ci wszyscy.

- Odziera pani ten taniec z tego, co najprzyjemniejsze.
- Proszę mnie nie rozśmieszać.
- Już sam fakt, że tu jestem, sprawia mi przyjemność.

Powoli zaczęliśmy się poruszać w takt uwodzicielskiej rytmicznej ballady. Okazało się, że radził sobie zupełnie dobrze. Moja dłoń w jego dłoni trochę się rozluźniła. W odpowiedzi ścisnął ją ledwie wyczuwalnie. Wbiłam wzrok w kołnierzyk jego niebieskiej koszuli. W środku piosenki na skutek nierówności parkietu pomyliłam krok i nadepnęłam mu na nogę bosą stopą.

- Hej, panno, uważaj, nie depcz mi po odciskach - powiedział szorstko.

Nie mogłam powstrzymać śmiechu. Delikatnym ruchem przyciągnął mnie bliżej do siebie; poddałam się. Poczułam na twarzy jego oddech, a czysty męski zapach podziałał na moje zmysły. Zawierał w sobie ukojenie, a jednocześnie seks, niebezpieczeństwo i wiarę. Podniosłam na niego oczy, jakby był katedrą. W tym wzajemnym spojrzeniu zatraciliśmy się całkowicie, przytuleni do siebie i, mimo muzyki, prawie nieruchomi.

Kiedy zajechaliśmy pod dom, oświetlenie zewnętrzne włączyło się automatycznie, zalewając parking ostrym światłem. Weszłam tylnymi drzwiami i szybko ruszyłam na górę słabo oświetlonymi schodami. Na wąskim podejściu potknęłam się o niewielkie kartonowe pudełko. Solo usłyszał cichy odgłos, jaki wydało pudełko w zetknięciu z moją nogą, i jednym susem znalazł się przy mnie.

- Nie dotykaj tego - polecił i popchnął mnie za siebie. Zobaczyłam białą-złotą wytłaczaną firmową nalepkę Marmurów Hardigree. Moje nazwisko i adres na Florydzie były wypisane elegancką kursywą. W miejscu adresu zwrotnego, siedziby firmy, ta sama ręka napisała inicjały SHS. Swan Hardigree Samples.

- To od mojej babki, z Karoliny Północnej - powiedziałam znużonym głosem. - Nie sądzę, żeby mi przysłała bombę.

Solo wziął do ręki paczkę. Kiedy ją oglądał, widziałam, jak mu chodzi zuchwa.

- Twoja babka musi się o ciebie martwić. Mam nadzieję, że do niej zadzwoniłaś?

- Prawie nie utrzymujemy stosunków. Rzadko jeżdżę do domu.

- Ale jesteście sobie bliskie.

- Jesteśmy... nierozłączne, ale nie bliskie. - Wzdrygnęłam się. Swan jak gdyby wiedziała, że przeżywam chwile słabości, i postanowiła interweniować. - Moja babka nie przysyłałaby mi nic na ten adres, gdyby to nie było bardzo ważne. Muszę iść na górę i otworzyć paczkę.

Solo jeszcze przez chwilę przyglądał się badawczo przesyłce, po czym świadomie zrobił neutralną minę. Nalegał jednak, że- bym mu pozwoliła zanieść paczkę na górę. Jakby rzeczywiście w każdej chwili mogła wybuchnąć.

„Moja droga Darl. - Tak się zaczynał dołączony do przesyłki list, napisany na wytłaczanej papeterii Swan. - Domyślam się, że nie zamierzasz mnie prosić o współczucie ani o pomoc, ale zasięgnęłam informacji na twój temat i niepokoję się o ciebie. Skontaktowałam się z biurem Grupy Phoenix w Waszyngtonie i dowiedziałam się od Irene Branshaw, że zamierzasz sprowadzić do Burnt Stand prochy pana Marvinina, by je tam pochować. Pozwoliłam sobie więc wybrać stosowne miejsce na cmentarzu należącym do naszego kościoła, załączam też próbkę marmuru na urnę i tablicę nagrobną. Pochodzą z jednej z najpiękniejszych brył, jakie kiedykolwiek widziałam. Jeśli się zgodzisz, zaraz zlecę wyrzycie odpowiedniego napisu. Jak widzisz, jestem z siebie dumna i zależy mi na tobie”.

Trzeba było dwudziestu pięciu lat zamrożenia stosunków i egzekucji jeszcze jednego człowieka, żeby wydrzeć te słowa z serca mojej babki. Usiadłam na tapczanie, zdejmując pęcherzykowaty plastik z ciężkiego kawałka skały, jaką mi przysłała. Błyszcząca powierzchnia marmuru miała delikatny odcień herbacianej róży.

- Twoja babka przysłała ci kawałek marmuru. - Solo powiedział to dobitnie, jakby ironia zawarta w takim doborze prezentu znaczyła coś i dla niego. Oparł się o ścianę, w cieniu, koło otwartych rozsuwanych drzwi, i stał z rękami w kieszeniach spodni, zgarbiony i chmurny.

- Moja babka ma w tej chwili siedemdziesiąt siedem lat, ale najwyraźniej jest w dalszym ciągu niezłomna i nie porzuciła na-

dziei, że kiedyś wrócę do domu i przejmę rodzinne interesy. - Położyłam płasko dłoń na chłodnym marmurze i ten kontakt kamienia z moją skórą wywołał we mnie dziwne uczucie. Swan przysłała kawałek nas, żeby mi uświadomić, że i kamień pęka w najsłabszym miejscu. Stałam, ściskając marmur. - Idę spać. Dobranoc.

Przeszłam koło Sola, trzymając się twardo i mobilizując całą siłę woli, żeby minąć go z podniesioną głową, wyprostowana i z obojętną twarzą. Swan stworzyła mnie na obraz i podobieństwo swoje i wyposażyła w tę samą desperacką dumę. Nauczyłam się, tak jak ona, w każdej trudnej sytuacji przywdziewać zbroję. Nie potrzebowałam nikogo, nie wyłączając Sola. W ten sposób byłam bezpieczniejsza. Kiedy doszłam do drzwi sypialni, przemówił do mnie głosem tak szorstkim, że stanęłam jak wryta.

- Twoja babka najwyraźniej chce, byś uwierzyła, że jesteś z kamienia. Powinnaś wyprowadzić ją z błędu.

- Nie mogę - odparłam i zamknęłam drzwi.

Rozdział 13

Wyrzuć przez okno ten cholerny kawałek marmuru, zanim ja zatruje. I, do jasnej cholery, powiedz jej, kim jesteś. Nazajutrz rano Eli poszedł popływać i robił to ze szczególną pasją, czując, jak omotuje go pajęczyna komplikacji. Zaraz pójdzie do domu, ubierze się, zaparzy kawę i zanim Darl się obudzi, zaplanuje dosłownie każde słowo, które chciałby jej powiedzieć. Załatwi to bardzo szybko. Wiedział już teraz, że go nie znienawidziła, mimo morderstwa, jakie z przyczyny taty położyło się cieniem na jej rodzinie. Mówiła mu o nim różne rzeczy, o których pamiętanie nigdy by jej nie posądził. Dowiedział się wszystkiego, co chciał wiedzieć. Nic więcej się nie liczyło.

Eli głębiej zanurzył głowę w słonej morskiej wodzie, pokonując fale potężnymi ruchami ramion, które kreśliły w powietrzu wielkie łuki. Nie był w stanie nic zmienić w sprawie oskarżenia taty ani podejrzenia, że mógł na nie zasługiwać. Obojętne, jakiej pociechy potrzebowała Bell, nie uzyskają odpowiedzi na to pytanie, poszukując w Burnt Stand duchów przeszłości. Ale teraz przynajmniej wiedział, jak Darl zareagowałaby na pomysł takich poszukiwań. Wierzyła w sprawiedliwy osąd. Zgodzi się dać tacie i jego dobremu imieniu szansę.

Mnie też da szansę - zdecydował Eli.

Płynął w stronę brzegu. W chwili kiedy stawał na piaszczystej płyciźnie, uderzyła w niego fala z taką siłą, że się zachwiał, i jednocześnie poczuł bolesne uderzenie w lewe ramię poniżej łokcia. Wieloletnie doświadczenie zdobyte na Karaibach nie poszło na marne: Eli gwałtownie szarpnął ręką.

Został ukąszony przez niewielkiego rekina, który najprawdo-

podobniej płynął za ławicą ryb i omyłkowo złapał go za rękę. Z głębokiej rany w kształcie półksiężyca trysnęła krew. Eli rzucił się w stronę brzegu, trzymając rękę z daleka od ciała i brocząc krwią na biały piasek. Rana wyglądała poważnie, zrobiło mu się słabo.

Pech - pomyślał. - Fatalny moment.

Chwila prawdy, a zarazem jego szansa spłynęły z krwią.

- Uratowałeś mi życie, chłopcze - ryknął mu ktoś do ucha. Był to brygadzysta z firmy transportowej, krzepki, łysy, pluający sokiem tytoniowym robociarz o nazwisku Jernigan. Eli energicznie odepchnął go na bok, ale sam już nie zdążył uskoczyć i nadjeżdżający wózek widłowy odrzucił go na półtora metra. Eli gapił się na swój złamany palec prawej ręki. Na wystającą kość i tryskającą krew. Był styczniowy mróz i ciepła krew parowała w zetknięciu z chłodnym powietrzem. Poczuł mdłości. Miał dopiero czternaście lat i skłamał na temat swojego wieku, by dostać tę pracę. Teraz na pewno to odkryją i go wyrzucą. Mama zarabiała niewiele jako ekspedientka w sklepie spożywczym i Uczył się dosłownie każdy grosz.

Krew, krew taty. Klęska i wstyd. Widział to wszystko w swojej ręce. Nogi się pod nim ugięły. Jernigan złapał go za kołnierz przepoconej koszuli i dmuchnął mu w twarz cuchnącym oddechem, jakby go chciał odkurzyć.

- Tylko mi tu, do cholery, nie zemdlej, jesteś moim nowym ulubionym pracownikiem miesiąca. - I Jernigan, kawał chłopca ze środkowego Tennessee, zawlókł go do miejscowej pielęgniarki.

W dwa dni później, kiedy Eli przyszedł do pracy z palcem w łubkach i ręką spuchniętą jak bania, sympatia, jaką powziął do niego Jernigan, jakoś nie przeszła.

- Chodź no tutaj, ty chuda szczapo - powiedział pieszczotliwie i wepchnął Eliego do obskurnego magazynka koło głównej rampy. Chłopak patrzył na brudny drewniany stół, zasłany kartami, żetonami pokerowymi i dolarowymi banknotami, i na siedzących dokoła niego mężczyzn. - Ten młody dżentelmen - zarżał Jernigan - ma cholerny łeb do liczb. Szkoda, żeby całe życie był ciemnym ładowaczem. Nauczmy go czegoś mądrzejszego.

Wysunął krzesło i Eli dołączył do mężczyzn przy pokerowym stole.

- Masz coś przeciwko graniu z kolorowymi? - mruknął Jernigan, wskazując brudnym paluchem grubego czarnego kierowcę ciężarówki. Eli napotkał zimne spojrzenie ciemnych oczu mężczyzny.

- Nie, proszę pana, nie mam nic przeciwko temu - odpowiedział czarnemu mężczyźnie, nie Jerniganowi. Kierowca skinął głową.

- To się napij, biały chłopaku. - Posunął w jego stronę butelkę dzinu.

Eli łyknął dzinu i mało nie zwymiotował, ale opanował się i pokazał obojętną twarz. Gapił się na karty, które inny mężczyzna zebrał, potem potasował i jeszcze raz potasował, a na koniec uporządkował brudnymi paluchami i rzucił Eliemu.

- Najpierw naucz się tasować - polecił.

Eh niezdarnie obracał w rękach talię, w czym bardzo przeszkadzał mu chory palec. Karty wypadały ze zranionej pulsującej dłoni, a on rumienił się, speszony, i jednocześnie pełen dziwnej pewności siebie. Pięćdziesiąt dwie karty, podzielone na precyzyjne i logiczne, łatwe do zapamiętania ciągi. Spojrzał na karty i dostrzegł, że tasując je nieudolnie, musiał sobie zdrapać świeży strupek, bo na spierzchniętej skórze chorej ręki pojawiło się kilka kropel krwi. Zakręciło mu się w głowie, mało nie zemdleł. Ale trzymał się dzielnie kart, przyszłości i liczenia, które działało uspokajająco. Tego mu już tata nie zepsuje.

Czuł liczby, miał je we krwi.

Licz karty. Licz je w myśli - powtarzał sobie Eli, żeby nie zemdleć. Stał nad białym kuchennym zlewem, przyciskając do ramienia kostki lodu, zawinięte w papierowy ręcznik. Starał się nie patrzeć, jak jego krew spływa z wodą. Usłyszał, że otwierają się drzwi gościnniej sypialni. Kręciło mu się w głowie. Złany zimnym potem, oparł się ciężko o zlew. Cały brzeg koszuli w paski, którą zdołał założyć na mokre kąpielówki, był spryskany krwią. Zaparł się udami o szafkę pod zlewozmywakiem. Był na siebie wściekły, że tak przesadnie reaguje na zapach i widok krwi, na bolesne wspomnienia z przeszłości, ale nie mógł nic na to poradzić. Za każdym razem wi-

dział umierającego tatę. Starał się skupić uwagę na krokach Darl przechodzącej właśnie przez salon. Wydały mu się jakieś dziwnie ciężkie, ale jego zmysły nie działały całkiem normalnie.

Kiedy weszła do kuchni, schował zranioną rękę pod krawędź zlewozmywaka. Wyglądała bardzo oficjalnie i jednocześnie elegancko w dobrze skrojonych beżowych spodniach i zakiecie pod kolor. W dekolcie, na tle białej koszulki, widać było wisiołek Hardigreech. Wspaniałe, obfite czarne włosy zwinęła w węzeł. Oczy schowała za okularami przeciwsłonecznymi. Była w mundurze, w swojej zbroi.

A w rękach miała walizki. Eli uchwycił się kurczowo brzegu zlewu. O Boże, fatalnie to wszystko rozegrał. Darl wyjeżdżała.

Zmarszczyła brwi i zatrzymała się.

- Czy... jesteś chory? Masz kolor twarzy... nie, twoja twarz w ogóle nie ma koloru.

- Czy mogłabyś wyjąć apteczkę pierwszej pomocy z szafki nad kuchenką mikrofalową? - Jej wzrok powędrował w dół i zatrzymał się na białych płytkach podłogi. Zamarła. Krwawy ślad prowadził aż do rozsuwanych drzwi, wychodzących na pomost.

- Co do...? - Okrążyła ladę śniadaniową i wtedy zobaczyła jego ramię; stanęła jak wryta.

- Nic mi nie jest - zapewnił ją. - Po prostu ukąsił mnie mały rekin, kiedy...

Rzuciła ciemne okulary, porwała z wieszaka czystą ściereczkę, skrzępowała mu mocno ramię, a następnie z wieszaka pod zlewozmywakiem złapała drugą ściereczkę. Kiedy owiażywała mu ranę, poplamiła sobie krwią ręce i brzegi rękawów żakietu. Ale ten widok najwyraźniej nie robił na niej wrażenia. Eli zachwiał się lekko, więc go podtrzymała, obejmując w talii. Zagryzł zęby.

- Nie tylko nie umiem tańczyć, ale jeszcze prawie mdleję na widok własnej krwi.

Spojrzała na niego i po raz pierwszy w chłodnym krajobrazie jej twarzy dostrzegł autentyczną żarliwą czułość.

- Dwie lewe nogi i słaby żołądek - powiedziała. - I jeszcze przez ciebie spóźnię się do Tallahassee na samolot.

Ocenił swoje szanse i zaryzykował:

- To dobrze.

*

- Pani jest żoną? Dziewczyną? - zapytała pielęgniarka w niewielkim szpitalu, w którym się znaleźli.

- Jestem jego adwokatką - odparła Darl bez odrobiny humoru.

Eliemu już się na tyle rozjaśniło w głowie, że był w stanie to docenić. Zdołał wypełnić formularz na izbie przyjęć tak, że Darl nie zauważyła jego nazwiska. Był szczęśliwy, gdy postanowiła towarzyszyć mu podczas zabiegu. Kiedy lekarz zakładał mu kilkadziesiąt szwów, siedziała koło niego w milczeniu na metalowym stołku, drapieźnym wzrokiem wpatrzone w koronkową chirurgiczną robotę. Gadatliwy młody doktor powiedział im, że jest synem poławiacza krewetek i że poszedł na studia medyczne, bo wolał to niż spędzić życie na reperowaniu sieci nad zatoką Apalachee. Opowiadając, spoglądał ukradkiem na Darl - był wszak mężczyzną - ale ona nie spuszczała z oka ramienia Eliego. Nagle odezwała się do niego głuchym głosem:

- Mogłeś się wykrwawić na śmierć.

- Nie byłoby tak źle - wtrącił się młody lekarz.

Skarciła go wzrokiem ostrym jak laser.

- Wiem, co mówię. Nie musi mnie pan pocieszać.

Doktor popatrzył na nią w osłupieniu i zarumienił się. Eli dostrzegł nagle, że jej twarz jest ściągnięta i popielatoszara, a czoło pokryte perlстым potem. Wolną ręką złapał ją za rozszalały puls.

- Pan doktor ma rację. - Odwrócił głowę i przyjrzał się jej dokładnie.

- Wyglądasz, jakby ci wampir wyssał całą krew. Najpierw ja o mało nie zemdlałem, a teraz ty.

- Powinieneś być mnie zawołać, jak tylko przyszedłeś do domu.

- Może i jestem ofiarą losu, ale przynajmniej próbuję nie mdleć przy kobietach. A poza tym naprawdę nie jest tak źle.

- Owszem, jest - powiedziała stanowczo. Odchyliła się lekko do tyłu i zachwiała. Na jej policzki wystąpiły czerwone plamy. Eliego ogarnęło wzruszenie. Nie lepiej znosi widok krwi niż ja - pomyślał. Kilka osób z sąsiednich boksów zerknęło w ich stronę. Młody lekarz spojrział na Darl i zarumienił się jeszcze bardziej. Tymczasem podeszła do nich zwalista pielęgniarka w różowym uniformie.

- Czy są jakieś problemy? - spytała.

Darl wstała.

- Owszem, są problemy - powiedziała. - I proszę nie stać na-
de mną jak kapral i nie mówić do mnie takim tonem. - Wskaza-
ła głową w stronę Eliego. - Ten człowiek musiał czekać ze dwa-
dzieścia minut na szycie rany. Nie wiadomo, ile jeszcze krwi
przez to stracił. Powtarzam: proszę tu nie stać w tym różowym
marmurowym uniformie i nie mówić do mnie tak, jakbym to ja
stwarzała problemy.

Pielęgniarka z trudem zachowała spokój. Jej wzrok był mor-
deczy.

- Marmurowym? O czym pani mówi?

Darl zająknęła się lekko przy ostatnich słowach, zdając sobie
zapewne sprawę, jak niewiele jest w nich sensu. Eli zerwał się
z leżanki ku przerażeniu lekarza, który rzucił się za nim, trzyma-
jąc w rękę igłę z długą chirurgiczną nicią przyczepioną do skóry
niesfornego pacjenta. Eli zdrową ręką objął Darl za ramiona.

- Ona panią bardzo przeprasza - zwrócił się do pielęgniarki. -
Ale teraz proszę zostawić ją w spokoju.

Pielęgniarka oddaliła się pełnym godności krokiem. Eli usiadł
i pociągnął Darl z powrotem na stołek. Drżąc na całym ciele,
przysłoniła dłonią oczy.

- Przepraszam - wyszeptała. Przygarnął ją do siebie tak moc-
no, że w geście samoobrony głęboko zaczerpnęła tchu, zaraz jed-
nak poddała się i wtuliła twarz w jego ramię. Młody lekarz gapił
się na nich z taką miną, jakby chciał powiedzieć: miejmy nadzie-
ję, że ta kobieta jest równie czuła w łóżku.

- No, kończmy z tym - rzekł Eli takim tonem, że lekarz zwa-
wo zabrał się do szycia.

Rozumiem - miał ochotę jej powiedzieć. - Wiem, co zostało
w twojej pamięci.

Zdenerwowana upokorzeniem, jakie przeżyłam, patrzyłam na
małe łodzie rybackie i statki spacerowe w nędznej przystani nad
zatoką Apalachee. Stare miasteczko rybackie było obdrapane
i malownicze, historyczne i zacofane. Nie miało wszechobecnych
miniaturowych pól golfowych, parków wodno-hippicznych, re-
stauracyjek z owocami morza, wielkich kondominiów i butików
z pamiątkami, które zajmują większą część wybrzeża Florydy. Eli

trzymał w rękach zimne piwo, wpatrzony we mnie jak jastrząb. Siedzieliśmy obok siebie przy porysowanym stoliku na zniszczonym osłoniętym pomoście lokalnej restauracji Dzika Ostryga. Dokoła nas turyści i rybacy pochłaniali ogromne porcje smażonych owoców morza albo siorbali surowe ostrygi skąpane w koktajlowym sosie. Ludzie rzucali w naszą stronę ciekawskie spojrzenia, byliśmy bowiem dziwną parą. Ja w beżowym jedwabnym poplamionym krwią kostiumie; on w zakrwawionej koszuli, kąpielówkach i mokasynach.

- Nie wiem, co mi się stało tam, w szpitalu - powiedziałam, w dalszym ciągu patrząc przed siebie i unikając jego wzroku. - Zrobiłam z siebie kompletną idiotkę. Ostatnio często mi się to zdarza. Jeszcze raz bardzo cię przepraszam.

- Hej.

Zabrzmiało to jak łagodna komenda. Zawahałam się, po czym niechętnie spojrzałam mu w oczy.

- Chciałem powiedzieć, że nie masz się czego wstydzić.

Skinieniem głowy wskazałam szeroki biały bandaż na jego lewym ramieniu.

- Jak się czujesz?

Jednym haustem skończył piwo.

- Świetnie. Środek przeciwbólowy zaczął działać.

- To dobrze. - Patrzyłam na małe łódzie rybackie na przystani. - To wynajmijmy łódź i popływajmy po zatoce. Marzy mi się pęd i wiatr w twarz. Ja stawiam.

- Chcesz ukarać za mnie rekiny...

- Jak przystało na dobrą prawniczkę - powiedziałam nie bez autoironii. Wstałam zamaszycie. - Chcę iść tam, gdzie będę mogła swobodnie oddychać.

- W porządku. - Eli rzucił na stół pieniądze. - Pójdę do biura przystani i dowiem się, kto może nas zabrać. Ale ja płacę. I bardzo cię proszę, nie kłóć się ze mną.

Patrzyłam na niego w milczeniu. Miał na twarzy wyraz uporczywości, który zaczynałam poznawać.

- To zupełnie nie w moim stylu.

- Nie szkodzi.

- Pójdę się przebrać.

- Dokąd? W co?

Wskazałam na bar w rogu restauracji, gdzie barman sprzeda-

wal niebieskie koszulki i krótkie szorty z logo restauracji. „Wyjdź ze swojej skorupy w Dzikiej Ostrydze” - głosił pomarańczowy neon.

- Widzę, że będzie to wielki skok w krótką modę - powiedział tak, jakby chciał mnie widzieć w cienkiej, miękkiej bawełnie. - Ile czasu ci to zajmie?

Posłałam mu cyniczny uśmiezek.

- Niewiele.

Zatoka ciągnęła się wszczeg kilometry, była płytka i gładka jak lustro. Jej horyzont opasywały nowoczesne mosty i autostrady, wyglądające w słońcu jak białe kamienne wyspy. Małe łódki poławiaczy krewetek i ostryg przecinały wody zatoki z lekkością mew. Ale w pobliżu wybrzeża głównego ładu, gdzie Eli prowadził motorówkę na niskim biegu, zatoka należała tylko do nich. Darl siedziała na dziobie, bosa stopy podwinęła pod siebie, a ręce przewiesiła przez reling. Odwrócona profilem do Eliego, chłoneła krajobraz, w którym królowały lasy sosnowe, bagna i łachy piaszczyste. Rozpuściła włosy, a wiatr miotał nimi wokół ramion, przylepiając do ciała cienką niebieską koszulkę i białe spodenki. Nogawki szortów, podciągnięte do góry, ukazywały długie smukłe nogi. Całości dopełniały wąska talia, zmysłowa linia bioder i zarys jędrnych, zgrabnych piersi. Eli przypomniał sobie, jak Darl mówiła, że jest zapalonym piechurkiem, że czasami, w okolicach swojego waszyngtońskiego mieszkania, robi po dziesięć kilometrów dziennie. Nie była jednak specjalnie wysportowana, jak sama powiedziała, po prostu lubiła ruch.

Teraz, pomna jego przygody, siedziała nieruchomo. Obserwowała scenerię, a on obserwował ją.

Ciemne wody zatoki rytmicznie oblizywały kadłub łodzi. Chłodne, wilgotne powietrze owiało im twarze. Darl odchyliła głowę do tyłu, zamknęła oczy i przez chwilę siedziała w tej pozycji, oddychając głęboko.

- Zatoka pachnie jak świeży arbuz - powiedziała i spojrzała na niego. Skinał głową, oczarowany jej widokiem. Błękitne niebo, błękitne oczy, dojrzałe błękitne ciało. Wskazała na dziób.

- Chcesz może usiąść teraz tutaj, a ja przez chwilę poprowadzę łódź?

- Posterujesz łodzią - poprawił ją delikatnie - nie poprowadzisz.

- Wychowałam się w górach, z dala od wody. A ty, jak widać, znasz się na łodziach.

- Miałem kilka.

- Na jeziorach?

- Na morzu.

Wysłuchiwała tej nowej wiadomości z przechyloną głową i namyślnie w oczach, jakby próbowała skorygować jego miejsce w swoich rejestrach.

- Ile zapłaciłeś za wynajęcie łodzi bez właściciela? Bez kogoś, kto by ją prowadził... to znaczy nią sterował?

- Wystarczająco dużo, żeby zaczął tańczyć, kiedy policzył pieniądze.

- Dziękuję. Dziękuję ci, że to załatwiłeś.

- Drobiazg. Lubię piękne widoki. - Patrzył na nią, nawet nie próbując ukryć, co ma na myśli. Nie odwróciła głowy. Kiedy w końcu przeniosła wzrok z powrotem na wodę, w tym geście było coś z poczucia winy. Kiedy tak stała, patrząc przed siebie, sięgnęła do kieszeni szortów. Eli zmarszczył brwi na widok dziwnego talizmanu, jaki z niej wyjęła. Przesunęła po nim palcami.

Woda nagle zamigotała, ożyła. Darl spojrzeła na niego pytająco. Eli szybko zatrzymał łódź na biegu jałowym i podszedł do niej. Wskazała na wielką ławicę małych rybek, które płynęły w idealnej harmonii, błyskając srebrem i bielą.

- Rybki na przynętę - wyjaśnił Eh. - Tutaj nazywają je poggies.

Darl trzymała tajemniczy przedmiot blisko przy sobie, na ryby wskazywała drugą ręką.

- Uszanowanie. Jak się macie, poggies. Przynoszę wam pozdrowienia z żywiołu powietrza.

Uszanowanie. Eli patrzył na nią ze ściśniętym sercem. To hasło z dzieciństwa ugodziło go jak ostry kolec, budząc nostalgię i pragnienie.

- Uszanowanie, odpowiadają ci - odparł - uszanowanie, Darl.

Wyprostowała się powoli. Eli podszedł do niej tak blisko, że widział przyspieszone bicie serca dziewczyny tam, gdzie koszulka przylegała do jej lewej piersi. Jemu serce też waliło jak szalone. Spojrzał na wisiołek Hardigreech.

- Jeden talizman nosisz na szyi, a drugi w kieszeni. - Wskazał na jej zaciśniętą dłoń. - Możesz mi coś o nich powiedzieć?

Przez chwilę bał się, że potrząśnie głową. W oczach miała niepewność. Ale wolno uniosła zaciśniętą rękę do naszyjnika.

- To jest za rodzinę. - Zrobiła pauzę. - Przypomina mi, że jestem zdolna do... do wszystkiego. - Ostatnie słowo prawie wypłynęło, jakby ją piekło w język. Powoli wyciągnęła rękę i otworzyła pięść. - A to jest dla inspiracji. - Znow zrobiła pauzę. Jej gardło poruszało się spazmatycznie. - Dla miłości i nadziei, o których wtedy mówiłeś - dodała łagodnie.

Eli spojrział na jej dłoń. Leżał na niej gładki kawałek marmuru, który zrobił dwadzieścia pięć lat temu. Znak nieskończoności prawie się zatarał. Nie mógł mówić. Wpatrywała się w jego twarz zatroskanym wzrokiem.

- Niech pan mnie nie próbuje zrozumieć, panie Solo.

- Za późno. - Eli wolno uniośł rękę, a potem wsunął palce w jej włosy tam, gdzie spływały kaskadą za uchem. Nie odsunęła się. Jej wzrok błędził od jego oczu do ust i z powrotem. - Uszanowanie - powtórzył.

- Uszanowanie - odparła cicho.

Eli nachylił się i dotknął wargami jej ust. Był to delikatny, słodki pocałunek. Westchnął pod wpływem rozkosznego doznania, ona odpowiedziała westchnieniem. Objął ją i pocałował, tym razem mocniej. Uchyliła usta. Czubkiem języka dotknął jej języka - odwzajemniła pieszczotę, ale wzdrygnęła się.

- Daj spokój - wyszeptwała.

Drżący, cofnął się.

- Nic ci nie jest?

Potrząsnęła głową, nie spuszczać z niego wzroku. W przystępie nagłej melancholii tak bardzo chciała narzucić sobie hamulce, że aż w niej wszystko wibrowało. Eh wrócił do kokpitu i włączył bieg. Obserwowała go przez cały czas, z troską w oczach i z ręką zaciśniętą na talizmanie, który dostała od niego, kiedy byli dziećmi. Jemu serce waliło jak młotem. Modlił się w duchu:

Daj jej poznać, że to jestem ja.

Całowałam się z człowiekiem, którego prawie nie znałam, wyposażając go w duszę Eliego. Od tej chwili stałam się własnością

Sola. Chciał ode mnie tylko mnie, a to akurat mogłam mu dać. Miałam na rękach jego krew, a jego uczucie było jedynym pretekstem do uzyskania odkupienia, na które sobie i tak uczciwie zasłużyłam.

Wieczorem wróciliśmy do domu, wśród piaszczystych wydm rozpaliliśmy niewielkie ognisko i siedzieliśmy na kocu, podziwiając zachód słońca. Popijaliśmy na zmianę z jednej butelki pinot grigio i pojadaliśmy gotowane krewetki na zimno z sokiem z cytryny i sosem koktajlowym. Wokół nas uwijały się jasne paskowe kraby. Solo rzucał im drobiny jedzenia i robił zakłady, który będzie na tyle odważny, żeby porwać poczęstunek jako pierwszy.

- Stawiam dolara na tego tam przy morskiej trawie - powiedział. - On najszybciej pokona tę odległość.

- Nie ma mowy. Ten koń przepadnie. Nigdy nie weźmie przeszkody, jaką jest ta kupka skorupki. Stawiam dolara na tego wielkiego, który siedzi przyczajony koło pióra mewy.

- Ale skąd. Ten będzie za powolny. To krab pociągowy, a nie wyścigowy.

Uśmiechnęłam się, odwzajemnił mój uśmiech. Kiedy kończyliśmy wino i krewetki, zapadły już ciemności, a ja byłam winna Solowi siedemnaście dolarów.

- Wystawię ci weksel - powiedziałam i napisałam na piasku za nami moje imię.

Przyjrzał się najpierw podpisowi, a potem mnie.

- Muszę się pospieszyć, zanim przyjdzie fala.

Czekaliśmy na jakikolwiek pretekst - atmosfera między nami była naładowana, mówiliśmy ściszymi, nabrzmiałymi czułością głosami, otuleni przez noc, która tymczasem zdążyła już zapaść. W ciemności, urozmaiconej jedynie migotaniem płomieni, wzięłam go za rękę. E 1 i. Widziałam tylko to, co chciałam widzieć. Pocałowałam go. Tak jak wtedy, na łódce, ten pierwszy pocałunek przypominał grzeczne, miłe pozdrowienie. Ale już następny był zupełnie inny. Padliśmy na koc, objęci, wydając ciche odgłosy, które mieszały się z szumem fal.

Był wszystkim, kim chciałam, żeby był, a nawet kimś więcej. Kiedy znaleźliśmy się w mojej sypialni i staliśmy nadzy naprzeciwko siebie wśród nocnych odgłosów morza, wdzierających się przez otwarte drzwi balkonu, Solo ujął mnie poniżej bioder

i podniósł. Z ust wydarł mi się cichy jęk. Objęłam go nogami, a on przycisnął mnie plecami do chłodnej ściany. Poczułam na brzuchu jego twardą erekcję. Jeszcze nigdy nie byłam tak wtopiona w drugą ludzką istotę. Ani tak otwarta na doznania zmysłowe. Dosłownie rzuciliśmy się na swoje usta, wtuleni w siebie, nieprzytomni.

- Darl - szeptał mi do ucha, a ja nie mogłam mówić mu po imieniu, bo bałam się, że nazwę go Elim i czar pryśnie. Całowałam go bez opamiętania, cały czas czując w gardle to niewypowiedziane „Eli”.

- Połóż mnie teraz - powiedziałam. - Ja naprawdę nie jestem z kamienia.

- I nigdy nie byłeś - odparł i chowając twarz w moich włosach, zaniósł mnie do łóżka.

Przez okno sączyło się delikatne poranne słońce. Obudziłam się na boku, twarzą do niego. Leżał w odległości wyciągniętego ramienia ode mnie. Chłonełam jego oddech, ciepły, pachnący, przyjemny. Esencja tego dobrego, silnego mężczyzny. W końcu zasnęliśmy, tuż przed świtem, wreszcie chociaż na trochę rozdzieleni. Moja prawa ręka, wtulona w jego dłoń, leżała na poduszce między naszymi głowami. Grube palce Sola otaczały opiekuńczo moją rękę, a ja trzymałam stopę wetkniętą między jego nogi. Musieliśmy się dotykać cały czas, nawet we śnie. Powoli wysunęłam rękę z jego uścisku i zaczęłam oglądać stwardniałą skórę i odciski wewnątrz jego dłoni. Co robił ten czarodziej techniki, że miał ręce robociarza?

Wpatrywałam się w jego prostą, mocną twarz, z szerokimi wachlarzami ciemnych rzęs na szczupłych policzkach, z cieniem zarostu na brodzie, z chłopięcym kosmykiem gęstych, sztywnych włosów nad wysokim czołem. W nocy widziałam, jak na jego nieświadomej niczego twarzy w księżycowym blasku malowały się ból, głód i bezgraniczne oddanie. Dał mi to, co ja dałam jemu - tragiczne tajemnice. Od samego patrzenia na niego mało nie jęknęłam. Byłam mokra od potu, rozczulona i rozmądana, a noc, jak rozgrzany, słodki воск, przykrywała we mnie stare lęki, dawny wstyd. Zawsze powstrzymywałam się przed pokochaniem jakiegokolwiek mężczyzny. Prawdziwa miłość to pełne za-

ufanie, a ja bym nikomu nie zawierzyła sekretów mojego dzieciństwa.

Nawet jemu.

Powoli, etapami, wstrzymując oddech, żeby go nie obudzić, wysunęłam się z pościeli, a potem stałam w nogach łóżka, patrząc jak zahipnotyzowana na jego postać rysującą się pod miękkim szarym kocem. Zauważyłam rozsypane opakowania prezerwatywy, które czekały jak niewykorzystana okazja. A więc przygotował się na mnie; też nie wiedziałam, co o tym myśleć. Stałam na miękkim dywanie pomiędzy naszymi porzucanymi ubraniami. Ruszaj się. Idź. Nie próbuj zrozumieć jego czy siebie. Pobiełam do łazienki, gdzie stanęłam przed dużym lustrem w ramie z białych muszelek, patrząc na swoją nagość. Co za lekomyślna syrena ze mnie! Zobaczyłam niebieskie oczy, a w nich silne emocje, ściągniętą twarz, zmierzwione opadające na ramiona czarne włosy i ciało zaczerwienione i lśniące od potu jego i mojego. Trzy dni temu widziałam, jak umiera „Żaba” Marvin. Byłam załamana, odrętwiała, bliska samobójstwa. Nigdy bym nie uwierzyła, że stanie się to wszystko, co się od tamtej pory stało.

Teraz wiedziałam, kim jestem. Byłam rozbitkiem, który przeżył za wszelką cenę. Miałam siłę Hardigreech, ale i naszą rodzinną słabość do mężczyzn. Odwróciłam się i poszłam pod prysznic. Odkręciłam kran i czekałam, aż lodowata woda tryśnie na moją uniesioną do góry twarz i spłucze ze mnie słodki smak Sola.

Dygotałam, wycierając się i zawiązując sobie w pasie cienką białą koszulę. Zamierzałam po wyjściu z łazienki ubrać się, spakować i pożegnać. Nie będę go przecież wtajemniczać w szczególne motywacje mojej brudnej duszy. Kiedy weszłam do sypialni, z rękami przyciśniętymi do boków, zatrzymałam się raptownie. Stał tyłem do mnie, na balkonie, i patrzył na ocean. Miał na sobie wymięte płócienne spodnie khaki i palił cygaro. Zaciągnęłam się leśnym aromatem, wymieszanym ze słonym powietrzem. Poruszył potężnymi muskularnymi ramionami. Na szerokim bandażu dostrzegłam krew. Prawdopodobnie byliśmy w nocy zbyt nieuważni. Jedną ręką zdusił cygaro, drugą - ruchem człowieka sfrustrowanego - przecesał zmierzwioną czuprynę.

Zamarłam; przyszło mi nagle do głowy, że może on ma mi do

powiedzenia coś jeszcze gorszego niż ja jemu. Nie chciałam go w ten sposób stracić, nie chciałam zepsuć tego, co się między nami wydarzyło. Odwrócił się, jakby wyczuł moją obecność. Wyrzucił moje posępne spojrzenie, a potem przesunął wzrokiem wzdłuż ciała i na koniec wrócił do twarzy. Wyrzucił niedopałek cygara przez balkon i wszedł do pokoju.

- Musimy porozmawiać - powiedział.

- To prawda. Może to już trochę późno na staroświeckość, ale chciałabym poznać twoje prawdziwe imię i nazwisko. Chciałabym się dowiedzieć, gdzie mieszkasz, jaką masz rodzinę i z czego tak naprawdę żyjesz. A do tego jeszcze jestem ciekawa, co zamierzałeś mi powiedzieć w ciągu tych trzech dni, bo widzę w twoich oczach jakiś wielki żal.

- Tylko nie myśl, że coś się z mojej strony zmieniło. Cokolwiek robiłem, robiłem to, bo tego chciałem. I zawsze będę cię pragnął. Nie potrafię ci nawet powiedzieć jak bardzo.

Wyciągnęłam do niego rękę.

- A zatem to, co masz mi do powiedzenia, może jeszcze jakiś czas poczekać.

Na jego twarzy pojawił się nerwowy uśmiech. Była w nim nagana i poddanie. Przepadliśmy. Przyciągnął mnie do siebie, a potem wziął na rękę. Całowaliśmy się jak para kochanków po długiej rozłące. Wbiłam mu palce w plecy, lgnąc do niego z całej siły. W jednej chwili znaleźliśmy się z powrotem na łóżku. Zdarł ze mnie koszulę, a potem jego usta sięgnęły moich piersi, brzucha i niżej... Przytrzymał rękami moją twarz i całował w usta, a ja płakałam razem z nim.

Kochałam go, kimkolwiek był. Po prostu go kochałam.

Kiedy potem leżeliśmy spleceni w uścisku, zadzwonił telefon. Byłam odwrócona do niego plecami, a on, całkowicie nagi, wtulony we mnie mocno, trzymał mnie w ramionach. Lekki wiatr dopiero zaczynał osuszać nasze spocone ciała, a ja jeszcze nie mogłam normalnie oddychać. Przygnieciona ciężarem swoich problemów, mimo wszystko nie mogłam się powstrzymać przed głaskaniem go po rękach.

- Niech dzwoni - powiedział, podczas gdy ostry sygnał telefonu nie milkł w salonie. Wzdrygnęłam się.

Przez otwarte drzwi sypialni słyszeliśmy, jak włącza się auto matyczna sekretarka. Elegancki głos starszej pani z Południa należał do jednej z przyjaciółek Swan z Asheville.

- Kochanie - powiedziała kobieta. - Sprawa jest poważna. - Podparłam się na łokciu; za mną podniósł się Solo. - Twoja babka i panna Matylda są w szpitalu.

Rozdział 14

W nocy Swan dostała ataku serca. Matylda, która odwiozła ją do szpitala, zasłała w poczekalni. Niewielki wylew - brzmiała diagnoza. W ferworze pakowania i wyjazdu z St. George uwagę Sola: „A jednak bardzo ci zależy na babce i jej przyjaciółce, to wi-dać”, skwitowałam zaledwie skinieniem głowy. Odsunął się wtedy ode mnie, stał się milczący i jakby czymś przytłoczony. Powie-dział tylko:

- Ja cię tam zawiozę.
- Dziękuję.

Proszę cię, babciu, nie umieraj.

To była moja pierwsza myśl, uczciwe spojrzenie sobie w oczy, które sprawiło, że cała w środku zamarłam. Od lat wyobrażałam sobie śmierć Swan, jeszcze wtedy, kiedy łudziłam się, że odnaj-dę kiedyś Eliego i wyznam mu prawdę. Kochałam Swan Hardi-gree Samples, moją babkę, moją nemezys. Było to beznadziejne uczucie, silne jak nienawiść, którą również do niej żywiłam, i tak złożone jak moje wobec niej rozgoryczenie. Nie umiałam sobie poradzić z tymi wszystkimi emocjami, tak samo jak w dzieciń-stwie.

Po południu mieliśmy już zatokę za sobą i posuwaliśmy się w głąb łądu. Solo prowadził swoją małą maszynę nad bogatymi równinami Georgii, pokrytymi uprawami bawełny i orzeszków ziemnych, ponad lesistymi wzgórzami i rozległymi przedmieścia-mi Atlanty, wznosząc się coraz wyżej, w miarę jak zaokrąglone zielononiebieskawe Appalachy pięły się w górę, wychodząc nam na spotkanie. Gdy wchodziliśmy w strefę powietrzną Karoliny Północnej, przerwałam ponure milczenie.

- Mniej więcej tam - powiedziałam. Gdy pod nami przesuwają się pagórkowate pustynne tereny i małe miasteczka mojej rodzinnej ziemi, patrzyłam na profil Sola. Miał usta zaciśnięte w surową linię, ręce na sterach. Na drogę założył miękki biały pulower, szare spodnie i sportowe buty; ja w oczywisty sposób powróciłam do oficjalnego granatowego kostiumu. Jacy inni byliśmy teraz! Solo - tak samo pełen rezerwy jak ja - przedstawiał sobą studium koncentracji. Przekrzykując ryk silników, spytałam: - Czy kiedykolwiek w życiu byłeś w tych górach?

Po chwili milczenia skinął głową.

- Tak. Jako dziecko.

- W moim rodzinnym mieście mamy teraz niewielki szpital, niedaleko lotniska. Jak wylądujemy, zadzwonię do zarządcy mojej babki, żeby przysłał po nas samochód. - Solo skinął głową, ale nie odezwał się słowem. - Jeśli zechcesz zatrzymać się u nas, w posiadłości babki, to będziesz mile widziany - podjęłam ostrożnie.

Spojrzał na mnie z pokerową twarzą, ale zauważyłam, jak ręce zaciskają się na sterach, a kłykcie bieleją.

- Znajdę sobie jakieś miejsce, nie przejmuj się mną.

- To nie tylko przez grzeczność. Chciałabym, żebyś był blisko. - Zawahałam się. - Wiem, że twoje zadanie zostało wykonane, ale...

- Uważasz, że jesteś dla mnie tylko zadaniem do wykonania?

Głos odmawiał mi posłuszeństwa, próbowałam udawać, że wyglądam przez okno, ale w końcu spojrzałam na niego.

- Po prostu chcę ci ułatwić sytuację na wypadek, gdybyś zamierzał wyjechać.

Na chwilę położył mi dłoń na rękę i pogłaskał kciukiem.

- To dla mnie sprawa na dłuższą metę. Jestem tu, bo mi na tobie zależy. Proszę cię, żebyś o tym nie zapomniała.

Po chwili przechylił maszynę, zataczając łuk nad szczytami gór i schodząc coraz niżej w miejscu, gdzie łyse granitowe czuby i porośnięte jodłami grzbiety obniżały się ku małej dolinie, na której widok ścisnęło mi się serce. Moim oczom ukazały się białoróżowe marmurowe domy wśród drzew i sklepy Burnt Stand, które pozostało majestatyczne i niezmienione.

- Dom - powiedziałam poważnie. Wsunęłam rękę do małej skórzanej torebki i namacałam płaski kamyczek z symbolem nie-

skończoności, który Eli odłupał od skały, od fundamentu naszego ówczesnego życia.

Nawet kamień zna swoje miejsce.

W dolinie zapanowały jesienne chłody i zaczęły się czerwienić - jak zwykle pierwsze - derenie. Solo kołował przez chwilę, by posadzić samolot w porcie lotniczym okręgu położonym wśród czerwono-zielonych lasów. Gdy tylko - w wirze rzeńskiego powietrza - maszyna zatrzymała się na dobre, z jednopokojowego biura wyszedł i ruszył w naszą stronę wysoki, szczupły czarny mężczyzna. Przed budynkiem czekał zakurzony SUV. Mężczyzna, około czterdziestki, był krótko ostrzyżony i miał cienką białą bliznę na prawym policzku. Ciemne sztruksowe spodnie, koszula w prążki, skórzane szelki i jedwabny krawat łagodziły nieco surowy wyraz jego oczu. Ciężkie robocze buty na grubej podszewie pokrywał pył marmurów. Potężne, żyłaste ręce zdradzały kamieniarza. Był to Leon Forrest.

- Leon. - Podeszłam do niego z wyciągniętymi rękami. - Mów, co się stało.

Ujął mocno moje dłonie w swoje łapy.

- Wiesz przecież, że twoja babka to osoba nie do zdarcia. Lekarze powiedzieli, że stan jest całkiem dobry. Nazwali to lekkim zawałem. I panna Matylda też jest w porządku. Troszkę tylko bełkocze, gdy mówi, i ma kłopoty ze wzrokiem.

Odczułam wielką ulgę. Zwróciłam się do Solo i dokonałam prezentacji.

- Pan Forrest, dyrektor zarządzający kamieniołomu. Leon, pan Solo jest moim przyjacielem i konsultantem do spraw bezpieczeństwa Grupy Phoenix. - Solo patrzył na Leona z jakimś dziwnym wyrazem oczu, powiedziałabym: ze zdziwieniem czy nawet ciepłem, gdyby nie to, że spotykali się po raz pierwszy. Leon ze swej strony, potrząsając ręką Solo, w skupieniu zmarszczył brwi.

- Człowieku, widzę w panu coś znajomego.

- Miło pana znów zobaczyć, to znaczy... poznać - rzekł Solo i urwał. Widziałam, jak mu chodzi szczęka. - Nawet w tych okolicznościach.

Kiedy zsiłszyśmy we trójkę do samochodu, spoglądałam ponuro na Leona.

- Czy moja babka mówiła coś, kiedy się dowiedziała, że przyjeżdżam?

Leon popatrzył na mnie jakby przepraszająco, westchnął i odparł:

- Powiedziała pannie Matyldzie, że pewnie się zdziwiłaś, iż ona w ogóle ma serce.

Nowy szpital okręgu, usytuowany na niewielkim wzgórzu na północ od miasta, miał fasadę z różowego marmuru, która odbijała teraz promienie popołudniowego słońca. Zostawiłam Sola i Leona w holu, ozdobionym wytwornymi portretami Swan i Matyldy jako członków rady nadzorczej, i poszłam do windy, żeby wjechać na czwarte piętro, gdzie mieścił się oddział kardiologiczny. Po drodze minęłam plan obiektu, w którym odnalazłam znajdujące się na pierwszym piętrze skrzydło, poświęcone pamięci mojej matki, Julii Samples Union. Kilka lat wcześniej przyjechałam do domu na krótko, żeby wziąć udział w uroczystościach związanych z nadaniem oddziałowi jej imienia, wygłosiłam krótką mowę ku czci mojej matki i spytałam Swan bez ogródek, dlaczego zależy jej na publicznym upamiętnieniu córki, którą odrzuciła.

- Nigdy nie odrzucałam mojej córki, tylko jej wybory - odparła Swan.

- Wyrosłam w przekonaniu, że moja matka się mnie wyrzekła.

- Ktokolwiek ci to powiedział, był okrutny i całkowicie się mylił.

- Ale pozwoliłaś mi w to wierzyć.

- Sama chciałam w to wierzyć. Byłoby to znacznie mniej bolesne niż przyznanie się przed sobą do tego, że ją wyszczułam z domu i przyczyniłam się do jej śmierci. - Tym aktem zdumiewającej i zarazem brutalnej szczerości zakończyła rozmowę i już nigdy więcej do niej nie wróciła. Wtedy jeszcze pracowałam w Atlancie jako obrońca z urzędu i całą czterogodzinną drogę powrotną do domu przepłakałam.

Teraz jechałam windą i mijając sterylny oddział szpitalny, poświęcony pamięci mojej matki, nerwowo wystukiwałam nogą rytm i bawiłam się paskiem torebki. Zanim wysiadłam, zdążyłam się już jakoś uspokoić. Idąc za strażką, skierowałam się na kar-

diologię. Pierwszą osobą, na którą się natknęłam jeszcze w korytarzu, była siedząca na wózku inwalidzkim Matylda. Na szpitalnej koszuli miała niebieski zwiewny szlafrok.

- O Boże - westchnęłam pod nosem i rzuciłam się do niej.

- Darl - wyszeptła swoim jedwabnym głosem, zniekształcając trochę moje imię.

- Co tu robisz zamiast leżeć w łóżku?

- Czekam na ciebie. I staram się być blisko niej.

Przyklęłam na jedno kolano i uściśnęłam ją mocno. Wydała mi się taka krucha. Była chuda, miała zupełnie siwe włosy i skórę jak delikatna złotobrazowa bibułka.

- Gdzie jest twój pokój? - zapytałam. - Zaraz cię tam zabiorę.

- Nie. Obiecałam jej, że cię przyprowadzę. Ona teraz drzemie. - Słowa przychodziły jej z trudem, powoli, w mące, ale robiła wrażenie zdeterminowanej. - Trzymają ją w jednej z tych koszmarnych klatek. Ona tego nie cierpi. Wiesz, jak sobie ceni prywatność. Chodź, pójdziemy do niej. Nie masz pojęcia, jak bardzo się o ciebie niepokoi.

W milczeniu wiozłam Matyldę na oddział intensywnej opieki medycznej. Poprowadziła mnie do miejsca oddzielonego zasłoną, machając drżącą ręką do pielęgniarek, które spoglądały ku nam z dyżurki. Wyprostowały się na mój widok, niczym na widok inspekcji, zwracając się do mnie ze szczególnym szacunkiem melodyjnymi głosami góralek, jakbym mogła zagrozić ich pracy czy domagać się jakiegoś specjalnego traktowania. Żołądek podjechał mi do gardła. Czyżbym występowała tu już w nowej roli?

Szłam wzdłuż rzędu izolatek, gdzie co chwila zza na pół zaciągniętych zasłon migały drzemiące wśród rurek i monitorów postacie pacjentów. Przez okna widać było nad otaczającymi nas górami karmazynowy zachód słońca i niską srebrzystą mgiełkę, która jak dym zaczęła osiadać na wzgórzach. Nasza ojczyzna, nasza ziemia była nieprawdopodobnie piękna i samotna.

- To tu - powiedziała Matylda. Zatrzymałyśmy się, a ja powoli odsunęłam zasłonę. Światła były pogaszone, więc widziałam ją tylko w mdłym blasku małej lampki, umieszczonej nad wezłowiek łóżka. Była podłączona do niezliczonych rurek i kroplówek. Spod orlego nosa wiała się cienka rurka doprowadzająca

tlen. Swan miała zamknięte oczy. Podwiozłam Matyldę blisko do łóżka, a sama przeszłam na drugą stronę i stałam, nie dotykając chorej, patrząc tylko na nią i zbierając siły. Jej twarz była popielatoszara, pobrużdżona, ale nadal imponująca, a piękne włosy teraz już całkowicie siwe. Nosiła je wyzywająco dłuższe, niż przystało osobie w jej wieku, także grube srebrzyste pukle opadały na ramiona. Czubkiem palca dotknęłam koronkowego kołnierzyka zawiązanej pod szyją białej jedwabnej koszuli.

- Oczywiście nie zgodziła się na szpitalną koszulę - szepnęła Matylda.

- Oczywiście.

Nachyliła się do ucha Swan.

- Swan, jesteśmy. Jest Darl. - Moja babka oddychała głęboko we śnie, nie reagując na jej słowa. Matylda pochyliła się niżej. - Siostró - szepnęła, jakby wydawała polecenie, po czym rzuciła niespokojne spojrzenie w stronę zasłony w obawie, że ktoś mógł ją usłyszeć - jak gdyby całe miasto już dawno o tym nie wiedziało. Zrobiło mi się przykro. Były ze Swan tak do siebie podobne - obie pilnie strzegły swoich dawnych obyczajów i sekretów, swojej nadszarpniętej reputacji.

Babka nagle otworzyła oczy. W jej naturze nie leżały półśrodki. Albo pozostawała w stanie hibernacji, albo pełnej świadomości. Niebieskie oczy były przytępione lekami, ale wzrok padł prosto na mnie. Zobaczyłam w nim jak gdyby błysk radości, a zaraz potem pełną samokontrolę. Odchrząknęła.

- Jeśli przyjechałaś po to, żeby zobaczyć, jak umieram, to muszę cię rozczarować.

Pochyliłam się nad nią.

- Przyjechałam, żeby się tobą zaopiekować podczas twojej rekonwalescencji - powiedziałam cichym szeptem. - Jeżeli sobie tego życzysz.

- Czym sobie zasłużyłam na taki nieoczekiwany przyływ troskliwości?

- Nie mam pojęcia.

- Czy to jedyny sposób na to, żebyś wróciła do domu na dobre?

- Ja nie wróciłam do domu na dobre. Przyjechałam zobaczyć się z moją chorą babką. A to jest różnica.

- A więc obowiązek, nie uczucie.

- Oczekujesz, że będę sentymentalna? Przecież ty takich rzeczy nie znosisz.

- Absolutnie. To co, zostajesz?

- Dopóki nie wyzdrowiejesz.

- Niewykluczone, że zostanę inwalidką do końca życia. Wtedy będziesz zmuszona udusić mnie moją własną poduszką.

- Wtedy się zastanowię.

Matylda jęknęła. Takie okrutne przepychanki słowne między nami stały się w ostatnich latach rutyną, ale nigdy nie pozwalałyśmy sobie na nie wobec osób trzecich. Spojrzałam na nią przepraszająco, a potem znów na Swan.

- Zatrzymam się w Marmurowym Dworze i przyjadę cię odwiedzić jutro wcześniej rano. - Zrobiłam pauzę. - Czy ktoś cię wczoraj zdenerwował? Podobno jakaś kobieta przyszła do ciebie do biura i po jej wizycie coś się stało z tobą niedobrego.

Jej oczy błysnęły.

- Leon mnie szpieguje?

- Daj spokój. Powiedział mi tylko, że przyszła jakaś młoda kobieta i że się z nią zamknęłaś, a po jej wyjściu wyglądałaś bardzo źle. Niepokoił się o ciebie. To należy do jego obowiązków. Kto to był?

- To moja sprawa, przynajmniej na razie. Porozmawiam z tobą o tym później, kiedy będę miała pokój dla siebie. A tymczasem powiedz Leonowi, że dopóki nie wyzdrowieję, firmą będziesz zarządzała ty. Jeśli już ktoś ma mnie szpiegować, to wolę, żeby to była moja własna wnuczka.

- Leon doskonale wywiązuje się ze swoich obowiązków. Nie widzę powodu, żeby mu w tym przeszkadzać.

- On jest człowiekiem wynajętym do pracy, nie rodziną. Nie jest jednym z nas.

Roześmiałam się, gdyby tylko jakikolwiek głos mógł się wydobyć przez moje zaciśnięte gardło. Według Swan bycie „jednym z nas” dotyczyło nie kategorii rasowych, tylko statusu Hardigreech. Nachyliłam się nad nią jeszcze niżej i wyszeptalam:

- Tym lepiej dla niego. Swoich potrafimy zabijać albo pozwalamy innym umierać z powodu naszych zbrodni. Dlatego nie żartuj sobie, że mogłabym cię udusić. To jest trochę za bliskie naszych rodzinnych tradycji. - Matylda, która słyszała każde słowo, jęknęła.

Swan patrzyła na mnie z rodzajem zawziętej dumy.

- Przyjdź jutro. Rzeczywiście musimy porozmawiać. Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia. Dopiero wtedy zobaczymy, jaka naprawdę jesteś twarda.

Spojrzałam na nią surowo.

- Tylko bez żadnych numerów, bardzo cię proszę. Nie jestem w nastroju do zabawy.

- To nie jest żadna zabawa, zapewniam cię. - Po tych słowach odwróciła się, ignorując moją obecność. - A teraz idź i bądź panią w Marmurowym Dworze. Idź i zabierz Matyldę. Muszę odpocząć. Mam zamiar wyzdrowieć w rekordowym czasie. - Popatrzyła surowo na Matyldę. - Ty też powinnaś odpocząć. Dopilnuję tego. Powiem im, żeby mnie jutro przenieśli do twojego pokoju.

Zostałyśmy odprawione. Matylda na pożegnanie dotknęła jej ręki, co Swan skwitowała kolejnym spojrzeniem. Matylda skinęła głową. Toczyły w ten sposób rozmowy bez słów, jak bliźnięta, mające wspólny język gestów. Szybko wywiozłam Matyldę z oddziału, poruszając się, jakbym chodziła po napiętej Unie. Z tyłu, w karku i w głowie, poczułam ostre ukłucia bólu. Pulsowały mi skronie. Gdy tylko przekroczyłyśmy drzwi oddziału intensywnej opieki, Matylda podniosła na mnie wzrok. Jej usta próbowały uformować słowa, w oczach załśniły łzy.

- Jak mogłaś mówić do niej tak okrutnie o... przeszłości?

- Przepraszam, ale te pojedynki słowne weszły nam w zwyczaj.

Zacisnęła szczupłą pięść i przytknęła ją sobie do piersi.

- Ale dlaczego? Dlaczego?

Drżąc na całym ciele, pochyliłam się nad nią i zapytałam szepcąc:

- Czy przypadkiem nie masz wyrzutów sumienia, czy możesz żyć z tymi wspomnieniami? Bo mnie one nie dają spokoju. A ostatnio stały się nie do zniesienia.

- To był wypadek.

- Wiesz, o co mi chodzi. Nie tylko o Klarę.

- Wszystko to były wypadki. Jak możesz po tylu latach mieć do Swan pretensję?

Załamalam się.

- Matyldo, ty zawsze się odwracałaś...

- A ty byś nie mogła... przynajmniej raz? Jesteś jej jedyną rodziną. Nie możesz jej tak traktować.

- Jedyną rodziną? Czasy się zmieniły. Reguły się zmieniły. Czy nie pora, by miasto się dowiedziało, że jesteś jej siostrą?

- Siostrą przyrodnią. Kolorową przyrodnią siostrą. - Matylda drżała tak silnie, aż się złąkłam, ale dumnie wzięła się w garść. - Nigdy nie zdradzę świata, jak doszło do tego, że się urodziłam jako kolorowa Hardigree. To by było upokarzające dla Karen i złałoby jej karierę.

- Zadzwońię do Nowego Jorku i powiem jej, że jest ci tu potrzebna.

Usta Matyldy ledwie się poruszyły.

- Nie chcę jej prosić, żeby przyjeżdżała.

- Ja przyjechałam do Swan; ona przyjedzie do ciebie. - Ucisnęłam skronie czubkami palców. - Czy nigdy nie powiemy po prostu prawdy i nie zaakceptujemy tego, co zrobiłyśmy i kim jesteśmy?

Matylda popatrzyła na mnie z powściągliwością starej lwicy.

- Nie. Dla prawdy łamię się serca. Ty zachowaj swoją prawdę, a ja zachowam swoją.

Burnt Stand. Krew i śmierć, i Darl. Czekać w szpitalnej recepcji, Eli czuł, jak walczą o jego duszę. Kilka kilometrów stąd tata umierał na ziemi, przed Kamiennym Dworkiem, szukając przebaczenia w oczach mamy, która go tuliła do piersi. Gdyby istniała w piekle jakaś szansa udowodnienia, że tata nie zabił Klary Hardigree, znaczyłoby to, że zabił ją ktoś inny. Prawdopodobnie ktoś, kto ją znał. Ktoś z Burnt Stand. I ta osoba mogła być w tej chwili w zasięgu ręki.

Leon zadał mu kilka pytań dotyczących jego osoby, ale Eli tak namotał, że właściwie nic mu nie powiedział. Wywołało to cierpkie podejrzliwe spojrzenie ciemnych oczu Leona i przypawiło Elięgo o skurcz żołądka. Nie był przyzwyczajony do kręcenia, a poza tym zależało mu na szacunku tego człowieka.

- W porządku, widzę, że muszę zostawić pana w spokoju - powiedział Leon, nie oszczędzając mu kolejnego badawczego spojrzenia. - Mam w domu córeczkę i syna, i starego ojca, który przypali kapustę i będzie krzyczał na dzieciaki, jeśli w porę nie wrócę do domu.

- Ma pan dzieci? To miło.

Po tej dziwnej uwadze Leon przyjrzał mu się z jeszcze większym zainteresowaniem.

- Tak. Moja żona umarła kilka lat temu i sam je wychowuję. To dobre dzieciaki. - Leon rzucił mu kluczyki od samochodu. - Może pan używać tego eksplorera, którym tu przyjechałem. To samochód firmy. Mnie ktoś przyprowadzi inny.

- Dziękuję.

- Mam nadzieję, że pan tu pobędzie jakiś czas, bo chętnie zapytałbym pana o jeszcze kilka rzeczy. My tutaj jesteśmy bardzo wścibscy, jeśli chodzi o obcych.

- To pech, bo nie mam wiele do powiedzenia.

- Ale mnie ciekawi właśnie to, czego pan nie mówi. - Eli chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język. - No cóż, panie Solo, mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy. Do widzenia, słyszy pan? - Leon krótko skinął głową i skierował się do wyjścia.

- Poczekaj, Leon. - Leon się zatrzymał. Było coś znajomego w sposobie, w jaki mężczyzna wymówił jego imię.

- Tak?

Eh patrzył mu w oczy.

- Nie nazywam się Solo. Nazywam się Wade. Eli Wade.

Przez chwilę Leon wpatrywał się w niego z niedowierzaniem; na jego twarzy malowało się osłupienie. Dopiero potem, powoli, dostrzegając nieuchronne podobieństwo, zaczął kojarzyć. Eli zauważył decyzję w jego oczach, zanim jeszcze Leon dotknął palcem blizny i wolno podszedł do niego z wyciągniętą masywną ręką kamieniarza.

W imię przeszłości uścisnęli sobie dłonie.

Dwie najważniejsze kobiety w moim życiu były stare i chore i obie leżały w szpitalu. Kiedy znalazłam się w recepcji, na spotkanie wyszedł mi Solo. Żołądek podjeżdżał mi do gardła. Nagle zaczęłam się dusić. W głowie mi pulsowało.

- Mam dziś bardzo dużo pracy. Muszę pozałatwiać telefony do przyjaciół i współpracowników babki. Zapoznać się z dokumentami. Proponuję, żebyś jednak nie zatrzymywał się u mnie. Jest w mieście kilka gospód i dwa motele.

- Jeżeli mnie wyrzucasz, Darl, to mów wprost, kawę na lawę.

Jestem wyjątkowo tępy. Są ludzie, którym wystarczy delikatna aluzja. A ja muszę usłyszeć: „Precz z moich oczu, złobnie”, i dopiero wtedy rozumiem, o co chodzi.

Gapiłam się na niego w milczeniu. Wreszcie powiedziałam:

- W porządku. Chcę, żebyś został ze mną. Wprowadzę cię do mrocznego matecznika mojej rodziny.

- Do Marmurowego Dworu?

- Tak. - Musiałam kiedyś wspomnieć przy nim tę nazwę, ale nie pamiętałam kiedy. - Będziemy tam mieli więcej prywatności. - Powiedziałam mu, jak ma jechać. Poczułam wielki ból głowy. Nagle musiałam zamknąć oczy. Ujęłam twarz w dłonie, jakby za chwilę miała eksplodować. Objął mnie ramieniem.

- Powiedz, co się z tobą dzieje.

- Boli mnie głowa. Czasem mi się to zdarza. Ale tym razem ból jest szczególnie silny. Mam w walizce lekarstwo.

- Tobie nie jest potrzebna pigułka. Ty się po prostu musisz wypłakać. - Podtrzymał mnie energicznie ramieniem. - Mam cię sprowokować do płaczu?

- Nie. Jesteś jedyną częstką mojego życia, która nie boli. I niech tak zostanie.

Solo zagryzł wargę. Wyglądał jak człowiek dręczony jakimiś problemami, który dodatkowo dostał się między dwa pociągi.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Powiedzmy, że dziś postawiłaś na swoim. - Wyprowadził mnie na zewnątrz, gdzie zwymiotowałam w ogrodzie medytacji, który babka podarowała szpitalowi. Trzymał mi przy tym cały czas włosy, a potem, wierzchem własnej dłoni, wytarł usta. Ruszyłam w stronę samochodu, idąc jakieś dwa kroki przed nim, odrętwiała, ale zdecydowana zachować resztki godności. Nie przeszkadzał mi w tym. Podczas jazdy odchyliłam głowę na oparcie fotela, próbując zapomnieć, gdzie jestem i dlaczego. Miałam nadzieję, że znajdzie Marmurowy Dwór bez mojej pomocy.

O dziwo, nie miał z tym najmniejszego kłopotu.

Różowa rezydencja wyglądała tak jak zawsze w moich snach - wznosiła się, wielka i groźna, gdy zbliżyliśmy się podjazdem z tłuczonego marmuru, i czekała, żeby mnie wchłonąć w chłodne, majestatyczne wnętrze. Ukryta wśród jodeł, przypominających

gigantyczne choinki, i otoczona strzyżonymi krzewami, wyglądała na tle ciemniejszego nieba jak ponury obelisk. Okoliczne wzgórza były porośnięte gęstym lasem, a za dworem wznosiły się wysokie góry. Po lewej stronie, za tylnymi ogrodami, basenem, tarasem i starym stawem, biegła przez las krótka droga, która prowadziła do tajnego grobu Klary, znajdującego się u stóp omszałej wazy w Ogrodzie Kamiennych Kwiatów. Za tym ogrodem, ukryty w głębokiej górskiej dolinie, straszyl pustką Kamienny Dworek. Pozabijane deskami drzwi, okna wypaczone pod ciężarem dzikiego bluszczu robiły ponure wrażenie. Już wkrótce bluszcz nabierze jaskrawożółcistych barw, a jesienne liście zaczną powoli opadać na stare obejście, na zaniedbany ogród i na kości Klary. Wiedziałam dokładnie, co zobaczę, jeśli zdobędę się na to, żeby się w te lasy zagłębić.

Ale się nie zdobyłam.

- Dom, rodzinny dom - wykrztusiłam mimo bólu i mdłości.

Solo wyjął mi z ręki klucz i wszedł po szerokich stopniach portyku, a ja z trudem wlokłam się za nim. Gloria, latynoska gospodyni babki, zostawiła zapalony żyrandol przed domem i światła w oknach niższej kondygnacji. Weszliśmy do centralnego holu, gdzie antyczne persy Swan tłumiły nasze kroki. Liścik Glorii napisany staranną angielszczyzną na firmowym papierze Marmurów Hardigree informował mnie, że w kuchni znajdę pieczeń wołową, zimne sałatki i naczynia do kuchenki mikrofalowej.

Ale ja pospieszyłam prosto na tyły domu. Jak zwierzę w potrzasku, szukałam powietrza, potykając się w ciemności i lawirując wśród pięknych mebli i dzieł sztuki. Po drodze spoglądały na mnie ze ścian portrety Swan, Esty i mojej matki. Otworzyłam na oścież drzwi tarasowe, wychodzące na ogrody i basen, i usiadłam na rattanowej, wyściełanej pluszem kanapce. Za sobą słyszałam kroki Sola.

- Tylko nie zapalaj światła, proszę cię - powiedziałam. - Daj mi tak posiedzieć chwilę, zaraz wezmę proszek.

Usiadł za mną na kanapce.

- Spróbujmy najpierw tego. - Wolno położył wielkie dłonie na moich ramionach, a następnie zaczął ściągać ze mnie żakiet. Zesztywniałam. - Nie zamierzam cię rozbierać dla własnej przyjemności - powiedział spokojnie głosem zaprawionym ponurym hu-

morem. - Chciałbym cię trochę doprowadzić do porządku. Jest jedna rzecz, której nie robisz perfekcyjnie: wymiotując, nie potrafiś zachować czystości.

Wyprostowałam się. Byłam bardzo speszona. Pozbyłam się zabrudzonego żakietu.

- Czy nie uważasz się za szczęściarza? Jesteś jedynym człowiekiem, który miał przywilej widzieć mnie w tym stanie.

Odrzucił żakiet na bok.

- A ja wczoraj oblałam cię swoją krwią. Jesteśmy kwita. - Znów położył mi dłonie na ramionach, marszcząc miękkie materiały białej bluzki.

- Byłem w tobie. Smakowałem cię. Czułem cię wokół siebie. Nie ma takiej części ciebie, o której nie chciałbym wiedzieć wszystkiego.

Zamruczałam cicho i sięgnęłam ręką w górę, ujmując jego dłoń. Razem patrzyliśmy na widmowe sylwetki drzew. Emanował z niego nastrój równie posępny jak mój. Jak to się stało, że tak idealnie potrafił dostroić się do mojego nieszczęścia? Boże, jakżeż ten bliski nieznajomy był mi potrzebny! Nie miałam jednak moralnego prawa wciągać go głębiej w otchłan rodzinnych komplikacji i napięć, z których składało się moje życie. Jeśli w ogóle istniała dla nas jakaś szansa, to powinnam go oszczędzić dla siebie na później.

- Chciałabym, żebyś jutro wyjechał - oznajmiłam. - Za jakiś tydzień, kiedy już opanuję sytuację, odwiedzę cię... gdzieś. Sam wybierzesz miejsce. I ja tam przyjadę. A wtedy na pewno porozmawiamy o sobie. Przysięgam. Ale już teraz za bardzo mi na tobie zależy, żebym ci pozwoliła tu zostać i zaangażować się w to wszystko.

Milczał przez chwilę.

- Porozmawiamy o tym jutro - powiedział w końcu. Przycisnęła mocno koniuszkami palców skurczone mięśnie na moim kręku. Jęknęłam pod wpływem nagłego bólu, kiedy próbował rozmasować ścięgna. Masaż wydawał się nie mieć końca. Z trudem powstrzymywałam łzy. Bolało, ale pomagało. Uwolnienie nigdy nie jest łatwe. Nie poddawałam się. Wreszcie zaczął masować mi tył głowy, a na koniec wziął mnie pod brodę i delikatnie odchylił głowę. Poczułam, jak mój kręgosłup się rozciąga i jak przynajmniej część bólu odpływa w dół czymś w rodzaju otwartego ka-

nału i gdzieś się ulatnia. Zdumiona, obróciłam się i spojrzałam na Sola.

- Co zrobiłeś?

- To jest sztuka, jakiej się nauczyłem podczas moich podróży po świecie. Odblokowałem twoje chakras czy też przywołałem przewodnika twojego ducha, czy wreszcie... sam nie wiem co. Zresztą obojętne. Kto wie, jakie wszechświat kryje w sobie tajemnice. Nieważne zresztą, na jakiej zasadzie to działa, ważne, że działa. - Wstał, stanął przede mną i wyciągnął rękę. - Nad tym basenem unosi się mgiełka. Czy tam jest podgrzewana woda?

- Tak. Moja babka dla zachowania kondycji pływa okrągły rok. Kocha wodę. Jako dziecko przeżyła pożar w mieście. I od tej pory woda daje jej poczucie bezpieczeństwa.

- To chodź, idziemy. Lecznicze właściwości kąpieli wodnych nie są żadną tajemnicą. A poza tym zobaczysz, dobrze nam to robi.

Podniosłam się niepewnie. Solo nachylił się i wziął mnie na rękę.

- Nie chciałabym być taka zależna od ciebie - powiedziałam.

- Pozwól mi robić przynajmniej to, co potrafię. Nie umiem tańczyć, ale jestem dobry w noszeniu.

Koło basenu postawił mnie na ziemi. Rozebraliśmy się nawzajem, niezdarnie jak nastolatki, po czym, trzymając się za ręce, weszliśmy do ciepłej wody i zanurzyliśmy się, siadając na najniższym stopniu po płytkiej stronie basenu. Wsunęłam się pomiędzy jego rozstawione uda i oparta plecami o pierś Sola, położyłam głowę na jego ramieniu. Trzymał mnie w objęciach, a ja, nabierając wody w dłonie, obmywałam sobie twarz. Solo położył rękę na mojej lewej piersi, delikatnie pieszcząc sutek szorstkim opuszką kciuka.

Westchnęłam pod wpływem mieszaniny rozkoszy i bólu. Otułiła nas ciemna, kojąca woda. W miejscu, gdzie kończą się plecy, poczułam coś twardego. Poprawiłam mu przemoczony bandaż.

- Nie jest to bardzo higieniczne. - Otarł się policzkiem o mój policzek.

- Przestań myśleć - skarcił mnie, delikatnie pociągając za sutek. Przyłgnęłam do niego jeszcze mocniej. Poczucie, że mnie pragnie i że sprawia mi to taką przyjemność, było cudowne. Obróciłam głowę, ukryłam twarz w zagłębieniu jego szyi i zamknęłam oczy. Pocałował mnie w nos.

Gdzieś w głębi, w mrokach mojej świadomości, wyszukałam to naznaczone miejsce, które zawsze przypominało mi, kim jestem. Było ono we mnie, ale także i tam, w ziemi, w głębi górskiego lasu, za tarasem. Z poczuciem winy otworzyłam oczy i wykręciłam głowę, żeby spojrzeć na marmurowe łabędzie, które nadal strzegły murów naszej siedziby. Patrzyły mi w oczy nieustępliwie.

Solo przemówił szeptem.

- Przecież tam może być wszystko. Czego tak wypatrujesz?

Nie miało dla mnie znaczenia, czy mówi do siebie, czy pyta, co ja tam widzę wśród cieni. Głęboko zaczerpnęłam tchu.

- Wspomnienia chłopca, którego kochałam, a który miał na imię Eli.

Milczenie. Powietrze zrobiło się ciężkie jak przed burzą. Przytulił mnie mocniej.

- Darl - wyrwało mu się całkowicie spontanicznie.

Wzdrygnęłam się.

- Przypominasz mi go. Nawet w tym, jak wymawiasz moje imię. Patrzę na ciebie i widzę mężczyznę, którym mógłby być dzisiaj. Dlatego jesteś mi taki drogi. Przepraszam cię bardzo. Powinam była ci to powiedzieć już na Florydzie.

- Ciii. Powiedz mi. Chcę wiedzieć o nim więcej.

- Kiedy go widziałam po raz ostatni, miał trzynaście lat. A ja zaledwie dziesięć. Wiem, że to wszystko brzmi nieprawdopodobnie - mówiłam nerwowo - ale w dalszym ciągu widzę go tam w lasach. Wyobrażam go sobie. Mieszkał z rodziną niedaleko stąd. Chodziłam tam, a on... czekał. Mieliśmy takie miejsce... Wszystko razem było bardzo niewinne. - Urwałam. - Ale jestem nie w porządku wobec ciebie. Nie zasługujesz na to, żeby pełnić zastępczą rolę w mojej teraźniejszości.

- Jeżeli uważasz mnie za człowieka, jakim on mógłby być, to wszystko w porządku. - Solo obrócił mnie do siebie. Nawet w ciemnościach czułam na twarzy jego badawczy wzrok. Nagle ostra szpila bólu przeszła mi głowę. Skrzywiłam się i odwróciłam. Wypuścił mnie z objęć, jakbym go uderzyła w twarz, a następnie wsadził mi palce we włosy i zaczął szybko masować skórę głowy. Czoło miałam zroszone potem, słyszałam, jak Solo ciężko oddycha.

- Jezu - powiedział.

- Nic mi nie zrobiłeś. To po prostu nowy atak migreny. -
Wziął mnie w ramiona i mocno przytulił.

- Płacz - rozkazał. - Płacz za tamtym chłopcem. To wielkie szczęście być przez ciebie kochanym. Płacz dla siebie samej. Bo twój Eli cię kochał i miał słuszość. Płacz.

Nie byliśmy już nawzajem pewni swoich tajemnic, ale Solo w końcu mnie złamał. Zrobiłam coś, co nie zdarzyło mi się nigdy dotychczas, przy nikim. Zaczęłam bezradnie szlochać.

W jego objęciach.

Rozdział 15

- Chodź, Eli. Ciii. Ostrożnie, uważaj na te swoje wielkie nożyska - szeptała Darl, uśmiechając się do niego, kiedy tylnymi schodami szli do jej sypialni. Był letni dzień, Swan pojechała do Asheville na spotkanie, a mama, idąc do pracy do dworu, zabrała ze sobą jego i Bell. Cały ranek spędzili z Darl na rozpakowywaniu różnych produktów i ustawianiu ich w spiżarni, podczas gdy Bell recytowała uroczyscie:

- Groszek. Pomidory. Kartofle. Dynia. - Wreszcie nauczyła się czytać. Teraz mama zasnęła w bibliotece w wielkim skórzanym fotelu nad swoją południową kanapką z kiełbasą, a Bell drzemała na podłodze u jej stóp.

- Mama skroi mi tyłek, jeśli mnie złapie na gorze - syknął Eli, ale dalej szedł za Darl. Złapała go za rękę i pociągnęła w boczny korytarz, a następnie otworzyła różowe lakierowane drzwi.

- Voila - powiedziała, wskazując ręką na bajeczną zwiewną krainę dziewczęcych mebli, na łożę z baldachimem, na obecne wszędzie sterty lalek i książek. - Mój buduar.

- Voila - powtórzył za nią francuskie słowo, ciągnąc je jak psa za ogon. W osłupieniu gapił się na książki. - O Boże.

- O tu. Siadaj. Wskazała wysokie różowe łożko, odsuwając lalki i książki. Potrząsnął głową. Miał dopiero jedenaście lat, ale tata już mu powiedział, o co chodzi między dziewczętami i chłopakami, a także o sprzętach służących do tego, żeby się na nich kłaskać.

- Nie usiądę na twoim łożku.

- Jak chcesz. - Wzięła naręczę książek. - To wobec tego siadaj tam. - Usiedli obok siebie w wykuszu okiennym, wśród bro-

katowych poduszek. - Mogą być *Przygody Hucka?* - wyciągnęła do niego książkę.

- Jasne!

- To dobrze. - Położyła mu książkę na kolanach i zaczęła kopać w stercie najróżniejszych lektur, po czym wyciągnęła jeszcze jedną. - Ja teraz czytam tajemnice dla dziewcząt Casey. Już zaczęłam tom czwarty. *Mumia na ulicy Dębowej*.

- Hmm... - Eliego zdążyły już pochłonać pierwsze strony klasyki Twaina. Popchnął palcem okulary wyżej, usadowił się na dziewczęcych poduszkach i podciągnął nogi, chude i opalone pod obciążeniami dżinsami. Darl usiadła w drugim końcu kanapki, trzymając w ręku tajemnice dla dziewcząt Casey, które otworzyła na stronie założonej sznureczkiem. Pochyliła głowę i, pogrążona w lekturze, wyciągnęła długie nogi w różowych szortach, wykończonych koronką. Stykali się bosymi stopami, ale oboje udawali, że tego nie czują. Czytali w cichej harmonii, w promieniach słońca, całując się gołymi stopami bez żadnego skrępowania.

Nie ma już kanapki w wykuszu okiennym - pomyślał Eli, kiedy się obudził w tym samym pokoju jako dorosły mężczyzna. - Nie ma całego cholernego okna. W podnieceniu i udręce poprzedniej nocy niewiele zauważył z najbliższego otoczenia. Po wyjeździe Darl Swan musiała przerobić pokój. Po tamtej różowej dziewczynie nie pozostało ani śladu. Meble były ciemne, pięknie rzeźbione, tapeta w błyszczący srebrny wzór, lampy gładkie, nowoczesne. Swan włożyła wiele trudu w to, żeby podrobić dorosłą osobowość swojej wnuczki.

I wszystko wyszło nie tak.

Podparł się łokciem i patrzył na śpiącą obok niego Darl. Miał w sobie wielkie zasoby czułości, które szukały ujścia. Wyglądała fatalnie - włosy zmierzwione, oczy podkrążone - ale to tylko wzmagало jego uczucie. Kochał ją. Kocham cię z całego serca - powiedział bezgłośnie. Wysunął się ostrożnie spod prześcieradeł, wygładził je na jej gołych ramionach i otulił ją starannie. Wziął z podłogi gruby niebieski ręcznik, zawiązał go sobie w pasie i zszedł na dół.

Kiedy skręcił do głównego holu, powitały go dwa „achy”. Zobaczył dwie czarnowłose kobiety. Jedna miała na sobie sukienkę, druga, młodsza, uniform pokojówki.

- Przepraszam panie bardzo - powiedział.

Pokojówka wybuchnęła śmiechem.

- Nie wiedziałam, że spodziewamy się gości. - Starsza kobieta mówiła z wyraźnym obcym akcentem.

- Czy pani jest Gloria?

- Tak. Gospodyni pani Swan. - Ostro skarciła dziewczynę po hiszpańsku. Pokojówka, chichocząc, uciekła do kuchni.

To nie czas na wyjaśnienia - pomyślał Eli. Przeprosił Głorię, posługując się biegle hiszpańskim, a następnie, również po hiszpańsku, powiedział jej, że wnuczka pani Swan źle się czuła w nocy i będzie dłużej spała.

- Kiedy się obudzi, proszę jej powiedzieć, że wkrótce wrócę. Idę do miasta.

Nie wiedział, czy jego biegła znajomość hiszpańskiego zrobiła na niej wrażenie, czy nie, w każdym razie kobieta, patrząc na niego ponuro, skinęła głową. Eli poruszył ramionami, wyprostował się i wyszedł przez wytworzone drzwi Marmurowego Dworu tylko w ręczniku. Wróciłem, Swan. Tym razem nie masz na własność ani mnie, ani mojej rodziny. Spałem w twoim domu. Spałem z twoją wnuczką. Oznaczyłem swoje miejsce na twoim terytorium. Nie chciał myśleć o Darl jako o wygranej, mimo że sama idea przypadła mu do gustu. Kiedy się już znalazł na zewnątrz, w ciepłym jesiennym słońcu, odetchnął głęboko i podszedł do wielkiego explorera. Otworzył tylne drzwi bagażowe, namacał w walizce bieliznę, dżinsy i szary pulower, ubrał się, a następnie ogolił na sucho, najlepiej jak tylko umiał, dwukrotnie się zacinając. Wytarł cienkie smużki krwi i pomyślał: wyglądam niechlujnie i niewiarygodnie. Sięgnął po teczkę, w której miał komputer i inne niezbędne przedmioty, łącznie z telefonem komórkowym.

Zadzwonił do Waszyngtonu do Williama. Wieczorem zostawił mu wiadomość.

- No, nareszcie - powiedział William z wyraźnym napięciem w głosie.

- Udało ci się coś załatwić? O co chodzi?

- Za godzinę jadę na lotnisko. Znalazłem Karen Noland. Występuje gościnnie w filmie muzycznym w Los Angeles. Będę rozmawiał z nią osobiście.

- To dobrze. - Poprzedniego wieczoru Darl nagrała się kilkakrotnie w jej nowojorskim mieszkaniu i w biurach *Atrakcji*. Jak dotąd nie dostała żadnej odpowiedzi. Eli znalazł w bagażu swój

zegarek. Była prawie dziesiąta czasu wschodniego. W Los Angeles musiało być cztery godziny wcześniej. Przy odrobinie szczęścia William znajdzie Karen i przekona ją, żeby jeszcze tego dnia wyjechała do domu. - Jestem ci bardzo zobowiązany, stary. Jeszcze coś?

- Niestety, tak. - Tym razem nawet miękka jamajska mowa Williama zdradzała napięcie. - Powiedziałbym ci o tym wczoraj, gdybym wiedział. Ale dowiedziałem się dopiero teraz.

- O czym?

William milczał przez chwilę.

- Chodzi o twoją siostrę. I matkę. One tam są.

- Jak to, nie rozumiem.

- Dwa dni temu pojechały do Burnt Stand. Twoja siostra spotkała się ze Swan Samples. Dwa dni temu. I w dalszym ciągu tam są. - Przerwał na chwilę. - Uważają, że w ten sposób złagodzą trochę element zaskoczenia.

Eli miał sucho w ustach. Z roztargnieniem słuchał, kiedy William podawał mu nazwę gospody, w której zatrzymały się Bell i mama. W kilka sekund później siedział już za kierownicą explo-rera i jechał do nich.

Solo opuścił mnie, żeby samotnie zwiedzać miasto. Zrobiło mi się przykro. Po trzech dniach nierozstawania się ze mną ani na chwilę postanowił nagle sam wybrać się do Burnt Stand? Wzięłam prysznic i założyłam spodnie, sweter i brązowe skórzane pantofle bez pięt. Stałam w moim dawnym pokoju, zaplatając włosy w sztywny warkocz i zastanawiając się ponuro, czego Solo chciał się dowiedzieć o moim rodzinnym mieście. I o mnie - po moim wczorajszym jakżeż krępującym załamaniu.

Wyciągnęłam z kieszeni spodni kamyk z symbolem nieskończoności i przyglądałam mu się dłuższy czas. Położyłam go na komodzie, jakby tam było jego miejsce. Rozejrzałam się po pokoju. Po moim wyjeździe Swan całkowicie go przebudowała. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że celowo usunęła okno, które wychodziło na las z drogą prowadzącą do Ogrodu Kamiennych Kwiatów i do Kamiennego Dworku.

- Prawda jest tam w dalszym ciągu, nawet jeśli nie ma okna, przez które można ją zobaczyć - powiedziałam jej kiedyś.

Robiła wrażenie całkowicie nieporuszonej.

- Mam wspomnienia tak bolesne, że nawet szeptem ci o nich nie powiem. Ale odsunęłam je od siebie. Zamknęłam okno. Ty też to prędzej czy później zrobisz.

A teraz wpuściłam Sola do tego prywatnego sanktuarium. Może rzeczywiście chciałam zapomnieć o tym, co spotkało Elięgo i jego rodzinę. Może powoli zamieniałam się w Swan, sama o tym nie wiedząc. Ludzie zmieniają się z minuty na minutę, aż w pewnym momencie zapominają, kim byli. Bo wygasają namiętności, pod wpływem których kiedyś działali. Przyjdzie taki dzień, kiedy spojrzę na siebie i uznam, że odcięłam się od wspomnień i prawdy i że potrafię żyć z tym, co ze mnie zostało.

Wzdrygnęłam się i schowałam do kieszeni kamyk nieskończoności.

Gospoda Rakełowów znajdowała się przy zacienionej bocznej uliczce Burnt Stand w otoczeniu rabat kwiatowych i trawników. Dom został zbudowany w stylu pseudokolonialnym i - oczywiście - z marmuru. Był to jeden z Domów Esty. Eli się skrzywił.

Mama sprzątała u Rakełowów, zanim Matylda zatrudniła ją w Marmurowym Dworze. Szorowała im toalety, czyściła dywany, kiedy ich pudel na nie napaskudził, i uśmiechała się, nic nie mówiąc, kiedy ich dzieci zostawiały błoto na świeżo umytych progach. Eli myślał o tym, próbując zrozumieć, dlaczego mama i Bell zdecydowały się przyjechać do Burnt Stand bez niego - wyprzedzając plan, który wspólnie ustalili, zanim wybrał się na Florydę. Teraz mama siedziała swobodnie na eleganckiej kanapie w największym hotelowym apartamencie, a jej splecione spracowane ręce spoczywały na ładnej niebieskiej sukni z drogiego materiału. Koło niej, przy łukowatym oknie, stała Bell, przypominająca - z powodu kolorowych, zwiewnych szali, które opadały na jej bluzkę i dżinsy - jedwabnego motyla. Była zapłakana, ale niezłomna w swojej decyzji. Jej córeczka, Jessie, spała pośrodku antycznego łoża, przykryta puchową kołderką.

Rodzina Wade'ów powróciła do Burnt Stand, ale już nie jako białe śmiecie.

- Widzę, że zadałyście sobie wiele trudu, żeby się tym ludziom

przypomnieć - powiedział Eli znużonym głosem. - Ja nie miałem z tym problemu. Szkoda, że mnie nie uprzedziłyście. - Usiadł na tapczanie i oparł łokcie na kolanach, pocierając brodę. Mama wpatrywała się w brudny bandaż na jego lewej ręce.

- Gdybyśmy pragnęły wkroczyć w wielkim stylu - powiedziała Bell podnieconym głosem - tobyśmy dopilnowały tego, żeby wszyscy wiedzieli, jak się nazywamy. Ale ja się tu zameldowałam jako Bell Canetree.

- Dobrze, to powiedz mi, po co poszłaś do Swan i powiedziałaś jej, kim jesteś?

- Chciałam być wobec niej uczciwa. Chciałam, żeby wiedziała, kto tak naprawdę kupił jej ziemię. Pomyślałam, że doceni to, że przychodzę do niej i szczerze mówię, co zamierzam zrobić z tą częścią jej posiadłości. Że chcemy jedynie wykryć prawdę. Uznałam, że będzie zadowolona, jeśli dowie się czegoś, co przyniesie jej i nam spokój ducha. Nie sądzisz, Eli, że musiała się przez te wszystkie lata zadrećzać pytaniem, jak zginęła jej siostra?

Eli się roześmiał.

- Nie sądzę, żeby zagadka, w jakich okolicznościach i gdzie Klara wyzionęła ducha, spędzała jej sen z powiek.

Bell poczerwieniała.

- To, że uważasz ją za podłą, nie znaczy, że Swan rzeczywiście taka jest. Na pewno chciałyby wiedzieć, kto zabił Klarę. I znaleźć jej ciało. Jestem o tym przekonana.

- Ona uważa, że to zrobił tata. I że kości Klary spoczywają na dnie jeziora.

Bell wyrzuciła ręce przed siebie.

- Powiedziałam jej prawdę, Eli, i to powinno uprościć sprawę zarówno dla niej, jak i dla nas. - Bell umilkła, wpatrując się w jego twarz. - I dla ciebie w twoich zabiegach o Darl.

Eli wyprostował się ze złością.

- Powinnaś porozumieć się ze mną, kiedy byłem na Florydzie, wtedy bym ci powiedział, żebyś chwilowo dała sobie z tym spokój.

- Ale co ty właściwie robiłeś tam z Darl, synu? - zapytała spokojnie mama.

- Opiekowałem się nią. Jest w bardzo złym stanie.

- I uważałeś, że mądrze robisz, nie mówiąc jej, kim jesteś?

- Nie, mamu, wcale nie uważałem, że to jest mądre. Po prostu sytuacja mnie zaskoczyła.

- Wstyd mi za ciebie.

Słowa matki wywarły na nim głębokie wrażenie, wiedział, że ma rację. Westchnął i skinął głową.

- Nic się nie działo tak, jak sobie wyobrażałem. Wypadki potoczyły się zbyt szybko. Ona potrzebowała, żebym był kimś obcym, a ja grałem wobec niej kogoś takiego. Ale przypuszczam, że mnie poznała. Może jeszcze nie do końca zdaje sobie z tego sprawę, ale czuję, że mnie poznała.

- Okłamałeś ją. - Matka nie dawała za wygraną.

Wzruszył ramionami ze wzrokiem wbitym ponuro w podłogę.

- Okłamałem - przyznał.

- Tak jak Bell okłamała Swan, żeby kupić od niej ziemię.

- Mamo - skarciła ją Bell.

Matka wstała.

- W tej chwili żadne z nas nie ma powodu do dumy. Kiedy Bell zdecydowała się rozmawiać osobiście ze Swan i wyjawić jej prawdę, powiedziałam: „Słusznie, dziecko, trzeba to zrobić. Nasza rodzina nie będzie dalej brnęła w manipulacje i kręactwa”. To nie przynosi chwały pamięci waszego ojca. Synu, musisz powiedzieć Darl, kim jesteś. I to dzisiaj.

Eli skinął głową, ale spojrzał ponuro na siostrę.

- W każdym razie bądź przygotowana na to, co powiedzą ludzie, kiedy się dowiedzą, że tu jesteśmy. Z pewnością obciążą nas winą za zawał Swan i wylew Matyldy.

Bell się zachnęła.

- Ale przecież my z tym nie mamy nic wspólnego. Tamta rozmowa przebiegła bardzo sympatycznie. Swan wcale nie była zdeenerwowana. Powiedziała mi, że musi sobie przemyśleć to, co zamierzam tu robić - to znaczy kopać i w ogóle - i że porozmawia z nami na ten temat jeszcze po twoim przyjeździe. Poinformowałam ją, że wyjechałeś w interesach. Nie mówiłam dokąd. Przysięgam ci, Eli, że była spokojna jak głaz.

Eli uśmiechnął się słabo.

- Nie przekonałaś jej. Po prostu przyciałała się jak wąż, czekając, aż jej zaufasz i jeszcze bardziej się do niej zbliżysz. Masz szczęście, że nie zaatakowała od razu. Przypuszczam, że zamierza zjeść nas żywcem.

- Pani Swan była zawsze wobec mnie w porządku - powiedziała mama z mocą.

Eli westchnął.

- Ona uważa, że jej siostrę zabił tata. Dla niej to jest zamknięta sprawa. Zapewniam was, że nie jest szczęśliwa z tego powodu, że ruszamy te stare brzydko pachnące historie.

Mama popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Ale Darl na pewno za nami przemówi. Powiedziałeś, że chce wierzyć w niewinność twojego ojca. I że jest dobra.

Eli się odwrócił. Widać było, jak mu chodzi jabłko Adama.

- Najlepsza.

- Tym bardziej jej powiedz, kim jesteś, i jeżeli zasłużyłeś w jej oczach na miano człowieka przyzwoitego, to ona ci zaufa i przebaczy, i uzna słuszność sprawy, w jakiej tu przyjechałyśmy.

Eli dotknął ramienia matki.

- To jest egzamin dla mnie i dla niej i musimy go zdać oboje. Mama skinęła głową.

Nie spodobałam się Glorii, nowej gospodyni babki. Siedziałam w jadalni nad filiżanką kawy i tostem, który sobie przygotowałam w kuchni, a Gloria z pokojówką patrzyły z kwaśnymi minami, jak na błyszczącym mahoniowym stole rozkładałam papiery. Gloria stała przy drzwiach i poprawiała żarówki w żyrandolu, od czasu do czasu spoglądając na mnie spode łba, jakbym zabiła Swan i sięgnęła po jej tron.

- Dzwoniłam do szpitala - powiedziała z wyraźnym obcym akcentem. - Panie zostały przeniesione. Są teraz w jednym pokoju. - W jej głosie wyczułam lekką przyganę, jakby uważała, że mniej interesuję się Swan i Matyldą niż ona.

- Tak, wiem. Za kilka minut się do nich wybieram, ale najpierw muszę się zapoznać z tymi dokumentami.

- Przygotowałam dla pań różne rzeczy. Owoce. Bułeczki. Pani Swan lubi czarne jagody. A dla pani Matyldy przyszykowałam trochę szynki w plastrach i bezcukrowe ciasteczka. Pani wie, ona ma cukrzycę.

- Dziękuję. Jesteś bardzo miła.

- Są tu dla pani kluczyki od samochodu. Na wiosnę pani Swan kupiła lexusa.

- To świetnie. - Wzięłam do ręki część papierów i zaczęłam przeglądać. Gloria odchrząknęła.

- Za kilka dni ma się tu odbyć spotkanie. Są zaproszeni goście. Bardzo ważne spotkanie.

Zmarszczyłam brwi.

- Czy to jest może lista gości? - Wzięłam do ręki arkusz papieru z nazwiskami. Gloria skinęła głową. Przeczytałam kilkanaście nazwisk, w tym dyrektorów kilku agencji pomocy społecznej prowadzonych przez władze stanowe i prezesów większych ekumenicznych organizacji kościelnych. Jednym słowem VIP-ów. O co tu chodziło?

- Czy mam to wszystko odwołać? - zapytała Gloria.

- Nie.

- Pani poprowadzi zebranie?

- Przypuszczam, że sobie poradzę.

- Tam, skąd ja pochodzę, wnuczka szanuje swoją babkę. Mam nadzieję, że serce pani podpowie, co robić. I że pani tu z nami zostanie i zastąpi starszą panią. Będę panią tak samo szanować jak panią Swan.

- W porządku. To spróbuj mi pomóc. Powiedz, czy ostatnio moja babka gościła kogoś u siebie - kobietę, którą poznała dwa dni temu? Czy może coś na ten temat mówiła?

Gloria patrzyła na mnie w milczeniu. Wreszcie odpowiedziała:

- Ja o nikim takim nie wiem.

Nawet gdybyś wiedziała, to i tak byś mi nie powiedziała - pomyślałam. Nie owijając w bawełnę, zapytałam wprost:

- Moja babka nie należy do osób ciepłych i budzących sympatię. Dlaczego jesteś wobec niej taka lojalna?

W oczach Glorii zobaczyłam pogardę.

- Bo dobrze płaci i szanuje ludzi - odparła. - Pracowałam już u Amerykanów, u których nie było ani jednego, ani drugiego. Tam, skąd pochodzę, nie oczekujemy, że pracodawca będzie naszym przyjacielem. Uważamy, że silni chronią słabych, a za to słabi winni są im lojalność.

- To się nazywa dyktatura, Glorio.

- Kiedy tą silną osobą jest prawdziwa dama, jak pani babka, to daj mi, Boże, taką dyktaturę.

Swan znalazła się w jednym rzędzie z Evą Peron i Imeldą Marcos - pomyślałam.

- Dziękuję ci. Po prostu byłam ciekawa.

Gloria zacisnęła usta, nie robiąc najmniejszego ruchu w kie-

runku drzwi. Ale ja miałam dość i spojrzałam na nią w sposób, który mówił to wyraźnie. Jej oczy się rozszerzyły. Dostrzegła we mnie moją babkę, zimną i niebezpieczną. Skinęła głową i wyszła.

Szybko przejrzałam resztę papierów. Na widok tego, co w nich zobaczyłam, opadła mi szczeka. Swan zaangażowała sumę pół miliona dolarów własnych pieniędzy w zakup ziemi i budowę czegoś, co miało się nazywać Stand Tall. Była to niewyobrażalnie wysoka suma nawet jak na Swan. Projekt obejmował rodzaj internatu i centrum edukacyjnego dla dzieci z problemami z całego stanu.

Położyłam na stole papiery i zapatrzyłam się w przestrzeń. Albo próbowała w ten sposób z zimną krwią zwabić mnie z powrotem do Burnt Stand, albo usiłowała dobrymi uczynkami zasłużyć sobie na niebo.

Nic nie pomoże, babciu, obie pójdziemy do piekła.

Wspólny pokój szpitalny Swan i Matyldy był duży, a kwiaty, jakie się w nim znalazły, zamieniły go w cieplarnię. Wśród tych, którzy wyrazili w ten sposób swoje najlepsze życzenia, był gubernator, kilku przedstawicieli władz stanowych i dosłownie wszyscy liczący się oficjele przemysłu kamieniarskiego i właściciele kamieniołomów z całego Południa. Postawiłam przygotowany przez Głorię koszyk na stoliku między łózkami. Babka wyglądała mizernie, ale dostojnie mimo rurek doprowadzających tlen i kroplówki.

- W rekordowym czasie wydostałam się z oddziału intensywnej opieki - oznajmiła na powitanie. - Nie przerażają cię moje nadludzkie możliwości?

- Trudno to nazwać nadludzkimi możliwościami, gdy się jest członkiem rady nadzorczej szpitala i ma się możliwość - w razie nieposłuszeństwa - odebrania kardiologowi prawa wykonywania zawodu.

- Gdybym miała taką władzę, to przede wszystkim ciebie zmusiłabym do posłuszeństwa.

- Wszystko wskazuje na to, że próbujesz. Powiedz mi coś na temat Stand Tall.

- To ma być ognisko dla dzieci. Ośrodek wychowawczy dla młodzieży z problemami. Prowadzony przez Fundację Hardig-

reech, którą właśnie w tym celu powołałam. Mój prawnik dostarczy ci wszystkie dokumenty. Mam nadzieję, że zechcesz się w to zaangażować. To dziedzictwo, z którego możesz być dumna. - Przerwała, w oczach miała isierki lodowatego humoru. - I od którego nie uciekniesz, jeśli uda mi się wszystko właściwie przeprowadzić.

- Proszę was, nie zaczynajcie tego od nowa - powiedziała Matylda w udręce, z trudem wymawiając słowa porażonymi ustami. Leżała zwinięta, na boku, krucha, ciemnoskóra, spowita w jedwabny jasnyniebieski peniuar i koszulę, z nogami nakrytymi lekkim puszystym pledem. Swan była, jak zwykle, ubrana na biało. Te dwie siwowłose matrony, siostry mimo różnego koloru skóry, stanowiły wspaniały duet. - Coś mnie ścisnęło za serce.

- Przepraszam cię, Matyldo - powiedziałam.

- Czy rozmawiałaś może z Karen?

- Jeszcze nie. Musiała wyjechać z Nowego Jorku. Wielokrotnie zostawiałam jej wiadomości na sekretarce. Po południu znów spróbuję się z nią skontaktować.

Matylda westchnęła. Swan wskazała stojący na wspólnym stole telefon.

- Sama powinnaś jej zostawić wiadomość. Niechby przynajmniej usłyszała twój głos.

Matylda potrząsnęła głową.

- Nie będę jej prosiła.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę - zawołałam. Do pokoju wślizgnął się wyraźnie zakłopotany Leon - duży człowiek próbujący się zmieścić w małych pomieszczeniach. Wyglądał prawie elegancko w sportowej tweedowej marynarce i beżowych spodniach. Jednakże tak samo jak poprzednio jego buty pokryte były marmurowym pyłem.

- Dzień dobry. Wstąpiłem, żeby się dowiedzieć, czy panie czegoś nie potrzebują. - Speszony, przestępował z nogi na nogę.

- Owszem, być znów młode - powiedziała Swan.

- No, to by było ciężko...

- Przyniosłeś mi kartę? - zapytała Matylda.

Spojrzała na złożony arkusik papieru, który Leon trzymał w ręku.

- Tak. Narysowała ją dla pani Carla Ann.

Wręczył Matyldzie obrazek ze słodką dedykacją. Jego córka, Carla Ann, miała sześć lat. Poza nią miał jeszcze zaledwie trzyletniego syna Reggiego. Żona Leona, o której mówiono, że była „dobrą Jankeską” i którą Leon poznał na uniwersytecie Karoliny Północnej, umarła na raka. Matylda roztoczyła pieczę nad ich dziećmi. Przytuliła do piersi kartkę.

- Dzień dobry - zwrócił się do mnie Leon.

- Dzień dobry.

- Porozmawialiśmy sobie z twoim przyjacielem wczoraj wieczorem w holu. Pierwszorzędny facet.

Spojrzałam na niego czujnie. Nie pamiętam, by Leon kiedykolwiek wyrażał się tak pozytywnie o obcych.

- Dziękuję. Powtórzę mu to.

Z miną, która mówiła, że usiłuje przy Swan oszczędzić moją reputację, dodał:

- Widzę, że zamówiłaś wczoraj mu pokój u Rakelowów. - Moje pytające spojrzenie wywołało u niego konsternację. - Jadąc tutaj, widziałem przed gospodą mojego explorera.

- A, tak - powiedziałam, żeby nie wprawić w zakłopotanie biednego Leona. Miałam gonitwę myśli. Skąd się wziął Solo w gospodzie Rakelowów? Czy wynajął tam sobie pokój? A jeśli tak, to dlaczego? Podczas gdy Leon prowadził towarzyską pogawędkę, ja łamałam sobie nad tym głowę. Swan świdrowała mnie wzrokiem. Gdy tylko Leon wyszedł i zamknął za sobą drzwi, usiadła na łóżku.

- Powiedz mi coś o tym przyjacielu.

Wyjaśniłam jej, kim jest Solo, podając same fakty.

- Nic więcej o nim nie wiesz?

- Poznałam go zaledwie kilka dni temu.

- Rozumiem.

- Nie, nic nie rozumiesz. To wspaniały człowiek. Przyjechał tu, bo go o to poprosiłam. Mogę na nim polegać.

- Powinnaś mnie była uprzedzić - ucieła krótko Swan.

- Wczoraj nie mogłam.

Spojrzała na mnie.

- Zamknij drzwi. Musimy porozmawiać.

Zamknęłam ciężkie drzwi i spięta stanęłam w nogach jej łóżka. Opadła na poduszki z letargicznym spokojem, który niewątpliwie zawdzięczała lekom oraz własnej sile woli. Ale kiedy ob-

róciła na mnie oczy, dostrzegłam w nich troskę i serce mi się ścisnęło.

- Wczoraj mówiłam, że mam ci coś do powiedzenia - zaczęła.
- Nie wiem, co to ma wspólnego z moim przyjacielem.
- Być może nic. A może padłaś ofiarą bardzo przebiegłego oszusta.

- Do czego prowadzisz?

Zaczęła nerwowym ruchem wygładzać pościel, co mnie zaniepokoiło. Swan nigdy nie wykonywała zbędnych ruchów - nie bawiła się drobnymi przedmiotami, nie wahała się. Nagle rozpostarła na kołdrze białe drobne dłonie. Była gotowa. Gotowa do walki.

- Sprzedałam dwieście akrów ziemi za Marmurowym Dworem.

Patrzyłam na nią w milczeniu.

Ta ziemia należała do Hardigreech od ponad sześćdziesięciu lat. To Esta była twórczynią naszej posiadłości ziemskiej. Sprzedana część obejmowała Kamienny Dworek i Ogród Kamiennych Kwiatów. I grób Klary. Uchwyciłam się metalowej poręczy jej łóżka i nachyliłam do niej.

- Czy to żart? - Słowa z trudem przechodziły mi przez gardło.

- W żadnym razie. Sprzedałam ziemię komuś z Memphis. Adwokatowi, który powiedział, że skupuje dla swoich klientów tereny pod inwestycje. - Swan przerwała. - Umowa zawiera kilka klauzul. Przede wszystkim zastrzegłam, że ogród zostanie zachowany.

- Jak mogłaś podjąć takie ryzyko? Ludzie bez przerwy łamią klauzule. - Spojrzałam na Matyldę. Jej oddech przypominał głośne rżenie. - Wiedziałaś o tym? - spytałam. Skinęła głową. - I zgodziłaś się? - Ponownie skinęła głową.

- Zrobiłyśmy to ze względu na ciebie - podjęła Swan. - Żeby ci pokazać, że to miejsce nie ma nad nami żadnej magicznej władzy i że nie powinno jej mieć nad tobą.

- Nie wierzę w to wszystko. Nie wierzę, że oddałaś ogród w obce ręce. - Podniosłam głos. - Klauzule można łamać.

- Podjęłyśmy świadomie to ryzyko. Pieniądze z tej sprzedaży przeznaczyłam na Stand Tall.

A więc stąd wzięło się te pół miliona. Poczułam na twarzy perlisty pot.

- Ale o co ci właściwie chodzi? Czego chcesz dowieść? Że jesteśmy niezwykciezone? Że w dalszym ciągu morderstwo może ujść nam na sucho...?

- Przestańcie. - Był to głos Matyldy, która drżała na całym ciele. - Zaryzykowałyśmy, żeby zrobić coś dobrego dla rodziny. Żeby stworzyć coś, co cię tu zatrzyma i sprowadzi do domu Karen. Dziedzictwo, z którego obie będziecie dumne. I które tragiczny błąd zamieni w błogosławieństwo.

Swan wskazała na mnie ręką.

- Uważasz, że jestem arogancka i lekkomyślna? - Na jej twarzy pojawił się błąd uśmiezek. - Może i masz rację. Adwokat był tylko pośrednikiem, o tym wiedziałam od początku. Nie zorientowałam się jednak, że ma tylko jedną klientkę i że ta klientka ma bardzo szczególne plany wobec tej ziemi.

Wyprostowałam się. Ciekawe, jakie jeszcze koszmarnie wiadomości miała dla mnie w zanadru.

- Słucham, mów.

Zawahała się.

- Kobieta, która odwiedziła mnie dwa dni temu, była Bell Wade. To ona kupiła tę ziemię.

Zegar na ścianie odmierzał sekundy. Matylda ukryła twarz w dłoniach, opadła na poduszki i zamknęła oczy. Kiedy już minął szok, wszystko powoli zaczęło mi się układać w logiczną całość. Swan mówiła dalej:

- Zamierza, z pomocą i akceptacją swojego brata, przeszukać tę ziemię, by znaleźć dowody niewinności ich ojca.

Eli.

- Byłoby wskazane, żebyś porozmawiała ze swoim „przyjacielem” - powiedziała Swan. - Mam nadzieję, że względu na twoje dobro, że nie okaże się on Elim Wade'em.

Eli, który właśnie wyruszył na poszukiwanie Darl, zszedł na dół i znalazł się w dużym holu gospody Rakelowów. Podwójne drzwi hotelu stały otworem, wpuszczając chłodne jesienne powietrze, które przenikało przez żaluzjowe drzwi marmurowej werandy. Widać było przez nie wypielęgnowany ogród i gładką marmurową ścieżkę biegnącą przez środek trawnika do frontowych stopni.

Tą właśnie ścieżką szła wolno Darl.

Eli zamarł. Boże. Ona wie. Jedno spojrzenie na jej sztywną postawę, miarowy krok i lodowaty wyraz twarzy potwierdziło jego podejrzenia. Wie. Otworzył żaluzjowe drzwi i wyszedł na werandę w chwili, kiedy Darl stawiała nogę na pierwszym stopniu. Zatrzymała się i podniosła na niego wzrok. Jej twarz zastygła w wyrazie determinacji, ale oczy były pełne bólu.

- Eli? - spytała cichym głosem.

Skinał głową.

Zachwiała się, jakby ją uderzył, odwróciła się na pięcie i odeszła.

Skoczył za nią. Kiedy zastąpił jej drogę, zatoczyła się lekko. Wyciągnął rękę.

- Nie dotykaj - rozkazała. Cofnął rękę. Wiedział, że nic w ten sposób nie wskóra, że będzie z tego więcej szkody niż pożytku. Opuścił ręce, ale głowę schylił tak, że się prawie stykali czołami.

- Tylko jedno jedyne słowo z tego, co mówiłem, nie było prawdą. Imię Solo. Ale nawet i ono jest prawdziwe. Wiem, że winien ci jestem wiele wyjaśnień, i wszystko ci uczciwie wytłumaczę. Ale teraz chcę, żebyś przynajmniej wiedziała, że nie skłamałem po to, żeby ci zrobić przykrość czy cię wykorzystać.

Nie odezwała się słowem. Wolałby, żeby na niego krzyczała, nawymyślała od ostatnich, ale ona nic takiego nie zrobiła. Emocje, napięcie, jakaś ponura wibracja w nich obojgu sprawiły, że powietrze wydawało się naładowane. Widział jej ledwie dostrzegalne drżenie, ale i jemu ręce się trzęsły. Nic nie mógł na to poradzić. Ujął ją za ramiona.

- Proszę cię, chodź ze mną - powiedział cichym głosem. - Pojedziemy w jakieś spokojne miejsce i o wszystkim porozmawiamy. Powiem ci, co tylko będziesz chciała wiedzieć. Nie mam nic do ukrycia, chcę, żeby sprawy ułożyły się dobrze, dla ciebie, ale i dla mnie. Wiem, że to tak ładnie brzmi, lecz wierz mi, mówię prawdę.

Darl prawie niedostrzegalnie potrząsnęła głową.

- Okłamałeś mnie, żeby kupić tę ziemię.

- To był błąd.

- Puść mnie. Nie masz bladego pojęcia, w co się pakujesz.

- Posłuchaj mnie, proszę cię. - Wziął ją mocno za ramiona i ścisnął. - Przez te ostatnie dni ty i ja... myśmy się odnaleźli,

Darl. Dwoje nieznajomych. Okazaliśmy sobie nawzajem więcej zaufania, dobroci i miłości niż większość ludzi okazuje swoim partnerom przez całe życie. Nie pozwól, żebyśmy to wszystko stracili przez mój jeden błąd czy twoje pochopne sądy.

- To wszystko było stracone od samego początku. Już dwadzieścia pięć lat temu. Puść mnie.

Najwyższym wysiłkiem woli zwolnił chwyt, mimo że instynktownie pragnął ją przytulić do siebie, przekonać, zmusić do wysłuchania. To wszystko było stracone już dwadzieścia pięć lat temu.

- Kiedy myślałaś, że jestem kimś obcym, byłem ci drogi. Teraz stałem się kimś, o kim chciałabyś zapomnieć. - Opuścił ręce. Podniosła na niego oczy.

- Chciałabym, żebyś to ty zapomniał o mnie - poprawiła go. Nic z tego nie rozumiał. Zaczął jej to mówić, kiedy usłyszeli głos Bell:

- Darl!

Darl powoli przeniósł wzrok na werandę, za niego. Twarz jej złagodniała na widok Bell i mamy. Bell trzymała na rękach niemowlę, mama przyciskała dłonie do gardła.

- Proszę cię, przebaczyć Eliemu - powiedziała. - On tylko chciał ci pomóc. Był przekonany, że go odrzucisz, kiedy ci od razu powie, kim jest. Popełnił błąd, okłamując cię, tak jak Bell popełniła błąd, kupując tę ziemię za plecami pani Swan. Ale oboje robili to w dobrej wierze. Żadne z nas nie zamierza przysparzać już więcej nieszczęścia. Chcemy spokoju. Chcemy... - Głos mamy się załamał. - Uratować coś z godności mojego Jaspera. I naszej.

Darl skinęła głową; oczy miała twarde, ale błyszczące od łez. Kiedy spojrzała na Elięgo, myślał, że z żalu pęknie mu serce. Co działo się w jej głowie? Dlaczego odrzucała jego, ale przecież i siebie?

- Róbcie to, co macie zamiar robić - powiedziała. - Ale ja wam w tym nie pomogę.

Odeszła, a Eli nie zatrzymał jej, przynajmniej na razie.

Rozdział 16

Poza obrębem ciemnego studia, w którym Karen wiła się na masce lśniącego czarnego jaguara, Los Angeles przypominało gorący, ciężki od smogu sen. Kamery rejestrowały każdy ruch. Za nią i dokoła niej kilkanaście prawie nagich kobiet kręciło biodrami w takt granej z playbacku piosenki raperskiej.

- Stop! - ryknął reżyser. - Do dupy!

Choreografka, muskularna Nigeryjka w kolorowej przepasce na czole, zaczęła przeklinać tancerki za to, że pomyliły rytm.

- Robimy pieprzoną przerwę! - wrzasnął reżyser.

Karen ześlizgnęła się z maski samochodu i, złana potem, chwiejnie wyszła, torując sobie drogę między tancerkami. Zbierało jej się na wymioty. Piersi miała jak nadmuchane balony, które mało nie popękały pod obcisłą skórzaną sukienką mini. Spódniczka była tak krótka, że Karen czuła na pośladkach powiew wentylatora.

- Miss opery mydlanej jest zbyt delikatna, to obraża jej uszy - zadrwiła jedna z dziewczyn na tyle głośno, żeby ją Karen usłyszała. Karen szła, trzymając się za żołądek, świadoma tego, że ambitne tancerki - czarne dziewczyny, Latynoski i białoskóre blondynki - patrzą w ślad za nią niczym przyczajone sępy. Ty żółta suko, Cool T cię rzucił i my o tym wiemy.

Szdyżiły z jej rozpaczliwych, jak im się wydawało, wysiłków zmierzających do utrzymania przy sobie Coola T przez wystąpienie w jego ostatnim filmie wideo. W rzeczywistości to ona go rzuciła kilka tygodni temu, po tym jak po raz pierwszy i jedyny uderzyła ją w twarz. Jednakże w apogeum ich krótkiego roman-su Karen zgodziła się pokręcić tyłkiem w jego filmie i teraz

Cool T egzekwował warunki kontraktu. Dobrze, że chociaż nie przyszedł na plan, żeby być świadkiem jej upokorzenia. Niech sobie zachowa swoją pożał się Boże dumę. A ona chciała tylko mieć to jak najprędzej z głowy i znaleźć jakieś spokojne miejsce w życiu.

Pospieszyła wąskim korytarzem do małej toalety, używanej przez aktorów, gdzie zwymiotowała gwałtownie do umywalki. Kiedy żołądek się uspokoił, wypluła usta i ponuro spojrzała w niewielkie lustro. Jej agent przestrzegał ją przed Coolem T, który miał bogate dossier policyjne, a jego filmy były po prostu obrzydliwe. Producenci *Atrakcji* zagrozili, że wyrzucą ją z programu, jeżeli wystąpi chociaż w jednym.

- Dlaczego ja to zrobiłam? - zapytała samą siebie.

Bo chciałaś z tym wszystkim zerwać. Bo nienawidzisz swojego życia.

Wyszła z toalety i oparła się o ścianę. Zamknęła oczy i położyła rękę na żołądku.

- Czy to panna Noland? - zapytał melodyjny męski głos. - Przepraszam, że panią niepokoję.

Karen podskoczyła. Rozejrzała się szybko dokoła. Przed nią stał sympatyczny, elegancki czarny mężczyzna o masywnej budowie ciężarowca, ubrany w sportową marynarkę i spodnie. Uznała, że nie mógł być z Los Angeles, a już na pewno nie miał nic wspólnego z show-biznesem. Wyglądał jak normalna ludzka istota. Patrzyła na niego czujnie.

- Czym mogę panu służyć?

- Przepraszam, że przychodzę nie w porę. Czy pani jest chora? Może mógłbym w czymś pomóc? - Jego karaibski akcent uśpił nieco jej czujność, ale natychmiast zauważyła, że mężczyzna nie ma przepustki. Zesztywniała.

- Kim pan jest i jak się pan dostał na plan bez pozwolenia?

- Nazywam się William Leyland. Jestem konsultantem do spraw bezpieczeństwa i mam szerokie koneksje w tym środowisku. A ponieważ bardzo się spieszę, stąd moje zachowanie, niezupełnie zgodne z protokołem. - Zamilkł na chwilę, ale zaraz podjął: - Poza tym moja żona jest właścicielką dużej firmy reklamowej w Waszyngtonie i pani gorącą wielbicielką. Dzwoniła do firmy pana Cooola T i to mi otworzyło drzwi. Przepraszam, że panią zaskoczyłem.

Karen przeszedł dreszcz. Podglądacze i zwariowani fani zawsze wymyślali najfantastyczniejsze historie. Ruszyła korytarzem w kierunku bezpiecznej bliskości aktorów i grupy technicznej.

- W porządku. Możemy rozmawiać, idąc.

- Proszę mnie wysłuchać, panno Noland. Przychodzę w imieniu Darl Union.

Karen zatrzymała się gwałtownie. Darl.

- Czy u niej wszystko w porządku?

- Tak... Tak. Nie chciała pani niepokoić, ale niestety zarówno jej babka, jak i babka pani są w szpitalu w Burnt Stand.

Karen zamarła. Zerwanie stosunków - do którego sama zresztą doprowadziła - nie uchroniło jej przed uczuciem dojmującego niepokojem i miłości, jakie ją teraz ogarnęło. Moja jedyna rodzina.

- A moja babka...? Czy coś złego spotkało moją babkę?

William wyjaśnił, że miała niewielki wylew. Karen oparła się o ścianę, z trudem hamując łzy. Jak długo Matylda chorowała, nie mówiąc jej o tym? Wprawdzie kontaktowały się przez telefon regularnie, ale rozmawiały zdawkowo. Babka była zbyt dumna. I ja też - pomyślała Karen z rozpaczą.

- Czy wybiera się tam pani zaraz? - zapytał dziwny emisariusz Darl. - Załatwiłem bilety pierwszej klasy na samolot wylatujący za godzinę z Los Angeles. A tu czeka limuzyna.

- Hej! - zawołał ktoś przepitym głosem. Młody, krzepki kierownik produkcji w dredach i z notatnikiem w ręce machał do niej z drugiego końca korytarza. - Teraz ty. - Pokazał kciukiem w stronę sceny. Karen popatrzyła na niego ponuro. Zostałam wychowana na Południu, a tam ludzie mają lepsze maniery - miała ochotę wykrzyknąć. Moja babka jest damą. I ja też. Znów poczuła gorycz w ustach. Ostry makijaż drażnił skórę. Bolały ją obrzmiałe piersi, było jej zimno w pośladki. Na dobre czy na złe, nadszedł w jej życiu punkt zwrotny. Darl po nią posiąła, a babka potrzebowała jej pomocy. Karen miała rodzinę.

- Panie Leyland - powiedziała - jedziemy do domu.

Otrzymałam tyle wskazówek. I taka byłam ślepa. Eli kilka razy próbował powiedzieć mi coś o sobie. Muszę mu to przyznać. Czuję, jak po przeżytych szoku dokonuje się we mnie wielki rozrachunek, jak przychodzi zrozumienie, a jednocześnie ogrom-

ny zamęt, któremu trudno się było dziwić. Wszystko i nic, tysięcy ostrych haków, które tylko czekały, żeby rozerwać mnie na strzępy, tyle pytań, tyle wątków do rozpamiętywania, powodów, by łąkać ze złości, przygnębienia, niedowierzania. On przecież nie miał zielonego pojęcia, co ja przed nim ukryłam. Wszystko to porażało mój umysł, ale najgorsze, że gdzieś w środku, w siedlisku moich najgłębszych potrzeb i uczuć, tliła się czysta, niewypowiedziana radość z naszego ponownego spotkania.

Eli.

- A więc to jest on - powiedziała spokojnie Swan. Skinęłam głową. Siedziałam na niskim krześle koło jej łóżka, z pochyloną głową, zgarbiona. Byłyśmy same. Matyldę zabrano na EKG. Swan uśmiechnęła się blado. - Wróżka powiedziała jego siostrze, że znajdują dowody w obrębie naszej posiadłości.

Roześmiałam się ponuro.

- Zdemaskował nas świat duchów.

Swan położyła mi kruchą rękę na ramieniu, wbijając w nie paznokcie. Rurka od kroplówki zakołysała się przy tym nagłym ruchu. Uniosłam ostrzegawczo głowę i napotkałam surowy wzrok babki.

- Co zamierzasz? - zapytała.

- Zamierzam powiedzieć mu prawdę. Jeśli jest człowiekiem, za jakiego go uważam, to nie zrobi krzywdy tobie ani Matyldzie.

Wbiła mi mocniej paznokcie przez bluzkę.

- Porozmawiajmy o człowieku, o którym sądzisz, że tak dobrze go znasz. O człowieku, który cię okłamał co do swojej tożsamości, aby zyskać twoje zaufanie, chociaż wiedział, że przyjedzie tu przysporzyć nam kłopotu. O człowieku, który przez te wszystkie lata mógł z tobą nawiązać kontakt, ale tego nie zrobił. Wyjechał z kraju jako przestępca, a ty nie wiesz nawet, w jaki sposób udało mu się wrócić.

Wzięłam pod uwagę każdy z tych argumentów, ale uświadomiłam sobie, że sprowadzają się do jednego całkowicie nieracjonalnego: spałam z nim. A to musiało coś znaczyć. Najżałośniejsza wymówka, do jakiej może się uciec kobieta.

- Cokolwiek zrobił czy jakiegokolwiek miał zamiary - powiedziałam - zasługuje na to, żeby poznać prawdę.

- Czyżby rzeczywiście zasługiwał na to, żeby zniszczyć bezwzględnie twoje życie? Wiem, co ci zrobiłam, moja droga wnucz-

ko. Wiem, że masz prawo mnie nienawidzić. Ale jednocześnie widzę, że udało mi się stworzyć silną, dumną kobietę, która walczy o słuszne sprawy i robi dobre rzeczy. To nie ty zabiłaś Klarę. Nie ty zabiłaś Jaspera Wade'a. Gdybym mogła oszczędzić ci uczestniczenia w którymkolwiek z tych wydarzeń i tej wiedzy, umarłabym szczęśliwa, choćby i teraz. Ale fakt, że wiesz, co się stało, nie przesądza o twojej winie. Jeżeli powiesz prawdę Eliemu Wade'owi, a on nie okaże się tak wspaniałomyślny, jak sądzisz, to gotów cię zniszczyć. Zniszczy twoje dziedzictwo, jakim jest nazwisko Hardigree, a także twoje własne dobre imię. Co oczywiście zrujnuje ci karierę, odbierając szacunek, jakim cię darzą klienci, przysięgli, sędziowie i media. Wszystko to zostanie zaprzepaszczone.

- Gdybym się martwiła tylko o siebie, już dawno bym mu powiedziała.

- Dobrze, wobec tego będę bardziej egoistyczna. Jeśli mu powiesz, to zabijesz w ten sposób Matyldę. Niezależnie od reakcji Eliego. Zabije ją sama świadomość tego, że prawda wyszła na jaw. A jeśli żywisz jakiegokolwiek nadzieje na powrót Karen, to z góry je przekreślasz. Czy sądzisz, że potrafi zrozumieć, kiedy się dowie, że jej babka była zamieszana w śmierć Klary? Czy da sobie radę z taką wiedzą? Czy, poza litością i odrazą, zostanie w jej sercu jakiegokolwiek inne uczucie dla babki? Czy nie szkoda ci publicznego wizerunku i kariery Karen? Czy to miasto musi się dowiedzieć czegoś, co mu odbierze cały urok, szacowność i wyjątkowość?

Poczułam się tak, jakbym się dusiła. Jakby mnie przytłoczył wielki ciężar, wobec którego byłam całkowicie bezradna.

- Eli zasługuje na to, żeby się dowiedzieć - powiedziałam - i nic tego nie zmieni.

- To niech dochodzi prawdy. - Gapiłam się na nią w milczeniu. Skinęła głową. - Czy rzeczywiście uważasz, że to mu coś da? Niech szuka. Jeśli nawet znajdzie grób Klary, to jaki dowód w ten sposób zyska? - Nachyliła się do mnie. - Jak sądzisz? Jeśli ją znajdzie na ziemi, którą kupił, na ziemi, na której mieszkali w czasie, kiedy Klara zniknęła? Ludzie pomyślą, że jego ojciec ją tam pochował. I on sam też tak pomyśli.

Patrzyłam na Swan w osłupieniu.

- A więc ty chcesz, żeby on znalazł ciało Klary, tak?

- Teraz, kiedy sprawy przybrały taki obrót, tak. Raz na zawsze położy to kres plotkom na temat jej zniknięcia. Eli i jego rodzina zyskają spokój, znajdując odpowiedź na dręczące ich pytanie, a my pochylimy głowy w zadumie i modlitwie. - Swan opadła na poduszki, ale w dalszym ciągu trzymała mnie za ramię. - I wtedy będę mogła ekshumować Klarę i pochować ją w sposób znacznie godniejszy.

Powiedziałam bardzo wolno i bardzo dobitnie:

- Wiem, że byś go zniszczyła, gdybyś tylko mogła, ale ja do tego nie dopuszczę.

Przez chwilę milczała.

- W tej sytuacji będziesz musiała wybrać między nim a rodziną. Decyzja należy do ciebie. - Byłaby dobrym prawnikiem, ale zbyt pochopnym sędzią - pomyślałam, ale nie odezwałam się słowem. Swan wiedziała, że trafiła w dziesiątkę.

- Muszę się zastanowić - odparłam wreszcie.

Zapadło milczenie, po czym Swan powiedziała ściszym głosem:

- W twoich oczach cały świat jest niewinny, z wyjątkiem mnie.

- Dawno, dawno temu byłaś dla mnie całym światem. - Patrzyłam na nią spokojnie.

Puściła moje ramię, zostawiając na nim pięć małych czerwonych śladów w kształcie półksiężyca.

Oznakowała mnie.

Tommy Rakelew był w szkole jednym z najwredniejszych małych drani, zawsze na czele grupy dręczycieli, zawsze gotów do zaczepki kończącej się bijatyką. Eli nigdy nie uderzył małego padalca, ponieważ Tommy był mały. Dziś - w dalszym ciągu niski - miał, tak jak Eli, około czterdziestki, łysinę, a do tego jeszcze brzuch. Wraz z żoną prowadził gospodę. Teraz Tommy zatrzymał Eliego, który, paląc cygaro, przechadzał się po werandzie.

- Obawiam się, że twoje panie będą musiały znaleźć sobie jakieś inne miejsce - powiedział.

- W czym problem? - zapytał Eli.

- Moja żona się pomyliła i wynajęła ten apartament do końca tygodnia komu innemu. Już dziś spodziewamy się gości.

- To moja matka i siostra mogą się przenieść na dół.
- Te pokoje też są już zajęte.

Eli dostrzegł w oczach Tommy'ego fałsz. Przeszedł go dreszcz.

- Wiesz, kim jestem - powiedział.

Tommy cofnął się o krok.

- Nie chcę mieć kłopotów, Wade.

- Czy to Swan Samples kazała ci wyrzucić moją rodzinę?

- Powiedziałem, że nie chcę mieć kłopotów. Bądźmy szczerzy: ty i twoja rodzina nie wyglądacie na ludzi, których stać na taki hotel.

Cholerna Swan. Już się zaczynają kłopoty.

- Jeżeli piśniesz na ten temat chociaż słówko mojej matce i siostrze, to zrobię z tobą to, co powinienem był zrobić jeszcze w szkole. Przybiję ci tyłek do jednej z tych marmurowych ścian.

Tommy zbladł.

Eli odwrócił się na pięcie i odszedł.

Czas najwyższy rozegrać tę grę strategicznie.

Nieruchomości Burnt Stand. Eli wszedł do marmurowego lokalu, nie fatygując się nawet, żeby zamknąć za sobą drzwi. Zatrzasnęły się za nim same z łomotem. Zza pierwszego biurka gapił się na niego przyzwoicie ubrany młody mężczyzna.

- Pan jest recepcjonistą? - zapytał Eli.

Mężczyzna zamrugał oczami.

- Nie, proszę pana, jestem agentem.

Eli przyjrzał mu się dokładnie.

- Pan się tu wychował?

- Nnie, nie, ja pochodzę z Asheville. Przenieśliśmy się tutaj z żoną dopiero w ubiegłym roku. Ale zapewniam pana, że problem nieruchomości w tym wspaniałym, historycznym...

- Dobrze. - Eh przysunął sobie krzesło do biurka mężczyzny i usiadł. - Czy któryś z Domów Esty jest może do sprzedania?

- O! Widzę, że pan zna nasze czarujące tradycje i najpiękniejsze budynki. Tak, owszem, kilka z nich jest w tej chwili wystawionych na sprzedaż. A wszystkie w doskonałym stanie, dwa nawet częściowo urządzone. Antyki, piękne dywany... - Mężczyzna przerwał, przyglądając się spłóviałym dżinsom Eliego, bandażowi na jego ręce, zaschniętym kroplom krwi tam, gdzie Eli zaciął

się przy goleniu, i wreszcie wielkim, pełnym odcisków dłoniom. - Pan... pan zapewne się orientuje, że te domy są bardzo kosztowne. Ale mam też znacznie tańsze oferty, znacznie mniejsze domki pod miastem...

- Biorę Domy Esty.

Mężczyzna zamrugał z niedowierzaniem.

- Słucham pana?

- Biorę wszystkie Domy Esty. Umeblowane, nieumeblowane, wszystkie. A kiedy moja matka wybierze ten, który jej się spodoba najbardziej, proszę sprowadzić dekoratora, żeby go urządził. Chciałbym mieć to gotowe na jutro. Na noc umieszczę matkę, siostrę i jej maleńką córeczkę w motelu, ale liczę na to, że jutro przed kolacją przeniosą się do wybranego Domu Esty. A na pozostałe domy proszę mi znaleźć najemców. Najchętniej... tak, najchętniej kamieniarzy albo innych ludzi o skromnych środkach. U mnie nie będą płacili czynszu. Nie sądzi pan, że to ładny gest - umożliwić zwykłym ludziom wychowanie dzieci w Domach Esty? Myślę, że spodoba mi się rola właściciela domów w tym mieście. - Eh patrzył agentowi prosto w oczy. - Da się to zrobić?

Mężczyźnie opadła szczęka.

- Dla jasności: cena za te domy to suma przekraczająca dwa miliony dolarów. A to... wymaga trochę papierkowej roboty...

- Żadne takie. - Eli wyciągnął z kieszeni koszuli telefon komórkowy. - Wystarczy jeden telefon do mojego banku. Płacę gotówką.

Pływałam w basenie tak zapamiętałe, aż poczułam ból w klatce piersiowej i w ramionach, które ledwie mogłam unieść do góry, a mimo to w głowie nadal kłębiły mi się różne beznadziejne pomysły. Kiedy Gloria wpuszczała Leona na patio, wzdrygnęła się na widok moich porzuconych koło basenu spodni i butów. Ty nie jesteś damą tak jak twoja babka. Pływałam w bieliźnie i w podkoszulku. Na mój widok Leon zatrzymał się, speszony, i zmarszczył brwi. Uczepiona marmurowego brzegu basenu, oddychałam ciężko, potrząsając głową. Nie próbuj zrozumieć. Leon nachmurzył się jeszcze bardziej.

- Przyszedłem ci powiedzieć, że nie wystąpię przeciwko Eliemu Wade'owi - oznajmił spokojnie, jakby stwierdzał fakt.

Skinęłam głową, z trudem łapiąc powietrze, usiłując nabrać dystansu do rzeczywistości.

- Wcale bym cię o to nie prosiła.

- Ale prosiła mnie twoja babka. A kiedy odmówiłem, wyrzuciła mnie z pracy.

Powoli odzyskiwałam oddech.

- Zajmę się tą sprawą. Nie jesteś zwolniony z pracy. Rób dalej to, co robisz.

- Musisz zrozumieć jedną rzecz. Wiem, że u podstaw decyzji Swan leży interes firmy i jej reputacja. Nie jestem taki głupi, żeby myśleć, iż powierzy mi stanowisko dyrektora Marmurów Hardigree, jeśli będzie uważała, że czarny człowiek, postawiony tak wysoko w hierarchii firmy, zaszkodzi jej interesom. A niektórzy mi radzili, by nie pracować u Swan. Mówili, że powinienem stąd wyjechać i założyć coś własnego, obojętne gdzie.

- To dlaczego zostałeś?

- Bo to jest moje miasto, tu mam swoje korzenie, rodzinę. - Uderzył ręką w skałę. - Tutaj mogę być sobą. Tu najlepiej widać zmiany. - Urwał i uśmiechnął się ponuro. - I Eli, jako kamieniarz, stanowi część tego wszystkiego. On też należy do mojej rodziny. Jest biały jak mąka, a jednak...

- Musi być dumny z tego, że jest tak postrzegany.

- W porządku. To znaczy, że rozumiesz. A ja raczej zrezygnuję z pracy, niż wystąpię przeciwko Eliemu. Jeżeli uważa, że jego ojciec był niewinny i że kopiąc tu, za dworem, ma szansę znaleźć jakieś dowody, to zrobię wszystko, aby mu w tym pomóc. Zawsze się mówiło, że Jasper Wade został niesprawiedliwie potraktowany. I że twoja babka szukała kogoś, na kogo by mogła zwalić winę, a on był bardzo wygodny. Nie znaczy to, że ja w to wierzę, ale ludzie tak mówili i mówią do tej pory. Eh ma tu przyjaciół, o których nawet nie wie. Ludzi, którzy byli wtedy kamieniarzami. I którzy szanowali jego ojca.

- Chciałabym, żebyś mu udzielił wszelkiej możliwej pomocy. - Leon spojrzął na mnie zdumiony. Skinęłam głową. - I masz o tym mówić głośno. Zaproś go do kamieniołomu. I pokaż się ludziom w jego towarzystwie. Niech mu pomogą. Bo ja nie mogę - dodałam po chwili wahania.

- Ale uspokoisz jakoś swoją babkę? - Skinęłam głową. Leon stał przez chwilę jak ogłuszony. - Dobrze, to pozwól, że ci teraz

powiem ostatnią sensację: przed chwilą Eli wszedł do agencji nieruchomości i kupił pięć Domów Esty. Za blisko dwa miliony dolarów. Jego bank ma przelać pieniądze. Całą sumę.

Po co? Uczepiona brzegu basenu z niedowierzaniem słuchałam rewelacji Leona.

- Tommy Rakelow wyrzucił z gospody jego matkę i siostrę. Jestem przekonany, że twoja babka maczała w tym palce. Dlatego Eli przenosi je jutro do jednego z tych domów. Powiedział, że pozostałe wynajmie bardzo tanio kamieniarzom. Już wszyscy w kamieniołomie o tym wiedzą. Ludzie są bardzo podnieceni. Oznacza swoje terytorium. Daje sygnał, żeby mu nie wchodzić w drogę - jemu i jego rodzinie. Przyjechał tu pokazać, że dowiedzie swoich racji i że Swan mu w tym nie przeszkodzi.

Czując, jak powoli ogarnia mnie rozpacz i wściekłość z powodu taktyki, jaką obrała babka, zaniemówiłam.

Babciu, nie stawiaj mnie pod ścianą. Widząc, że się nie odzywam, Leon, przestraszony, potrząsnął głową.

- Wczoraj wieczorem Eli podał mi swoje prawdziwe nazwisko. Prosił, żebym zatrzymał je dla siebie. Obiecałem mu to. Wiem, że nie jest oszustem ani kłamcą. Nie widzieliśmy się dwadzieścia pięć lat, a mimo to mi zaufał. Ja mu też zaufam. Mam nadzieję, że ty również.

- Zamierzam zrobić wszystko, żeby mu stworzyć warunki, na jakie zasługuje.

- Otworzysz mu drzwi, ale już przez nie razem z nim nie przejdiesz, tak?

- Tak.

Widziałam wyraźnie, że szacunek Leona dla mnie doznał lekkiego uszczerbku.

- No tak, to zrozumiałe. W końcu jesteś Hardigree - powiedział z ponurą miną. Zrobiło mi się przykro. Leon ruszył do wyjścia. - Eli powiedział, że chciałby się przed nocą z tobą spotkać w Ogrodzie Kamiennych Kwiatów. - Serce mi się ścisnęło. A więc to było posłanie od Eliego. - Jeśli rzeczywiście chcesz być wobec niego sprawiedliwa, to idź i go przynajmniej wysłuchaj. - Skinął głową i wyszedł.

Wydzwignęłam się na brzeg basenu i usiadłam, patrząc w kierunku lasu. Eli. Jego imię, jego tożsamość to była zakazana piosenka. Nieznajomy, kochanek, tajemniczy mężczyzna, bogaty

mężczyzna, powiernik dusz, poszukiwacz prawdy, ofiara intryg Swan.

Stojący nad kośćmi Klary.

Eli siedział przykucnięty wśród głogów i chwastów, które porastały dawny ogródek przed Kamiennym Dworkiem. Niewielki marmurowy dom krył się wśród wysokich młodych klonów, które przez te lata zdążyły tu wybujać. Różne pnącza, dzika winorośl i róża jerychońska oplatały marmurowe ściany i kryły dachówką dach. Tu i ówdzie, między pnączami, widać było różowy kamień i zniszczone deski, którymi pozabijano okna i drzwi.

Eli sięgnął w dół, między głogi, odsunął dwudziestopięcioletni osad zgniłych liści i zagłębił palce w ziemi. Było to miejsce, w którym umarł tata. Tu wsiąknęła jego krew. Dokładnie w tym miejscu. Przyglądał się drobinom miękkiej czarnej gleby, roztarł ją między palcami, uniósł do góry i powąchał. A potem pochylił głowę w modlitwie: „Boże, doprowadź nas do prawdy, nawet gdyby była bardzo bolesna”.

Dostał gęsej skórki. Szybko wstał, odwrócił się instynktownie i spojrzął na wzgórze za domem. Wśród głębokich popołudniowych cieni poprzez gigantyczne jodły i sosny z trudem przedostawały się nieliczne promienie słońca. Na szczycie wzgórza stała Darl, patrząc w jego kierunku. Otaczała ją aureola cienia. Wiatr poruszał włosami i białą bluzką, którą wetknęła w zwiewną spódnicę koloru lasu. Mogła tam z powodzeniem stać i czekać przez całe jego życie, ponadczasowa, uwikłana w bezzwzględny świat Swan. Wolno uniosła rękę, jakby przysięgała, że da świadectwo prawdzie, a następnie odwróciła się i zniknęła po drugiej stronie wzgórza, w drodze do Ogrodu Kamiennych Kwiatów.

Eli poszedł za nią.

Moje nocne koszmary z Klarą w roli głównej nie miały w sobie nic z surrealistycznej niejasnej symboliki. Przypominały raczej krótkie pełne szczegółów filmy grozy, które zmuszona byłam oglądać. W każdym z nich Klara ryła pazurami ziemię, próbując wydostać się z grobu. Wyłaniała się zawsze w postawie pionowej,

jak upiór, rozsiewając dokoła siebie ziemię, liście i robactwo. Jej zapadnięte oczy płonęły jaskrawym błękitem. W resztkach przegniłego upapranego krwią i błotem ubrania połyskiwał wisiorek Hardigreech. Obejmowała ramieniem omszałą podstawę marmurowej wazy, pieszcząc ją i spoglądając ku spływającym z niej kaskadami artystycznie rzeźbionym kamiennym kwiatom. Pewnego dnia te kwiaty przemówią za mnie.

Poczułam gorycz w ustach i słabość w kolanach. Stałam z podniesioną głową i zaciśniętymi pięściami, na zboczach powyżej tego nawiedzanego miejsca - kolistej niszy i kręgu omszałych marmurowych ławek. Patrzyłam, jak Eli wspina się na szczyt niskiego pasma naprzeciwko mnie, jednak ani na chwilę nie oderwałam się myślami od pokrytego zgniłymi liśćmi skrawka ziemi koło podstawy marmurowej wazy. Całe racjonalne zaplecze mojego umysłu było bezsilne wobec potęgi oddziaływania Klary.

Eli Wade schodził teraz w dół: szeroki w barach, wysoki, szczupły mężczyzna o ciemnych oczach, na których widok moje serce za każdym razem zaczynało mocniej bić. W wieku około czterdziestu lat miał twarz dojrzałą, a oczy w dalszym ciągu zniewalające, choć twarde. Niczego nie musiał udawać; po prostu zajął miejsce dotychczas wypełnione wspomnieniem chłopca, którego kiedyś tak niewinnie kochałam. Oczywiście na jego obecny wizerunek nakładał się i Solo, ale Eh wrócił autentyczny i realny. Skurcz radości, bólu i smutku, jaki poczułam w piersi, mało mnie nie pozabawił tchu.

Zatrzymał się po przeciwległej stronie ogrodu, który zbudował jego dziadek na polecenie mojej prababki.

- Wiedziałem, że przyjdiesz - powiedział. - Żadne z nas nie może zapomnieć, jak wiele dla siebie znaczyliśmy. - Zrobił krok do przodu, ale na widok mojej uniesionej ostrzegawczo ręki ponownie przystanął. Najwyraźniej zamierzał zbliżyć się do mnie powoli, stopniowo, jakbym była sarną, która w każdej chwili może się odwrócić i umknąć. - Nie miałem pojęcia, że Bell podstępem kupiła od twojej babki tę część posiadłości - podjął. - Gdyby mnie uprzedziła, nigdy bym jej na to nie pozwolił. Ma w związku z tą ziemią jakieś szalone plany. Ale kiedy już mi o tym wszystkim powiedziała, uświadomiłem sobie, jak bardzo ta przeszłość ciąży i na mnie. I na naszej matce. I na tobie. Przekonałem się na

Florydzie, jak silna jest w tobie potrzeba wyzwolenia się spod jej władzy.

- A na tobie co jeszcze ciąży? Hazard? Wróciłeś tu jako człowiek, za którego głowę wyznaczono nagrodę, poszukiwany przez policję?

- Ściganie bukmacherów sportowych zajmuje niską pozycję wśród priorytetów prokuratury. Wszystkie swoje sprawy wyprostowałem, Darl. Jestem czysty.

- Ale zarobiłeś na tym ogromne pieniądze.

- Za to moje trochę może lewe pieniądze zainwestowałem chyba najwłaściwiej, jak było można. W firmy i akcje wysokiej techniki. Z udziałem mojego kapitału powstało kilka najbardziej liczących się przedsiębiorstw w Dolinie Krzemowej.

Oszołomiona, przestępowałam z nogi na nogę.

- Gdzie poznałeś Williama?

- Prowadziliśmy razem interesy na wyspach. Zajmował się sprawami ochrony. On też zarobił sporo. Mógłby już nie pracować.

- I tak się złożyło, że zapalał miłością do Grupy Phoenix, z którą ja się związałam?

- Wierzy w waszą misję. Chce współdziałać.

- Usiłuję się rozeznac w twoich koneksjach.

- Wszystko ci powiem, tylko mnie spokojnie wysłuchaj.

- Wmanewrowałeś tam swojego starego przyjaciela, żeby miał mnie cały czas na oku. O to chodziło, tak?

Twarz Eliego stężała.

- Nie. Proszę cię, pozwól...

- Mogłeś przyjść do mnie. Mogłeś mi powiedzieć o sobie. Ja bym zrozumiała.

- Teraz to wiem.

Opuściłam ramiona.

- Proszę cię, obiecaj mi, że nie ruszysz ogrodu.

- Tego ci nie mogę obiecać. Jechałem tu z przekonaniem, że przekopywanie tej ziemi to pomysł szalony. I może rzeczywiście taki jest, ale mimo to postanowiłem włączyć się czynnie w jego realizację.

Przekopie wszystko. Znajdzie Klarę i wyciągnie fałszywe wnioski.

- A jeżeli znajdziesz dowody na to, że Klarę zabił ktoś inny, co wtedy zrobisz?

W oczach Eliego dostrzegłam chłodną determinację.

- Znajdę drania i wsadzę go do więzienia. Przecież tobie też na tym zależy, prawda? Chyba mi w tym pomożesz?

Zrobiło mi się słabo. Jeśli kiedykolwiek miałam wątpliwości co do jego celów i uczuć w tej sprawie, to teraz całkowicie się ich wyzbyłam. Eli chciał zemsty, sprawiedliwości, krwi. W tym wypadku krwi Hardigreech.

- Moja babka jest chora i stara. Tak samo Matylda. Gdybyś zechciał poczekać...

- Aż umrą?

Skinęłam głową. Patrzył na mnie ponuro.

- Chcesz powiedzieć, że plotki, jakie by to mogło wywołać, są dla nich ważniejsze niż odpowiedź na pytanie, kto naprawdę zabił Klarę? Wiem, że trudno mówić o miłości między Swan a Klarą, ale przecież w głębi serca twojej babce musiałoby być zależne na ustaleniu, co tak naprawdę stało się z jej siostrą.

Miałam takie uczucie, jakby skóra oddzielała się od moich kości.

- Popieram to, co chcesz zrobić dla swojej rodziny, ale nie popieram twojego planu.

Zrobił kolejny krok do przodu, napięcie między nami rosło. Z udręką wpatrywał się w moją twarz.

- Ty uważasz, że to zrobił mój ojciec, prawda? Boisz się, że on to zrobił. Bo gdyby się to potwierdziło, nie mogłabyś ze mną być, tak?

Wytrzymałam jego wzrok.

- Ja bym nigdy, ale to nigdy...

- Nie potrafisz kłamać, Darl, widzę to po twoich oczach. Coś przede mną ukrywasz. I tu jest pies pogrzebany. Bo tylko w ten sposób można to wszystko logicznie wytłumaczyć. Gdyby się potwierdziło, że Klarę zabił mój ojciec, musiałabyś się ode mnie odsunąć. Stać na straży dobrego imienia Hardigreech, tak, o to chodzi?

- Proszę cię, żadnych domniemań na mój temat. Prawie mnie nie znasz.

- A co, do diabła, innego mógłbym o tym wszystkim myśleć? Mów, na miłość boską! - Z dzikim impetem pokonał zбочe i dzielący nas ogród i znalazł się przy mnie. Zanim zdążyłam się cofnąć, porwał mnie w ramiona. W rozpacz i udręce założyłam

się przed nim rękami, odpychając go. - Ja cię prawie nie znam?! Żebyś tego nigdy więcej nie mówiła. Wiesz, że to nieprawda.

- Ja ci nie mogę pomóc, nie mogę dać ci mojego błogosławieństwa, nie mogę... być z tobą tak jak na Florydzie. Teraz to już jest nie to samo.

- Nie pozwól Swan całkowicie sobą zawładnąć. Co ona ci takiego zrobiła? Czy cię tak bardzo zmanipulowała, że zamieniłaś się w nią? Dziewczyna, którą znałem, co tam dziewczyna, kobieta, którą znałem na Florydzie, nigdy by się przeciwko mnie nie obróciła. Czy wciąż chodzi o dobre imię Hardigreech? O to, że jako Hardigree nie możesz mnie kochać, dopóki nie będę miał właściwego rodowodu? Nigdy w to nie uwierzę.

- Kocham cię - powiedziałam. - I będę cię kochała przez całe życie.

- Darl.

Poszukał moich oczu, uniósł rękę i pieszczotliwym ruchem przejechał kciukiem po moim policzku. Jakby chciał mnie i moje słowa odcisnąć na swojej skórze. Oboje byliśmy bliscy łez. Z daleka odezwał się dzwonek - ten sam stary dzwonek, za pomocą którego Matylda wzywała mnie i Karen do domu.

- Muszę iść. O Boże, puść mnie, proszę.

Powoh otworzył ramiona i cofnął się.

- Ale to jeszcze nie koniec. Nie pozwolę ci zrezygnować z naszego szczęścia, tak jakby sobie tego życzyła twoja babka. Obojętne, jakie jeszcze motywy tobą kierują, do nich też się dokopię.

Te słowa, tak samo jak odgłos starego mosiężnego dzwonka, wbiły się ostrzem w moje serce. Byłam rozdarta na dwoje. Z powrotem wdrapałam się na wzgórze.

- Już nigdy nie próbuj spotykać się ze mną w tym miejscu. Ono jest nawiedzone.

- Kocham cię.

Potrząsnęłam głową.

- Nie możesz.

My też byliśmy nawiedzeni.

William stał na szczycie tarasowych stopni, wśród marmurowych łąbędzy. Obok niego, w zapadającym zmroku, złocistobrzawa i piękna w prostych czarnych spodniach i swetrze, stała Ka-

ren. Patrzyła, jak się wyłaniam z lasu. Po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat moja ukochana kuzynka zbiegła po stopniach, żeby mnie uściskać.

Nie miała o niczym pojęcia.

Kiedy weszliśmy z Karen do pokoju szpitalnego, przy łóżku Matyldy zobaczyłam nową kroplówkę. Długa, cienka rurka biegła do jej prawego przedramienia, w którym tkwiła igła. Matylda drzemała pod prześcieradłami, a ja nagle dostrzegłam w niej starą, kruchą, chorą kobietę z aureolą siwych włosów wokół głowy. Karen zatrzymała się na środku pokoju. Przytknęła dłonie do ust; w jej oczach zobaczyłam przerażenie. W drugim łóżku, ubrana w świeżą jedwabną koszulę i szlafrok, oparta na poduszkach jak władczyni, spoczywała Swan. W rękę trzymała małą otwartą książeczkę poezji haiku. Była również podłączona do kroplówki i miała przyklepioną do twarzy rurkę doprowadzającą tlen. Białe włosy opadały na ramiona. Robiła wrażenie mizernej, ale niebieskie oczy bezlitośnie sondowały Karen.

- Nie reaguj tak emocjonalnie - odezwała się do niej mocnym głosem. - W ten sposób jej nie pomożesz.

Patrzyłam na Matyldę ze ściśniętym sercem.

- Co tu się stało od czasu mojej porannej wizyty?

- Pewne badania dotyczące czynności serca wypadły niepomysłnie i lekarz zmienił jej lek.

Karen niepewnym krokiem podeszła do łóżka Matyldy.

- Babciu? - Matylda poruszyła się, otworzyła oczy i wydała cichy jęk. Karen usiadła obok niej na łóżku. - Babciu. - Matylda wyciągnęła drżące ramiona. Karen przytuliła ją w kurczowym uścisku. Po chwili, słysząc stłumiony szloch, usiadłam sztywno na krześle koło łóżka Swan. Nasze oczy się spotkały. Nachyliłam się do niej i szepnęłam z goryczą:

- Wiem o gospodzie Rakelowa i o Leonie.

Twarz babki pozostała niewzruszona, jeśli nie liczyć złośliwego ognika, jaki błysnął w jej oczach. Wzięła do ręki dodatkową poduszkę, której używała jako podkładki pod łokieć, i popychając ją do mnie, zapytała ironicznie:

- Kusi cię, żeby mi ją położyć na twarzy, co?

- Tak.

Jej rozbawienie nagle zgasło. Naprzeciwko nas Karen i Matylda dalej tuliły się we łzach. Swan i ja nigdy się do siebie nie tuliłyśmy, nigdy nie płakałyśmy jedna na ramieniu drugiej. - Zrobię, co będziesz chciała, ale wszystkich innych zostaw w spokoju - wyszeptałam.

Spojrzała na mnie z niemym triumfem i skinęła głową.

Przed motelem, na obrzeżach miasta, zebrał się wieczorem tłumek.

- Trzymajcie się z daleka - polecił Eh mamie i Bell. - Nie znamy tych ludzi. Być może, tak jak wam mówiłem, winią nas za choro-
bę Swan i Matyldy.

Wyszedł przed prosty piętrowy budynek, naprzeciwko którego znajdował się parking, pełen samochodów osobowych, półciężarówek i motocykli. Zebrało się tam z kilkadziesiąt osób - z gruba ciosanych mężczyzn i krzepkich kobiet. Kamieniarze i ich żony. Pośród nich wystąpił Leon.

- Przynieśliśmy ci coś, żebyś to zabrał na grób swojego ojca w Tennessee - powiedział.

Eli odetchnął z ulgą i przywołał mamę i Bell. Cała trójka pa-
trzyła, jak tłum otacza niewielką ciężarówkę, z której wystawała
wysoka marmurowa tablica z najpiękniej wrytym napisem, jaki
kiedykolwiek widzieli.

J A S P E R W A D E
M A Ź
O J C I E C
K A M I E N I A R Z
N I E C H S P O C Z Y W A W S P O K O J U
I S P R A W I E D L I W O Ś C I

- Te słowa dajemy ci z całego serca - powiedział Leon. - Mu-
sisz sprawić, żeby się ziściły.

Rozdział 17

Kiedy nazajutrz rano wychodziłyśmy ze szpitala od naszych babek, zauważyłam, że kobiety w informacji bardzo się nam przyglądają. W pewnej chwili dwie z nich podbiegły do nas.

- Kare Noland! - wykrzyknęły jednocześnie. - Kasandra! Uwielbiamy panią w tym programie. Pani babka jest szalenie dumna ze swojej wnuczki. - Stałam i patrzyłam, jak Karen z wdziękiem daje dwóm starym siwym kobietom autografy i jak one jej dziękują.

- Czy rzeczywiście babka o mnie mówiła? - zapytała, kiedy wychodziłyśmy. Usiadłyśmy w ogrodzie medytacyjnym, z azaliami i marmurowymi ławkami. Kiedy znalazłyśmy się w tym małym intymnym świecie, pochyliła się i oznajmiła: - Mój kontrakt wygasł. Powiedziałam agentowi, że wychodzę z programu. Nagrałam już ostatnie sceny. - Wzruszyła ramionami. - Ale Kasandra będzie żyła nadal. Znaleźli kogoś na moje miejsce. - Uniosła ręce. - Tak że moja kariera gwiazdy już się kończy.

Wysłuchałam tej ponurej wiadomości ze zdziwieniem i troską.

- Dlaczego to wszystko rzucasz?

- Jestem w ciąży.

Odczekałam chwilę i zapytałam:

- W którym miesiącu?

- W trzecim.

- Kochasz ojca dziecka?

- Nie. Postawił sprawę jasno, że nie chce być ojcem. Tym lepiej. To śmieć.

- Znam go?

- Nie, chyba że się obracasz w środowiskach gangstersko-raperskich.

- No to powiedz coś więcej.

Karen patrzyła na marmurową ścieżkę pod naszymi stopami.

- Szukałam miłości w niewłaściwych miejscach. Mam pieniądze. Wyglądam nieźle. Mogę uchodzić i za białą, i za czarną, brać i z górnej, i z dolnej półki, mam wybór. Tylko po prostu nie mogę znaleźć mężczyzny, bez względu na kolor skóry, który byłby tego wart. - Jej twarz się rozpodziła. Zagryzła dolną wargę. - Macierzyństwo to wreszcie coś, co ma naprawdę sens.

- Musisz powiedzieć babce.

- Nie wiem, jak mam to zrobić. Tak bardzo chciała, żeby jej wnuczka była bez skazy. I z klasą. - Karen zaśmiała się gorzko. - Lena Horn. Ale ja nigdy nie będę Leną Horn. Ona jest Leną Horn. A ja będę czarującą niezamężną matką. - Pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach.

Objęłam ją ramieniem.

- Może powinnaś poszukać miłości tam, gdzie ona jest prosta. I gdzie będzie zawsze. To znaczy tu.

Karen się wyprostowała. Osiągnęłyśmy wspólnie kruchy emocjonalny punkt kulminacyjny, po którym poczułam ulgę.

- Tęskniłam za tobą, ty głupia - wyszeptała Karen.

Zetknęłyśmy się głowami.

- Ja za tobą też.

Ze szpitala wyłonił się Leon w towarzystwie kilku mężczyzn. Patrzyłyśmy, jak z nimi rozmawia. Kamieniarze. Biali i czarni, mieszana grupa, którą łączyło jedno: z wyraźnym szacunkiem i uwagą słuchali tego, co miał im do powiedzenia. Przypuszczałam, że rozmawiał z nimi o Elim, i serce mi się ścisnęło.

- To jest Leon Forrest - szepnęłam. - Pamiętasz go?

Karen wyprostowała się, zaskoczona, spojrzała najpierw na mnie, a potem na Leona.

- Leon - powiedziała cicho.

Odwrocił się, rozejrzał od niechcienia po ogrodzie i zauważył nas. Wstałyśmy. Kiedy dotarło do niego, że to Karen, jego twarz stała się pusta - jakby wszystko, co dotychczas wiedział o sobie, nagle zniknęło i musiało zostać w nim od nowa stopniowo zainstalowane.

- Karen? - W jego głosie brzmiały radość i niedowierzenie.

Karen podeszła do niego, wyciągając piękną rękę. Przyglądałam się, jak patrzy na jego chmurną przekreśloną blizną twarz i jak Leon spogląda na nią z góry. Ujął jej dłoń w swoje wielkie łapy ostrożnie, jakby były z delikatnej porcelany. Prawie się nie ruszali, prawie nie mówili. Wymieniali powitania, wymieniali życzli-

Popatrz, co się z nimi dzieje. Wzdrygnęłam się, pod powiekami poczułam piekące łzy. Zrozumiałam, że moja kuzynka, wiedząca bezbłędnym instynktem, odnalazła drogę do domu. Nie mogłam jej tego zepsuć. Ubolewałam nad wszystkim, co mi się w życiu nie udało. Pomyślałam o Elim i zapragnęłam tego, czego nigdy nie będziemy mieli.

Eli obudził się spocony w eleganckiej sypialni w pięknym nowym wielkim łóżu, zaścielonym wybraną przez dekoratora pościelą, na puchowych poduszkach w Domu Esty o nazwie Burta. Dom stał na sporym placu, u zbiegu dwóch miłych wysadzanych dębami uliczek w Burnt Stand. Mieszkali tu przyjaciele Swan - wysoki urzędnik z Asheville na emeryturze, z żoną - ale niedawno umarli, pozostawiając swoim rozsiyanym po świecie dzieciom do sprzedania willę z marmurowymi portykami i patiami, z żyrandolami i europejskimi antykami. A dzieci - jak inni na ogół nieobecni właściciele pustych, kosztownych Domów Esty w Burnt Stand - chętnie przyjęli czek na pełną sumę, bez żadnych zbędnych pytań.

Mama i Bell z dzieckiem zajęły piękne sypialnie z balkonami. Każda miała dla siebie wielką łazienkę, a w niej wannę z biczami wodnymi. Bell co wieczór spędzała wiele godzin w bibliotece na rozmowach telefonicznych ze swoją wróżką i mężem, Altonem. I co wieczór ze Izami obiecywała Altonowi, że już wkrótce wróci.

- Musisz pozwolić mamie, by załatwiła to sama. Tu chodzi o jej dumę, a my jesteśmy jej dziećmi, które zostały skrzywdzone, więc ona powinna nas reprezentować. - Bell mówiła to wszystko szeptem do Eliego, trzymając go z całej siły za ramię i nie puszczając do mamy, która zmierzała właśnie do wind w szpitalnym holu. Annie Gwen spojrzała na portrety członków rady nadzorczej, zatrzymując się przed eleganckimi obrazami

w złotych ramach, przedstawiającymi Swan i Matyldę. Ubrana celowo skromnie w brązowy wełniany kostium i miękkie brązowe pantofle, patrzyła na nie surowo, z zaciśniętymi ustami. Przypominała Eliemu zdeterminowaną szarą mysz, spoglądającą na dwa ospałe koty.

- Nie, nie mogę - oświadczył. - Nie mogę puścić jej samej na spotkanie ze Swan. Poczekaj tu z Jessie, idę z mamą.

- Daj spokój, Eli, zostań... - Kiedy Bell szarpała go za rękę, otworzyły się drzwi windy i ku zdumieniu Eliego, wysiadła z niej Darl. Miała na sobie proste szare spodnie i miękki biały sweter. Włosy spięła klamrą, pozostawiając parę cienkich czarnych kosmyków, które opadały na czoło. Piękna figura, schludna sylwetka, pełna udręki, ale wyniosła twarz - wszystko to razem napełniło Eliego boleśnie beznadziejnym pragnieniem. Jej posępne niebieskie oczy powędrowały od niego i Bell do mamy, gdzie rozjaśniły się nieco w wyrazie smutnego powitania.

- Słyszałam, że chciałaś się widzieć z moją babką - zwróciła się do mamy.

- Tak. Mam z nią do pomówienia - odparła mama. - Przepraszam, Darl, wiem, że ona jest chora, nie będę jej długo męczyć, ale muszę przedstawić swoją sprawę.

- Chodzi o gospodę Rakelowa?

Mama skinęła głową.

- Nikt nie będzie mówił moim dzieciom, że są nie dość dobre, żeby mieszkać tu czy tam. Myślę, że twoja babcia jest chora i nie wie, co mówi, bo inaczej czy mogłaby tak traktować moją rodzinę?

- Nie, wiedziała dokładnie, co mówi, i nie ma na to żadnego wytłumaczenia. Ciebie, Bell i Eliego - Darl szybko spojrzała najpierw na jedno, potem na drugie - z całego serca przepraszam. Nie musicie mieszkać nigdzie na mieście. Przenieście się wszyscy do Marmurowego Dworu, będziecie moimi gośćmi.

Mama gapiła się na nią w osłupieniu. Tak samo Bell. Kiedy Darl, wchodząc tu, napotkała wzrok Eliego, wiedziała, że jest zły, ale jej zaproszenie jeszcze bardziej go rozdrażniło. Lekko potrząsnęła głową.

- Bardzo proszę - powtórzyła Darl.

- Doceniam to - odparł Eli - ale mamy do dyspozycji wystarczająco wygodny dom. Nie potrzebujemy litości.

- Eli - syknęła Bell. Mama zgromiła go wzrokiem. Darl skrzywiła się boleśnie.
- Nie chciałem, żeby to tak wyszło - powiedział, wyraźnie poruszony.
- Mama poklepała Darl po ramieniu.
- Dziękujemy ci bardzo, dziękujemy, ale teraz już bym chciała porozmawiać z twoją babką.
- Dobrze, pójdę z tobą. - Darl położyła mamie delikatnie rękę na ramieniu i wprowadziła ją do windy. Kiedy jechali w górę, spojrzała na Eliego.
- Uważaj na nią - powiedział ściszym głosem. Skinęła głową. - I na siebie - dodał pod nosem, kiedy drzwi się zamknęły.

Annie Gwen była wdową po Jasperze, czyli człowieku, którego zabiłyśmy, synu Anthony'ego Wade'a, którego Matylda darzyła gorącym uczuciem. W taki oto sposób przedstawiłam w myślach Swan i Matyldzie Annie Gwen Wade - jako ich kuzynkę i symbol, kobietę skrzywdzoną przez własną rodzinę. Do której zaliczałyśmy się i my.

Matylda powitała ją grzecznie, ale mówiła niewiele, była sztwywna i pełna godności, nawet w łóżku szpitalnym. Swan leżała w pozie monarchini przyjmującej kuriera z biedniejszego kraju. Stałam między łózkami obok Annie Gwen, która trzymała głowę podniesioną do góry.

- Nie przyszłam tutaj, żeby pani robić przykrość - zwróciła się do Swan. - I nawzajem oczekuję od pani przyzwoitego traktowania. Tak jak dawniej.

- Annie Gwen - wtrąciłam się, zanim Swan zdążyła otworzyć usta. - Dwadzieścia pięć lat temu nikt nie traktował ani ciebie, ani twojej rodziny przyzwoicie. Należą ci się przeprosiny za to, że moja cioteczna babka Klara w kłamliwy sposób przedstawiła historię Anthony'ego Wade'a w tym mieście. I za to, że moja babka odwróciła się tyłem do twojej rodziny. - Umilkłam na chwilę. - Wtedy i teraz.

Swan patrzyła na mnie ponad rurką z tlenem z lodowatym ostrzegawczym błyskiem w oczach. A potem przeniosła wzrok na Annie Gwen.

- Sytuacja była wtedy trudna i w najwyższym stopniu cha-

otyczna. Bardzo żałuję, że tak to wszystko się potoczyło. Tak samo żałuję, że właściciel gospody, Rakelow, odniósł parę dni temu wrażenie, że wasza rodzina jest niemile widziana w tym mieście. Zapewniam cię, że Rakelow źle zrozumiał moje zaniepokojenie. Pytałam go tylko o to, jak mieszkacie.

Odczekałam chwilę, aż to kłamstwo dotrze do Annie Gwen.

- To nieprawda - powiedziałam. - Wielu gości mojej babki zatrzymuje się u Rakelowów. Gospoda zawdzięcza jej znaczącą część swoich dochodów. Swan powiedziała właścicielowi, że nie życzy sobie tam waszej rodziny, i Rakelow was wyrzucił.

To zaprzeczenie, rzucone jej w twarz, bez żadnych ogródek, sprawiło, że atmosfera w pokoju bardzo się usztywniła, a Swan wyraźnie zbladła. Annie Gwen nie bardzo wiedziała, jak się zachować wobec tak bezwzględnej uczciwości Darl i chłodnego milczenia Swan.

- Pani Samples - powiedziała wreszcie - jest pani winna mnie i moim dzieciom przeprosiny.

- Naturalnie, że was przepraszam - powiedziała Swan, patrząc na mnie spode łba. - Rozumiem, że jakoś nieźle urządziliście sobie życie. Z tego, co słyszałam, Eli świetnie sobie radzi, a twoja córka dobrze wyszła za męża. Masz rozkoszną wnuczkę, same sukcesy.

Annie Gwen zmarszczyła czoło.

- Moja rodzina wyszła z tarapatów dzięki uczciwości i ciężkiej pracy.

- To po co wracać do tak smutnych rzeczy z przeszłości, które tylko mogą nam wszystkim sprawić ból?

- Chcemy dowiedzieć się prawdy o moim Jasperze. Przekonanie mojej córki, że ta ziemia kryje w sobie jakieś tajemnice, wynika tylko z jej cierpienia. Wiem, że to głupio brzmi, ale być może Bóg nas tu przysłał w jakichś innych celach. Musimy się przekonać, co to za cele.

Matylda, która była coraz bardziej niespokojna, położyła kruchą dłoń na sercu.

- Jest jeden wspaniały cel, któremu na pewno wszyscy możemy służyć. Mam na myśli projekt Stand Tall. - Zapanowało milczenie. Mina Swan mówiła, że jest to jedna z tych nielicznych okazji, kiedy Matylda potrafiła ją zaskoczyć i się jej postawić. - Jeśli powiem, że byłoby dla nas wielkim zaszczytem, gdybyście

zechcieli wziąć w tym projekcie udział, to z pewnością będę również wyrazić wolę Swan.

- A co to za projekt? - Annie Gwen zwróciła się do mnie. Szybko opisałam położoną w górach szkołę dla dzieci bezdomnych i dzieci z problemami. W jej oczach zapaliła się iskierka szczerzego zainteresowania. - Porozmawiam o tym z Elim. To on się zajmuje finansami moich charytatywnych poczynań. Ja sobie nie radzę z takimi sumami pieniędzy. On w moim imieniu rozmawia z księgowym.

- Annie Gwen, nie potrzebujesz dawać żadnych pieniędzy na ten projekt - zapewniłam ją szybko.

- Ale gdybym dała dużo pieniędzy, tobym miała prawo zasiadać w radzie nadzorczej. - Sprytnie dając sygnał, że nie jest taka głupia, za jaką mogliby ją mieć, Annie Gwen skinęła głową w stronę Swan i Matyldy. - Dziękuję, dziękuję ci bardzo. Mój syn będzie z tobą na ten temat rozmawiał. - Poklepała mnie po ręce. - Jeszcze raz dziękuję. A teraz zjeżdż na dół.

Wyszła z pokoju, skromna i mała, a jednak bardzo duża.

Swan uniosła się na łóżku, wpatrując się w Matyldę.

- Ona jest wdową po synu Anthony'ego - powiedziała spokojnie Matylda, po czym ruchem kruchego zmęczonego ptaka naciągnęła na siebie kołdrę i odwróciła się do nas plecami.

Wymieniłyśmy ze Swan spojrzenia. Jej było mroczne. W moim malowało się małe niespodziewane zwycięstwo.

Prochy „Żaby” przybyły zwykłą pocztą w kartonowym pudełku. Odebrałam je od Głorii przy drzwiach wejściowych Marmurowego Dworu, zaniiosłam do biblioteki i postawiłam na stoliku pomiędzy marmurową szachownicą a małym marmurowym popiersiem Esty, następnie usiadłam na krześle naprzeciwko, jakbym witała niespodziewanego gościa. Kiedy mój oddech się już uspokoił, zaczęłam mówić do „Żaby”:

Najważniejsze w życiu jest to, żeby panować nad wszystkim, co się robi. A ja to panowanie straciłam. I nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek w pełni odzyskam kontrolę nad swoim życiem. Ale też nie chciałabym być za niczyje życie odpowiedzialna.

Karen siedziała w szpitalu. Dom był cichy, jakby wstrzymał oddech, bez Swan wydawał się przeraźliwie pusty. Po jakimś cza-

sie poszłam na górę, założyłam jasnoszary kostium i wróciłam na dół, z torebką przewieszoną przez ramię i kluczami samochodowymi w ręku.

- Jadę do Asheville na lotnisko - poinformowałam Głorię. - Zadzwoń do szpitala i powiedz Karen, że lecę do Waszyngtonu i wieczorem będę w domu.

- Pani zostawia... zostawia to pudełko ze spalonym ciałem tego człowieka... w domu?

- Nie bój się, nie zrobi ci krzywdy.

- On zabił dwóch ludzi. Czym sobie zasłużył na miejsce w tym domu?

Zatrzymałam się i patrzyłam na nią tak długo, aż się cofnęła.

- A dlaczego ktokolwiek w tym domu miałby zasługiwać na przebaczenie?

- O co chodzi? Co pani chce przez to powiedzieć?

Wyszłam.

Biura Grupy Phoenix, mieszczące się w niewielkim budynku z czerwonego piaskowca w pobliżu Pennsylvania Avenue, wychodziły na ruchliwy waszyngtoński bulwar. Kilkuminutowy spacer dzielił mnie od Białego Domu, pomnika Waszyngtona, Centrum Lincoln. Mieszkałam na pobliskim osiedlu dobrze utrzymanych domów z cegły, z małymi balkonami i trawnikami, w jednej z przyzwoitych cienistych dzielnic miasta, otoczonych małymi restauracjami i eleganckimi sklepami, ze stacją kolei podziemnej w odległości zaledwie paru przecznic. Zdażyłam się zadomowić w Waszyngtonie, który traktowałam jak swoje miasto.

Kiedy wysiadłam z taksówki przed biurem, rozejrzałam się tępo dokoła, jakby znajome widoki znikły, a może to znikłam ja sama.

- Miło panią znów widzieć, panno Union - powitał mnie strażnik na dole w portierni. Przeszłam przez wyłożony ciemną boazerią hol, wsiałam do windy, wjechałam na trzecie piętro i znalazłam się w recepcji z wygodnymi krzesłami i puszystym dywanem. Widząc uśmiech i żywiołową reakcję naszej recepcjonistki, ładnej i milej studentki, położyłam palec na ustach.

- Irene mnie oczekuje - powiedziałam. Nie chciałam rozma-

wiać z pozostałą piątką prawników tworzących grupę. Przyjechałam w bardzo prostej i bardzo bolesnej misji.

Dziewczyna nacisnęła brzęczyk. Spotkałyśmy się w drzwiach jej gabinetu. Irene była niską, okrągłą czarną kobietą o siwych gładko zaczesanych do tyłu włosach. Nosiła szyte na miarę szare spodnie z marynarkami, które zawsze ożywiała kolorowym szalikiem, spiętym złotą spinką. Cały jej wygląd świadczył o gruntownej wiedzy i kompetencji.

- Nie podoba mi się twoja mina - powiedziała, zapraszając mnie do środka. - Spodziewałam się, że zobaczę cię wypoczętą, a ty wyglądasz, jakbyś wróciła z wojny.

- Muszę ci coś powiedzieć. - Usiadłam naprzeciwko niej, po drugiej stronie zagraconego biurka, na którym piętrzyły się teczki z aktami i stał komputer. Irene zmarszczyła czoło, zajmując miejsce w skórzanym fotelu. Była jedną z pierwszych reprezentantek mniejszości, którym powierzono stanowisko sędzi federalnej, a w rok po odejściu na emeryturę z resortu sprawiedliwości zorganizowała Grupę Phoenix. Jako młoda kobieta uczestniczyła w Alabamie w marszach organizowanych przez doktora Kinga. W kołach prawniczych słynęła z inteligencji i uczciwości, stając się niemal legendą. To, co jej przysłałam powiedzieć, było chyba najtrudniejsze w historii mojej współpracy z Irene.

- Odchodzę z fundacji.

- Dlaczego?

- Skrócona wersja brzmi: nie widzę siebie dalej w roli adwokata sprawiedliwości, prawdy i Amerykańskiego Porządku.

- „Żaba” Marvin to nie była twoja wina. Nie przyjmuję twojej rezygnacji. Musisz mi powiedzieć, o co naprawdę chodzi.

- Mam obowiązki wobec rodziny.

Pochyliła głowę, patrząc na mnie surowo ciemnymi oczyma spod siwiejących brwi.

- Dzieje się z tobą coś bardzo niedobrego. Chciałabym wiedzieć co.

- Być może będę musiała przejąć interesy mojej babki w Karolinie Północnej.

- Nie o to chodzi. Mów prawdę.

- Wszystko się zmieniło. W moim życiu osobistym panuje chaos.

Irene się zawahała, po czym powiedziała spokojnie.

- Wiem o twoim związku z Elim Wade'em.

Cisza. Patrzyłam na nią w milczeniu. Powolne tykanie antycznego zegara, stojącego na ciemnym regale, rozbrzmiewało w mojej głowie głośnym echem. Byłam zdezorientowana.

- Mogę się domyślać, że masz informacje od Williama.

- Wiem wszystko.

- Nie żałuję sytuacji, w jakiej postawił mnie William, ale nie chciałabym, żeby to w negatywny sposób wpłynęło na jego pozycję w fundacji. Spróbuję ci wyjaśnić, na czym polega mój związek z Elim Wade'em...

- Nie musisz. - Irene wstała. - Chodź ze mną.

Poszłam za nią korytarzem do niewielkiej sali konferencyjnej. Otworzyła drzwi i gestem zaprosiła mnie do środka. Weszłam i zaraz potem stanęłam jak wryta. Z sercem w gardle zobaczyłam Elięgo, który na mój widok wstał z krzesła. Górne światła lśniły na jego włosach. Miał na sobie beżowe spodnie, koszulę w prążki i skórzane szelki. Zdawałam sobie niejasno sprawę z tego, że Irene zamyka za mną drzwi, zostawiając nas samych.

- Nie mam zielonego pojęcia, co tu się dzieje - powiedziałam wreszcie.

- To moja wina. Siadaj i wysłuchaj mnie. Wszystko ci wytłumaczę. - Usiadłam powoli, w drugim końcu stołu, i położyłam dłonie na chłodnym, ciemnym blacie. Eli zajął miejsce w fotelu i przerzucił ramię przez jego wysokie oparcie. Zachowywał się w sali konferencyjnej swobodniej, niż się spodziewałam.

- Myślałem, że nigdy nie wrócę z wysp - zaczął. - Ale moja matka i Bell źle się tam czuły. A poza tym Bell poznała Altona Canetree i zakochała się. Przyzwoite chłopisko z Tennessee, agent nieruchomości i developer. Oświadczył się jej i namówił do powrotu. - Eli umilkł i westchnął ciężko. - Jak już ci mówiłem, William był moim partnerem w interesach. Razem prowadziliśmy zakłady sportowe i zrobiliśmy na tym duże pieniądze. A o hazard otarłem się już jako nastolatek, Darl. I byłem w tym dobry. Bo to wszystko to matematyka - ocena szans, wykalkulowane ryzyko, statystyka. Po wyjeździe z Burnt Stand byliśmy biedni jak mysz kościelna, postanowiłem więc zrobić pieniądze, nie oglądając się na nic. Poszła fama o moim „talencie”, a kiedy miałem osiemnaście lat, zacząłem ukrywać swój prawdziwy

wiek. Pracowałem po kasynach, trzymałem się bukmacherów. I tak się zaczęło. Nie twierdę, że jest się czym chwalić. Po prostu mówię ci, jak było.

- - A jak doszło do tego, że się zaangażowałeś w to? - Zrobiłam nieokreślony ruch ręką, mając na myśli Grupę Phoenix.

- William też miał już dosyć bycia człowiekiem bez własnego kraju. Urodził się na Jamajce, ale w Stanach mieszkało dużo krewnych. - Eli przerwał. - Łącznie z Irene. Która jest jego babką.

Moja ręka zawisła w powietrzu. Opuściłam ją powoli.

- Rozumiem.

- Wróciłem chyłkiem do kraju. I zastanawiałem się, co dalej. Zostać, wziąć adwokata, przyznać się do wszystkiego, zaryzykować pójście do więzienia na rok czy dwa? Albo przywieźć mamę i Bell, a samemu... wyjechać? Zobaczyć świat? Ja już do tej pory sporo podróżowałem - tu i tam grałem w pokera na duże pieniądze, próbowałem różnych rzeczy, które mnie interesowały, jak systemy komputerowe i związane z komputerami gadzety. Może tym się zajmę - pomyślałem. Wróciłem do Stanów, żeby tu podjąć decyzję. - Wstał i ruszył wzdłuż stołu, kładąc szeroką dłoń na każdym krześle, które mijał po drodze, aż wreszcie zatrzymał się w połowie drogi do mnie. - Jedno wiedziałem na pewno: że koniecznie muszę cię zobaczyć.

Wolno wypuściłam powietrze.

- Dlaczego?

- Wtedy upłynęło prawie dwadzieścia lat od naszego ostatniego spotkania. I przez ten cały czas nie było dnia, żebym o tobie nie myślał. Wyobrażałem sobie, że masz dość mnie, mojej rodziny, wspomnień. Skoro uważałaś, że to mój ojciec zabił Klarę, to niby dlaczego miałybyś jeszcze kiedykolwiek mnie oglądać? Ale musiałem się z tobą zobaczyć, przynajmniej raz. Wytropiłem cię w Atlancie. Ustaliłem, że jesteś prawniczką, i to nie byle jaką prawniczką, sądząc z twoich dokumentów. Pragnąłem się dowiedzieć, dlaczego tak bardzo angażowałaś się w obronę ludzi biednych, często z marginesu społecznego. Zawsze wyobrażałem sobie siebie jako czyniącą dobro, ale nie w ten sposób.

Wybrałem się do śródmieścia Waszyngtonu, żeby zobaczyć cię przy pracy. Usiadłem na sali sądowej, pod ścianą, i czekałem. -

Eli przerwał. - I nagle... weszłaś. Pomyślałem: tak, to ona. T o n a . Twoją klientką była wtedy taka mała czarna kobieta, która strzelała do swojego byłego chłopaka. Zraniła go w ramię, jeśli pamiętam, ale jednak... Latami ją bił. Groził jej dzieciom i nie chciał ich zostawić w spokoju. Wyglądała koszmarnie - biedna, brzydka, przerażona, mniej niż zero. Ale ty wstałaś i wygłosiłaś mowę do przysięgłych, po której miałem ochotę bić brawo. Mówiłaś o tym, że trzeba się pochylić nad ludzką godnością w trudnych okolicznościach. I że prawo sprawować można tylko, posługując się zdrowym rozsądkiem i miłosierdziem. Przysięgli słuchali cię, jakbyś była pastorem, wygłaszającym swoje najlepsze kazanie. A ta kobieta, ta twoja klientka, wpatrywała się w ciebie po prostu z nabożną czcią. - Eli zagryzł wargę. - I wygrałaś. Wygrałaś obronę tej kobiety. A ja... ja zakochałem się w tobie po raz drugi. Zrozumiałem, że muszę wszystko w swoim życiu naprawić, żeby dorównać twoim standardom.

Schyliłam głowę. Jego słowa raniły mnie w sposób, którego nie mógł się nawet domyślać. Nie miał się czego wstydić. Cała wina była po mojej stronie.

- Dałeś się nabrać.

- Poszedłem do Irene, która była wtedy sędzią. Tak jakbym sam oddał się w ręce sprawiedliwości. Powiedziałem jej, żeby zrobiła ze mną, co uważa za stosowne. Postanowiłem wyłączyć z tego Williama. Wziąć na siebie całkowitą odpowiedzialność za nasze wspólne hazardowe interesy. Ona już od dawna starała się go z tego wyciągnąć. Zapytała mnie, dlaczego zaryzykowałem wszystko, wracając do Stanów. I co było dla mnie takie ważne. I wtedy powiedziałem jej o tobie. Siedziała i słuchała, wreszcie powiedziała: „Nie pozwolę ci iść do więzienia. Sprowadź tu Williama, postaramy się to wszystko jakoś przyzwoicie załatwić. A potem chciałabym, żebyś mi przedstawił tę nadzwyczajną młodą kobietę. Tę Darl Union”.

Tłumaczyłem jej, że to jest niemożliwe. Że nie chcę ci komplikować życia. - Zrobił pauzę, skrzywił się z niesmakiem i po chwili podjął: - No dobrze. Raczej bałem się spojrzeć ci w oczy. Bałem się tego, co w nich zobaczę, kiedy się spotkamy.

- Eli, ja nigdy tak na ciebie nie patrzyłam...

- Chciałem ci pomóc. Chciałem, żebyś dalej robiła tę dobrą robotę. Chciałem brać w tym udział. Miałem pewien plan

i przedstawiłem go Irene. Właśnie odchodziła na emeryturę z sądownictwa. Spytałem, czyby nie zechciała z pomocą moich pieniędzy utworzyć jakiejś grupy świadczącej ludziom biednym darmową pomoc prawną. - Zawahał się, spojrzął na mnie, jakby nie był pewien, czy nie wyjdę, zanim skończy. - Zgodziła się i tak się to wszystko zaczęło. To właśnie wtedy Irene skontaktowała się z tobą i zaproponowała ci pracę. - Uniósł obie ręce dłońmi do góry, jakby mi ofiarowywał siebie. - I znów zaczęły się schody. Ale dzięki temu siedzimy tu dzisiaj razem.

- To znaczy, że Phoenix powstał całkowicie z twoich pieniędzy?

Skinął głową.

- Tak. - Przerwał. - Mam bardzo dużo pieniędzy.

Milczałam. Wpatrywałam się w blat stołu konferencyjnego, szukając w słojach drewna jakiejś skazy, czegoś, na czym można by zatrzymać oko. Eli przyglądał mi się znużonym wzrokiem.

- Nie wymyśliłem tego wszystkiego po to, żeby cię szpiegować czy manipulować twoim życiem. Po prostu się usprawiedliwiam. I proszę o przebaczenie.

On m n i e prosi o przebaczenie. Ścisnęło mnie w gardle. Powiedz mu. Powiedz mu wszystko. Zabierz go do Burnt Stand i pokaż mu kości Klary w ogrodzie.

I strać go na zawsze. Nie, jeszcze było za wcześnie. Potrzebowałam więcej czasu.

- Jedź ze mną - powiedziałam.

Powiedz mu. Powiedz mu o Klarze. Zaufaj, że ci przebaczy. Poszliśmy do mnie; było popołudnie. Zaciągnęłam kotarę na drzwi balkonowe, rozsunałam zasłony w sypialni, tam gdzie stary dąb przesłaniał widok. Eli wszedł za mną. Patrzyliśmy to na łóżko, to na siebie nawzajem.

- Jest tak wiele rzeczy, których o mnie nie wiesz... - zaczęłam.

- Ciiii... - Rozsunął mi żakiet, rozpiął u góry bluzkę i położył dłoń w dekolcie, opuszczając ją powoli na piersi. - Jestem prostym człowiekiem - powiedział, chociaż wiedziałam, że nie jest. - Teraz idziemy do łóżka, potem będziemy rozmawiali.

Nie, nie będziemy.

- Eli...

Położył mi dłoń na ustach.

- Jesteś jedyną osobą, która mnie zawsze rozumiała. Jak wtedy, kiedy byliśmy dziećmi. A teraz jeszcze lepiej. Nie myśl. Nie mów. I ja też nie będę, teraz. - Poddałam się, całkowicie bezbronna. Wziął mnie na ręce, poniżej bioder, i trzymając tuż przy sobie, unióśł wysoko. Całował moje piersi, a ja schyliłam głowę, tuląc się do niego. Zaniósł mnie do łóżka i oboje udawaliśmy, że nic innego się nie liczy.

Kiedy leżeliśmy nadzy, spleceni w uścisku, zaspokojeni i wycieszeni, Eli zapytał:

- Czy w dalszym ciągu zamierzasz zrezygnować z Grupy Phoenix?

Teraz to już była sprawa honoru. Kiedy przyjdzie czas i pokażę mu ogród, uwolni się ode mnie pod każdym względem.

- Tak - powiedziałam cicho.

- Nie chcesz, żeby cię kojarzono z moim nazwiskiem?

- Nie o to chodzi.

- Nie wierzę ci. To jedyne logiczne wytłumaczenie.

- Czy po tym, co przeżyliśmy przed chwilą, uważasz, że mogłabym tak czuć?

- Sam nie wiem, co o tym sądzić, Darl. Dlaczego nie powiesz mi prawdy? - Milczałam, znowu stopniowo oddalaliśmy się od siebie. - To ja wobec tego idę - powiedział smutno.

Skinęłam głową.

- Rozumiem. - Więcej się już do siebie nie odezwaliliśmy. Eli włożył ubranie, a ja zawinęłam się w prześcieradło. Czułam się naga i brzydka.

Wyznanie prawdy nie mogło mi przejść przez usta.

Karen i ja siedziałyśmy na werandzie. Karen miała na sobie koszulę nocną i czerwony jedwabny szlafrok, który wyciągnęłam z rzeczy po mojej matce. Powiedziałam jej o wyprawie do Waszyngtonu i o tym, czego się dowiedziałam o Elim i Grupie Phoenix. Rozmawiałyśmy całą noc i nad ranem wyglądałyśmy jak róże umęczone zbyt długim deszczem.

- Kiedy dowiedziałam się tych wszystkich rzeczy o naszej rodzinie - powiedziała spokojnie - chciałam stąd jak najprędzej

wyjechać. *Znaleźć* się w takim miejscu, gdzie mnie nikt nie zna. - Zawahała się. - Ale im bardziej samotna się czułam, tym większa ogarniała mnie złość. Nie miałam ochoty tęsknić za żadną z osób czy żadnym z miejsc, które były częścią tego kłamstwa. Ani za babką. Ani za tobą. Ani za domem. Ale tęskniłam. - Pochyliła głowę. - Dziś oceniam to jako niepotrzebną stratę energii. Przeszłość nigdy mnie nie opuściła. Tak jak ciebie i Eliego.

- Nie. Musiałaś wyjechać, żeby wrócić i pogodzić się z przeszłością.

- A ty... też tego próbujesz?

- Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem w tej chwili, czego tak naprawdę próbuję.

- Jak myślisz, co Eli może tam znaleźć? - Karen ruchem głowy wskazała lasy za basenem i ogrodami. - Boję się, że znajdzie coś, co tylko potwierdzi winę jego ojca.

Spojrzałam na swoje ręce, zaciśnięte na kubku z kawą.

- Jego ojciec był niewinny. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

- To kto mógł, na miłość boską, zabić Klarę? Kto mógł mieć motyw, żeby to zrobić?

- Wiele osób. Klara była zła.

- Zła? To średniowiecze. To pachnie Biblią. Mówisz nie jak prawniczka. Przecież chyba nie chcesz powiedzieć, że...

- Zła. - Spojrzałam jej w oczy. - Być może wszystko jest tu zbudowane na fałszywym systemie wartości. A ona była tylko czubkiem góry lodowej Hardigreech.

Karen potrząsnęła głową.

- Swan i moja babka nie zasługują na to, żeby mieć schyłek życia zatruty takimi przykrymi wspomnieniami. Nie zrobiły nic złego. Nie chciałabym obciążać Eliego i jego rodziny odpowiedzialnością za ich chorobę, ale przecież taki stres na pewno im nie pomógł.

Wytrzymałam jej wzrok.

- Uważasz, że jest winien im coś więcej niż swojej rodzinie? Pamięci własnego ojca? To dobry człowiek. On nie chce nikogo skrzywdzić.

- Dalej go kochasz - oznajmiła spokojnie, mrużąc oczy w porannym słońcu. - To widać. I słychać w każdym twoim słowie, kiedy o nim mówisz. - Objęła dłońmi kubek mleka.

Po chwili wahania skinęłam głową.

- Wiem, że to brzmi głupio i nieprawdopodobnie, ale tak jest rzeczywiście.

- Nie, to do ciebie bardzo podobne. Do ciebie dawnej. Dziewczyny o otwartym sercu, z którą się wychowywałam.

- Czyżbym się aż tak bardzo zmieniła?

- Och, Darl, po zniknięciu Klary i zabiciu ojca Eliego zmieniłaś się ca ł k o w i c i e . Przestałaś mnie właściwie zauważać. Zamknęłaś się w swoim własnym świecie. Byłam nieszczęśliwa. - Karen przerwała. - Ja też się zmieniłam. Muszę to przyznać. Wstydziłam się, że stanowią część tutejszej historii. Czułam się przeraźliwie osamotniona. Uparłam się, że nikogo nie potrzebuję. Ciebie. Babki. Nikogo. Ale, mój Boże, problem polega na tym, że ja to miejsce kocham! Ten dom. To miasto. Czy to nie jest chore?

- Nie. Rozumiem cię. To miasto zbudowała moja rodzina. I twoja. I Eliego. Hardigree i Wade'owie. - Kawa paliła mnie w gardle jak kwas. Otworzyłam drzwi balkonowe i zaczęłam głęboko oddychać. - Proponuję, żebyśmy się ubrały i po drodze do szpitala wstąpiły do nowej restauracji przy placu. W śniadaniowym jadłospisie mają bajgiełki i twarożek. Czy możesz sobie coś takiego wyobrazić w Burnt Stand? Jesteśmy właściwie kosmopolityczni... - Urwałam, słysząc dudnienie. Zmarszczyłam brwi i poszłam na patio przy basenie. No właśnie. Znów. Ciężki sprzęt, głęboko w lesie. Buldożery zdzierające ziemię.

Eli.

Kiedy ubrałyśmy się i przez strome wzgórza i głębokie doliny dotarłyśmy na miejsce, Eli zdążył już oczyścić teren wokół Kamiennego Dworku. Siedział wysoko, w kabinie pomarańczowej maszyny, którą operował z wielką wprawą, prezentując jeszcze jeden talent. Leon obsługiwał drugi buldożer. Kilkunastu mężczyzn, w których poznałam kamieniarzy, przesiewało ziemię. Nieopodal Bell, pochylona nad łopatą, wpatrywała się w wykopaną ziemię niczym archeolog. Była delikatna i drobna, w dżinsach i zielonej koszulce, z miękkimi ciemnobłond włosami splecionymi w dziewczęcy warkocz i niemowlęciem w kolorowym nosidełku przy piersi. Annie Gwen siedziała na ogrodowym

krześle, w dużym słomkowym kapeluszu, który ocieniał jej twarz. Na kolanach trzymała otwartą Biblię.

- Co oni spodziewają się znaleźć? - zapytała Karen cicho. - To bardzo smutne, Darl.

Beznadziejność tej misji poruszyła mnie do żywego; stanęłam nieruchomo. Na nasz widok Eli zatrzymał buldożer, wysiadł z kabiny i podszedł do nas. Leon zatrzymał swoją maszynę tak blisko, że wzbiał wokół naszych nóg obłok kurzu. Kamieniarze, którzy przyszli im pomóc, przerwali pracę. Bell i Annie Gwen spojrzały w naszą stronę. Stałyśmy się centralnym punktem tej pachnącej rozkopanym lasem i ziemią sceny. Kiedy Eli zbliżał się do nas, jego wzrok powędrował ode mnie do Karen i z powrotem. Skinęłam głową.

- Dziękuję ci za to, że posłałeś po nią Williama.

- To drobiazg.

- I ja ci dziękuję, Eli - powtórzyła za mną jak echo Karen.

Niezręczna cisza jak chmura zawisła w powietrzu. Mieli wspólnego dziadka. Ta złocista czarnowłosa kobieta i ten postawny mężczyzna byli bliskimi kuzynami.

- Karen? - Głos Bell był spokojny, ale nabrzmiały łzami. Stała koło nas. Po chwili dołączyła do niej Annie Gwen. Bell zdjęła maleństwo z główki robioną szydełkiem czapczkę. - To jest twoja najnowsza kuzyneczka z rodziny Wade'ów. Miło jej, że może cię poznać.

- Nawet bardzo miło - dodała Annie Gwen.

Karen zaczęła cicho płakać. Łzy spływały po jej policzkach strumieniami. Leon stanął na ogromnej metalowej gaśnicy swojego pojazdu i wyciągnął do niej rękę.

- Chcesz razem ze mną spojrzeć na świat z tej wysokości?

Jak zahipnotyzowana podała mu rękę i wdrapała się do kabiny buldożera, zostawiając mnie na ziemi. Nagle poczułam się bardzo samotna. Eh spojrzął na mnie.

- To zaproszenie odnosi się i do ciebie. - Wyciągnął rękę.

Proszę cię, nie rób mi tego. Gdybym mogła, powiedziałabym ci przecież, gdzie masz rozdzierać tę ziemię. Zrobiłabym wszystko, co chcesz, gdyby chodziło tylko o mnie. Potrząsnęłam głową.

- Nie mogę, Eli.

Stał dalej, z wyrazem determinacji na twarzy i z wyciągniętą ręką.

- To znaczy nie chcesz, tak? - powiedział cierpko.
- Eli, nie utrudniaj jej dodatkowo sytuacji - powiedziała Bell.
- Wiem, że mogę się wydawać bez serca - zwróciłam się do Bell i do Annie Gwen. - Ale ja naprawdę taka nie jestem. Po prostu szamoczę się pomiędzy wami a moją babką. Przykro mi, że tak się dzieje.

Annie Gwen powiedziała spokojnie:

- Wiemy, że nie jesteś przeciwko nam. Słyszeliśmy. - Wyciągnęła rękę i ja zrobiłam to samo. Czubkami palców dotknęłam ramienia Bell, potem główki niemowlęcia i wreszcie wyciągniętych palców Annie Gwen. Prosiłam w ten sposób o ich błogosławieństwo i przebaczenie za grzechy, o które mnie nawet nie podejrzewały.

- Żałuję, że nie jest to aż takie proste - powiedziałam.

Odeszłam przez las, nie spojrzawszy na Eliego. Wymagało to ode mnie ogromnego wysiłku woli.

Bar Neddlera w dalszym ciągu znajdował się na górze, mimo że stary Neddler już dawno nie żył. Nowy właściciel nazwał lokal Kamieniołomem. Kamieniarze, którzy tam chodzili, mówili o nim po prostu Jama. Tego wieczoru Eli stał tam pośrodku głównej sali, w otoczeniu zakurzonych mężczyzn, trzymających kufle piwa i kije bilardowe, zastygłe w pół ruchu. Gapili się na podpisany in blanco czek, który Eli podniósł do góry.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów - powiedział głośno - dla każdego mężczyzny, kobiety czy dziecka, którzy podpowiedzą mi coś, co ułatwi dotarcie do prawdy. To jest aktualna oferta.

Nikt nie odezwał się słowem.

Eli wyszedł.

- Wynajął kilkunastu nurków, którzy mają szukać w jeziorze Briscoe - powiedział Leon, wchodząc do biura Swan w kamieniołomie. Siedziałam pochylona nad jej wspaniałym biurkiem, studiując wydruki komputerowe stanu kont i rachunków. Leon nalegał, żebym przejrzała księgi handlowe firmy.

Wyprostowałam się wolno.

- Och, Leon.

- Trzeba próbować wszędzie. Chociaż jest to szukanie igły w stogu siana. Ale on twierdzi, że tak to musi być. Sprowadził najwyższej klasy sprzęt - sonary, kamery podwodne, tego rodzaju rzeczy. Ma już skompletowaną całą ekipę. Roboty nadzoruje ten jego przyjaciel, Jamajczyk.

Kiedy Leon wyszedł, ukryłam twarz w dłoniach. Eli szukał śladów, które nie istniały. Odpowiedź była w ziemi, nie w wodzie. A także pogrzebana głęboko we mnie.

Rozdział 18

Minał tydzień w lesie: karczowanie drzew, skalpowanie wzgórz - i to wszystko na nic. We śnie Eli znajdował obszary światła, wykopywał kamienie, które mówiły. Wiercił się i rzucał, podczas gdy jego umysł cały czas obliczał tony pustej ziemi - wagę, natężenie, zawartość granitu i miki, niewidzialny wszechświat marmurowego pyłu, niekończące się systemy słoneczne. Prawda była w tym wszystkim najmniejszą drobiną złota. Pozbawione twarzy majaki odsyłały go z powrotem do Tennessee. Zajrzyj do grobu własnego ojca. Tam jest morderca.

W ciągu dnia Eli jadł kurz, wdychał kurz, dusił się w kabinie buldożera. Czuł smak kurzu we śnie, ścierał go z siebie w nocy i leżał w swoim wspaniałym łożu nagi, ale nieczysty, samotny i nieszczęśliwy, cały czas myśląc o Darl.

Myśli o Darl nie opuszczały go ani na chwilę, bolesne i ciepłe, pełne miłości i dumy, rozpaczliwe. Była po drugiej stronie lasu, który kurczył się zaledwie po kilka centymetrów, stając się zwalowskiem kłód, które sprzedawał na drewno, nie mogąc znieść takiego marnotrawstwa.

Nic jednak nie dawało się już przeliczyć na wagę, długość, ceny. Sprowadzić do samych liczb. W przeciągu kilku tygodni wykarczują cały las. Zostawi tylko pierścień drzew wokół Ogródu Kamiennych Kwiatów, a jeśli do tej pory nic nie znajdzie, to pójdzie pod topór i ogród.

Mama w kółko czytała informacje i dokumenty dotyczące projektu Stand Tall, które dostarczyła jej Darl. Pewnego wieczoru, kiedy Eli zmywał z rąk całodzienny kurz nad zlewem swojej eleganckiej kuchni, zobaczył w jej oczach wyraz nadziei, który na-

pełnił go cichą rozpaczą. Dokumenty, które trzymała w ręku, miały ośle uszy.

- Niezależnie od tego, co jeszcze wyjdzie z naszych tu działań - powiedziała, tuląc papiery do piersi - powinniśmy wziąć udział w tej dobrej robocie.

Ze względu na matkę Eli skinała głową.

- Zorganizuję spotkanie ze Swan.

Szpitalne łóżko Swan było puste.

- Gdzie ona jest? - spytałam, jakby Swan samym aktem woli potrafiła stać się niewidzialna. Przez okno sączyło się do pokoju słońce. Przy łóżku Matyldy siedziała Karen. Była zakurzona i miała lekkie poczucie winy. Matylda, która robiła wrażenie wychudzonej, uniosła rękę i wskazała na okno. Wraz z jej ręką poruszyła się rurka kroplówki.

- Nalegała, żeby ją wyprowadzono na zewnątrz.

- Na zewnątrz?

- Do takiego bardziej prywatnego ogrodu po drugiej stronie budynku. Zapytaj panie w recepcji, gdzie to jest. To miejsce nazywa się ogrodem kaplicznym.

- Cały czas będę tutaj - powiedziała Karen. - Obiecałam babci, że zostaniemy w szpitalu na kolację. Dobrze?

Skinałam głową. Matylda i Karen trzymały się za ręce. Karen postanowiła opowiedzieć Matyldzie o swoim życiu i powrocie do domu tak, żeby jej nie zdenerwować, chociaż nie dojrzała jeszcze do tego, by opowiedzieć jej o ciąży. Już wcześniej wspomniała babce o spotkaniu z Leonem i Wade'ami. W zamian Matylda w gorących słowach opowiedziała jej o awansie Leona do najwyższego stanowiska w Marmurach Hardigree. Opowiedziała także Karen wszystko o śmierci jego żony, o dwójce dzieci, które sam wychowuje, i o ładnym marmurowym domu, który wybudował dla rodziny na starej farmie Forrestów. Wyraźnie wystąpiła w roli swatki.

Niechętnie schodziłam na dół. Rozmowy ze Swan zawsze uświadamiały mi moje miejsce w jej świecie, ciężar mojej miłości i nienawiści do niej, który sprawiał, że nie potrafiłam się obronić przed jej naciskami. Kobiety w recepcji skierowały mnie do wąskiej altanki znajdującej się między głównym budynkiem a biura-

mi. Za szklanymi zewnętrznymi drzwiami był mały ogródek osłonięty ażurowymi ścianami z marmuru, po których pięły się jaśminy. Przy drzwiach stała sympatyczna uśmiechnięta kobieta w niebieskim uniformie młodszej pielęgniarki. Poznała mnie i rzuciła mi spojrzenie pełne poczucia winy.

- Niestety nie mogę nikogo wpuścić. Pani babka powiedziała, że chce być sama.

- Biorę na siebie odpowiedzialność za naruszenie jej prywatności. Proszę się nie martwić. Dziękuję bardzo. - Kiedy sięgałam do drzwi, kobieta powiedziała:

- W ubiegłym roku pani babka ufundowała komputery dla nowej szkoły podstawowej. Mój chłopak wygrał konkurs komputerowy, sponsorowany przez Marmury Hardigree. Dostał laptop. Jaki to dobry człowiek z tej pani Swan. Ona zamieniła to miasto w raj na ziemi.

Próbując odkupić stare grzechy dobrymi uczynkami.

- Mam nadzieję, że Bóg lubi różowy marmur. - Kobieta się roześmiała.

Wysłałam na zewnątrz i przez otwór w różowo-zielonym murze wślizgnęłam się do ogrodu. Na skrzyżowaniu marmurowych alejek biła niewielka fontanna. W przeciwieństwie do ogrodu medytacyjnego ten mały przybytek miał charakter bardziej spartański, azjatycki w wystroju. W rogach rosły, rzucając miły cień, karłowate klony. Z klombów usypanych z kamyków wyrastały cieniutkie jak piórka ozdobne trawki. Babka siedziała na wózku przed fontanną. Do oparcia przymocowano butlę tlenową, a worek z kropłówką wisiał na przenośnym stojaku. Swan miała pochyloną głowę, złożone ręce przytknęła do ust. Jej białe włosy lśniły w słońcu. Rękawy białego jedwabnego szlafroka niczym skrzydła motyla trzepotały w lekkich podmuchach jesiennego wiatru.

Zatrzymałam się. Ze zdumienia dostałam gęsiej skórki. Swan i modlitwa?

Wyczuła moją obecność i poderwała głowę. Kiedy do niej podeszłam, surowe spojrzenie złagodniało na tyle, że można było dostrzec na jej twarzy ulgę. Ale już po chwili powrócił sardoniczny wyraz.

- Wszyscy mamy swoje ogrody - powiedziała. - Idziemy tam, gdzie nas prowadzą wspomnienia.

- Są ogrody mniej lub więcej przyjazne. - Usiadłam na mar-

murowej ławce, bardziej przygnębiona niż zła. Tu Swan nie była Bogiem, tylko starzejącą się kobietą, tracącą najbliższych przyjaciół i towarzyszy. Carl McCarl nie żył już od kilku lat. Tak samo włoski marmurowy baron. - Martwisz się o Matyldę?

- Z pewnością. Czy to, że się modlę, kiedy mam zmartwienia, wydaje ci się tak nieprawdopodobne? Czy moją pobożność odbierasz jako coś nieprzyzwoitego? Przejaw zakłamania? - Uśmiechnęła się jak kot.

- Kiedy byłam małą dziewczynką, zawsze obserwowałam cię w kościele. Modląc się, nigdy nie zamykałaś oczu.

- Rzeczywiście. Nie uważam, by Bóg wymagał ślepej wiary. Raczej zdrowego rozsądku.

- A ja myślałam, że chciałaś mu spojrzeć w oczy, gdyby się nagle pojawił w twoim metodystycznym sanktuarium. - Ironizowałam, naśladując Swan w jej oschłości. - „Boże, zbudowałam ten kościół dla ciebie. Lepiej, żebyś wysłuchał moich modlitw i zniszczył moich wrogów”. - Przerwałam, przyglądając się jej. - I wyobrażałam sobie Boga, jak przestępuje z nogi na nogę, podobny do kamieniarza stojącego przed twoim obliczem z czapką w rękę. „Tak jest, proszę pani, tak, pani Swan. Wszystko, co tylko pani sobie życzy. Tak, już spełniam pani prośby, już zaraz niszczyć pani wrogów”.

- Mam nadzieję, że nie przyszedł tu po to, żeby oceniać moje duchowe wartości. - Swan zbyła moją ironię - i, jak sądzę, Boga - machnięciem ręki.

- Przyszedł tu - powiedziała bardzo dobitnie - ponieważ twoje tajemnice krzywdzą wszystkich dokoła.

Opowiedziałam o buldożerach w Kamiennym Dworcu. Twarz Swan pozostała obojętna, ale jej pierś uniosła się w nerwowym westchnieniu.

- Wielkie myśli i wielkie czyny bywają najczęściej wydarte zwykłej ziemi - powiedziała. - Najpiękniejszy kamień powstaje z najpaskudniejszego blocka. Sam proces może ci się nie podobać, ale wyniki muszą zachwycać.

- Cel uświęca środki?

- Właśnie.

- Mylisz się.

- Jesteś pewna? Zobacz, ile dobra wynikło z mojego grzesznego życia. - Uśmiechnęła się ponuro. - Cudowne miasto, stała

praca dla kilkuset obywateli i wiele, wiele szczodrych donacji, jakich dokonałam. Dzięki mnie, dzięki sukcesowi i dobremu imieniu Hardigreech, życie tutaj, w tym naszym małym wyjątkowym zakątku świata, jest naprawdę dobre. A kiedy zostanie otwarty dom dla dzieci, da on schronienie i szansę na nowe, lepsze życie małym biednym istotom z całej Karoliny Północnej. Dlatego przestańmy jęczeć i zgrzytać zębami z powodu niefortunnych decyzji i żalów, które nam do tej pory towarzyszyły.

- Te decyzje i żale zrujnowały rodzinę Eliego.

- Zrujnowały? Z r u j n o w a ł y ? O ile mogłam się zorientować, jego trudne doświadczenia skłoniły go do szukania szczęścia na własną rękę - i nie był w tym szczególnie wybredny. To człowiek praktyczny, jak ja, prawda? A teraz jest bogaty. Obsypał bogactwem matkę i siostrę i robi, co mu się podoba. Pewnie gdyby nie ta tragedia, zadowoliliby się tym, co ma. Zostałby zwykłym zjadaczem chleba. Najprawdopodobniej.

- Widzę, że i w tym wypadku przypisujesz sobie zasługę. Że to dzięki tobie Eli stał się tym, kim jest dzisiaj.

- Nie, ale nie zamierzam też brać na siebie winy za to, kim się nie stał.

- Nie sądzę, by on tak te sprawy widział.

- A ja nie sądzę, byś ty widziała, że to, kim jesteś dzisiaj, zawdzięczasz mnie.

- Dość. Nie zamierzam się zniżać do tego sposobu rozumowania.

- Ale przynajmniej tyle możesz dla mnie zrobić, żeby poprowadzić zebranie zarządu Stand Tall. I reprezentować mnie. Naszą rodzinę. Masz szansę stworzyć coś wspólnego.

- Już ci mówiłam, że się tym zajmę.

- A ja w zamian zrobię coś dla ciebie. Jeśli chcesz Eliego Wade'a, to ci go dam. - Uniosła platynowy zegarek, który nosiła na szyi na delikatnym długim łańcuszku. Był to dar od Włocha, otrzymany wiele lat temu. - Lada moment powinien tu być. Chciał się ze mną zobaczyć. Zawsze był punktualnym chłopcem. Zobaczymy, czy mu to zostało.

Nie zdążyłam w żaden sposób zareagować czy o cokolwiek zapytać. Eli otworzył szklane drzwi od głównego budynku i wszedł do ogrodu.

- O - powiedziała Swan i uśmiechnęła się do mnie. W oczach

Eliego malowała się mieszanina troski i zdziwienia. Jego dżinsy i koszula w kratę były poplamione czerwonym gliniastym pyłem. Umył ręce i twarz, ale ciemne włosy nadal pokrywała patyna pyłu. Przemierzył niewielki ogródek i stanął przed Swan. Było to ich pierwsze spotkanie od czasu jego powrotu. Spoglądał na nią z góry z zaciśniętymi ustami. W pewnym momencie z galanterią skłonił głowę.

- Słucham panią.

Popatrzył na mnie i gestem wskazał na ławkę, ale odmówiłam, więc usiadł sam.

Swan odchrząknęła.

- Chciałabym być szczerą. Nie podoba mi się to, co przyjechałście zrobić z moim miastem. Uważam to za śmieszne i poniżające dla nas wszystkich. Jestem oburzona sposobem, w jaki twoja siostra weszła w posiadanie tej ziemi, ale nade wszystko mam żal do siebie za to, że tak głupio dałam się podejść.

- Pani z pewnością potrafi przechytryć rozmówcę.

- Mimo to chciałabym was przeprosić za wszelkie błędy wynikające z nadmiernej dumy, jakie popełniłam w przeszłości. Jeżeli cokolwiek z tego, co robiłam czy mówiłam, mogło się przyczynić do śmierci twojego ojca, biorę za to pełną odpowiedzialność.

Gapiłam się na nią, onemiała z niedowierzania i pełna podejrzeń. Eli zmarszczył brwi, ale nachylił się, słuchając z uwagą.

A Swan ciągnęła:

- Niechętnie wspominam moją siostrę Klarę. Jej śmierć uważam za tragiczny wypadek, który w tej chwili nie ma już w zasadzie znaczenia. Niemniej Klara nie żyje i niezależnie od tego, z czyich zginęła rąk - nie ma jej wśród żywych. I tego nie da się zmienić. Jeżeli jednak odczuwasz potrzebę udowodnienia, że twój ojciec jej nie zabił, to masz moje całkowite błogosławieństwo.

- Przyszedłem tutaj z jednego tylko powodu: żeby pani powiedzieć, iż chciałbym, abyśmy, moja matka i ja, weszli do rady nadzorczej Stand Tall.

Jęknęłam w myślach. Swan nawet nie mrugnęła okiem.

- Zamierzałam wystosować zaproszenie do was obojga.

Zatkało mnie. Co za kłamstwo. Spojrzałam spokojnie na Eliego.

- Ona cię próbuje przekupić.
- O? - Eli spokojnie przeniósł uwagę ze mnie na Swan. -
A czego by sobie pani życzyła w zamian?

- Niczego. Chcę tylko, żeby się całe miasto dowiedziało, że Swan Hardigree Samples wita rodzinę Wade'ów. Czy zamierzasz odrzucić moją propozycję? Dlaczego miałbyś to zrobić?

Eli wstał.

- Nie mam zamiaru walczyć z panią. Ale będę walczył z osobą, która zabiła pani siostrę i pozwoliła, żeby mój ojciec z tego powodu zginął.

- Słusznie.

- A co z tego przyjdzie pani czy nazwisku Hardigree?

- Użyję popularnego terminu „zamknięcie”. - Swan spojrzała na mnie. - Chodzi mi też o pojednanie z wnuczką. Jeśli zdołam zainteresować cię sprawą Stand Tall, to i ona zaangażuje się w nią całym sercem.

- Wobec tego przyjmuję pani ofertę. - A więc było to aż takie proste. Eli popatrzył na mnie smutno, ale z determinacją. Skinął głową Swan i opuścił ogród.

A ja zwyczajnie stałam, patrząc, jak odchodzi, a kiedy zostałyśmy ze Swan same, spojrzałam na nią z wściekłością. Odpowiedziała mi takim samym nieustraszoną spojrzeniem niebieskich oczu.

- Zawsze będę robiła wszystko, żeby dać ci to, co dla ciebie najlepsze.

- Na razie robisz wszystko, żeby kupić jego przyjaźń.

- Z powodzeniem.

- Powiedz mi, czy kiedykolwiek kochałaś mężczyznę tak, żeby być wobec niego uczciwą? Żeby się dla niego poświęcić? - Swan nie odpowiedziała. Obeszłam ją dokoła, jakby była kryminalistką, moją klientką, którą miałam poddać przesłuchaniu. - Kochałaś tego Włocha?

- Bardzo mi na nim zależało. I bardzo mi go brak.

- Sypiałaś z nim? - Mój ton był jak nóż.

- Oczywiście.

- Nigdy nie brałaś pod uwagę wyjścia za niego za męża?

- Nie.

Zaszłam ją od przodu i nachyliłam się, opierając ręce na poręczach fotela.

- Bo się bałaś, że zależało mu tylko na Marmurach Hardigree, tak?

- Jemu zależało na mnie, kochanie. Uwielbiał mnie. W życiu nie miałam tak wspaniałego partnera. Kiedy byłam piękna i młoda, chciał mnie porwać do Europy, gdzie żyłabym jak contessa.

Podniosłam głos:

- Był bogaty, dobrze urodzony, był idealnym partnerem i kochał cię. Małżeństwo z nim stanowiłoby dla ciebie osiągnięcie najwyższego szczebla drabiny społecznej. I do tego jeszcze zależało ci na nim. Dlaczego nie wyszłaś za niego za męża? Dlaczego musisz manipulować każdym, kto cię kocha, i odrzucać jego miłość? Powiedz mi, dlaczego wzgardziłaś nawet człowiekiem, na którym ci - jak sama przyznajesz - zależało?

Spojrzała na mnie z wielkim spokojem.

- Ponieważ byłaś najważniejsza w moim życiu, a on nie cierpiał dzieci. Chciał mnie, ale nie chciał c i e b i e .

Wieczorem stałam na niskim marmurowym murku tylnego tarasu, wsłuchując się w warkot buldożerów Eliego. W rękę trzymałam wysoką szklanę burbona, byłam skąpana w blasku zachodzącego słońca i na tyle pijana, że się lekko zataczałam. Maszyny pracowały w odległości niecałego kilometra, za wzgórzami i głębokimi dolinami, ale kiedy wiatr wiał w moją stronę, wydawały się tak głośne, jakby były tuż za linią ciemniejących drzew. Spojrzałam w dół na zwodniczo niewinną powierzchnię stawu. Jakże łatwo było Klarze, w całym tym zamieszaniu, spaść na dół. Jak łatwo wypaść z łask. Karen zauważyła mnie przez okno i przybiegła.

- Ze szczętem straciłaś rozum! - Ściągnęła mnie na trawę.

- Duszę - poprawiłam ją.

- Co wydarzyło się dzisiaj między tobą a babką? Przestań wreszcie pić i powiedz.

Spojrzałam na nią bez odrobiny nadziei.

- Sprawiała, że ją znienawidziłam. Sprawiała, że ją pokochałam. Kupiła lojalność Eliego i zachowała ją.

Rozdział 19

Coraz ciaśniej oplatały nas pajęczyny z kamienia. Czułam je we śnie. Tajemnice i kłamstwa, stare wstydy i miłości. Z twarzami i bez twarzy. Karen też je czuła - nasze mieszane pochodzenie, skomplikowane wzajemne stosunki w nowoczesnym świecie, gdzie wszystko miało być takie łatwe, takie modnie równe. Pewnego wieczoru Leon przyjechał do Marmurowego Dworu z synem i córką, dwójką dzieci grzecznych, dobrze wychowanych i elokwentnych, które oniemiały z wrażenia, kiedy Karen podała im rękę.

- Kasandra - powiedziała dziewczynka. - Tata pozwala mi oglądać panią w telewizji, ale wtedy kiedy pani się całuje z Jeremym. Pani jest bardzo ładna. Chciałabym być taka jak pani. - Dotknęła jasnobrazowej skóry i czekoladowych włosów Karen.

- A ja bym chciała być taka jak ty - odparła Karen z uśmiechem, delikatnie gładząc ciemniejszą skórę małej i jej sztywne warkoczyki. - Bo jesteś najładniejszą dziewczynką, jaką w życiu widziałam.

Mała się rozpromieniła.

- A ja jak będę duży, to bym chciał pocałować panią w policzek - powiedział trochę nieśmiało chłopiec.

- Może na razie ja ciebie pocałuję...

Ciemne oczy małego zrobiły się wielkie jak spodki. Spojrzał na ojca.

- Ja bym na twoim miejscu nie przepuścił takiej okazji, synu. - Chłopiec stał bez ruchu, kiedy Karen składała mu na policzku leciutki jak piórko pocałunek.

Dzieci dosłownie rozptywały się w uśmiechach. Karen patrzy-

ła na nie, jakby czuła na języku słodki smak ich niewinności. Jej oczy napełniły się łzami.

- Przepraszam, zaraz wrócę - powiedziała łamiącym się głosem i w pośpiechu opuściła pokój. Spojrzałam na Leona z troską, poleciłam pokojówce, żeby przyniosła dzieciom lody, i wyszłam za Karen.

Znalazłam ją w małym składowym na bieliznę przy kuchni. Szlochała w jeden z haftowanych obrusów.

- Parę dni temu Leon zaprosił mnie na kolację - zaczęła - ale mu odmówiłam. A on przywiózł dzieci, żeby mnie poznały. Wiesz, co to wszystko znaczy...

- Że jest dzentelmenem i że oszalał na twoim punkcie.

- Ale on nie wie, że jestem w ciąży.

Westchnęłam i usiadłam na ciężkiej dębowej skrzyni, w której Swan trzymała srebro stołowe. Każda sztuka miała wygrawerowane H jak Hardigree i S jak Samples. Zawsze mnie to inspirowało.

- Nazywasz się Noland - powiedziałam Karen. - Twój ojciec był oficerem piechoty morskiej i bohaterem wojennym. A poza tym jesteś Wade. Wierzę, że twój dziadek, najwspanialszy kamieniarz na całym Południu, był dobrym człowiekiem, tylko uwikłanym w bardzo trudną sytuację. Jesteś też Dove. Twoja babka doświadczyła przejawów najgorszych uprzedzeń i niesprawiedliwości w swoim życiu, ale nie załamała się i zachowała godność. - Przerwałam. - No i jesteś Hardigree. A to znaczy... - Karen spojrzała na mnie, jakby się spodziewała najgorszego - to znaczy, że już dłużej nie możesz tego przede mną ukrywać. - Wsadziłam rękę za dekollet jej niebieskiego miękkiego sweterka i wyciągnęłam stamtąd wisiołek Hardigreech.

Westchnęła spazmatycznie.

- Dostałam to od babki jako nastolatka i nie chciałam nosić. Aż do tej pory.

- Jesteś Hardigree - powtórzyłam spokojnie. - A to znaczy, że ty i ja zawsze będziemy dla siebie, bo taka jest nasza rodzinna tradycja.

Karen wzięła mnie za rękę.

- Uważasz, że powinnam powiedzieć Leonowi prawdę i starać się sprostować sytuację?

- Sprostować albo nie sprostować. - Uśmiechnęłam się blade. -

W każdym razie nie powinnaś zapominać, kim jesteś ani że masz rodzinę, która jest z ciebie dumna, na dobre i na złe.

Westchnęła ciężko.

- Powiem mu, kiedy będziemy sami, bez dzieci. Wtedy zaryzykuję.

Wychodząc, zatrzymała mnie jeszcze na chwilę.

- Czy jesteś dumna z tego, że nosisz nazwisko Hardigree?

Jeszcze nigdy nikt nie zadał mi takiego pytania. Trafiło w sam węzeł moich sprzecznych uczuć i emocji. Nie potrafiłam oddzielić wstydu od sukcesu, miłości od żalu.

- Nie zdołałam udowodnić, że jestem wystarczająco silna, by sprostać nazwisku - powiedziałam.

- Człowiek nie powinien stać na zewnątrz, kiedy piwo jest wewnątrz - powiedział Leon, podchodząc do stojącego przed Kamieniołomem Eliego.

- Ja już byłem w środku. Przyszedłem zobaczyć, czy nikt nie ma mi przypadkiem czegoś do powiedzenia. Ale nie. Nie jestem pewien, czy miałbym ochotę tutaj pić. To miejsce źle mi się kojarzy.

- Ludzie niczego przed tobą nie ukrywają. Po prostu nic nie wiedzą.

- Od wielu dni nad jeziorem pracują nurkowie. Nic nie znaleźli. - Eh bezradnie rozłożył ręce. - Nie ma nic w wodzie. Nie ma nic w ziemi. I nic w ludziach. Nic. Moja siostra co wieczór wypłakuje się mężowi w słuchawkę, a matka jest po prostu chora z rozpaczy.

- Chodź, chłopie. Niedobrze, żeby to miejsce miało nad tobą taką władzę.

Eh chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język. Za późno - pomyślał. Wszedł z Leonem i usiadł przy barze.

- Moje dzieciaki poznały Karen - powiedział Leon. - Jest dla nich księżniczka z bajki. Dosłownie pożerały ją wzrokiem. Owinięła je sobie wokół palca. Gadały z nią ze dwie godziny.

- Tym lepiej dla niej. Tym lepiej dla ciebie.

- Zapytałem Karen, czy przyjdzie któregoś dnia do nas na kolację, z dziećmi i z moim ojcem. Zgodziła się. Powiedziałem, że to jest dobre miejsce do wychowywania dzieci. Lepsze

niż jakieś tam miasto. Muszę przyznać, że nie byłem specjalnie subtelny.

- A ona co na to?

- Że mam rację. I że ona by chciała, żeby jej dzieci wychowywały się w miejscu, gdzie są lasy, po których mogłyby chodzić. Z tego wynika, że myśli o dzieciach. Tak mi powiedziała. To ja mówię: „No, ja mam właśnie lasy”. Popatrzyła na mnie tymi swoimi spokojnymi oczami, co to potrafią człowieka rozpalić do czerwoności, i mówi: „Niedługo wpadnę na kolację, to sobie te lasy obejrzę”. - Leon roześmiał się z całego serca.

Eli otworzył srebrny pojemnik z cygarami, wyjął eleganckie macanudo i wręczył Leonowi.

- Musimy to uczcić.

- Co o tym sądzisz? Czy taka pokiereszowana stara gęba, taki wsiowy awans społeczny jak ja może mieć u niej szansę? - Leon potrząsnął głową i wetknął cygaro do ust. - Czy to w ogóle trzyma się kupy?

Eh skinął głową. Samotność przyłgnęła do niego jak marmurowy pył.

- Czasami człowiek po prostu wie, że to jest ta jedna jedyna, a ona wie, że ty jesteś dla niej stworzony. I to wydaje się najłatwiejsze. - Wypił drugie piwo i zamówił jeszcze jedną kolejkę. - I dopiero ta reszta potrafi ci rozedrzeć serce na strzępy.

Pierwsze oficjalne zebranie zarządu Stand Tall odbyło się w Marmurowym Dworze. Ja je prowadziłam, a ludzie szeptali, że na pewno zostaną wybrana na prezesa nowo powstałej fundacji. Nie chciałam tego stanowiska, ale zamęt, jaki miałam w głowie, zaczął się zawężać na różne dziwne sposoby. Pomyślałam, że stojąc na czele fundacji, będę mogła chronić Eliego i jego rodzinę przed manewrami Swan. Wciągała ich w to wszystko i tylko czekała, by uderzyć. To był początek jej podboju przez asymilację.

Karen i ja wprowadziłyśmy do biblioteki kilkunastu najwybitniejszych pod względem towarzyskim, duchowym i politycznym obywateli Karoliny Północnej. Wynajęta firma cateringowa posuwała meble pod ściany i rozstawiła pośrodku przykryty białym obrusem stół. Przed każdym krzesłem leżał notatnik i teczka z papierami. Na sztalugach, w kącie pokoju, ustawiono naryso-

wany przez architekta projekt głównej siedziby Stand Tall, wielkiego, rozległego budynku z marmuru i drewna.

Panowała atmosfera ciekawości i podniecenia; zerkano ukradkiem na Karen, naszego gościa honorowego.

„Kolorowa lalunia” - jak sama się nazwała ironicznie, leżąc na sofie z mokrą serwetką na czole, nękana porannymi mdłościami. Jeszcze nie zdążyła powiedzieć Leonowi o swojej ciąży. Teraz wyglądała elegancko i szczupło w czarnej garsonce i dyskretnej srebrnej biżuterii. Ja miałam na sobie - zamiast oficjalnego kostiumu - jedwabne beżowe spodnie i wyłożoną na wierzch białą bluzkę, co wymusiła na mnie Karen.

- Jaka jesteś piękna, kiedy nie próbujesz wyglądać jak Joan Crawford - żartowała ze mnie dobrotliwie. W wielkim lustrze ściennym mignęło mi nasze odbicie. Słońce i cień. Śmietanka i miód.

Leon zjawił się na pięć minut przed rozpoczęciem zebrania. Wszedł do biblioteki, wysoki, ciemny i niezbyt elegancki w brązowym garniturze ze śladami pyłu marmurowego na jednym z rękawów, wywołując ze strony zebranych pełne pobłażliwości lekceważące spojrzenia, które przyjął wyraźnie speszony. Ruszyłam przez wielki pokój, żeby go powitać, wyprzedziła mnie jednak Karen z dumnie podniesioną głową i jednym ze swoich najwspanialszych uśmiechów.

- Leon - powiedziała donośnym głosem, który przebił się przez gwar rozmów. W jej ustach imię Leona nabrało przyjacielsko-pieszczotliwego brzmienia. Wzięła go pod ramię. - Siedzisz koło mnie. - Popatrzył na nią w sposób, który wywarł na mnie wielkie wrażenie. Wiedziałam, że w tym momencie rzuciły się dla niej między tygrysy.

Odwrociłam się do stołu i zobaczyłam dwie karty z nazwiskami, które przyciągały ogólną uwagę. Eli Wade. Annie Gwen Wade. Zostało jeszcze około dwóch minut do rozpoczęcia. Wyszłam do holu, żeby tam z niepokojem oczekiwać gości. Na dźwięk dzwonka zeszytniałam. Skinęłam głową pokojówce, która otworzyła podwójne ozdobne drzwi. Weszła Annie Gwen, a za nią Eli. Miękki, elegancki granatowy kostium nadawał jej stateczny wygląd, ale rozglądała się po holu ze łzawym, rzewnym uśmiechem, wywołanym niewątpliwie wspomnieniami.

- Ja tutaj kiedyś pracowałam w tym samym charakterze -

zwróciła się do pokojówki. Po jej minie widać było, że chętnie wróciłaby do czasów, kiedy żył Jasper.

Stojący za nią Eli czytał w moich myślach, odgadywał skupienie, niemal wyczuwał puls. Nigdy do tej pory nie widziałam go w garniturze. Dziś miał na sobie bardzo eleganckie ubranie, które dobrze leżało na jego szerokich ramionach, i luźno związany jedwabny krawat. Wraz z jego obecnością w tym dużym pomieszczeniu zapanowała atmosfera spokoju i prawości. Wytrzymał mój wzrok i zmierzył mnie takim samym spojrzeniem jak ja jego. Intensywność tego spojrzenia nieomal mnie poraziła.

Wzięłam Annie Gwen za rękę.

- Jestem szczęśliwa, że bierzesz w tym udział - powiedziałam. Odgarnęła mi z policzka kosmyk włosów. Był to gest ciepły, macierzyński, ale w jej oczach widziałam smutek.

- Mam nadzieję, że się na coś przydam - odparła.

Poczułam pieczenie w gardle. Skinęłam głową w stronę Eliego i poprowadziłam Annie Gwen do biblioteki. Eli siedł za nami tak blisko, że czułam zapach jego eleganckiej świeżej bielizny i dyskretnej wody kolońskiej. Inni członkowie zarządu patrzyli na nich szeroko otwartymi oczyma. Bez trudu wyobrażałam sobie te plotki. Swan wielkodusznie pojednała się z rodziną mordercy swojej siostry - nawet zaprosiła ich do swojego domu. Co za szlachetność. Gdyby Eli znalazł kości Klary, ludzie współczuliby Swan.

Rozpoczynając zebranie, powiedziałam:

- Na początek prosiłabym każdego z uczestników, żeby się nam przedstawił. - Na sali zgromadzili się szefowie wielkich ministerstw, prezesi prestiżowych organizacji charytatywnych, były kongresman, dyrektorzy kilku najważniejszych agencji. Każdy wstawał i mówił o sobie kilka słów. Wymieniano doktoraty, nagrody i wybitne kierownicze stanowiska. Kiedy przysła kolej na Leona, powiedział po prostu:

- Od wczesnej młodości ciąłem kamienie w kamieniołomie Hardigreech, potem skończyłem wydział biznesu na uniwersytecie jako stypendysta Marmurów Hardigree, a teraz prowadzę cały ten interes dla pani Samples. Obecnie jestem wdowcem, farmerem na pół etatu, ojcem i synem. Chciałbym pomóc innym dzieciom, żeby miały tak dobre życie, jakie próbuję stworzyć własnym pociechom. Dlatego przyjąłem zaproszenie pani Sam-

ples do udziału w tym przedsięwzięciu. - Usiadł. Karen cały czas obserwowała go ze szczerym uznaniem.

Wreszcie przyszła kolej na Eliego. Kiedy wstał, w pokoju zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Jego obecność wywarła na zebranych wielkie wrażenie. Był człowiekiem bogatym, swobodnym i w jeszcze mniejszym stopniu niż Leon potrzebował referencji.

- Wychowywałem się razem z Leonem - zaczął - i z moją kuzynką Karen. - Zaległa martwa cisza.

Eli przerwał i popatrzył na mnie; czułam, jak pod wpływem jego spojrzenia mięknę.

- I z Darl. Nie urodziłem się tutaj, ale przynajmniej na jakiś czas znalazłem tu swój dom. - Dotknął ramienia Annie Gwen. - Moja matka i siostra poprosiły mnie, żebym przemówił również w ich imieniu, co niniejszym czynię. Straciliśmy tutaj osobę bardzo kochaną, bliską, i przyjechaliśmy, żeby ją w miarę możliwości odnaleźć. Ale także odnaleźć siebie. Byłem hazardzistą, inwestorem i wynalazcą. Przez chwilę byłem nawet kryminalistą, ale teraz pojednałem się z Bogiem i z prawem. - Na sali rozległ się szum. - Zarobiłem duże pieniądze. - Nasze spojrzenia ponownie się spotkały. - Kiedy byłem chłopcem, Darl Union we mnie wierzyła. Jej rodzina dała szansę mojej rodzinie i mimo że sprawy ułożyły się źle, ta szansa nam pomogła. A zatem: od mojej rodziny deklaruje na rzecz Stand Tall pięć milionów dolarów. W imieniu mojego ojca Jaspera Wade'a.

Usiadł.

Reszta dwunastogodzinnego zebrania upłynęła już tylko na rozmowach.

Świat nie jest skazany na powódź i ogień, jak mówi Biblia. Wystarczą górskie deszcze i czerwony muł - pomyślał Eli. Nazajutrz po zebraniu zarządu piękna jesienna pogoda się zepsuła. Zimna woda sączyła mu się za kołnierz i spływała wzdłuż kręgosłupa pod mokrym swetrem. Rdzawe krople skapywały z daszka bejsbolowej czapeczki z napisem BRAVES tuż nad jego nosem, niosąc ze sobą drobiny gliniastego pyłu, które zebrały się na czapce podczas pracy w ubiegłym tygodniu. Nad zadeklarowanymi pięcioma milionami dolarów na Stand Tall szybko przeszedł do po-

rządka dziennego. Ostatecznie były to tylko pieniądze. Miał ważniejsze sprawy na głowie.

Eli pracował bez ustanku, z upartą determinacją. W rękę trzymał potężny świder elektryczny, z jego pomocą wykonywał właśnie drugą dziurę w twardym marmurze płaskiej fasady Domu Esty, który stanowił teraz jego własność. Budynek był piękny, okazały. Wznosił się na niewielkim wzgórzu porośniętym dębami przy jednej z bocznych uliczek. Ludzie nazywali go Rezydencją Olsona na cześć spadkobiercy magnata kolejowego, który w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku przeniósł się wraz z rodziną do Burnt Stand. Rezydencja Olsona miała ozdobne marmurowe okapy, gzymsy i progi rzeźbione w lilijki. Wszystko to była ręczna robota jego dziadka, przykład najpiękniejszego rzemieślnika, jakie Eli widział w życiu.

Ta świadomość napełniła go bolesną dumą. Czym mogłaby być moja rodzina, gdyby nie pech i Hardigree. A może bez nich nadal bylibyśmy anonimowymi biedakami. Najpiękniejsze kamienie pochodzą z brudnej i ciemnej ziemi. Trzeba je najpierw rozpoznać, a potem pociąć, wyrzeźbić i spolerować. Być może nieszczęście ma jakiś połysk zawartego w sobie celu. Może Wade'owie byli czymś w rodzaju surowego kamienia, a Hardigree odegrali wobec nich rolę rzemieślnika. Jedni nie mogli istnieć bez drugich. To dlatego Eli ofiarował te pieniądze. Bo próbował uleczyć ranę powstałą w miejscu, gdzie kończyła się rodzina jego, a zaczynała Darl.

Filozofia pochmurnego dnia. Odwołał się do czystej logiki.

- Dziadku, temu domowi brakuje ganku - powiedział na głos, widząc wzmagający się deszcz. Wziął do ręki ostatnią z pięciu identycznych marmurowych tablic. Wykonał je z fachową pomocą Leona w fabryce kamieniołomu. Sam wyrył na nich słowa, wyrównał brzegi, wypolerował kamień. Przymocował po jednej na frontonie każdego z kupionych przez siebie Domów Esty. Teraz mocował właśnie ostatnią. Długimi mosiężnymi śrubami przykręcał tablicę na wysokości swojej głowy, obok wspaniałych drzwi wejściowych do Rezydencji Olsona. W końcu, stojąc na marmurowej podłodze szerokiego portyku, cofnął się o krok, zdjął czapkę i przeczytał na głos treść napisu. Był to mały rytuał, poświęcenie w strugach deszczu.

TEN DOM ZBUDOWAŁ ANTHONY E. WADE,
MISTRZ KAMIENIARSKI

Inicjał E. przed nazwiskiem dziadka oznaczał Eliasza. Eli skłonił głowę w wyrazie szacunku dla swojego niedoskonałego imiennika, który pozostawił po sobie niedoskonałą spuściznę. Być może jego dziadek był po prostu żigolakiem, dającym się wykorzystywać kobietom, które sam również wykorzystywał. A może jedynie prymitywnym głupcem obdarzonym talentem kamieniarza. Tak czy owak, nie będzie to już od tej pory Dom Esty, tylko Dom Wade'a. Eli chciał, żeby ludzie o tym wiedzieli.

Obrócił się szybko, słysząc cichy odgłos kroków. Była to spokojna dzielnica starych domów, a ulica w tej chwili całkowicie pusta. Dochodził tu nawet cichy warkot silnika dalekiego samochodu. Na skraju trawnika stała Darl. Długie rozpuszczone włosy oblepiały jej głowę i ramiona, a granatowy kostium był przemoczony w miejscu, gdzie szary płaszcz nieprzemakalny się rozchyłał. Ogromny dąb tworzył nad nią lśniącą altanę. Była piękna i nierealna i wydawała się tak zagubiona, że Eliemu mało serce nie pękło. Spoglądała to na niego, to na tablicę, a na jej twarzy mieszały się rozpacz i duma.

- Trudno cię znaleźć - powiedziała głuchym głosem. - Byłam już we wszystkich pozostałych domach.

Eli odrzucił czapkę na bok, bez słowa podszedł do Darl, ujął ją za rękę i poprowadził chodniczkiem, obstawionym po obu stronach marmurowymi donicami, w których rosły niskie krzewy bukszpanu.

- A ty jesteś niewiele mądrzejsza ode mnie - powiedział z twarzą ociekającą wodą. - Cała mokra. - Otworzył bogato rzeźbione drzwi frontowe i weszli do obszernego pustego holu, jedynie z żyrandolem zwisającym z sufitu. Dom nie był urządzony i każdy krok na marmurowej posadzce odbijał się echem. - Chodź, od tyłu jest przynajmniej weranda. - Przeprowadził ją głównym korytarzem na tyły domu, gdzie była niewielka weranda, z której roztaczał się widok na jesienny trawnik i dęby. Rosło tu pełno wysokich strzyżonych krzewów.

- Eli - zaczęła nerwowo Darl. - Chcę z tobą porozmawiać. Nie pozwolę, żebyś ofiarowywał pieniądze na...

- Sprawa jest załatwiona. Zrobiłem to, bo chciałem. Jeżeli będę musiał, kupię sobie miejsce u twojego boku.

- Nie, Eli, nie...

- Ciii. Nie popełniajmy błędów i nie mówmy za wiele. - Wytarł

jej twarz gołymi rękami. Burknęła pod nosem jakieś słowa naganne, ale on już wsunął palce w jej włosy i bez słowa przyciągnął ją do siebie. W trakcie gorących pocałunków wziął ją na ręce i posadził na kamiennych stopniach werandy. Usadowiła się pomiędzy jego udami, przerzucając obie nogi przez jego nogę, a on odchylił jej głowę do tyłu i objął ramionami, dotykając i głaszcząc, podczas gdy ona, wśród cichych pomruków, obsypywała go pocałunkami. Włożyła ręce pod jego sweter, zapuszczając się nimi coraz głębiej i głębiej, aż sięgnęła ud, i kiedy wróciła do bioder i talii, Eli był niemal gotów. Położyła mu dłoń na plecach, pomiędzy łopatkami, kryjąc twarz w zagłębieniu szyi, całując mokrą skórę ukochanego, liżąc ją, rozkoszując się jej smakiem.

Na dach werandy ze stukotem fajerwerków spadła garść żółtzi. Oboje skulili się jak gdyby w poczuciu winy. Dziadek dopuścił do tego, że stał się własnością kobiet Hardigree. Co ja robię najlepszego? - pomyślał Eli. Jeżeli Darl nie chce być z nim dlatego, że on jest Wade, to po co ją zachęca? Ale ona jest ze mną. Tak samo nagle, jak się na siebie rzucili, teraz spuścili głowy, opierając je jedno na ramieniu drugiego, i siedzieli, drżąc i tuląc się mocno do siebie. Od chwili kiedy spotkali się na Florydzie jako nieznajomi, upłynęły dokładnie trzy tygodnie, co do dnia.

Nagle Darl uniosła głowę i odsunęła się od niego.

- To jest właśnie ten dom ze zdjęcia - powiedziała.

Eli dostał gęziej skórki. Aha, to znaczy, że kilkadziesiąt lat temu jego dziadek stał tutaj, na niedokończonym murze, z taką miną, jakby cały świat należał do niego. Ale jego uśmiech, skierowany potajemnie do Matyldy za plecami starej Esty, już wtedy go zdradzał. Kobiety Hardigree miały go zniszczyć, a on miał im na to pozwolić.

- Jeśli chcesz, żebym z ciebie zrezygnował dlatego tylko, że jesteś cholerną Hardigree - powiedział spokojnie - to wybij sobie to z głowy. Tym razem ja ustanawiam reguły gry. Nie skończę tak jak mój dziadek. A ty nie skończysz, opłakując mnie.

Wstała, dotknęła jego twarzy i... straciła go wzrokiem w przepaść.

- Już za późno, żeby mnie przed tym powstrzymać - wyszeptała i odeszła, zostawiając go samego.

Usiadłam w bibliotece przy biurku Swan o najciemniejszej godzinie nocy, kiedy w domu było cicho jak w marmurowym grobie. Wyjęłam z szuflady elegancką firmową papeterię i staroświeckie pióro, które Swan dostała od włoskiego marmurowego barona jeszcze za czasów mojego dzieciństwa. Zaczęłam pisać: „Dwadzieścia pięć lat temu byłam świadkiem zamordowania mojej ciotecznej babki, Klary Hardigree, przez jej siostrę, a moją babkę Swan Hardigree Samples. Od tamtej pory ukrywam tę zbrodnię”.

Pisałam aż do świtu, opowiadając całą historię z najdrobniejszymi szczegółami, przed śmiercią Klary i po niej, ale starannie unikałam jakiegokolwiek wzmianki o Matyldzie. To wyznanie obciążało Swan i mnie, ale nikogo poza nami dwiema. Kiedy skończyłam, wsunęłam plik arkuszy do dużej koperty, zalepiłam ją, napisałam na niej nazwisko naszego prokuratora okręgowego i ukryłam wysoko na półce między dwoma starymi opracowaniami z dziedziny geologii. Nauka o skałach i potężnych siłach.

Kiedy nadejdzie czas, nie będę musiała prosić Eliego o milczenie i litość.

Bo teraz byłam pewna, że mogę liczyć na jedno i na drugie.

- Nadużywasz jego dobroci. - Matylda zaatakowała Swan w powolnych, ale dość mocnych słowach. Stała koło swojego łóżka, wsparta na stojaku do kroplówki, ignorując moje wysiłki, gdy chciałam ją położyć, i patrząc spode łba na Swan, która siedziała spokojnie na łóżku, z podkulonymi nogami, w pozie małej dziewczynki. Czułam się jak bokser, który oberwał o jeden raz za dużo. - Nie możesz przyjąć od Eliego Wade'a milionów dolarów - ciągnęła Matylda. - Ludzie będą uważali, że w ten sposób Eli potwierdza winę ojca. Ja się na to nie zgadzam. To jest wobec niego nie fair.

- Publicznie demonstruję, że przyjmuję Wade'ów do towarzystwa. Ze względu na ciebie. I ze względu na Darl. - Swan spojrziała na mnie.

- Eh ofiarowuje te pieniądze jako publiczne zadośćuczynienie t o b i e - powiedziałam dobitnie. - Za zbrodnię, której jego ojciec nie popełnił. Ja się również na to nie zgadzam.

- A co byś chciała, żebym w tej sytuacji zrobiła? - zapytała Swan. - Żebym odrzuciła jego i jego rodzinę? Albo, mówiąc mu

prawdę, wzbudziła w nim chęć zemsty? Czy chcesz, Matylde, żeby Karen się dowiedziała, co zrobiliśmy? - Na twarz Matylidy wystąpił blady rumieniec. - Popatrz na moją Darl. Jaka jest nieszczęśliwa, jaka na mnie rozgoryczona. Zrobiłabym wszystko, żeby z jej świadomości wymazać to wspomnienie. Chyba nie chcesz w ten sam sposób unieszczęśliwić Karen? Zwłaszcza teraz, kiedy wróciła do domu.

Matylde z jękiem zamknęła oczy.

- Ale jaką krzywdę robię wnukowi Anthony'ego! Jestem potworem bez serca! Kochałam Anthony'ego i on mnie kochał. A teraz go zdradziłam. - Matylde przytknęła rękę do czoła i zatonęła się na łóżko. Podbiegłam do niej szybko, zanim zdążyła upaść. Swan wychyliła się, zaniepokojona.

- Matylde! - krzyknęła.

- Dzwonź po pielęgniarkę - powiedziałam, kładąc Matylde na łóżku.

Rozdział 20

W powietrzu zawisł całun strachu. Swan cały czas siedziała na krześle tuż przy łóżku Matyldy, wpatrzona w nią z istic kocią koncentracją, wyprostowana, z rękami złożonymi na kolanach. Boi się stracić jedyną osobę, która rozumie ją lepiej niż ja - doszłam do wniosku. Karen, często teraz zapłakana, porzuciła wszelkie pozory i leżąc koło Matyldy, trzymała ją mocno za rękę. Matylda była całkowicie przytomna, ale jej prawa powieka i kącik ust wyraźnie opadały, a poza tym zupełnie nie miała siły.

- Umieram - wyszeptała, ledwie dobywając słowa.

Karen drgnęła.

- Proszę cię, nie mów takich rzeczy. To nieprawda. - Swan zeszywniała na krześle. Stare kobiety patrzyły na siebie, jakby przekazywały sobie nawzajem doświadczenia całego życia - plus to obecne - z czymś w rodzaju tragicznego wdzięku.

- Ja chcę do domu - powiedziała wolno Matylda, z trudem wymawiając każde słowo. - Do Marmurowego Dworu.

Swan skinęła głową.

Eli siedział z mamą i Bell w pięknej kuchni Burty, gdzie, pod osłoną cienkiego ręcznika, Bell karmiła Jessie. Leon zawiadomił ich właśnie o ciężkim stanie Matyldy. Eli odwrócił się, kiedy siostra podała maleństwu pierś, mimo że była mistrzynią w ukrywaniu tej czynności.

- Rodzina przyznaje się do rodziny - rzekł spokojnie, zdając sobie sprawę, że jest to stare powiedzenie, często nieprawdziwe, choć takie być nie powinno. Bell wyłuskała Jessie spod ręcznika

i wytarła maleństwu różową buźkę. Eli przez jakiś czas patrzył z rosnącym uczuciem determinacji, jak siostra zajmuje się córeczką, jego siostrzenicą, po czym odwrócił głowę i napotkał posępne spojrzenie matki.

Annie Gwen wiedziała, co Eli myśli.

- Czyja rodzina najbardziej ucierpi na tym naszym poszukiwaniu prawdy? - zapytała. - Hardigree, Matylda czy my? A zresztą, może to wszystko jedno, skoro i tak jesteśmy ze sobą w ten czy inny sposób spokrewnieni. Ci ludzie to rodzina Karen. My też jesteśmy jej rodziną. Modliłam się do Boga i cały czas go pytałam: „Gdzie kończy się sprawiedliwość, a zaczyna miłosierdzie? Kiedy powinniśmy przestać szukać odpowiedzi, które tylko ranią żywych?”.

- Teraz. Już - odparł Eli. - Zabijamy Matyldę. Krzywdzimy Karen. I Darl. I nawet Swan, niech ją... - przerwał. - I wreszcie siebie. - Spojrzał łagodnie na Bell. - Wybacz, siostrzo, ale jeżeli istnieje jakaś prawda, ukryta w ziemi, w wodzie czy we wspomnieniach mieszkańców tego miasta, to musimy po prostu wieść, że kiedyś sama wyjdzie na jaw.

Bell skinęła głową, ale po chwili spuściła ją i zaczęła płakać.

- Dziękuję ci, że przyszedłeś. Matylda o ciebie pytała. - Prowadziłam Eliego przez chłodne pokoje Marmurowego Dworu, rozjaśnione teraz światłami i ogniem płonącym na kominakach. Wszystko to razem miało tego wieczoru odpędzić duchy. - Karen i Leon są na patio na tyłach domu. Idź i może najpierw porozmawiaj z nimi.

Eli położył mi rękę na ramieniu.

- Czy czujesz się aż tak niepewnie w moim towarzystwie, że boisz się rozmawiać ze mną, kiedy jesteśmy sami? - Zatrzymaliśmy się w ciemnym korytarzu w pobliżu niewielkiego portretu mojej matki i babki, który Swan powiesiła tutaj w ostatnich latach. Eli wniósł ze sobą chłodne nocne powietrze wraz z przyjemnym zapachem swoich włosów i ubrania, ze swoim ciepłem.

- Tak - przyznałam. - Rzeczywiście, mam tendencję do rzucaania się na ciebie. A to nie jest dobre dla żadnego z nas.

- Może gdybyś mi bardziej ufała, nie musiałabyś się martwić. Spojrzałam w naiwne oczy mojej matki. Kochała ojca mimo

sprzeciwów Swan. Umarli oboje w akcie buntu przeciwko niej. Miej odwagę - wyszeptła do mnie matka.

Zaufaj mu. Instykt podpowiadał mi, że nie mam co liczyć na odkupienie bez całkowitego zaufania Eliemu. Ogarnęła mnie fala przerażającego lęku: bałam się, że go stracę, że skrzywdzę innych, ale też że się ugnę i wybierając najłatwiejszą drogę, nigdy mu nie powiem, co spoczywa pod ziemią w ogrodzie. Uczepiłam się klap jego miękkiej płóciennej marynarki, a kiedy wyciągnął do mnie ręce, cofnęłam się, cała drżąca.

- Później porozmawiamy - powiedziała i, całkowicie odrętwiała, odwróciłam się na pięcie i wyszłam.

Leona i Karen zobaczyłam na skraju plamy światła, padającego od latarni przy basenie. W chłodnym jesiennym powietrzu, wilgotnym od mgły, podgrzewana woda tworzyła biały opar. Karen, otulona w miękkiej wełnianej sweter, stała z uniesioną do góry twarzą, wyciągając szyję ponad kołnierz z kapturem. Leon zdjął pikowaną kurtkę, ale Karen potrząsnęła głową. Mimo to zarzucił jej kurtkę na ramiona. Na nasz widok Karen podeszła do mnie.

- Przecież to jest śmieszne - powiedziała, spoglądając w kierunku okna i balkonu na pierwszym piętrze. Mignęły nam sylwetki dwóch pielęgniarek, wynajętych do obsługi Matyldy i Swan, które się tam znajdowały. - Moja babka powinna być w szpitalu. Ja się na to nie godzę. Jutro rano wraca do szpitala.

Objęłam ją ramieniem.

- Skąd ci przyszło do głowy, że możesz mówić Matyldzie, co ma robić?

- Ale ona jest chora, ona za siebie nie odpowiada. Ktoś musi za nią decydować. - Karen opuściła ramiona, głos wyraźnie jej się załamał. - Ja się tak o nią boję...

Leon położył jej rękę na ramieniu.

- Twoja babka zawsze mi mówiła, że życie bez godności to nie jest życie. Chce być w domu, to się jej nie sprzeciwiaj.

Karen pokazała palcem na siebie.

- Jestem jej najbliższą rodziną i to ja powinnam być tą osobą, która...

- Życie bez godności to nie jest życie - powtórzył Leon z uporem. - Wychowała cię w szacunku do siebie, więc i ty okaz jej teraz szacunek.

Karen obróciła się do niego błyskawicznie.

- Ale ja jej teraz potrzebuję. Ty nic nie rozumiesz.
- Owszem, rozumiem, że jesteś bardzo samolubna.
- Jestem w ciąży.

Zaległa martwa cisza. W łzawym wybuchu złości Karen poinformowała Leona, że jest w ciąży z innym mężczyzną, który nie chce dziecka, i bardzo dobrze. Była to brutalna prawda, która ugodziła go prosto w serce. Patrzyłam na nich zatroskana. Twarz Leona stężała, w jego oczach zabłyśły łzy. Karen zauważyła je i powiedziała szorstko:

- Przepraszam cię, Leon. Ale ja już nie jestem tą słodką niewinną dziewczynką, którą chciałeś chronić. Próbuję jakoś uporządkować swoje życie, ale nie twoim kosztem.

- Tylko kosztem babki - wybuchnął Leon. - Tak właśnie próbujesz uporządkować swoje życie - wychowując dziecko w godności, której ona cię nauczyła.

Ton Leona usztywnił Karen, upokorzył ją. Odwróciła się i weszła do domu, zostawiając nas samych. Leon opuścił ramiona.

Tyle było nieszczęścia, że wystarczyło dla wszystkich.

Weszliśmy z Elim do wielkiej sypialni Swan, pokoju z wysokimi oknami, ciężkimi antykami i delikatną bielizną pościelową. Jako dziecku rzadko mi było wolno tu wchodzić; jako dorosłej - nigdy. Matylda leżała pośrodku wielkiego łóża Swan, królewskiego mebla z zagłówkiem z mahoni i marmuru. Nieprawdopodobny widok kogokolwiek innego niż Swan w jej osobistym sanktuarium dopełnił we mnie poczucia, że świat, który dotychczas znałam, wali się w gruzy, że solidna skała, na której dotychczas stałam, usuwa mi się spod nóg. Swan siedziała nieopodal w wytwornym łóżku dziennym. Biała koszula i szlafrok spływały z jej ramion na miękką, jedwabną perłowszarą podpinkę puchowej kołdry. Przyglądała się Matyldzie.

Karen stała koło okna. Obejmując się ramionami, patrzyła w noc. Swan ruchem ręki odprawiła pielęgniarkę. Napotkałam spojrzenie babki, które na widok Eliego stężało. Skinął jej głową, ale podszedł do Matyldy, która z wysiłkiem uniosła rękę.

- Ta druga się trzęsie - wyjaśniła z lekko wykrzywionymi ustami.

Eli przysunął sobie krzesło do łóżka i usiadł blisko, trzymając jej rękę w obu dłoniach.

- Moja matka i siostra modlą się za panią.

- Chcę ci coś powiedzieć. - Zrozpaczona patrzyłam, z jakim trudem Matylda wymawia słowa. - Karen, chodź tutaj, chcę, żebyś i ty słyszała.

Karen wolno zbliżyła się do łóżka.

- Babciu, ty nie umierasz, więc nie ma powodu, żebyś gromadziła wokół siebie ludzi...

- Ciiiicho - przerwała jej Swan. Głos mojej babki drżał. - Posłuchaj.

Matylda spojrzała na Eliego.

- Twój dziadek był dobrym człowiekiem. Nie żadnym kobieciarzem, jak niektórzy o nim mówią. - Eli zeszytniał ze zdziwienia. Ja zresztą też. Wszystkiego się spodziewałam, tylko nie tego. - Nie miał łatwego życia. Ja też nie. Kolorowa dziewczyna. - Matylda nabrała powietrza w kilku płytkich spazmatycznych oddechach. Widać było, że słabnie. Wróciła spojrzeniem do Eliego. - Ale ja go kochałam, tego twojego dziadka. Kochałam Anthony'ego Wade'a. I on mnie kochał.

Karen wzięła ją za drugą rękę.

- To jest ta, co się trzęsie - powiedziała Matylda, marszcząc czoło.

- Nie szkodzi. Jest w dalszym ciągu mocna. - Karen ujęła rękę Matyldy w obie dłonie i położyła ją sobie na brzuchu. Widać było, jak nerwowo przełyka ślinę. - Babciu - powiedziała cichym głosem. - Daj spokój z wyznaniem na łożu śmierci. Ty nie umierasz. Nie możesz umrzeć. Zostaniesz prababcią. Będę miała dziecko.

Twarz Matyldy zastygła. Kiedy Karen wyjaśniała okoliczności, każde słowo wnuczki zapadało głęboko w jej serce, by po chwili ujawnić się w napełnionych łzami oczach.

- Byłam bardzo szczęśliwa jako matka - wyszeptwała, kiedy Karen skończyła. - A ty?

Karen przytknęła rękę do gardła. Jej twarz wykrzywiła się w błyskawicznym skurczu; skinęła głową.

- To wobec tego jestem z ciebie dumna - powiedziała Matylda. W dramatycznej ciszy, jaka zapadła, Karen pochyliła się nad ręką babki i w tym momencie dzielące je lata obcości gdzieś się ulotniły.

- Pani Matylde, zamierzam poprosić Karen, żeby wyszła za mnie za mąż - odezwał się od drzwi Leon. Odwróciliśmy się, oniemiałi. Karen westchnęła. - Pokochałem ją jeszcze jako chłopiec - ciągnął dalej Leon stanowczym głosem, stojąc z zaciśniętymi po bokach pięściami. - I dalej kocham w niej wszystko. Zaopiekuję się nią i jej dzieckiem. Przysięgam to pani, pani Matylde. I wszystkim tutaj obecnym. - Spojrzała na Karen. - Będę dla ciebie mężem. Będę ojcem dla twojego dziecka. Jeśli tylko mnie zechcesz. Przemyśl to sobie, na razie nie musisz mi odpowiadać. Porozmawiamy o tym później. - Karen patrzyła na niego oniemiała aż do chwili, kiedy odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Matylde wolno obejrzała się na Swan. Spojrzenia, które wymieniły, zmroziły mnie, napełniły lękiem, sprawiły, że mało się nie rozpłakałam. Było w nich milczące porozumienie, trudne wybory, stoczone bitwy, tragedie, uścisk rąk.

- Pragnę przyszłości dla naszych wnuczek i ich dzieci, tutaj - wyszeptwała Matylde.

Swan odwróciła głowę.

Był późny wieczór; w domu panowała cisza. Eli stał w małym saloniku, położonym z dala od głównych pokojów, oparty o ścianę przy kominku. W rękę trzymał niedopalone cygaro. Pełno tu było książek i miękkich foteli. Karen poszła na górę do pokoju gościnnego i położyła się spać. Leon drzemał w kuchni na krześle. Pielęgniarka spała na kozetce przed drzwiami pokoju Swan. Eli i ja prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Po jakimś czasie Eli wrzucił do ognia niedopałek cygara i usiadł. Zajmowaliśmy przeciwległe końce niewielkiej kanapki. Po północy przerwał milczenie.

- Powiedz Matyldzie, że już więcej nie będę kopał.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wyjeżdżam, Darl. Zabieram mamę i Bell i wracamy do Tennessee. - Zrobił pauzę. - Nie chcę więcej ranić twojej rodziny. Ani swojej. Ty jesteś częścią mnie. Zawsze byłaś. A tymczasem tylko robię przykrości twojej rodzinie. I tobie. Od początku był to niedobry plan. Nie wiem, jak mam ratować honor mojego ojca.

Zwyciężyła. Swan zwycięża. Jeśli tylko jej się pozwoli. Wsta-

łam, zrobiłam parę kroków i usiadłam z powrotem. Nagle ogar-
nął mnie spokój, jakiego dotychczas nie zaznałam. Ujęłam w dło-
nie twarz Elięgo, delikatnie przesuając po niej palcami, dotyka-
jąc warg. Eli gwałtownie nabrał tchu.

- Nikogo nie skrzywdziłeś - powiedziałam. - Wszystko, co się
teraz dzieje, miało swój początek dawno temu.

Przyciągnął mnie do siebie, szorstkim ruchem pogłaskał po
włosach i przytulił.

- Uciekaj z tego miejsca. Jedź ze mną. Będę na ciebie czekał.
Ja ci to wszystko wynagrodzę.

- Nie, to ty chodź ze mną - powiedziałam głosem, w którym
rozpacz mieszała się z cichym zwycięstwem. Pokażę mu prawdę.
Stracę go. Uwolnię.

- Chodź, idziemy do Ogrodu Kamiennych Kwiatów.

Przestało padać. Zimny, biały księżyc ukazywał góry na tle pły-
nących po niebie szarych chmur, rozświetlonych i zwiewnych.
Kiedy szliśmy przez las, to wspinając się, to znów schodząc w do-
liny, potężne jodły muskały nas miotełkami swoich gałęzi, skra-
piając nam włosy i twarze lodowatymi łzami rosy. Miałam na so-
bie te same co w dzień jedwabne spodnie i szary sweter. Kolczas-
te krzewy szarpały mnie za nogawki i chwytały za buty. Drżałam
na całym ciele. Długie, mokre kosmyki włosów lepiły się do po-
liczków i szyi.

Eli niósł łopatę, a ja mały kilof. Nie pytał, po co, a ja nie mó-
wiłam. Włosy miał mokre, twarz napiętą. Oświetlałam drogę la-
tarką. Eli trzymał wysoko lampę kempingową, jej syczący pło-
mień oblewał mnie upiornym blaskiem. Nie wiedział, co mamy
wykopać. Ja wiedziałam.

Na szczycie pasma osłaniającego niewielkie wgłębienie, w któ-
rym znajdował się ogród, stanęłam. Eh uniósł lampę. Pod nami
potężna kamienna waza ze swoim wiecznym bukietem lśniła w jej
świecie, rzucając długie cienie. Stare kamienne ławki wyglądały
jak zatopione w ziemi. Ich pokryte mułem i oplątane pnączami
siedzenia przypominały małe groby. Z uwięzionymi wewnątrz
duszyckami dzieci.

Szłam w dół zboczem, coraz niżej i niżej, a każdy krok przybli-
żał mnie do szczątków Klary. Znalazszy się na dole, dopadłam

wazy i, drżąc na całym ciele, zaczęłam odgarniać butami zgniłe liście. Eli szedł tuż za mną.

- Gdzie? - zapytał ponuro. Wskazałam miejsce odległe zaledwie o centymetry od podstawy wazy. Postawił lampę i zdjął z ramienia łopatę.

Potrząsnęłam głową.

- No, zaczynam. - Odrzuciłam latarkę, ujęłam kilof w obie ręce i zagłębiłam jego wąskie ostrze w ziemi tak mokrej i miękkiej jak ludzkie ciało. Każdy z moich mięśni odciągał mnie od podjętego zadania. Przełamałam się jednak i zaczęłam kopać, rąbiąc ziemię kilofem, drapiąc, szarpiąc i ciągnąc do siebie bryły próchnicy. Dokoła moich stóp urosła hałda rozmokłej ziemi. Zewsząd otaczała mnie przeszłość. Dyszałam ciężko. Wszystkie koszmary, chwile rozpacz i poczucie winy, jakie przeżyłam w ciągu dwudziestu pięciu lat, buzowały teraz we mnie, wystawione na osąd Eliego.

Eli położył mi rękę na ramieniu. Byłam tak oszołomiona, że potrwało chwilę, nim zdałam sobie z tego sprawę.

- Daj spokój - błagałam go, ale on podniósł mnie, wytarł mi twarz i spojrzał w oczy. W jego oczach widziałam ponurą determinację.

- Pamiętaj, że nie jesteś sama. Na tym polega błąd w twoim sposobie myślenia. Cokolwiek znajduje się tu, w tej ziemi, jest to tak samo moje nieszczęście, jak i twoje.

- Ty sobie tego nawet nie wyobrażasz.

- Może i sobie nie wyobrażam, ale nie mów mi, że nie jest to nasza wspólna sprawa. - Stał przed mną, wbił szpadel w ziemię i zaczął kopać. Otarłam spoconą twarz rękawem i padłam na kolana obok małego, ale coraz głębszego dołu. Wytężałam pamięć, próbując przywołać szczegóły, o których tak bardzo chciałam kiedyś zapomnieć. Jako dziecku grób Klary wydawał mi się bezdenną otchłanią, wiedziałam jednak, że Matylda i Swan nie wykopałyby dołu głębszego niż na metr czy dwa. Za każdym ruchem łopaty, za każdym zgrzytem, który mógł oznaczać, że jej ostrze natrafiło na kamień albo... na kość, przejmował mnie dreszcz.

Poraziła mnie ta myśl, rzuciłam się na trzonek łopaty.

- Dość. Resztę już muszę palcami. - Nachyliłam się nad dołem i, drżąc na całym ciele, wsadziłam w ziemię gołe ręce. Kie-

dy sypka gleba ustąpiła czerwonej lepkiej glinie, z obrzydzenia mało mnie nie odrzuciło. Wolno przebierałam palcami w plastycznej masie. Eli ukucnął obok mnie. Zerknęłam na niego, roztrzęsiona i rozmamłana, a on patrzył we mnie takim wzrokiem, jakbym mu wyrywała serce z piersi. Na jego twarzy mało-wał się ból.

- Stop. Dość tego. Przestań. Nie wiem, co ty ze sobą wyprawiasz, ale ja już mam tego dość. Pewnie widziałaś, jak mój tata zakopywał tutaj coś, co należało do Klary, tak? Widziałaś coś ważnego, co się tu wydarzyło. Wiesz coś i to cię dręczy. - Złapał mnie za nadgarstki.

Wyrwałam mu się.

- Daj spokój, Eli, nie. - Znow wsadziłam ręce w ziemię, a on znow mnie chwycił.

- Darl, ja nie pozwolę...

Przerwałam mu zniecierpliwiona. Natrafiłam palcami na coś małego, owalnego. Mógł to być kamień, ale niekoniecznie. Wyciągnęłam rękę z dołu. Przedmiot, oblepiony mokrą gliną, akurat mieścił mi się w dłoni. Uniosłam go do światła, starając się oczyścić z czerwonej mokrej gliny. Wyłoniło się coś cieniutkiego jak włos. Rozciągnęłam to na palcach. Naszyjnik. Zanim odpadła ostatnia grudka ziemi, wiedziałam, co trzymam w ręku. W chwilę później błysnął w świetle lampy maleńki oprawiony w marmur zabłocony brylant, rodzinny klejnot Klary. Na dnie dołu, w podmokłej glinie, dostrzegłam coś, co przypominało żebra. Musiałam wyciągnąć wisiołek z jej kręgow szyjnych.

Spojrzałam na osłupiałą twarz Eliego. Zrozumienie, cierpienie, współczucie i wściekłość - wszystko to razem zobaczyłam w jego oczach. Nie mogłam znieść widoku jego ani siebie. Zamknęłam naszyjnik Klary w dłoni i spuściłam głowę.

- Powiedz mi, co przez cały czas wiedziałaś.

- Byłam tutaj, kiedy Swan ją zabiła.

Eli usiadł na piętach, wreszcie uwolniony od przeszłości, ale zdruzgotany. Oboje byliśmy zdruzgotani. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie i płakaliśmy.

Swan stała przy oknie sypialni i z niepokojem patrzyła, jak Darl i Eli opuszczają dom, przemierzają trawnik i schodzą po ta-

rasowych stopniach. Latarnia oświetliła narzędzia, które nieśli. Przycisnęła rękę do serca, mierząc jego przyspieszone bicie, odwróciła się wolno i usiadła na łóżku. Przeżyłam. Tracę Matyldę, straciłam Darl i tak to się wszystko kończy. Nagle poczuła się bardzo zmęczona.

W drugim końcu pokoju poruszyła się Matylda. Lampka nocna rzucała na nią miękkie cienie. Z tej ciemności wydobył się bełkotliwy głos.

- Swan, Swan.

Swan przytrzymała się metalowego oparcia łóżka, wstała z trudem i przeszła przez pokój, czując w piersi łomot, który utrudniał jej oddychanie. Kiedy dotarła do Matyldy, natychmiast się zorientowała, że jest bardzo źle. Matylda wydała dziwny odgłos-westchnienie. Swan usiadła przy chorej, podłożyła ramię pod jej kark, ujęła drżącą rękę i pochyliła się nad nią.

- Dzieje się coś złego - wyszeptała Matylda. - Ze mną. Z nami. - Strzępy strachu połączyły się, stwardniały. Intuicja albo przypadek, los, synchronizacja, ostatnie szanse, stracone nadzieje.

- Wezwę pielęgniarkę - powiedziała Swan.

- Nie, proszę cię, nie chcę być kaleką. Widzę, że nadchodzi...

W piersiach Swan wezbrała rozpacz. Przytknęła głowę do głowy Matyldy.

- Nie odchodź.

- Uwolnij je. Ocal. Nasze wnuczki. Uratuj je przed naszymi błędami.

- Zostań i pomóż mi.

- Pozwól mi odejść. Odejdź sama. Tak wygląda miłość, którą jesteśmy im winne.

Matylda przytknęła oczy. Westchnęła. Swan przygarnęła ją do siebie, kołysząc w ramionach i płacząc, bardzo cicho, w jedyny bezpieczny sposób.

- Siostró - wyszeptała.

Eli patrzył na Darl ponad grobem Klary, słuchając jej opowieści. Mówiła mu ze szczegółami, jak to się stało i dlaczego. Widział, jak wylewa się z niej cały ten ból, i sam też bardzo cierpiał. Była przekonana, że on jej nienawidzi, czytała to w jego oczach, a on

nie wiedział, jak ma powiedzieć, już teraz, że jej wybacza. Jakiś głos wewnętrzny mówił mu, że nie powinien, że dla niej powinna się liczyć tylko prawda i niech diabli biorą rodzinę. Dosłownie kipiał ze złości.

Skończyła mówić - zdruzgotana, wyczerpana, zalana łzami, umazana błotem z grobu Klary, na kłęczkach - jak on. Wstał, wziął łopatę, zamachnął się i z całej siły walnął nią w marmurową wałę. W zetknięciu stali z kamieniem poleciały iskry. Odgłos uderzenia niósł się po lesie głośnym echem. Styliśko łopaty pękło na dwoje, posypały się odłamki marmuru. Jeden z nich trafił go pod okiem, zostawiając krwawy ślad. Darl nawet nie drgnęła. Z zadrapania na jej brodzie sączyła się cienkim strumyczkiem krew. Ani na chwilę nie spuściła z niego oczu.

- Wszystko to dokładnie spisałam - powiedziała. - Wszystko, co dotyczy mojej babki i mnie. Co się stało i w jaki sposób. Pomięłam tylko Matyldę. Moje wyznanie jest w kopercie w bibliotece. Jutro zaniósę je do sądu i wręcę prokuratorowi okręgowemu. A ciebie proszę o jedno - a nawet błagam - żebyś nigdy nie powiedział nikomu o udziale Matyldy.

Jej pełne poświęcenia słowa sprawiły, że ugięły się pod nim nogi.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej?

Spuściła głowę.

- Niech mnie Bóg ma w swojej opiece - wyszeptwała. - Kocham cię, ale kocham też moją babkę.

Eli obszedł grób Klary i ukląkł przed Darl.

- Daj mi ten naszyjnik! - polecił szorstko i wyciągnął rękę. Musi wybierać i wybierze mnie. Położyła mu naszyjnik na dłoni. - Wybieraj! - rozkazał. - Wybieraj między mną a tym, co symbolizuje ten wisiołek. Między mną a Swan. Wybierz i odejdz stąd razem ze mną, i nigdy nie oglądaj się za siebie.

- Nie mogę - wyszeptwała. - Swan jest we mnie. Jest częścią mnie - wszystkim, czym obie jesteśmy, co musiała przecierpieć, żeby stworzyć godne życie dla siebie, dla Matyldy, dla Karen. Dla mnie. Nie mogę jej opuścić.

Chwyił ją za ramiona.

- Oddałaś mi ojca. Wolnego i czystego. Niewinnego. Ale ja chcę jeszcze moją dziewczynę!

Łzy płynęły jej strumieniami. Potrząsnęła głową.

- Musisz mnie zostawić. Ukarzę Swan na swój sposób.
Z Marmurowego Dworu rozległ się dzwonek.

Byłam całkowicie odrętwiała. Eli chciał mi wybaczyć, ale ja nie mogłam się na to zgodzić. Leon, który na tę noc ulokował się w pokoju na dole, stał teraz przy dużym żelaznym dzwonie zainstalowanym na słupie, podświetlonym przez latarnie ogrodowe i widmowy blask podwodnych lamp basenowych. Kiedy wspięliśmy się z Elim na stopnie tarasu, zobaczyłam łzy na twarzy Leona, całkowicie przemoczonego i ociekającego wodą. Gestem głowy wskazał basen.

Na szerokich marmurowych schodkach płycszej części basenu leżała Swan. Jej głowa spoczywała na wyciągniętym wzdłuż marmurowego obrzeża ramieniu, a zanurzone w wodzie włosy oblepiały jej ramiona. Nad basenem wisiała delikatna mgiełka. Biała koszula i szlafrok unosiły się dokoła niej. Przedstawiała sobą widok widmowy, nierealny. Anioł i duch, uwolniony od praw grawitacji i wszelkich reguł, poza własnymi.

- Znalazłem ją i przyciągnąłem do brzegu - powiedział Leon. - Zdołała się jakoś wymknąć z domu przez nikogo niezauważona. Urwał, nerwowo przełykając ślinę. - Wezwałem pogotowie. - Znów przerwał. - Karen jest na górze ze swoją babcią. - Spojrzał na Dwór z zatroskaną miną. - Pani Matylda nie żyje.

Wyminęłam Leona i rzuciłam się w stronę basenu, słysząc za sobą kroki Eliego. Weszłam do wody koło schodków, przykucnęłam obok Swan, odgarnęłam jej włosy i ujęłam w dłonie twarz. Oczy miała zamknięte, ale nawet w słabym świetle podwodnych lamp zauważyłam straszny, woskowy kolor skóry.

- Swan - zawołałam cicho. - Babciu. - Otworzyła oczy, te błękitne, zimne nawet teraz gwiazdy, i spojrzała na mnie.

- Wiem, dokąd zabrałaś Eliego - powiedziała.

Skinęłam głową.

- Teraz ja tu rządzę. Powiedziałam mu wszystko.

Jej wzrok przesunął się gdzieś za mnie i spoczął na Elim, który wszedł właśnie do wody z drugiej strony. Z kamienną twarzą pochylił się nad Swan, wytrzymując jej wzrok. Niejasno zdałam sobie sprawę, że na brzegu basenu stoi nad nami Leon.

- Muszę iść zobaczyć, co się dzieje z Karen - oznajmił i ruszył

w stronę domu. Kiedy zostaliśmy sami, tylko Swan, Eli i ja, powtórzyłam to, co powiedziałam wcześniej:

- Teraz ja tu rządę, babciu. Ja podejmuję decyzje. Przyznałam się przed Elim do tego, co zrobiliśmy. I ja poniosę tego konsekwencje.

- Zawsze mnie zdumiewasz. - Jej spojrzenie w dalszym ciągu spoczywało na Elim, który bezlitośnie sondował ją wzrokiem. Powoli uniośł rękę, pozwalając, by wisiołek Klary, przyczepiony do oblepionego błotem naszyjnika, wymknął mu się między palcami i zawisł nad jej twarzą. W mglistym świetle błysnął brylant.

- Zabiłaś swoją siostrę - powiedział. - I pozwoliłaś umrzeć za to mojemu ojcu.

Potwierdziła prawdę jego słów drgnieniem powiek, po czym zwilżyła wargi językiem.

- Wrzuć mnie do wody. Zrób to. Moja rodzina wyciosała twoją rodzinę z najszlachetniejszego kamienia. Ja cię uczyniłam tym, kim jesteś dzisiaj. Uczyniłam cię godnym mojej Darl. Jesteś wystarczająco silny, żeby mnie zabić.

Dostałam gęsiej skórki. Pochyliłam się nad nią, obserwując Eliego z jawną rozpaczą. Jego twarz stężała. W oczach zalśniły łzy, ale widać było, jak dobro bierze w nim górę.

- Nie mogę nienawidzić cię bardziej, niż Kocham Darl - powiedział i cisnął naszyjnik Klary.

Płakałam cicho, ale ten płacz był oczyszczający. Swan przeniosła wzrok na mnie.

- To wobec tego ty to zrób. - Jej głos był ledwie słyszalny, przypominał bolesny, świszczący oddech. - Udowodnij, że potrafisz zrobić to, co zrobić powinnaś. Tego cię uczyłam.

Potrząsnęłam głową. Sprowadziła nas tutaj, żeby dokonać czegoś w rodzaju przewrotnego chrztu: jej dusza miała do niej wrócić, a jednocześnie zwracała nam nasze dusze. Podłożyłam jej rękę pod plecy, a drugą, ubrudzoną ziemią, głaskałam ją po twarzy.

- Kocham cię. Nigdy tego nie rozumiałaś.

- Owszem, rozumiałam. Ale nie mogłam ci na to pozwolić. Dla twojego dobra. I mojego. Miłość jest taka trudna.

- Nie. Nie jest. Pozwól mi chociaż teraz cię przytulić. Wszystko jedno, co się stanie, zawsze będę przy tobie.

Złamałam ją. Widziałam w jej oczach miłość, przeprosiny, sa-

motność i spokój. Eli kazał mi wybierać, ale ja nie potrafiłam, więc Swan wybrała za mnie. Uwalniała mnie od siebie, ale jednocześnie przywalała ciężarem prawdy jak kamieniem; moja sprawa, czy zdołam go udźwignąć.

- Wnuczko - wyszeptwała. - Straciłam serce. Poszło do ciebie.

Ucałowałam czoło, oczy, policzki Swan. Po raz pierwszy w życiu dotykałam wargami jej skóry. Umarła w moich ramionach, unosząc się na wodzie.

Darl odmówiła odejścia od ciał babki i Matyldy. Obydwie, z kompletnie załamana Karen, towarzyszyły zwłokom najpierw do szpitalnej kostnicy, a potem do domu pogrzebowego w Burnt Stand. Trzymając się za ręce, całą noc przesiedziały przy zwinionych w prześcieradła ciałach w chłodnym zaciemnionym pomieszczeniu o marmurowych podłogach. Ludzie z całego hrabstwa, słysząc o dwóch zgonach, zjeżdżali się, by w cichym hołdzie dla zmarłych czuwać na kocach pod przestronnym chmurami księżycem, wśród cieni jesiennych gór. Do świtu mokry od deszczu trawnik zapełnił się tłumem żałobników.

Eli poszedł do położonej w odległości kilku przecznic Burty, zapalił na dole światła, obudził matkę i Bell i w prostych słowach zawiadomił je, że Swan i Matylda umarły w nocy. Mama pochyliła głowę w modlitwie. Bell zaczęła płakać. Eli usiłował wybrać właściwą dla nich wersję prawdy, ale nie mógł się zdecydować. Tata był niewinny. Tyle z pewnością powinny usłyszeć, i to szybko. Jęknął w myślach, przypominając sobie w kółko słowa Darl: Byłam przy tym, jak Swan zabijała Klarę.

- Co cię dręczy, synu? - zapytała mama. Potrząsnął głową. Na razie dała mu więc spokój. Ubrała się i poszła z nim, zostawiając Bell z Jessie. Zebrany na trawniku tłum - kamieniarze, kupcy, ludzie z miasta i farmerzy - rozstał się, żeby ich przepuścić. Mama usiadła na werandzie domu pogrzebowego i zaczęła głośno czytać fragmenty Biblii. Ludzie wraz z nią chylili głowy. Eli przycupnął w ciemnym kącie obok Leona.

- Co robiliście z Darl w lesie? - zapytał Leon zmęczonym głosem.

- Powiem ci, kiedy będę wiedział, jak wydobyć z siebie te słowa - odparł Eli. Albo jakich słów użyć - dodał w myślach. Leon

skinął głową. Palili cygara, prawie się nie odzywając. Bez trudu można było sobie wyobrazić, jak Swan i Matylda przepływają obok werandy, jak przekraczają zasłonę cygarowego dymu, dążąc ku utraconym bliskim - swoim córkom - ku ich niewinności. Eli patrzył w zimny jesienny poranek, spowity w dym i srebrzyste górskie mgły. Pomyślał, że poprzez te opary spogląda na niego dziadek - wreszcie razem z Matyldą. I że ojciec też go widzi z tamtego świata. Zgarbił się i pochylił głowę, udając, że pali cygaro, ale w gruncie rzeczy próbował ukryć swoje uczucia. Wiem, tato, że jesteś w tej chwili ze mną. Wybacz mi, że kiedykolwiek w ciebie zwątpiłem. Kocham cię. Przemów do mnie. Powiedz mi, co mam robić.

Powoli dojrzewała w nim odpowiedź, płynąca wprost z serca jego ojca, który mówił mu, jak wybaczać i przyjmować przebaczenie.

Niech żaden kamień nie pozostanie nieodwrócony, a miłość nieodwzajemniona.

Resztę odrzuć.

Świt sączył się przez jasne zasłony, nakrapiając plamkami światła spowite w całun ciała naszych babek. Siedziałyśmy z Karen na kanapce naprzeciwko udrapowanych katafalków w niewielkim pokoiku zakładu pogrzebowego, nieprzeznaczonym dla publiczności. Nasze twarze oświetlał tylko kinkiet ścienny. Karen położyła mi głowę na ramieniu. Objęłam ją i zamknęłam oczy, wtulona w czekoladowy brąz jej włosów. Wypłakałyśmy już chyba wszystkie łzy.

Masz moje serce.

Słowa Swan wracały do mnie nieustannie, bolesne zawartą w nich ironią, radością, szczerym wyznaniem. Tęskniłam za nią, opłakiwałam ją, nienawidziłam jej i kochałam. Ale przede wszystkim wiedziałam teraz, co mam robić: mam wszystkim mówić prawdę o Swan i o sobie. O Klarze. Ja też straciłam serce. Tylko prawda i Eli mogli mi je zwrócić.

- Nie wiem, co miałabym jeszcze powiedzieć mojej babce czy twojej - szepnęła Karen łamiącym się głosem. - Co my bez nich zrobimy?

Pocałowałam ją we włosy.

- Będziemy kochały najlepiej, jak potrafimy, i nigdy się nie poddamy - powiedziałam.

Tak jak nas nauczono.

Słońce wstawało nad górami. Na widok wchodzącej na werandę zakładu pogrzebowego Darl Eli podniósł się z krzesła. To samo zrobił Leon na widok idącej za nią Karen. Cały tłum z szacunkiem poszedł w ich ślady. Mama zamknęła Biblię i złożyła ręce na okładce z cienkiej białej skórki, wybluszczzonej od częstego dotykania. Jej oczy, wyzierające spod siwych, potarganych włosów, płonęły smutkiem. Nawiedzone spojrzenie Darl powędrowało najpierw do niej, a potem do Eliego, prosząc, żeby się nad nią nie litowali. W Elim najpierw się wszystko skrzywiło, a potem wyprostowało i uspokoiło. Darl złapała Karen za rękę i zaraz potem puściła. Karen patrzyła na pełen szacunku tłum z niemym podziwem, gdy nagle poczuła na sobie niedźwiedzi uścisk Leona.

Darl podeszła do krawędzi werandy.

- Mam państwu coś do zakomunikowania - zaczęła, a Eliego przeszyła świadomość tego, co chciała powiedzieć. W pierwszej kolejności zwróciła się do niego i do mamy. - Przede wszystkim wam. - A następnie do Karen. - I mojej kuzynce. Przykro mi, że robię to w ten sposób, ale jeżeli nauczyłam się czegokolwiek od naszych babek, to przede wszystkim tego, żeby robić to, co zrobić należy.

Uniosła głowę i utkwiała wzrok w twarzy Eliego. Miłość, jaką Eli dostrzegł w jej oczach, chwyciła go za serce. Darl była gotowa dla niego zniszczyć siebie. Nie może jej na to pozwolić. Rzucił się do niej, zaskakując ją całkowicie.

- Pozwól - powiedział. Chciała zaprotestować, ale zasłonił dłonią jej usta. Zanim zdążyła wydobyć głos, Eli spojrzał na mamę. - Przed śmiercią Swan wyznała prawdę Darl i mnie. To ona dwadzieścia pięć lat temu zabiła swoją siostrę. Ona, sama.

Przez tłum przeszło westchnienie. Karen wydała jakiś dziwny odgłos i powiedziała z pełnym niedowierzania współczuciem:

- Och, Darl.

Nawet Leon nie zdołał powstrzymać wyrazu zaskoczenia i zgrozy. Twarz mamy zastygła w bezruchu, ale już po chwili po-

jawiła się na niej mieszanina nadziei i smutku. A ta nadzieja szybko przerodziła się w zrozumienie. Annie Gwen położyła rękę na sercu. Jasper był niewinny. To zostało udowodnione. I podane do publicznej wiadomości.

Eli z powrotem przeniósł wzrok na uniesioną do góry osłupiałą twarz Darl. Wpatrywała się w jego oczy. W dalszym ciągu trzymając dłoń na jej ustach, powiedział do zgromadzonych:

- Zabiła swoją siostrę i winą za to pozwoliła obciążyć mojego ojca. To wszystko była jej robota. Jej i tylko jej.

Wargi Darl poruszyły się prawie niedostrzegalnie. D l a -
c z e g o ?

- Kocham cię - powiedział Eli i powoli zamknął ją w objęciach.

Wyciągnęła drżące ramiona i przywarła do niego z całej siły.

Potem już wszystko zaczęło się dziać tak szybko, jak gdyby śmierć Swan była kluczem do drzwi, które nagle stanęły przed nimi otworem. Po południu Eli i ja zaprowadziliśmy Leona i Karen do Ogrodu Kamiennych Kwiatów. Towarzyszyli nam miejscowy szeryf, koroner, dyrektor domu pogrzebowego i kilku innych oficjeli. Wtedy dopiero, z zachowaniem niezbędnych przepisów, wykopaliśmy kości Klary. Zmusiłam się do tego, żeby na nie spojrzeć, i w tym samym momencie poczułam mocny uścisk dłoni Eliego. Dyrektor zakładu pogrzebowego, w asyście pozostałych mężczyzn, zabrał szczątki Klary w plastikowym worku. Eli, Leon, Karen i ja staliśmy nad pustym grobem, a z góry leciały na nas suche liście, powoli wypełniając dół.

- Tak bardzo mi cię żal. - Karen rzuciła mi się na szyję, po czym cofnęła się z wyrazem udręki na twarzy. - Z powodu tego, co zrobiła twoja babka. I tego, że będziesz musiała z tym żyć.

- Nie martw się o mnie. Radzę sobie lepiej, niż sądziłam. - Spojrzałam na Eliego. Jego ciemne oczy były spokojne i smutne, ale jednocześnie pełne wsparcia dla mnie i zwycięskie. Zbyt wiele było w tym wszystkim emocji, żebyśmy mogli tak od razu dojść z nimi do ładu. Karen dotknęła ramienia Eliego. - Tobie też bardzo współczuję. Z powodu tego, co nasza rodzina wyrządziła twojej. - Głos jej się załamał. - Jestem przekonana, że gdyby tu

była moja babka, przeprosiłaby cię za Swan i próbowała wytłumaczyć, dlaczego ona zrobiła coś tak potwornego...

- Wszyscy jesteście rodziną - powiedział spokojnie Eli. - I dalej nią będziemy. A to jest w gruncie rzeczy najważniejsze.

Leon odchrząknął.

- Nadszedł koniec Marmurów Hardigree. Bez Swan i Matylidy firma już nigdy nie będzie tym, czym była. Ani miasto.

- Nie zgadzam się z tobą - powiedziałam i zwróciłam się do Karen. - Moja babka zapisała nam w testamencie firmę po połowie. - Zrobiłam pauzę. - Tak jak i rezydencję. Od tej pory jesteśmy współwłaścicielkami Marmurowego Dworu.

- Och, Darl.

- Tak jest sprawiedliwie. Swan i Matylida - obie były Hardigree. Wszystko należało do nich dwóch, niezależnie od tego, czy ludzie o tym wiedzieli, czy nie. - Staliśmy przez chwilę w milczeniu, usiłując oswoić się z tą wiadomością. Prawnik Swan przyniósł mi jej testament zaledwie przed paroma godzinami. Położyłam rękę na dłoni Karen. - Czy jesteś pewna, że tu zostaniesz? - zapytałam.

Spojrzała na Leona.

- Jestem.

- Wobec tego oddaję ci moją połowę. I firmy, i majątku. - Skłoniłam głowę w stronę Leona. - Wam obojgu.

- Ale, Darl, nie możesz... - zaczęła Karen, a Leon też potrząsał głową.

- Rezydencja musi mieć panią, a ty się świetnie do tego nadajesz. Leon i tak miał zostać właścicielem kamieniołomu.

- Ja nie jestem Hardigree - zaprotestował.

- Ożeń się z Karen, to będziesz.

Widziałam, jak to wszystko powoli do nich dociera. Patrzyłam, jak dojrzewa w nich decyzja, i poczułam na sobie wzrok Eliego. Spojrzałam w jego zatroskane, ale dumne oczy.

- Będziemy do was przyjeżdżali - zapewniłam Karen i Leona. - Zaangażowaliśmy się w Stand Tall.

- A gdyby tak zbudować obiekt na tym terenie... - podsunął Eh. - Niechby stanęło tu coś naprawdę wspaniałego. Budynek na ziemi, którą sam wydzieriałem lasowi. Z Kamiennym Dworkiem jako centrum. Co o tym myślicie?

Odeszłam od pustego grobu Klary i czubkami palców dotknę-

łam wielkiej kamiennej wazy, z jej pełnymi nadziei marmurowymi kwiatami, wiecznie naśladowującymi życie i czekającymi na magię, którą chcieliśmy tu zawsze z Elim sprawować.

- Uważam, że to byłoby wspaniałe - powiedziałam.

Zwłoki Matyldy i Swan leżały wystawione w dużym salonie Marmurowego Dworu. Przesiedziałam tam cały ranek, rozmawiając z nimi. Teraz przeszłam do biblioteki, gdzie wygładzałam jasnoszarą garsonkę i bawiłam się wisiorkiem Hardigreech, który dalej zdobił moją szyję. Za godzinę otworzę dom dla wszystkich, którzy przyjdą złożyć hołd zmarłym. Cała rezydencja była zawalona kwiatami i kartami. Zapłakana Karen uciekła na farmę Leona. Samotnie zmagalam się ze zmęczeniem, żalem i ciężarem niespłaconych długów. Od dwóch dni, czyli od śmierci Matyldy i Swan, rzadko bywaliśmy z Elim sami i niewiele ze sobą rozmawialiśmy. Zbyt dużo było do powiedzenia. Nie mieliśmy pojęcia, jak zacząć. Wiedziałam, skąd się bierze ta rezerwa, nawet jeśli Eli nie wiedział.

Gloria, która przeniosła swoje uczucia na Karen, nie na mnie, w milczeniu otworzyła drzwi, wpuszczając do biblioteki Eliego, Annie Gwen i Bell. Pilnie wezwany mąż Bell przyleciał do Karoliny Północnej, by ją wesprzeć w tych trudnych chwilach. Teraz został w Burcie z dzieckiem.

Patrzyłam na Eliego z pełną spokoju rezerwą. Wydawał mi się obcy w eleganckim garniturze, jakby był w zbroi. Jego chmurna twarz mówiła dobitnie, że jest zatroskany moją chęcią porozmawiania w cztery oczy z jego matką i siostrą. Nie wiedział, co zamierzam, i miał powody do niepokoju. Sama byłam przestraszona.

- Biedne dziecko - powiedziała Annie Gwen, tuląc mnie do siebie. To samo zrobiła Bell.

Odwzajemniłam uściski obu.

- To cud, że po tym wszystkim, co uosabiam, nie znienawidziłyście mnie.

- Jak mogłybyśmy potępiać cię za to, co zrobiła twoja babka? - wykrzyknęła Bell.

Jeszcze zobaczycie - pomyślałam. Poszłam za biurko i sięgnęłam na półkę między podręczniki, tam gdzie ukryłam kopertę

z moim wyznaniem. W tym momencie Eli pojął, co zamierzam zrobić. Podszedł do mnie blisko i położył rękę na kopercie. Potrząsnęłam głową i powiedziałam przez zaciśnięte gardło:

- Muszę zrobić to, co jest słuszne. Jeśli tego nie zrobię, zawsze pozostanie między nami tajemnica. Dostyc sekretów.

- Do licha - zaprotestował bardzo łagodnie, z bólem. - Niektórych rzeczy nie ma potrzeby mówić, jeśli tylko ranią ludzi.

- Za bardzo kocham ciebie i twoją rodzinę, żeby to przed wami ukrywać. - Zwróciłam się do Annie Gwen i Bell, podając im kopertę. - Od dziecka wiedziałam o zamordowaniu Klary. - Mój głos był cichy, pełen napięcia. - Tu opisałam to wszystko ze szczegółami. Wiedziałam, co zrobiła moja babka. Wiedziałam zawsze, ale bałam się komukolwiek powiedzieć. - Drżącą ręką położyłam kopertę na biurku. - Dlatego częściowo ponoszę winę za to, co ona zrobiła.

Powoli twarze Annie Gwen i Bell jak gdyby się zapadły w wyrazie bólu. Widziałam malujące się na nich najróżniejsze uczucia, z których - ku mojemu zdumieniu - pozostał tylko smutek.

- Domyślałam się, że musiałaś wiedzieć - wyszeptła Annie Gwen. - Tam, w domu pogrzebowym, widziałam w twoich oczach poczucie winy. - Spojrzała na Eliego. - I w twoich też - dodała.

Położyłam rękę na gardle. Stojący koło mnie Eli powiedział stanowczym tonem:

- Nie chciałbym, żeby wina za to, co się stało, nawet w najmniejszym stopniu obciążała Darl. Byłem przeciwny ujawnianiu przed tobą i Bell czegoś, co nic nie zmienia, a tylko sprawi ból.

Bell, z żarem i łzami w oczach, rzuciła się w moją stronę.

- Czy chcesz powiedzieć, że twoja babcia powiedziała ci o morderstwie, kiedy byłaś dziewczynką? Dlaczego ci to zrobiła?

- Nie musiała mi nic mówić. Byłam świadkiem tego wydarzenia. Widziałam, jak zepchnęła Klarę z muru tarasu. Widziałam, jak Klara umiera. A w nocy patrzyłam, jak Swan ją zakopuje. - Zrobiło mi się słabo, przytrzymałam się biurka. Eli złapał mnie wpół. - Nie oczekuję od was przebaczenia.

Twaz Annie Gwen stała się dziwnie płaska. Matka Eliego obeszła potężne biurko, jak mała zdeterminowana kwoczek, prowadząca za sobą Bell, i już po chwili trzymała w dłoniach moją twarz.

- Biedne dziecko - powtórzyła. - Ale tu się już dokonała spr-

wiedliwość. Ja i moja rodzina, my... zabiliśmy twoją babkę. Zabiliśmy ją, wracając tutaj.

- Annie Gwen, to nie jest tak...

- Owszem, jest. W głębi serca wiedziała, że ma dług do spłacenia, i spłaciła go swoim sercem. Ale zabiliśmy też biedną niewinną Matyldę, niech nam to Bóg wybaczy. - Annie Gwen mocno uchwyciła moją twarz, jakby usiłowała przelać we mnie swoją wiarę. - To, co się stało, już się nie odstanie, dziecko. Po obu stronach.

- I dajmy temu spokój - powiedział cicho Eli, kładąc mi rękę na włosach. Wybaczone mi i teraz ja mogłam zacząć wybaczać. Jeszcze chwila i znalazłam się w ramionach Annie Gwen, Bell i Eliego.

- Chcę zobaczyć Swan - oznajmiła Annie Gwen stanowczym tonem.

Wprowadziłam ją do salonu, a sama cofnęłam się do drzwi. Widok dwóch trumien wśród wieńców, w drugim końcu pokoju, ścisnął mnie za serce. Po raz ostatni spoglądałam na twarze mojej babki i Matyldy.

Annie Gwen podeszła do trumny Swan i stała przez chwilę, przyglądając się zmarłej.

- Przygarnę twoją wnuczkę do serca - zapewniła ją. - I włączę ją do swojej rodziny. Będę dobrą babką dla jej dzieci z moim synem, zasłużę sobie na ich szacunek. A ty pozostaniesz złym wspomnieniem, kimś, o kim, ze względu na Darl, będziemy niewiele mówili. Zabrałaś mi męża. A ja ci zabiorę całą rodzinę. Przyszłość. I to będzie moja zemsta, Swan Samples. Piekło, które sama sobie zgotowałaś.

Annie Gwen Wade odwróciła się tyłem do Swan i spojrzała mi w oczy.

- Kochasz mojego syna, a ja kocham ciebie - powiedziała.

- Zrobię wszystko, żebyś tego nie musiała żałować - odparłam.

A potem Annie Gwen, Bell, Eh i ja wyszliśmy z moim wyznaniem na różowe marmurowe patio, gdzie Eli zapalił zapalniczkę, przytknął jej płomień do jednego z rogów koperty i w ten sposób spaliliśmy wszystkie zawarte w niej słowa.

Pierwszy ogień Burnt Stand dał mojej rodzinie nazwisko i czystą przeszłość. Drugi, ten na marmurowym patio, tamtego dnia, dał jej duszę i czystą przyszłość.

Wszystkie trzy: Swan, Matylda i Klara, zostały pochowane na cmentarzu metodystycznym w mauzoleum Hardigreech i każda z nich miała wyryte na krypcie swoje nazwisko, a tam, gdzie pozostało wolne miejsce, na anonimowej krypcie obok mojej matki, kazaliśmy umieścić nazwisko matki Karen: Katherine Wade.

Teraz wszystko już było w kamieniu.

- Chodź ze mną - powiedział Eli po pogrzebie. Był to nie tyle rozkaz, ile prośba.

Pojechaliśmy do Kamiennego Dworku, opuszczonego w ogołoczonej dolinie, wśród wzgórz, które wkrótce miały ożyć budynkami i trawnikami Stand Tall. Weszliśmy do pięknego chłodnego wnętrza, niegdyś mileczącego świadka miłości Matyldy i Anthony'ego, potem rodzinnego ciepła Annie Gwen i Jaspera, a teraz przebaczenia i oddania, jakie wnieśliśmy z Elim do domu, który zbudował jego dziadek.

Poszłam za nim do sypialni, gdzie stanęliśmy naprzeciwko siebie kolo prostego łóżka, zasłanego białymi prześcieradłami, dużymi poduszkami i miękkimi kołdrami. Było tylko to łóżko, marmurowy dworek i my. Eli wyciągnął ręce, a kiedy do niego podeszłam, wyjął z kieszeni garnituru niewielkie kombinerki, sięgnął palcami za kołnierz mojej bluzki, wyciągnął rodzinny naszyjnik Hardigreech i przeciął go.

Położyłam naszyjnik na marmurowym parapecie i nigdy więcej nie spojrzałam w jego stronę.

Rozebraliśmy się nawzajem i, nadzy, czyści, położyliśmy się do łóżka. Spędziliśmy w nim całe popołudnie i noc, biorąc siebie nawzajem, jak przystało na parę żarliwych i ufnych kochanków, nie wypuszczając się z objąć, nie wstydząc się łąz, nadrabiając stracony czas.

Rano spakowaliśmy swoje rzeczy, pożegnaliśmy się z Karen i Leonem, z Annie Gwen i Bell i pojechaliśmy na położone pod miastem lotnisko. Miałam na sobie dżinsy, koszulkę, skórzana

marynarkę Eliego i stare buty. On był ubrany równie swobodnie. Wzbiliśmy się wysoko i zrobiliśmy kilka okrążeń nad miastem, patrząc na jasnorożowy majestat Burnt Stand pośród złocistych gór.

- No, czas na nas - powiedział Eli, a ja skinęłam głową. Odlecieliśmy, niesieni wysokimi prądami jesiennego powietrza. Uwolnieni od ziemi i przeszłości, płynęliśmy nad południową częścią oceanu ku egzotycznej, upalnej przygodzie. Nad nierówną powierzchnią świata unosiliśmy się lekko, jakby prawa ciężenia nas nie dotyczyły.

Zakochani, już nie pamiętaliśmy o chłodzie kamienia.